



BEVERLY BARTON



Zimny początek

Prolog

Powinien popełnić samobójstwo. Może tak byłoby lepiej dla niego i dla tych, których kocha.

Wpatrywał się w leżącego na biurku glocka. Dan Price kupił dziewięćmilimetrówkę dla żony, ale nie przyjęła prezentu, grzecznie wymawiając się wstrętem do broni. Nalegał, poszła więc z nim na strzelnicę i nauczyła się posługiwać pistoletem tylko po to, żeby sprawić mu przyjemność. Wiedział jednak, że nigdy go ze sobą nie nosiła, nie trzymała w swoim pokoju ani w samochodzie.

Gdyby jego słodka Jordan wiedziała, że chce odebrać sobie życie, ze wszystkich sił starałaby się go przekonać, że zostanie przy nim bez względu na to, co przyniesie przyszłość. Ujęły go właśnie lojalność i uczciwość tej kobiety, dzięki której świat polityki stanął przed nim otworem.

Uniósł do ust napełnioną do połowy szklanę burbona kentucky i opróżnił ją do dna. Alkohol spłynął do żołądka gorącym strumieniem, niczym wrząca lawa. Dan zakaszłał, otarł wargi, a potem chwycił butelkę i znów napełnił szklanę.

Musi odebrać sobie życie dziś wieczorem, a doskonale wiedział, że na trzeźwo nie potrafi tego zrobić. Nie jest aż tak odważny. Żeby włożyć sobie do ust lufę i pociągnąć za spust, musi być bardziej niż tylko lekko podpity.

Wypił burbona i usiadł wygodnie w obrotowym fotelu przy biurku, rozglądając się po gabinecie, wcześniej należącym do jego ojca i dziadka - imponującym pokoju w dwustuletniej posiadłości, stanowiącej część majątku, który znalazł się w rękach rodziny jeszcze przed wojną secesyjną. Mężczyźni z rodu Price'ów od pokoleń służyli ojczyźnie, najpierw w czasie wojny, a później udzielając się politycznie na arenie lokalnej, stanowej i krajowej. Nazwisko Price'ów utożsamiano w Georgii ze służbą społeczeństwu.

Co się stanie z dobrym imieniem rodziny, jeżeli się zabije? Price'owie nigdy nie szukali łatwego wyjścia z trudnej sytuacji.

Ale czy potrafi wytrwać, wiedząc, co się wydarzy? Czy może skazać Jordan na takie życie? A co z Devonem? I Ryanem, jego bratem? Zostaliby przy nim, ale wymagałoby to od nich ogromnego poświęcenia.

Nie musisz tego robić akurat dziś. Masz czas.

Ile czasu? Pół roku? Rok?

Dopił drugiego burbona i nalał sobie trzecią szklanekę.

Stary zegar w korytarzu wybił drugą w nocy.

Dan przekręcił klucz dolnej szuflady biurka i wyjął z niej teczkę z dokumentami. Jego testament. Drugi egzemplarz znajdował się u prawnika, trzeci w sejfie w domu w Bethesda. Treść nie była dla nikogo tajemnicą. Cały majątek miał zostać podzielony równo pomiędzy Jordan, Devona i Ryana. Jordan nie chciała tego, twierdząc, że nie oczekuje spadku, ale przełamał jej protesty pieszczotami.

- Zawdzięczam ci tak wiele, że nigdy nie będę w stanie ci tego wynagrodzić
- powiedział.

Dokończył trzecią szklanekę burbona.

Minuty płynęły, a on wpatrywał się w glocka, leżącego na starym biurku dziadka, generała Johna Ryana Price'a. Rodzinna legenda głosiła, że biurko należało kiedyś do Jeffersona Davisa, rówieśnika dziadka.

Nalał kolejną szklanekę, wziął butelkę i podszedł do skórzanej kanapy. Usiadł, postawił butelkę na podłodze i zaczął rozmyślać. Śmierć wydawała mu się lepsza niż los, który go czeka.

Powieki uniosły się gwałtownie i opadły. Pograżony w półśnie nie od razu pojął, gdzie jest i co go tak nagle obudziło. Zaspany i zamroczony burbonem

przypomniał sobie, że chciał rozwiązać problem, odbierając sobie życie, ale w końcu - pijany, a jednak myśląc jaśniej niż wtedy, gdy był trzeźwy - doszedł do wniosku, że samobójstwo to tylko tchórzliwa ucieczka.

Dotknął czegoś zimnego na policzku. Palce natknęły się na metalowy przedmiot. Otworzył szeroko oczy, spojrział w górę na pochyloną nad nim kobietę i się uśmiechnął. Nie odwzajemniła uśmiechu. Wzrok Price'a powędrował od znajomej twarzy do jego własnej dłoni, trzymającej pistolet, którego lufa przywierała mocno do skroni. Kiedy spróbował odsunąć pistolet od głowy, zrozumiał, że na jego dłoni spoczywa dłoń kobiety, a jej palec wskazujący oparty na jego palcu mocno naciska spust.

- Do cholery... !

Zanim to powiedział, zacisnęła jego palec na spuście. Pistolet wypalił z bliska.

Price'owi zdążyło jeszcze przemknąć przez myśl, że zabił go ktoś, komu bezgranicznie ufał.

Jordan Price to bezduszna suka. Zimna i wyrachowana. Gdyby była lepszą aktorką, udawałaby przynajmniej jakieś uczucia. Mogłaby wysilić się na kilka łez albo żalonych westchnień. Albo w ogóle zrobić cokolwiek, żeby było wiadomo, że jest jej choć trochę smutno z powodu śmierci męża. Ale nie uroniła ani jednej łzy - ani podczas nabożeństwa, na którym obecne były tłumy, ani w czasie pogrzebu, w którym uczestniczyła rodzina i najbliżsi przyjaciele.

Rick Carson zetknął się już z takimi kobietami - czarującymi i niebezpiecznymi. Nie znał osobiście zmarłego senatora Price'a, ale było mu go żal. Każdy mężczyzna, nawet cholerny polityk, zasługuje na żonę, która po nim płacze.

Lekka mżawka zmieniała się w ulewę i niewielka grupka żałobników stojących nad otwartym grobem osłoniła się czarnymi parasolami. Najbliższa rodzina siedziała w dwóch rzędach, po cztery krzesła w każdym, pod bordowym baldachimem, którego brzegi, wykończone frędzlami, trzepotały głośno w bezlitosnym kwietniowym wietrze przedzierającym się przez drzewa.

Cmentarze w małych miasteczkach na Południu są do siebie łądząco podobne. Wiele nagrobków pochodziło z XIX wieku, a kilka grobów zaznaczono jedynie wielkimi kamieniami. Rick przypuszczał, że jego prości, biedni przodkowie spoczywają w nieoznaczonych grobach rozproszonych po całym Południu, od Wirginii po Kentucky i dalej, w stronę jego rodzinnego stanu Missisipi. Jego ojciec pierwszy w rodzinie otrzymał dyplom szkoły średniej, a Rick pierwszy ukończył studia. Z serdecznie żegnanym senatorem miał niewiele wspólnego.

Stojąca obok Ricka kobieta uniosła parasol, żeby osłonić również jego. Rick miał metr osiemdziesiąt pięć, a ona była tylko o dziesięć centymetrów

niższa, nie musiała więc wysoko wyciągać ręki, żeby i on mógł schronić się przed deszczem. Nicole Powell była świeżo - dokładniej: od siedmiu miesięcy - poślubioną żoną Griffina Powella i współwłaścicielką Prywatnej Agencji Ochroniarsko-Detektywistycznej. Gdyby Griff nie był w tej chwili za granicą, stałby tu zamiast Ricka, który pracował dla agencji od pięciu lat.

Wypowiadanej przez duchownego modlitwie na zakończenie dwudziestominutowej ceremonii towarzyszyła żałobna wersja pieśni *Amazing Grace*, zagrana na dudach. Rick przestał myśleć o Nicole, a skupił się na pani Price. Siedziała sztywna jak kołek, z podniesioną głową i zaciśniętymi zębami. Powoli zamykały jej się oczy. Duchownemu udało się doprowadzić do tego, że opadły jej powieki, ale nie do tego, by skłoniła głowę. Westchnęła głęboko. Czyżby zmęczyła się udawaniem, że ją to cokolwiek obchodzi, gdy w głębi duszy marzyła tylko o zakończeniu ceremonii? A może jednak coś czuje i rozpaczliwie usiłuje nad tym zapanować?

Mężczyzna siedzący obok Jordan Price bez skrepowania ujął złożone dłonie, które trzymała na kolanach, a później ścisnął ją za jedną. Nie zareagowała najmniejszym gestem, kiedy położył splecione dłonie między nimi. Rick wyczuł, że tych dwoje łączy bliska zażyłość. Nicole powiedziała mu wcześniej, że ten diabelsko przystojny facet, o wiele bardziej przejęty pogrzebem niż wdowa, przez dwanaście lat pracował jako asystent Dana Price'a. Wszyscy wiedzieli, że Devon Markham był dla senatora jak syn. Co łączy go z atrakcyjną, młodą żoną szefa? Czy jest jej przyjacielem czy kochankiem?

Siwowłosy duchowny o miłej aparycji i stanowczym głosie zakończył nabożeństwo, w imieniu rodziny zapraszając zgromadzonych na przyjęcie pożegnalne, które było południową, protestancką wersją stypy.

Siedzący wstali i zaczęli podchodzić do duchownego, żeby się z nim pożegnać. Markham podał rękę wdowie, a później objął ją w talii i stanął obok niej.

- Chodźmy stąd - szepnęła Nicole. - Z Claire i Ryanem porozmawiam na przyjęciu.

- Powiedzieli, dlaczego chcą wynająć Agencję Powella? - Rick starał się dotrzymać kroku długonogiej Nicole, kiedy szli w stronę jej escalade.

- Nie. Kiedy Claire zadzwoniła, żeby poinformować mnie o pogrzebie Dana Price'a, powiedziała tylko, że potem Ryan chce ze mną porozmawiać. Mieli tyle na głowie, że nie mogłam wypytywać o szczegóły.

Rick obejrzał się przez ramię i po raz ostatni spojrzął na panią Price. Rozmawiała z pastorem, niewzruszona i sztywna. Markham trzymał się jej kurczowo i już na pierwszy rzut oka widać było, że to ona jest silniejsza i że oboje o tym wiedzą.

Co ta kobieta ma w sobie, że tak bardzo zaintrygowała Ricka? Może nic poza tym, że jest piękna. Piękna, krucha, bezbronna i bezduszna. Jeśli chodzi o pieniądze, intuicja rzadko go zawodziła. Mało prawdopodobne, by pomylił się tym razem, a jednak z jakiejś niewyjaśnionej przyczyny nie umiał uwierzyć, że ma do czynienia z bezduszną wdową.

- Co ci jest? - Nicole się odwróciła.

Wyprzedziła go, a on stał na deszczu, wpatrując się w kobietę, której nie znał i do której instynktownie poczuł niechęć. Dogonił Nicole, nacisnął przycisk pilota, żeby otworzyć samochód, a potem szybko ruszył otworzyć jej drzwi od strony pasażera.

Kiedy znaleźli się w aucie, uruchomił silnik i wycofał wóz.

- Co wiesz o Jordan Price?

- Niewiele. - Nicole wzruszyła ramionami. - Wraz z dzisiejszym dniem spotkałam ją w sumie cztery razy. Pierwszy raz na ślubie Claire i Ryana. Później na chrzcinach Michaela, no i ostatnio na jej ślubie, kiedy wychodziła za Dana.

Rick jechał wolno wąską jednopasmową drogą prowadzącą od cmentarza Oak Hill.

- Była dużo młodsza od niego. Myślisz, że wyszła za niego dla pieniędzy?

- Nie mam pojęcia. - Nic roześmiała się. - Dlaczego tak cię ciekawi Jordan Price?

Rick mocniej ścisnął kierownicę. Cholernie dobre pytanie. Dlaczego zainteresował się wdową? Wiadomo, spodobała mu się. Poza tym zaintrygowało go jej powściągliwe zachowanie. Może też aż za bardzo przypominała mu jego gruboskórną, niewrażliwą macochę, która najpierw wykończyła ojca, a potem pozbawiła Ricka i jego siostrę skromnego spadku.

- Diabli wiedzą - prychnął. - Po prostu wydało mi się dziwne, że przez cały dzień nie uroniła ani jednej łzy.

- Niektórzy płaczą w ukryciu - powiedziała Nic. - A do niektórych nieraz dopiero po kilku tygodniach dociera, że ktoś im umarł. Wtedy się załamują.

- Masz rację, istnieje taka możliwość.

- Ale ty się nie dasz nabrać?

- Młoda, piękna wdowa bez cienia żalu chowa starego, bogatego męża. A na pogrzebie nie odstepuje jej przystojny, młody asystent męża, który trzyma ją za rękę.

- Wiesz, namalowałaś naprawdę brzydki obrazek. Dan Price popełnił samobójstwo, nie został zamordowany. Claire i Ryan lubią Jordan, a gdyby Jordan nie była dla Dana dobrą żoną, chyba mieliby o niej inne zdanie?

- To nie jest moja sprawa - odparł Rick. - Nie moja rodzina i nie moje zmartwienie. Nie znam tych ludzi.

I nie chciał ich znać, zwłaszcza Jordan. Ale jeżeli Ryan Price zatrudni Agencję Powella, a do prowadzenia sprawy zostanie wyznaczony on? Co wtedy?

Z okna na piętrze obserwowała, jak do Price Manor, rodzinnego domu Dana, nadciągają tłumy gości.

Szary dzień i płaczące niebo wydawały się stosowną oprawą pogrzebu. Daniel Price był kochany i szanowany. Pogoda odpowiadała nastrojowi i okolicznościom.

Na pogrzebie udało nam się nie rozkleić. To dobrze. Na przyjęciu będzie łatwiej. Na wspomnienie Dana nie będą nas ogarniać mdłości. Będziemy się śmiać z naszych wspomnień, a nie płakać. Dan był naprawdę dobrym człowiekiem i mężem. Ale gdyby żył dalej, stałby się bardzo złym mężem - kamieniem u szyi, ciężarem, który musielibyśmy dźwigać.

Potrzebujemy czasu, żeby pozbierać się po tragedii, ale w końcu nam się uda, tak jak poprzednio.

Nie chciała zabijać Dana, ale nie miała wyjścia. Gdyby zabił się sam, tak jak zamierzał, oszczędziłby jej kłopotu, w ostatniej chwili najwyraźniej jednak zmienił zdanie. Był dla niej bardzo ważny, ale nie mogła dopuścić do tego, żeby zrujnował im życie. Gdyby żył, każdego dnia musieliby cierpieć razem z nim, a to byłoby niesprawiedliwe. Chyba już dość wycierpieli? Zabijając Dana, oszczędziła im wielu lat niepokoju. W gruncie rzeczy ta śmierć była dobra również dla niego. Pozbyli się Dana i problemów, mogli więc z radością czekać na dziecko, bez kamienia u szyi w postaci chorego męża.

Dziecko.

Ich dziecko.

Pragnęli go od tak dawna.

Jordan w dzieciństwie marzyła, żeby mieszkać w secesyjnej posiadłości, takiej, która dorównywałaby splendorem ukochanej przez Scarlett O'Hare Tarze. Kiedy Dan po raz pierwszy zabrał ją do rodzinnego domu w Priceville w Georgii, miała dziwne wrażenie, że wraca do siebie. Przez ostatnie trzy lata o wiele lepiej czuła się tutaj niż w Waszyngtonie. Wychodząc za Dana, wiedziała, że jako żona polityka będzie musiała dostosować się do obowiązujących zasad. Chociaż często czuła się nieswojo, nigdy nie żałowała, że poświęciła się temu małżeństwu. Mąż zapewniał poczucie bezpieczeństwa nie tylko jej, ale też jej rodzinie, która była od niej zależna.

Delikatnie przycisnęła dłoń do płaskiego brzucha. Dan nie żyje, ale nie straciła go zupełnie. Łączy ją z mężem dziecko, które w sobie nosi. Syn lub córka odziedziczy nazwisko i podtrzyma wielopokoleniowe chlubne tradycje. Kiedyś, gdy rozmawiali z Danem o dziecku, zażartował, że ich potomek pewnego dnia zostanie prezydentem.

Dlaczego, Dan? Dlaczego zrobiłeś coś tak potwornego?

O ciąży dowiedziała się dzień przed samobójstwem Dana. Tego wieczoru miała zamiar przekazać mu radosną nowinę, ale po kolacji zamknął się w gabinecie i już nie zobaczyła go żywego.

W głębi duszy nie mogła uwierzyć, że odebrał sobie życie, ale inna wersja była równie nieprawdopodobna. Owszem, miał wrogów, osobistych i politycznych, ale nikt nie żywił do niego nienawiści, a już na pewno nie takiej, żeby zabić.

W tej chwili masz za dużo na głowie, żeby dociekać, co się stało i dlaczego. Przyjdzie na to czas. Musisz zejść na dół i przywitać się z gośćmi. Z przyjaciółmi i wrogami Dana, ze współpracownikami, rodziną i wyborcami.

Daniel Price całe życie poświęcił służbie społeczeństwu, podobnie jak jego ojciec i dziadek. Była mu winna przynajmniej to, żeby podtrzymać rodzinne tradycje i zadbać o to, by jego publiczny wizerunek pozostał tak nieskazitelny, jak przez ostatnich pięćdziesiąt pięć lat.

Wyczuła obecność Devona, zanim wyciągnął rękę i położył jej na ramieniu, żeby dodać jej otuchy. Westchnęła głęboko, zdobyła się na niepewny uśmiech i odwróciła się do starego, dobrego przyjaciela.

- Ludzie o ciebie pytają - powiedział. - Masz siłę się z tym zmierzyć?

- Za chwilę. - Skinęła głową. - Daj mi jeszcze kilka minut.

- Ciężko w to uwierzyć, co? Dana nie ma. Zostaliśmy ty i ja... -Devon przełknął łzy. - Dlaczego wybrał takie drastyczne rozwiązanie? Kiedy mówił, że zdiagnozowali u niego wczesne stadium Alzheimer'a, wiedział chyba, że zostaniemy przy nim do końca. Mógł żyć jeszcze kilka lat.

- Nie wiem. - Poglądziła Devona po policzku, delikatnie ocierając mu łzy. - Może w ten sposób chciał nas chronić.

Ciche stukanie do uchylonych drzwi sypialni uzmysłowiło im, że nie są sami. Devon zeszywniał. Jordan obejrzała się i jej wzrok napotkał ciemne, przenikliwe oczy Tobiasa Harpera.

- Pani wybaczy, pani Jordan, ale pan Ryan prosi, żeby zeszła pani na dół możliwie jak najszybciej. - Stary służący, który zaczął pracować u Price'ów jako chłopak, kochał Dana równie mocno jak ona i Devon. - Proszę, *madam*. Pan Ryan pani potrzebuje.

- Powiedz mu, że już schodzę.

Tobias skinął głową, a potem odwrócił się i zniknął w korytarzu. Devon chciał wziąć ją pod rękę.

- Nie. - Pokręciła głową. - Powinieneś zejść pierwszy, a ja dołączę za kilka minut. Brakuje tylko tego, żeby ludzie wzięli nas na języki.

Kąciki ust Devona uniosły się w smutnym uśmiechu. Ujął jej dłoń i delikatnie pocałował. Wstała i patrzyła, jak odchodzi. Na osobności mogli się pocieszać i wspólnie przeżywać ból. Publicznie musieli zachować dyskrecję, zarówno ze względu na pamięć o Danie, jak i po to, żeby chronić się przed plotkami i drwinami.

Wyprostowała się, wzięła głęboki oddech, wyszła z sypialni i pośpiesznie ruszyła korytarzem. Przystanęła, kiedy znalazła się po prawej stronie podwójnie skrzęconych schodów. Szum rozmów wypełniający duży hol i obie frontowe werandy niemal zagłuszał kwartet smyczkowy usadowiony pod ścianą. Dziesiątki osób przewijały się przez jadalnię, gdzie przygotowano obfity bufet.

Kiedy zeszła ze schodów, jej szwagierka, Claire, zostawiła stojącego w pierwszym rzędzie Ryana i podeszła do niej. Słodka, kochana Claire, o jasnoorzechowych oczach i ciepłym uśmiechu. Była jej przyjaciółką. Jordan starała się nie zazdrościć jej tego, że jest do szaleństwa zakochana w swoim mężu, ma udane małżeństwo i trzyletniego synka.

Claire objęła Jordan i przytuliła.

- Wszyscy o ciebie pytają.

- Musiałam pobyć chwilę sama.

- Wiem, ale biedny Ryan jest na skraju wytrzymałości. Ta sytuacja po prostu go przerasta.

Jordan miała ochotę powiedzieć Claire, że sytuacja przerasta ich wszystkich, nie tylko Ryana.

- Zaprowadź go do kuchni - powiedziała zamiast tego. - Postaraj się, żeby coś zjadł. Ja się wszystkim zajmę.

- Dzięki. Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć. Jesteś naszą ostoją. Nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobili.

- Zmykaj. Zajmij się mężem. Poradzę sobie. Jesteś naszą ostoją.

Ileż to razy Jordan słyszała, że jest silną, zaradną, odpowiedzialną osobą, która radzi sobie w dobrych i złych chwilach? Odkąd pamięta, to ona o wszystkich się troszczyła. Kiedy miała zaledwie dziesięć lat -o swoją schorowaną, umierającą matkę, później o pogrążonego w żalu ojca. Nie mogła sobie przypomnieć, żeby był w jej życiu czas, gdy nie musiała się troszczyć o innych. Może takie było jej przeznaczenie, powołanie, brzemień i obowiązek, jedyna rzecz, jaką umiała robić dobrze.

Zastąpiła szwagra i straciła poczucie czasu. Dłoń, którą podawała nieskończoną ilość razy, przestała czuć cokolwiek, podobnie jak serce. Pozostanie przy zdrowych zmysłach tylko wtedy, jeżeli będzie zachowywać się i reagować automatycznie. Podawać rękę. Przyjmować wyrazy współczucia. Nie krzywić się, kiedy przytula ją ktoś, kogo właściwie nie zna. Przytakiwać, że Dan był idealnym przyjacielem i że będzie go potwornie brakować. Stanąc przed kolejną osobą i powtórzyć wszystko od nowa.

Posiadłość Price'ów wzbudziła w Ricku odrazę. Secesyjny dom na plantacji, dziedziczony od pokoleń, był reliktem niechlubnej przeszłości Południa. Rodzina Price'ów bez wątpienia znalazłaby korzenie w Europie, pewnie wśród wyższych sfer, chociaż niewykluczone, że ich przodkowie byli nieślubnymi dziećmi, wychowywanymi przez królów, książąt, markizów i hrabiów. Jedynym przodkiem Ricka był dziadek Carson, pijak i prostak, którego sława sprowadzała się do tego, że potrafił wygrać z każdym na pięści. Jego rodzinnym domem była rudera w Missisipi, z przeciekającym podczas deszczu

dachem i takimi szparami między deskami w podłodze, że widać było przez nie kurczaki, szukające robaków w żyznej ziemi pod budynkami.

- Wygląda jak z *Przeminęło z wiatrem*, prawda? - zauważyła Nicole, gdy zatrzymali się przed frontowym gankiem.

- Tak. - Rick wysiadł, podał kluczyki parkingowemu i znalazł się przed drzwiami pasażera w chwili, kiedy Nicole zdążyła je już zamknąć. Przestało padać, zostawili więc parasol w aucie. - Czy twoja kuzynka i jej mąż też tu mieszkają?

- Nie, oni mieszkają w Priceville, w zabytkowym wiktoriańskim domu, który należał do babki Ryana i Dana ze strony matki.

- Czy to znaczy, że forszę miały obie rodziny?

- Chyba tak. - Nicole spojrzała na niego z ukosa. - Kiedy będziemy rozmawiać z Claire i Ryanem, swoje zdanie na temat Jordan zachowaj dla siebie, jasne?

- Tak, *madam*. To nie moja sprawa. Nie powiem ani słowa.

Deszcz przestał padać, ale w powietrzu unosiła się przejmująca wilgoć. Rick miał ochotę zdjąć czarną marynarkę i rozluźnić krawat, żeby poczuć się swobodniej. Było mu za gorąco, a poza tym zdecydowanie nie pasował do krawatów. Lepiej czuł się w znoszonych dżinsach i bawełnianej koszulce niż w eleganckim ubraniu.

Kłębiący się w domu goście przypominali mu robaki wypełzające z rozkładających się zwłok. W środku musiało być co najmniej o pięć stopni cieplej niż w wilgotnym powietrzu. Temperatura ciała.

Rick i Nicole ustawili się w kolejce, żeby złożyć kondolencje. Rytuał najwyraźniej dobiegał końca, bo przed nimi znajdowały się tylko dwie pary, z których jedna właśnie przekazywała wyrazy współczucia wdowie i Devonowi

Markhamowi. Przy Jordan stały dwie kobiety. Wysoka, szczupła, z orlim nosem i jasnobrązowymi oczami z prawej strony oddzielała Jordan od Markhama.

Kobieta stojąca z lewej była starsza, ale o wiele bardziej atrakcyjna - blondynka o pełnych kształtach, emanująca seksapilem. Rick odniósł nieodparte wrażenie, że obie stanęły przy Jordan, żeby ją chronić. Kim są dla młodej wdowy? Matką? Ciotką? Dawną nianią?

Nicole pierwsza podeszła do czwórki przyjmującej kondolencje i po kolei złożyła wyrazy współczucia. Jordan uścisnęła jej rękę.

- Dziękuję, że przyjechałaś aż z Knoxville - powiedziała. - Twoja obecność na pewno wiele znaczy dla Claire.

Rick nie odezwał się, jedynie skinął głową obu starszym kobietom. Miał zamiar przejść niepostrzeżenie, ale mu się to nie udało.

- Czy to twój mąż? - zapytała Jordan.

- Nie. - Nicole pokręciła głową. - Griff jest teraz w Anglii. To Rick Carson, pracownik Agencji Powella. Ofiarował się, że będzie mi towarzyszył, żeby nie musiała jechać sama.

Brawo, Nicole. Małe kłamstewko wybawiło ich z niezręcznej sytuacji.

Rick spojrzał na Jordan. I to był wielki błąd. Kiedy popatrzyła na niego niebieskoszarymi oczami, o ton jaśniejszymi od jedwabnej garsonki, którą miała na sobie, poczuł, jakby dostał obuchem w głowę. Zaparło mu dech w piersiach. Była szczupła, drobna, miała porcelanową cerę i klasycznie piękne rysy twarzy. Wyglądała tak, jakby za chwilę miała zemdleć. W Ricku odezwał się mężczyzna, który nakazywał mu wyciągnąć ręce i podtrzymać ją silnym ramieniem.

- To bardzo miło z pana strony, panie Carson. - Kąciki ust Jordan uniosły się niemal w uśmiechu.

- *Madam*. - Nie bardzo wiedział, co powiedzieć. - Bardzo mi przykro z powodu pani męża.

- Dziękuję. - Dźwięk jej łagodnego, słodkiego głosu owinał się wokół niego jak jedwabny szyfon, którym byłaby w stanie go do siebie przywiązać.

Dopiero gdy Nicole chwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą, uświadomił sobie, że nadal wpatruje się w Jordan i że nawet o centymetr nie ustąpił miejsca ludziom, którzy czekali w kolejce, by złożyć jej kondolencje.

Nicole wyprowadziła go z holu na werandę po lewej stronie.

- Muszę odnaleźć Claire i Ryana, żeby się dowiedzieć, dlaczego chcą nas wynająć. Potem możemy wracać do domu.

- Powinniśmy się rozdzielić i pójść w różnych kierunkach - zaproponował Rick. - Spotkamy się tu za pięć minut.

- Racja. To dobry pomysł. Zaczynij się rozglądać tutaj, ja przejdę na drugą werandę. - Nic odwróciła się i przystanęła. - Czeka. Widzę Claire. Idzie do mnie.

Rick ruszył razem z Nicole w stronę holu. Claire, długonoga brunetka, była niemal tak wysoka jak jej kuzynka.

- Chodź - powiedziała Nicole. Spotkali się z Claire w drzwiach holu.

- Ryan jest w gabinecie Dana. Czeka na nas.

Przeszli szerokim korytarzem do pokoju wyłożonego ciemnymi panelami, z trzema oknami zajmującymi całą wysokość ściany i dwiema ścianami zabudowanymi półkami na książki. Ryan Price stał tyłem do drzwi, przed kominkiem zwieńczonym misternie rzeźbionym gzymsem. Kiedy usłyszał otwierające się drzwi, powoli odwrócił głowę. Podał rękę najpierw Nicole, potem Rickowi.

- Dziękuję, że przyjechaliście na pogrzeb.

- Dan był dobrym człowiekiem - powiedziała Nicole. - Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało.

- Nie wiem, jak to ubrać w słowa, więc powiem wprost: nie wierzę, że Dan odebrał sobie życie. - Skrzywił się.

- Rozumiem. - Nic spojrzała na Claire, żeby zapytać, czy jest tego samego zdania, co mąż. - Dlaczego uważasz, że nie mógł odebrać sobie życia? Z tego, co powiedziała mi Claire, zrozumiałam, że miejscowe władze i lekarz sądowy uznali śmierć Dana za samobójstwo.

- Oficjalnie rzeczywiście uznano to za samobójstwo - potwierdziła Claire, podchodząc do męża. - Ale powiedziano nam, że ciężko udowodnić, iż samobójstwo nie było jednak morderstwem, a czasami jest to wręcz niemożliwe. Zwłaszcza gdy ktoś strzelił sobie w głowę.

- Jordan znalazła go leżącego na podłodze. - Ryan utkwiał wzrok w sofie przed kominkiem. - Na pistolecie znajdowały się tylko odciski palców Dana. A na dłoni, którą prawdopodobnie odpalił broń, pozostał ślad od wystrzału.

- Więc dlaczego... ? - zaczęła Nicole, ale Ryan nie dał jej dokończyć pytania.

- Znałem Dana. Wiem, jakim był człowiekiem. Nie zabiłby się bez względu na okoliczności. - Objął Claire, najwyraźniej szukając u niej wsparcia i pocieszenia. - Chcę wynająć Agencję Powella, żeby przeprowadzić wnikliwe dochodzenie i znaleźć dowód na to, że mój brat nie popełnił samobójstwa.

Nicole znów zerknęła na Claire. Kuzynka odkaszlnęła.

- Powiedziałam Nicole, że po śmierci Dana dowiedzieliśmy się, że stwierdzono u niego początkowe stadium choroby Alzheimera.

- Ta informacja nie może wyjść poza ściany tego pokoju. - Ryan westchnął i spojrzał wymownie na Ricka, który pokiwał głową. - Być może Dan brał pod uwagę samobójstwo, ale mówię wam, on by tego... - Ryanowi załamał się głos. Z trudem przełknął ślinę i odwrócił głowę, żeby ukryć łzy.

- Wiecie chyba, że możliwości są tylko dwie: samobójstwo albo morderstwo - odezwała się Nicole.

- Tak - odpowiedziała Claire za oboje.

- Masz podstawy, żeby przypuszczać, że ktoś zamordował twojego brata? - spytał Rick.

Od progu dobiegło głośne westchnienie. Wszyscy odwrócili głowy. W drzwiach stała Jordan Price z szeroko otwartymi z przerażenia oczami, rozchylonymi wargami i nagle zarumienionymi policzkami, które do tej pory były tak blade.

- Boże, nie! Chyba nie myślicie, że ktoś zamordował Dana?!

2

Przykro mi, Jordan. - Claire odsunęła się od Ryana i zrobiła niepewny krok w stronę szwagierki. - Chcieliśmy ci oszczędzić...

- Co tu się właściwie dzieje? - spytała Jordan, szybko mierząc wzrokiem pokój i cztery osoby stojące w gabinecie.

W spojrzeniu Claire było poczucie winy, ale też szczerza troska. Przystanąła kilka kroków od Jordan, nie bardzo wiedząc, co zrobić i co powiedzieć.

- Chciałem porozmawiać o tym z tobą później - odezwał się Ryan. -I bez tego jest ci ciężko.

Wysoki, szczupły Ryan z gęstymi kasztanowymi włosami był młodszą kopią Dana. Dan miał oczy koloru błyszczącego topazu, a Ryan - miodowobrazowe.

Nicole Baxter Powell milczała, spoglądając ze współczuciem na Jordan. Wdowa zaledwie kilka razy w życiu widziała byłą agentkę FBI, ale polubiła kuzynkę Claire i nie miała powodu, żeby jej nie wierzyć.

Mężczyzny stojącego u boku Nicole nie znała, dzisiaj widziała go po raz pierwszy. Oczy, tak ciemne, że wydawały się niemal czarne, patrzyły na nią przenikliwie i wrogo. Wrogo? Czyżby miała zbyt bujną wyobraźnię? Przecież nie ma żadnego powodu, żeby być wobec niej wrogo nastawionym. Nie znają się.

- Odpowiedz panu na pytanie. - Jordan spojrzała Ryanowi prosto w oczy. - Czy masz powody, żeby podejrzewać, że ktoś zamordował Dana? Że jego śmierć nie była samobójstwem?

- Nie wierzę w to, że Dan się zabił. - Ryan zmarszczył brwi, a na jego twarzy odmalował się ból. - Tchórzowskie rozwiązania nie leżały w jego naturze. Był jednym z najsilniejszych i najodważniejszych mężczyzn, jakich znam.

- Był też troskliwy i opiekuńczy - powiedziała Jordan. - Jeżeli wydawało mu się, że odbierając sobie życie, oszczędzi nam cierpienia, żebyśmy nie musieli patrzeć, jak powoli umiera, to możliwe, że...

- Nie! - Ryan wyrzucił z siebie to słowo, zaciskając dłonie w pięści i na ułamek sekundy zamykając oczy.

- Za twoim przekonaniem, że Dan nie popełniłby samobójstwa, kryje się coś więcej, prawda? - Jordan, przestraszona gwałtowną reakcją szwagra, zeszywniała, wszystkie mięśnie jej ciała nagle się napięły.

- Powiedz jej. I tak się dowie, prędzej czy później. - Claire przeniosła wzrok z męża na Jordan, a potem znów na Ryana, jakby nie wiedziała, które z nich bardziej potrzebuje pociechy.

- Co masz mi powiedzieć? - spytała Jordan.

- Rozmawiałem ze Steve'em w dniu, kiedy dostaliśmy wyniki sekcji zwłok - powiedział Ryan. - Steve i ja znamy się od dawna i jesteśmy...

- Tak, wiem, że ty i szeryf Corbett jesteście przyjaciółmi, więc przejdź do rzeczy i powiedz, o co chodzi.

- Steve zgadza się ze mną, że chociaż według orzeczenia lekarza sądowego śmierć Dana była wynikiem samobójstwa i że nie ma niezbitego dowodu na potwierdzenie innej wersji, możliwe, że Dan nie odebrał sobie życia sam. Steve twierdzi, że szczegółowe badanie rany postrzałowej może wykluczyć samobójstwo, ale nie może go z całą pewnością dowieść. Podobno czasami to kwestia opinii.

Jordan zrobiło się zimno, jakby temperatura w pokoju w ciągu kilku sekund spadła o dziesięć stopni. Jej ciało przeszył chłód, który przyprawił ją o dreszcz.

- Czy ty w ogóle rozumiesz, co mówisz? Jeżeli Dan nie... jeżeli to nie on... to znaczy, że ktoś inny... - Nie chciała dopuścić do siebie myśli, że ktoś mógłby zabić Dana. - Ale to przecież niemożliwe. Znalazłam go leżącego tam... - spojrzała na sofę -... z pistoletem w dłoni. Drzwi były zamknięte na klucz i nie było żadnego śladu włamania do domu.

- A kto poza panią i senatorem był wtedy w domu? - spytał Carson.

Zaskoczona zarówno pytaniem, jak i tym, że obcy mężczyzna wtrąca się w ich rodzinne sprawy, Jordan gwałtownie odwróciła głowę i spojrzała na niego gniewnie.

- Rick! - Nicole Powell rzuciła koledze groźne spojrzenie.

- Nic nie szkodzi - odezwał się Ryan. - Właściwie chcę, żeby pan Carson zadawał nam pytania. Skoro wynajmuję Agencję Powella do przeprowadzenia niezależnego dochodzenia na temat śmierci Dana, to...

- Co takiego? - Jordan poczuła, że za chwilę zemdleje. Czy dobrze usłyszała? Ryan ma zamiar wynająć agencję, żeby zbadała okoliczności śmierci Dana? Co on sobie wyobraża? Czyżby nie zdawał sobie sprawy z tego, że jeżeli detektywi dokopią się zbyt wielu faktów z życia Dana, mogą odkryć prawdę, którą ukrywał przez lata, a która zniszczy jego reputację?

- Wiem, o co ci chodzi - powiedział Ryan. - Właśnie dlatego chcę wynająć Agencję Powella, znaną z uczciwości i lojalności. Wszelkie fakty, które zostaną odkryte, będą utrzymane w najściślejszej tajemnicy. - Spojrzał na Nicole. - Mam rację, Nic?

- Tak, oczywiście - odpowiedziała.

- Może podać pani szklanek wody, pani Price? - spytał Rick Carson. - A może coś mocniejszego? Wygląda pani jakby miała zemdleć.

„Nie lubię pana, panie Carson. Nie podoba mi się to, jak pan na mnie patrzy. Jakby panu się zdawało, że wie pan o mnie coś, czego nie wie nikt inny”.

- Usiądź. - Claire podbiegła do Jordan. - Napij się czegoś? Ryan coś ci przyniesie albo zadzwonię po Tobiasa...

- Nie, nie, nic mi nie jest. - Jordan wyrwała się z delikatnego uścisku szwagierki i przeszła przez pokój, zatrzymując się dokładnie przed surowym agentem Powella. Chociaż miał na sobie garnitur i krawat, emanowała od niego szorstka męskość, która zdradzała, że pod schludną powierzchownością bije serce prawdziwego samca.

- Nie musimy zajmować się tym w tej chwili, pani Price - powiedział Carson.

- Mieliliśmy wtedy dom pełen gości, bo była Wielkanoc. Byli też służący, którzy z nami mieszkają, Tobias i Vadonna. Na święta przyjechali moi pasierbowie, Kendra i Wes Brannon. Był osobisty asystent Dana, Devon Markham, oraz moja asystentka, Rene Burke.

- Kto ma klucz do domu i zna kod systemu alarmowego? - spytał Rick.

- Panie Carson, to chyba niezbyt odpowiedni moment na... - wtrąciła Claire.

- Nie, nie mam nic przeciwko temu - zaprotestowała Jordan. - Skoro Ryan wynajął Agencję Powella, a dochodzenie prowadzi pan Carson, na pewno będzie zadawał mi jeszcze bardziej osobiste pytania. Chyba powinniśmy oswoić się z myślą, że będziemy przesłuchiwani.

- Proszę, odłóżmy to na później. - Claire wsunęła rękę pod ramię męża i chwyciła jego dłoń.

- Claire ma rację - przytaknął Ryan. - Można z tym poczekać. Jordan jest u kresu sił. - Spojrzał błagalnie na Jordan. - Przepraszam. Nie za dobrze to zaplanowałem.

- Załatwmy to od razu. Jeżeli istnieje prawdopodobieństwo, że Dan został zamordowany, chcę się tego dowiedzieć. Panie Carson, zostaje pan zatrudniony.

Rick spojrzał pytająco na Nicole.

- Czy to stwierdzenie mam uznać za wiążące? - spytała Nic. -A jeśli tak, to kto wynajmuje Agencję Powella? Ty, Rynie, czy Jordan?

- Oboje - odpowiedziała Jordan. - Chyba że Ryan ma coś przeciwko temu.

- Ależ skąd - odpowiedział Ryan. - Jeżeli chcesz mnie wyręczyć w uzgadnianiu szczegółów...

- Dochodzenie będzie prowadził pan Carson, tak? - spytała Jordan.

- Tak - odparła Nic. - O ile nie zażyczą sobie państwo innego agenta, dochodzenie poprowadzi Rick. Będzie miał do dyspozycji całe zaplecze agencji. Jeżeli w trakcie śledztwa okaże się, że potrzebuje innych agentów, zgłosi się do pani i do Ryana po zgodę, a dopiero później skontaktuje się z biurem. Jesteśmy rodziną, więc... - spojrzała wymownie na Claire. -... Agencja Powella udzieli wam rabatu na swoje usługi.

- Nie ma takiej potrzeby - powiedziała Jordan sucho. - Koszty nie mają znaczenia. Prawda, Ryan?

- Tak, oczywiście.

- Rano prześlę wam faksem umowę, a Rick przyjedzie jutro i zacznie dochodzenie - wyjaśniła Nicole, a potem podała rękę Jordan, która odwzajemniła uścisk. - Dowiemy się, co się stało Danowi. Obiecuję. Jeżeli został zamordowany... - Jeszcze raz uścisnęła dłoń Jordan i skinęła głową na Ricka. - Idziemy.

- Odprowadzę was. - Claire wyszła z gabinetu za kuzynką i Rickiem Carsonem.

Jordan znalazła się sam na sam z Ryanem. Popatrzyła na nową kanapę. Stała ona na miejscu tej, na której zaledwie kilka tygodni temu, w Wielki Piątek, znalazła ciało męża. Obudziła się wtedy wcześniej i poszła do jego pokoju, żeby podzielić się z nim nowiną o ciąży, zanim pozostali domownicy wstaną. Ale gdy zobaczyła, że łóżko jest nienaruszone, pomyślała, że zasnął w gabinecie, co mu się czasami zdarzało. Weszła do gabinetu i zawołała go, ale nie odpowiedział.

Nadal miała przed oczami tę scenę, kiedy dotarło do niej, że Dan nie żyje. Zanim zauważyła otwór po kuli na prawej skroni męża, tuż nad kością policzkową, dostrzegła ciemnoczerwoną krew, która zabarwiła złotą jedwabną poduszkę pod głową Dana, i pistolet, który ścisnął w dłoni.

- Jordan?

Łagodny, cichy głos Ryana przerwał jej rozmyślenia i przywołał ją do rzeczywistości.

Położył dłoń na jej ramieniu. Westchnęła.

- Nie wiem, co jest dla mnie trudniejsze do zniesienia - powiedział Ryan. - Myśl, że Dan sam odebrał sobie życie, czy że ktoś go zamordował.

Wyswobodziła się z jego uścisku i ruszyła do wyjścia. Przy drzwiach przystanęła i obejrzała się przez ramię.

- Jeżeli Dan został zamordowany, chcę, żeby morderca został odnaleziony i ukarany. Ale dobre imię Dana nie może zostać naruszone. Masz tego dopilnować.

- Jordan, naprawdę myślisz, że chciałbym, żeby ktokolwiek dowiedział się prawdy o Danie i jego związku z tobą?

- Zadbaj więc o to, żeby sprawy rodzinne pozostały w rodzinie. - Posłała szwagrowi łagodne ostrzeżenie. - Od tej chwili nie będzie żadnych potajemnych spotkań z Agencją Powella. Mam być obecna przy wszystkich rozmowach z panem Carsonem. Jasne?

Nie dała Ryanowi czasu na odpowiedź. Powiedziała swoje. Szwagrem kierowały szlachetne pobudki - chciał jej oszczędzić zdenerwowania, zwłaszcza dzisiaj. Ale nie docenił jej, podobnie jak nie doceniało wielu innych. Znał ją wprawdzie od kilku lat, ale widział tylko tę jej twarz, którą pokazywała publicznie. Prawdziwą Jordan Harris Brannon Price znało niewiele. Czasem nie była pewna, czy sama siebie zna. Żeby przetrwać, musiała ukryć swoją prawdziwą naturę pod tyłu ochronnymi warstwami, że pozostało w niej niewiele - o ile w ogóle cokolwiek - ze słodkiej, niewinnej i naiwnej dziewczyny, jaką była kiedyś.

Nic w jej życiu nie potoczyło się tak, jak sobie wyobrażała. Nie spełniło się żadne z młodzieńczych marzeń. Narzeczona Robby'ego Joe Wrighta, która marzyła, żeby zostać nauczycielką w szkole podstawowej i matką co najmniej trójki dzieci, stała się odległym, melancholijnym wspomnieniem.

Już dwukrotnie los postawił ją przed koniecznością wyboru - dać się pokonać tragedii albo stać się silniejszą. Teraz też stała przed tym samym wyborem. Wiedziała o sobie jedno - Jordan Price potrafi przetrwać.

Rick, odprężony, jechał z Nicole cadillakiem escalade międzystanową drogą numer 75 między Price ville i Chattanooga. Nicole prowadziła jak szatan, zwalniając jedynie wtedy, kiedy było to absolutnie konieczne. W tej chwili pędziła sto czterdzieści na godzinę, choć dozwolona prędkość wynosiła sto dziesięć.

- Jeżeli nie chcesz prowadzić tej sprawy, mogę wyznaczyć kogoś innego. -
Nicole spojrzała na niego z ukosa.
- Skąd wiesz, że nie chcę?
- Może z powodu jawnej niechęci wobec Jordan Price - zaśmiała się cicho.
- Nie jesteś w stanie podejść do zlecenia obiektywnie, jeżeli z miejsca za winnego uznałeś klienta.
- Uważasz, że jestem przekonany, że to pani Price zabiła męża?
- A jesteś?
- Czy ta kobieta jest zdolna do morderstwa? Nie jestem pewien. Może. Ale nie zdziwiłbym się.
- To, że dzisiaj nie szalała z rozpaczy, nie oznacza, że nie kochała Dana.
- Masz rację - przyznał Rick. - Ale spójrz na fakty. Był od niej dwadzieścia lat starszy, bogaty i wpływowy, i być może jego śmierć nie była wynikiem samobójstwa. Na kogo pada pierwsze podejrzenie w takim wypadku?
- Na żonę.
- Zgadza się. Dodaj do tego młodego kochanka i już masz powód do morderstwa.
- Zakładasz, że Jordan i Devon Markham są kochankami - powiedziała Nicole. - Mam wrażenie, że się mylisz.
- Dlaczego sądzisz, że się mylę?
- Kobieca intuicja.
- Możesz mówić jaśniej? - Rick roześmiał się.
- Myślę, że się kochają, ale nie są zakochani. Nie patrzą na siebie ani nie dotykają się tak, jak to robią kochankowie.
- Jesteś w stanie ocenić, czy dwoje ludzi jest kochankami, po tym, w jaki sposób na siebie patrzą?

- Powiedziała ci, że moja teoria nie opiera się na badaniach naukowych. To po prostu niezastąpiona kobieca intuicja.

- Powiedzmy, że przyjmuję tę twoją teorię. Ale to wcale nie wyklucza Jordan Price z kręgu podejrzanych.

- Jordan nie jest podejrzana, tylko naszą klientką - przypomniała mu Nicole. - Wynajęła nas, zapomniałeś o tym?

- Wynajął nas Ryan Price. Ona wskoczyła do gry, kiedy zrozumiała, że mamy zamiar prowadzić śledztwo. Gdyby się sprzeciwiła, wzbudziłaby podejrzenia.

- Chyba jednak do tej sprawy wyznaczę Holta Keinana albo Maleah Perdue.

- Nie.

- Podaj mi choć jeden powód, dlaczego to dochodzenie powinnam powierzyć tobie, biorąc pod uwagę sytuację. - Nicole spojrzała na niego z ukosa.

- Bo chcę dowieść, że się pomyliłem - przyznał. - Nie chcę, żeby się okazało, że zabiła Jordan Price.

- Zaskakujesz mnie. Nigdy nie podejrzewałabym...

- Że się nią zainteresuję? Że jak zwykły facet jestem podatny na wdzięki pięknej, bezbronnej kobiety?

- Dobra, masz tę sprawę - oznajmiła Nicole. - Ale jeżeli dotrze do mnie choć jedna skarga od Jordan albo Ryana, wylecisz z hukiem i zlecenie przejmie kto inny. Jasne?

- Tak, *madam*. Jasne.

Do siódmej wieczorem dom opustoszał, kwartet smyczkowy zniknął, a firma cateringowa posprzątała i zabrała swoje manatki. Pozostali jedynie członkowie rodziny i przyjaciele, ci, dla których Dan Price był kimś więcej niż

kolegą, znajomym, porządnym facetem czy po prostu senatorem. Odrętwienie, w jakim Jordan trwała przez kilka ostatnich tygodni, od czasu, gdy znalazła ciało Dana, aż do tego wieczoru, zaczęło ustępować. Marzyła, żeby zatrzymać w sobie emocjonalny chłód, zachowywać się i reagować w sposób opanowany i logiczny. Ale prędzej czy później będzie musiała zmierzyć się z prawdą i poradzić sobie z bólem.

- Chcesz, żebyśmy zostali na noc? - spytała Claire. - Mogę zadzwonić do mamy i poprosić ją, żeby Michael przenocował u niej albo żeby go tu przywiozła.

- Nie, dziękuję. - Jordan usiłowała uśmiechnąć się do szwagierki, ale jej się nie udało. - Powinniście wracać do domu. Mieszkacie niecałe dziesięć kilometrów stąd, jeżeli będziecie mi potrzebni, przyjedziecie. Poza tym... - spojrzała na werandę -... towarzystwa mi nie brakuje.

- Jak sobie radzi Devon? - szepnęła Claire.

- Między ludźmi jakoś się trzyma. A tak naprawdę... jakoś będzie musiał przeżyć. Z troszczyć się o niego.

- Zawsze się troszczyłaś, prawda? Jordan pokiwała głową.

- Obojgu nam pomoże myślenie o przyszłości dziecka. Żałuję tylko, że nie zdążyłam powiedzieć Danowi...

- Myślisz, że gdyby wiedział o dziecku, nie popełniłby... że może jeszcze by żył?

- Claire, naprawdę myślisz, że Dan został zamordowany? - Jordan spojrzała szwagierce prosto w oczy.

- Nie wiem. Ryan jest przekonany, że Dan nie targnąłby się na swoje życie. Na pewno nie był to wypadek, a zatem w grę wchodzi tylko morderstwo.

- Ciężko mi pogodzić się z tym, że Dan popełnił samobójstwo, ale myśl, że ktoś go zamordował, jest chyba ponad... - Jordan przerwała i zaczerpnęła tchu. - Cokolwiek się stanie, zmierzmy się z tym razem, jak przystało na ludzi, którzy kochali Dana.

Ryan przyłączył się do nich i objął Claire ramieniem.

- Jedziemy?

- Tak, jedziemy.

- Dam znać Nicole, że pan Carson może u nas zamieszkać na czas dochodzenia. - Spojrzał na Jordan. - I jeszcze raz przepraszam, że nie uzgodniłem tego z tobą.

- Wiem, co tobą kierowało - odpowiedziała Jordan. - A co do pana Carsona... Nie musi mieszkać u was. Tu jest dostatecznie dużo miejsca.

- Jesteś pewna? - spytał Ryan. - Odniosłem wrażenie, że niezbyt polubiłaś pana Carsona.

- Nie znam pana Carsona. Ale skoro Nicole uważa, że jest ich najlepszym pracownikiem, nie będę się sprzeciwiać. W końcu ona zna się na rzeczy lepiej od nas.

- Myśl, że ktoś zamordował Dana, jest dla mnie trudna do zniesienia, ale to jedyne sensowne wyjaśnienie.

- Raczej jedyne wyjaśnienie, jakie jesteś skłonny przyjąć.

- Tak, to jedyne wyjaśnienie, jakie przyjmę - zgodził się Ryan. - Nigdy nie uwierzę, że Dan popełnił samobójstwo, nawet jeżeli stwierdzono u niego Alzheimera. - Ze zdenerwowania zarumieniła mu się twarz. Claire wtuliła się w niego, a on objął ją mocniej i przytulił uspokajająco. - Nic mi nie jest, skarbie.

- Powinniście wracać do domu i odpocząć - oznajmiła Jordan. - Skontaktuję się z Nicole i poinformuję ją, że zdecydowaliśmy, że pan Carson na czas

dochodzenia zamieszka tutaj, w Price Manor. Powiem też wszystkim domownikom, że wynajęliśmy Agencję Powella, żeby zbadała okoliczności śmierci Dana.

Claire posłała jej blady uśmiech i odprowadziła Ryana do drzwi. Jordan zamknęła oczy i zaczęła się modlić o siłę. Ostatnią rzeczą, jakiej w tej chwili potrzebowała, był prywatny detektyw wtykający nos w sprawy, które starali się utrzymać w tajemnicy.

A jeżeli Dan rzeczywiście został zamordowany?

- Jordan, nic ci nie jest? Jesteś strasznie blada. - Śpiewny akcent Roselynnie przypominał, że macocha Jordan wychowała się na farmie w Sand Mountain w północno-wschodniej Alabamie i że zanim wyszła za jej ojca, wiodła dość ciężkie życie. Jordan miała wtedy dwanaście lat. Jej ukochana matka zmarła niespełna dwa lata wcześniej i dziewczynka z początku gardziła Roselynnie.

Macocha była kragłą blondynką gustującą w ubraniach w zwierzęce desenie, butach na dziesięciocentymetrowych obcasach i krzykliwej biżuterii. Dzisiaj wprawdzie miała drapieżną fryzurę i ostry makijaż, ale ubrana była w skromną czarną sukienkę, która podkreślała każdą obfitą kragłość jej pięćdziesięcioośmioletniego ciała. Za Roselynnie wlokła się jej córka Tammy. Wypadała przy niej blado, jak wróbel przy pawiu.

- Nic mi nie jest. Jestem tylko zmęczona.

- Nic dziwnego, że jesteś zmęczona. Kto by nie był po takim dniu. Dobry Boże, mam wrażenie, że dzisiaj przewalił się przez ten dom cały stan Georgia i połowa Tennessee. - Roselynnie objęła Jordan pulchnym ramieniem. - Jesteś głodna, kochanie? - Skinęła ręką na Tammy. - Przynieś siostrze coś do zjedzenia i trochę mrożonej herbaty.

- Nie, dziękuję, nie jestem w stanie nic przełknąć. - Jordan spojrzała na przyrodną siostrę. Przez ułamek sekundy patrzyły sobie w oczy, w końcu Tammy, zawstydzona, spuściła głowę i splotła dłonie.

- Niech Bóg ma cię w swojej opiece, dziewczyno. - Roselynnie przytuliła pasierbicę. - Niedługo nic z ciebie nie zostanie.

- Naprawdę chętnie coś przygotuję - zaproponowała Tammy niemal szeptem.

Jordan nie zdążyła odpowiedzieć, bo do holu weszła Darlene Wright. Jak zwykle obrzuciła Roselynnie i Tammy pogardliwym spojrzeniem.

- Przestańcie ją dręczyć. Jordan potrzebuje spokoju i ciszy. Może pójdziemy do twojej sypialni? - Odsunęła Roselynnie na bok. - Przygotuję ci miłą ciepłą kąpiel, a jeżeli będziesz miała ochotę, każę, żeby Vadonna przyniosła później kolację.

- Jordan nie potrzebuje samotności. - Roselynnie wykrzywiła się w grymasie. - Powinna być otoczona rodziną. - Podkreśliła słowo „rodzina”.

Jordan na chwilę przymknęła oczy, marząc o tym, żeby choć raz macocha i Darlene potrafiły zapomnieć o wzajemnych animozjach. Żywiły do siebie niechęć od chwili, gdy się poznały ponad dwanaście lat temu, kiedy Jordan zaręczyła się z synem Darlene, Robbym Joe. Od tamtej pory nic się nie zmieniło. Każda z nich chciała matkować Jordan i każda kochała ją na swój sposób, dokładając swoje do ciężkiego jarzma odpowiedzialności za rodzinę, które Jordan dźwigała na barkach.

W ciągu kilku krótkich minut, kiedy Jordan zbierała myśli, żeby zapanować nad sytuacją, w holu pojawili się pozostali członkowie rodziny i przyjaciele. Miała nadzieję, że uda jej się porozmawiać sam na sam z Devonem, zanim wszyscy dowiedzą się, że wynajęta została Agencja Powella. Ale wszystkie oczy

zwrócone były na nią, każdy czekał na to, aby powiedziała albo zrobiła coś, co rozładuje napięcie, doszła więc do wniosku, że nie ma sensu odkładać tego, co nieuniknione.

- Proszę wszystkich o uwagę. Chciałabym podzielić się z wami pewną informacją - powiedziała. - Później chciałabym na chwilę zostać sama z Devonem, a potem pójdę sama do mojego pokoju. Byłabym wdzięczna, gdyby dziś wieczorem nikt mi już nie przeszkadzał.

- Jordan, skarbie, nie powinnaś być sama - wtrąciła Roselynn.

- Na miłość boską, mamó, daj jej spokój! - krzyknął J. C. z drugiego końca korytarza. - Nie musisz jej zamęczać swoją matczyną troskliwością na pokaz.

- Moja troskliwość wobec twojej siostry jest szczerą i doskonale o tym wiesz! - Roselynn spojrzała gniewnie na syna, który stał w progu z nieodłączną szklanką szkockiej z wodą sodową, nonszalancko opierając się o futrynę.

- Proszę, żeby wszyscy wysłuchali tego, co chcę powiedzieć - odezwała się Jordan nieco głośniejszym głosem niż zamierzała, ale osiągnęła oczekiwany efekt. Wszyscy zamilkli i spoglądali na nią w skupieniu.

- Słuchamy - oznajmił Devon. Podeszedł do Jordan i przystanął w odległości kilku kroków, utkwivszy w niej błękitne jak niebo oczy.

Jordan odkaszlnęła.

- Wiecie, że według opinii lekarza sądowego śmierć Dana była wynikiem samobójstwa. Obawiam się jednak, że nie można całkowicie wykluczyć, iż Dan nie zabił się sam.

W holu rozległ się szmer i Jordan uniosła dłoń, aby uciszyć zebranych.

- Proszę o ciszę. Ryan i ja zatrudniliśmy Agencję Powella, aby przeprowadziła śledztwo w sprawie śmierci Dana. Jutro do Price Manor przyjedzie agent Powella, pan Rick Carson, który był dziś obecny na pogrzebie

wraz z kuzynką Claire, Nicole Powell. Pan Carson na czas trwania dochodzenia zatrzyma się u nas. Chcę, aby wszyscy traktowali go jako gościa i współpracowali z nim.

- Czy dobrze rozumiem? Są podstawy, by podejrzewać, że Dan został zamordowany? - Rene Burke, asystentka Jordan i jej długoletnia przyjaciółka, zadała na głos pytanie, które bez wątpienia przyszło do głowy wszystkim.

- Tak. - Jordan opuściła ręce wzdłuż ciała w obronnym geście, bez słów dając do zrozumienia wszystkim, żeby się do niej nie zbliżali. Dzisiaj przyjęła już tyle wyrazów współczucia i gestów pociechy, że więcej nie byłaby w stanie znieść. - Wszelkie wasze pytania czy obawy będą musiały poczekać do jutra. Do zobaczenia rano. - Wyciągnęła rękę do Devona. - Chcę z tobą chwilę porozmawiać. Na osobności. - Zmierzyła wzrokiem pozostałych.

Hol opustoszał w ciągu dwóch minut. Jordan została sam na sam z Devonem.

- To nie ty wpadłaś na pomysł wynajęcia Agencji Powella - odezwał się Devon spokojnie.

- Nie, to był pomysł Ryana. Przypadkiem trafiłam na sam środek rozmowy, jaką on i Claire odbywali potajemnie z Nicole Powell i Carsonem.

- Ryan naprawdę podejrzewa, że Dan został zamordowany?

- Tak mi się wydaje.

- Chyba wiesz, co to oznacza? Jeżeli prowadzący śledztwo zaczną zbyt głęboko kopać w prywatnym życiu Dana...

- Powinniśmy znaleźć sposób, żeby nie dowiedział się prawdy - odparła Jordan. - Ale nie wiem, czy to możliwe. Odniosłam nieodparte wrażenie, że Carson już coś podejrzewa.

- Co?

- Chyba to, że to ja zabiłam Dana albo że zabiliśmy go wspólnie, bo jesteśmy kochankami.

RS

3

Robby Joe uśmiechnął się i wyciągnął ręce. Wpadła w jego kochające ramiona, czując, jak ogarnia ją uczucie czystego szczęścia. Był dla niej najważniejszą osobą na świecie. Mężczyzną, którego kochała, jej przyszłym mężem, ojcem dzieci, jakie kiedyś urodzi.

Kiedy była z Robbym Joe, czuła, że nigdy więcej nie stanie się jej nic złego, że wszystko złe, co jej się w życiu przydarzyło, zostanie daleko poza nią. Zaledwie miesiąc dzielił ich od czerwcowego ślubu - okazałej uroczystości, za którą uparła się zapłacić jego matka. Pomogła też kupić Jordan piękną suknię ślubną, za którą sama nie mogłaby zapłacić.

Zarzuciła Robby'emu Joe ręce na szyję i opierając głowę na jego ramieniu, westchnęła z bezgranicznej radości. Słoneczne promienie odbijały się w jednokaratowym diamencie, który nosiła na palcu. Wpatrując się w zaręczynowy pierścionek, pomyślała o październikowym wieczorze, kiedy Robby Joe się jej oświadczył. Gwiazdzista noc, przejażdżka powozem, wyznanie miłości.

- Kocham cię - szepnęła mu do ucha. - Tak bardzo cię kocham.

- Ja też cię kocham - odpowiedział.

Jordan zamknęła oczy, rozkoszując się chwilą czystej radości. Nagle przestała czuć wokół swojego ciała ramiona Robby'ego Joe, nie czuła już jego ciepła ani siły.

- Robby Joe?

Kiedy otworzyła oczy, zorientowała się, że jest sama. Uniosła lewą dłoń. Na trzecim palcu połyskiwał zaręczynowy pierścionek.

Usłyszała, że ktoś żałośnie łka. Kto to płacze i dlaczego? Musiało stać się coś strasznego. Ktoś jest bardzo smutny.

- Robby Joe, gdzie jesteś? Słyszysz tę płaczącą kobietę? Dlaczego ona płacze?

Jordan poderwała się z łóżka bez tchu, z łomoczącym sercem i potem na skroniach. Otworzyła oczy i odrzuciła kołdrę. Sypialnia pogrążona była w półmroku, rozjaśnianym jedynie przez łagodne światło księżyca, które wpadało przez szklane drzwi prowadzące na taras. Wskoczyła z łóżka, wsunęła na nogi pikowane satynowe pantofle stojące przy nocnej szafce i wyciągnęła rękę po satynowy szlafrok przewieszony przez cedrową skrzynię stojącą u stóp mahoniowego łóża.

Ból wydawał się równie dotkliwy i silny jak w dniu, kiedy dwanaście lat temu pochowała z Darlene Robby'ego Joe.

Odblokowała szklane drzwi, rozsunęła je i wyszła na balkon, z którego widać było tylny dziedziniec i ogród różany. Po wczorajszej ulewie od ziemi unosił się intensywny, świeży zapach, a na ciemnym niebie rozciągał się złocisty cień - zapowiedź nadchodzącego świtu.

Robby Joe nie śnił jej się od dawna, właściwie od lat. Przypuszczała, że ukryte na dnie świadomości wspomnienia obudziła w niej śmierć Dana i jego pogrzeb. Wspomnienia związane z Robbym Joe, jak wiele innych, były wspomnieniami szczęścia, które zakończyło się płaczem. Czasem miała wrażenie, że jej życie jest w zasadzie tylko serią tragicznych wydarzeń.

Najpierw była przy matce umierającej powoli na raka, który trawił jej ciało. Dla każdego byłoby to tragiczne przeżycie, dla dziesięcioletniego dziecka okazało się wręcz miażdżące. W ostatnim roku to ona cementowała rodzinę, która dzięki niej trzymała się razem. To ona, małe dziecko, dodawała otuchy umierającej matce i pocieszała pogrążonego w rozpacz ojca.

A niecałe dwa lata później, kiedy tata przyprowadził do domu nową żonę, różniącą się od jej matki jak noc od dnia, Jordan znalazła sobie kryjówkę w tajemniczym miejscu w głębi duszy. Do macochy odnosiła się grzecznie, choć z początku bardzo nie lubiła głośnej, pulchnej tlenionej blondynki. Bez skargi dzieliła pokój z nieśmiałą młodszą przybraną siostrą i znosiła przybranego brata, który mając czternaście lat palił, kłął, pił piwo i twierdził, że pieprzył się z ich siedemnastoletnią sąsiadką.

Jej życie odmieniło się, kiedy w drugiej klasie szkoły średniej poznała Robby'ego Joe. Był chłopakiem jak z marzeń - przystojny, bystry, miły i troskliwy. I pochodził z dobrej rodziny. Spotykali się przez ponad rok, powoli zakochując się w sobie. W przedostatniej klasie zaprosił ją do domu na Święto Dziękczynienia. Był jedynakiem i Jordan obawiała się, że jego owdowiała matka przyjmie ją z rezerwą, a może nawet nie polubi. Bardzo się myliła. Darlene Wright i matka Jordan należały do tego samego bractwa na uczelni w Ole Miss. Łagodna i kulturalna Darlene przypominała Jordan jej własną matkę. Zanim jeszcze zaręczyła się z Robbym Joe, jego matkę traktowała jak swoją drugą mamę. Miała z nią o wiele więcej wspólnego niż z własną macochą.

Wszystko układało się idealnie. Być może zbyt idealnie.

Gdyby Robby Joe nie zginął... Jakże inaczej potoczyłoby się jej życie, gdyby...

Do diabła, po co to sobie robisz?!

Wiele lat temu przestała się zastanawiać nad tym, co by było, gdyby. Porzuciła naiwne marzenia o namiętnej miłości, dzieciach narodzonych z tej miłości, szczęśliwej przyszłości. Brutalna rzeczywistość wymierzała jej policzek za policzkiem, wybijając z głowy romantyczne mrzonki.

Troszczyła się o Dana i szanowała go. Ale nie była w nim zakochana. Straciła przyjaciela, za którym będzie bardzo tęsknić. Ale jej serce nie rozpadło się na kawałki. Nie miała wrażenia, że ona też umarła. Nie czuła się tak, jak wtedy, gdy straciła Robby'ego Joe.

Jordan położyła dłoń na płaskim jeszcze brzuchu. Była dopiero w szóstym tygodniu ciąży. Wiedziała o tym tylko rodzina i najbliżsi przyjaciele, wkrótce jednak będzie musiała podzielić się nowiną ze światem. Pragnęła dziecka, które będzie dzieckiem Dana Price'a i jego spadkobiercą. Na szczęście nie musi wychowywać syna lub córki sama. Ojcem stanie się Devon, który będzie je kochał z wielu powodów.

Rick zaparkował jeepa na ulicy przy gmachu sądu Dade County. Wsiadł, zamknął drzwi, wcisnął kluczyki do kieszeni džinsów i przeszedł Case Avenue w niedozwolonym miejscu. Wydział szeryfa odnalazł bez trudu, bo wcześniej zadzwonił tu rano i poprosił o dokładne wskazówki. Trenton, siedziba władz hrabstwa, miasteczko liczące niecałe dwa tysiące mieszkańców, znajdowało się na południu od Priceville, kiedy więc skończył załatwiać sprawy, musiał cofnąć się o kilka kilometrów.

Później agencja szczegółowo zbada fakty, ale pracę nad zleceniem zawsze należało zacząć od zebrania podstawowych informacji. Gromadząc skąpe dane na temat Priceville i rodziny Price'ów, Rick napotkał nazwisko szeryfa Steve'a Corbetta. Corbett pełnił tę funkcję od końca lat dziewięćdziesiątych, wcześniej przez wiele lat pracował jako policjant w Trenton. Cieszył się nieskazitelną reputacją, znany jako prawy mężczyzna, mąż i ojciec dwójki dzieci, w dodatku nauczyciel w szkółce niedzielnej.

Jadąc z Knoxville, Rick rozmawiał osobiście z szeryfem. Umówił się na wpół do dwunastej z Corbettem i dwójkiem jego pracowników, którzy

prowadzili dochodzenie w sprawie śmierci Dana Price'a: sierżantem Nolanem Trumbo i sierżant Haley McLain.

Natychmiast po przyjeździe został wprowadzony do gabinetu szeryfa. Barczysty i przysadzisty mężczyzna z ciemnym zarostem i po żołniersku obciętymi siwiejącymi włosami wstał zza biurka i podał mu rękę. Rick kątem oka zauważył, że pani sierżant stanęła na baczność.

Szeryf Corbett potrząsnął jego dłonią serdecznie, jak kolega.

- Zapraszam, panie Carson. To sierżant McLain. Nolan Trumbo z nagłych powodów rodzinnych przyjdzie później.

Rick odwrócił się do kobiety.

- Miło mi.

Skinęła głową i posłała mu nieśmiały uśmiech, przyjacielski, ale nie zalotny. Była chyba po trzydziestce, krągłe kształty dość ładnie wypełniały mundur tam, gdzie trzeba. Miała krótkie, jasnobrązowe kręcone włosy, które okalały twarz, nadając jej kształt serca.

- Niech pan siada. - Szeryf Corbett wskazał mu krzesło po prawej stronie biurka, sam usiadł w skórzanym obrotowym fotelu za biurkiem. - Rozmawiałem z Ryanem i obiecałem mu, że moje biuro będzie współpracować z Agencją Powella w prowadzonym przez nią niezależnym śledztwie.

- Doceniamy to. - Rick usiadł na metalowym, składanym krześle.

- Wie pan, że sprawę przejęło Biuro Śledcze stanu Georgia i to ich lekarz robił sekcję zwłok Dana, w pewien sposób miałem więc związane ręce - wyjaśnił szeryf. - Oficjalnie śmierć Dana uznano za samobójstwo, ale Ryan ma co do tego wątpliwości, a i Haley nie jest w stu procentach pewna. Cieszę się, że Ryan wynajął pana ekipę, żeby powęszyła i zobaczyła, co się uda znaleźć.

- Pracuję również dla Jordan Price - wyjaśnił Rick. - Agencję Powella wynajęła ona i jej szwagier.

- Tak, Ryan mi mówił. Na pewno był wściekły, że tak szybko po pogrzebie musiał wciągnąć w to Jordan. - Corbett cmoknął i pokręcił głową. - Ciężko jej było pogodzić się z tym, że Dan sam się zabił, ale jeśli Ryan ma rację, to jeszcze trudniej będzie jej ze świadomością, że został zamordowany. Jest dla Ryana i Claire prawdziwym, potężnym wsparciem. Nie wiem, co by zrobili, gdyby się wszystkim nie zajęła. To bardzo porządna kobieta, i Dan miał szczęście, że trafiła mu się taka żona.

Jak można skomentować takie stwierdzenie? Szeryf Corbett najwyraźniej uległ czarowi Jordan Price. Rick spojrzał na panią sierżant, która stała w milczeniu wyprostowana.

- Czy zgadza się pani z Ryanem Price'em, że jego brat nie odebrał sobie życia?

Spojrzała na szeryfa, czekając, żeby pozwolił jej się odezwać i odpowiedziała dopiero wówczas, gdy skinął głową.

- Mam pewne wątpliwości.

- Co ma pani na myśli?

- Dowody wskazują na samobójstwo - odparła sierżant McLain.

- Na prawej dłoni senatora Price'a znajdował się pył z wystrzału i ślady metalu, co dowodzi, że trzymał broń, kiedy wypaliła. Również na skórze wokół rany znajdowały się ślady prochu, wskazujące...

- ... że broń wystrzeliła nie dalej niż z pięćdziesięciu centymetrów - dokończył Rick.

- Tak jest. Laboratorium balistyczne Biura Śledczego stanu Georgia przeprowadziło strzelanie testowe. Wnioski z doświadczenia oraz pozostałe fakty

- rana styczna i odcisk muszki na głowie senatora, co dowodzi, że broń miała bezpośredni kontakt z ciałem - wskazują na samobójstwo.

- Dlaczego więc myśli pani, że to nie było samobójstwo? Z tego, co mi pani powiedziała, nie wynika, że śmierć senatora mogła być...

- Ma pan rację - odparła. - Z pozoru wszystkie dowody wskazują na samobójstwo. Tę sprawę prowadziłam ja, dokładnie więc przeanalizowałam raport z sekcji zwłok, czytając nawet między wierszami, można powiedzieć. Kilka kwestii wzbudziło wątpliwości, ale wytłumaczyłam sobie, że to tylko moja wybujała wyobraźnia i nadmierna dociekliwość. Ale im więcej o tym myślałam, tym bardziej czułam, że nie mogę tego tak zostawić. Powiedziałam o tym Steve'owi, to znaczy szeryfowi Corbettowi, i on przyznał mi rację.

- Ale co właściwie wzbudziło pani wątpliwości? - spytał Rick.

- Na przykład to, że w raporcie z sekcji była wzmianka, iż senator chorował na reumatyzm, stwierdzony również w palcach prawej dłoni. Naciśnięcie spustu mogło być bolesne.

- Bolesne, ale możliwe - stwierdził Rick. - Dowody niepodważalnie wskazują, że to palec Daniela Price'a nacisnął spust, prawda?

- Tak. Może nacisnął spust. Ale to nie wszystko. Palec senatora był złamany, a na zgięciu dłoni znajdowały się siniaki.

A niech to!

- Myśli pani, że ktoś ścisnął senatora za rękę, wcisnął mu w nią broń i zacisnął na niej swoją na tyle mocno, żeby spowodować sińce. I tak mocno przycisnął palec Price'a do spustu, że złamał kość.

- To tylko przypuszczenia - wtrącił Corbett. - Ale jeżeli doda się do tego silne przekonanie Ryana, że jego brat nigdy by się sam nie zabił, wystarczy zadać pytanie, czy senatorowi ktoś nie pomógł się zastrzelić.

- Nie był drobny ani wąły - zauważyła sierżant McLain. - Ktoś musiał go odurzyć lekami albo też osoba, która wcisnęła mu pistolet do ręki, była bardzo silna. Sekcja zwłok nie wykazała obecności leków, ale na miejscu znalazłam dowody, że dużo pił.

- Najwyraźniej biuro śledcze uznało, że ta informacja nie może posłużyć jako dowód zabójstwa, bo inaczej nie stwierdziliby samobójstwa.

- Najwyraźniej - przyznała sierżant McLain. - Chyba zdaje pan sobie sprawę z tego, że raczej nie uda nam się udowodnić morderstwa.

- Ale jeżeli będziemy pracować, przy założeniu, że naprawdę było to morderstwo, a nie samobójstwo, możemy zacząć szukać sprawcy. Po to, by udowodnić naszą teorię, musimy znaleźć mordercę, a potem zmusić go do przyznania się.

- Czy w takim razie, pana zdaniem, powinnam przesłuchać lekarza sądowego biura śledczego? - spytała.

- Tak, istnieje duże prawdopodobieństwo, że to pani ma rację, a on się myli.

- No cóż, na razie mamy niewiele - wtrącił szeryf. - Ale to dopiero początek. Jeżeli czegokolwiek będzie pan od nas potrzebował, proszę dać znać. Do Haley można dzwonić w dzień i w nocy, dopóki pracuje pan nad tą sprawą. Będzie do pana dyspozycji.

- Tak - przytaknęła Haley McLain, kiedy Corbett spojrział na nią. Później zerknęła na Ricka. - Nasz wydział nie dysponuje środkami ani ludźmi, żeby prowadzić dalsze dochodzenie. Poza tym nie jesteśmy do tego upoważnieni. Lekarz sądowy oficjalnie stwierdził samobójstwo, ale jeżeli Agencja Powella udowodni coś innego, będziemy mogli wznowić śledztwo.

- Chyba nie mam listy podejrzanych. A pani?

- Cóż, obawiam się, że nie. - Haley odkaszlęła.

Nerwowo spojrzała na Corbetta, po czym wbiła wzrok w podłogę. Rick domyślił się, że pani sierżant ma jednak listę tych, którzy mogli mieć powód, by zamordować senatora Price'a.

- Chciałbym zerknąć na dokumenty sprawy, włącznie z raportem z sekcji zwłok - oznajmił Rick.

Corbett skinął głową.

- Haley, pójdź z panem Carsonem i dopilnuj, żeby dostał kopie wszystkiego, co mu potrzebne.

- Tak.

Rick ruszył za policjantką, nie spuszczać wzroku z kołyszących się szczupłych bioder. Przyglądał się spodniom, opinających jędrne pośladki. Nie widać było śladu krawędzi bielizny. Mogło to oznaczać dwie rzeczy - pani sierżant nie ma na sobie majtek albo nosi stringi. Obie wersje były dość podniecające. Ta myśl zaintrygowała go.

Kiedy czekali, aż sekretarka szeryfa skseruje dokumenty w sprawie Price'a, Haley zaproponowała Rickowi kubek kawy.

- Jeżeli założymy, że Dan Price został zamordowany, kto znajduje się na początku listy podejrzanych? - spytał Rick.

- Powiedziałam panu, że nie mam...

- Polityczny przeciwnik? Rozczarowany wyborca? Lojalny asystent?

Wdowa?

Haley zmierzyła go wzrokiem znad opróżnionego do połowy kubka z kawą i znowu upiła łyk.

- Zwykle głównym podejrzany staje się mąż lub żona, dopóki nie zostaną wyeliminowani. Ale wiem, że pani Price uważana jest niemal za świętą.

- Niedługo przekonam się o tym na własne oczy - prychnął Rick. - Na czas prowadzenia śledztwa mam zamieszkać w Price Manor.

- Czyj to był pomysł?

- Zaprosiła mnie pani Price.

- A pan oczywiście się zgodził. Rick wzruszył ramionami.

- Słyszałam coś jeszcze o pani Price.

- Co takiego? - spytał Rick.

- Potrafi być bardzo przekonująca.

Z okna obserwowała, jak detektyw Powella parkuje przed domem. Nie chcieli go tutaj. Nie jest mile widziany, ale nie może się o tym dowiedzieć. Podobnie jak nikt nigdy nie może się dowiedzieć, że Dan powiedział jej o diagnozie. Jakie to szczęście, że zaufał jej na tyle, że mogła zaszcześcić w jego umyśle pomysł samobójstwa. Gdyby tylko doprowadził sprawę do końca... No cóż, było, minęło. Musi pogodzić się z sytuacją i odpowiednio sobie z nią poradzić.

Będą musieli być uprzejmi dla pana Carsona, nie ma jednak powodu, żeby okazywać mu serdeczność.

Ryan zrobił to, co uznał za najlepsze, reszta musi podporządkować się tej decyzji. Nie przyszło jej do głowy, że nie będzie mógł uwierzyć samobójczą śmierć brata, skoro stwierdził to lekarz sądowy. Dlaczego nie pogodził się z wynikiem sekcji? Wszyscy mogliby żyć spokojnie, zostawiając tragedię za sobą.

Teraz musimy być bardzo ostrożni, żeby nie dać Carsonowi najmniejszych powodów do podejrzeń. Nie ma żadnych dowodów na to, że Dan nie popełnił samobójstwa. O ile sami się nie wydamy - nie zrobimy albo nie powiemy czegoś podejrzanego - Carson może sobie prowadzić dochodzenie tak długo, jak mu się podoba, a i tak nic nie znajdzie. Tamtej nocy nie popełniliśmy błędu.

Tobias wyszedł po Carsona aż do połowy podjazdu. Nie słyszała, co mówią, ale dopiero po kilku chwilach Tobias podniósł walizkę, a Carson wrócił do jeepa. Widocznie zamierzał odstawić samochód do garażu.

Odsunęła się od okna i weszła do łazienki. W lustrze przyjrzała się swojemu odbiciu. Błada. Pod oczami ciemne podkwoy. Kobieta w żałobie. Taką właśnie miał ją widzieć Carson.

Jordan spotkała Tobiasa, kiedy wchodził do domu z czarną walizką w ręce.

- Pani Jordan, przyjechał pan Carson. - Przystanął. - Poprosiłem, żeby odstawił samochód do garażu. Powiedziałem, że będzie pani na niego czekać w swoim gabinecie.

- Dobrze, dziękuję.

- W którym pokoju mam zostawić jego rzeczy?

- Poleciałam Vadonnie, żeby posprzątała dawny pokój Ryana. To duża sypialnia, poza tym w męskim stylu. Chyba będzie się nadawać dla pana Carsona?

- Tak, *madam*, powinna.

Jordan wzięła głęboki oddech. Obawiała się obcego w domu, który w dodatku będzie starał się udowodnić, że ktoś zamordował Dana. Ale skoro Carson będzie pod ręką, wszelkie informacje, zanim dotrą do Ryana, trafią najpierw do niej.

Zanim skierowała się do gabinetu, zajrzała do kuchni. Vadonna uniosła głowę znad zmywarki, do której wkładała naczynia.

- Tak, *madam*, czy coś pani podać?

- Proszę o dzbanek kawy bezkofeinowej dla dwóch osób do mojego gabinetu za dziesięć minut. Na razie proszę mi nie przeszkadzać. Będę rozmawiać z panem Carsonem.

- Oczywiście, *madam*, kawa do pani gabinetu za dziesięć minut. - Vadonna zamknęła zmywarę i uruchomiła ją. - Aha, pani Jordan, nie widziała pani pani Wright? Martwiła się, że nie zeszła pani na obiad i stwierdziła, że zanieś pani tacę do pokoju.

- Nie, nie widziałam jej, ale jeśli ty ją zobaczysz, powiedz jej, że czuję się dobrze i że nie chcę nic do jedzenia.

Vadonna skinęła głową.

Jordan wyszła z kuchni. Kiedy znajdowała się w połowie drogi do gabinetu, do domu wszedł Rick Carson. Spojrzała w dół na korytarz. Zadzierając głowę, spoglądał na schody prowadzące na piętro. Wczoraj nie przyglądała się uważnie ciemnowłosemu mężczyźnie, który zjawił się na pogrzebie Dana razem z kuzynką Claire. Dzisiaj nie wiedział o tym, że na niego patrzy. Doszła do wniosku, że należy do mężczyzn, na których nie można nie zwrócić uwagi. Nie dlatego, że był wysoki, umięśniony i atrakcyjny w szorstki, surowy sposób, ale dlatego, że biła od niego męskość, która wzbudzała w niej niepokój, jak zapewne w każdej kobiecie, z którą miał do czynienia.

Nie stój tak i nie gap się na niego. Podejź i przywitaj się. Zrób uprzejmą minę i się odezwij.

Zeszła na dół. Rick przyglądał się jej, czekając, aż do niego podejdzie.

- Dzień dobry, panie Carson. - Podała mu rękę. - Witam w Price Manor.

Zawahał się na ułamek sekundy, zanim ujął jej dłoń. Jego uścisk był stanowczy, choć delikatny, a dłoń miał ciepłą i silną. Odwieczna kobieca natura wyczuła, że ma do czynienia z prawdziwym mężczyzną.

Jordan wyszarpnęła dłoń, wściekła, że tak bardzo podziałał na nią jego dotyk. Ale udało jej się zachować uprzejmy wyraz twarzy.

- Zaraz zaprowadzę pana do pokoju, w którym będzie się mógł pan rozgościć, ale najpierw zapraszam na chwilę do mojego gabinetu. Chcę z panem porozmawiać na osobności. - Płynnym ruchem dłoni wskazała, w którą stronę ma iść.

Spojrzała znów na Carsona i zorientowała się, że on przygląda się jej lewej dłoni. Diamentowy pierścionek zaręczynowy i obrączka skąpane w promieniach popołudniowego słońca lśniły brylantowym blaskiem. Opuściła lewą rękę i przycisnęła dłoń do uda.

Wiedziała, co pomyśli o tym zawodowy detektyw. Trzykaratowy diament z dwoma mniejszymi, półkaratowymi po bokach i wysadzana diamentami platynowa obrączka krzykliwie informowały, że jest bogatą wdową. Na pewno jest przekonany, że mąż rozpieszczał ją niewiarygodnie kosztowną biżuterią. Tymczasem pierścionki, podobnie jak inna biżuteria, którą podarował jej Dan, były na pokaz. Starła się go przekonać, żeby nie kupował jej bijących po oczach pierścionków. Ale on się uparł, że mężczyzna z jego majątkiem powinien kupować drugiej żonie pierścionki tej samej albo większej wartości, co pierwszej.

Jordan i Rick Carson wymienili niespokojne spojrzenia, potem ona odwróciła się i ruszyła w stronę niewielkiego gabinetu na tyłach domu. Nie obejrzała się przez ramię, żeby sprawdzić, czy idzie za nią, a jednak była tego pewna. Nie tylko słyszała jego kroki, ale czuła wręcz jego obecność, jak wiszący nad nią cień. Przyglądał się jej. Oceniał ją.

Denerwował.

Nie zatrzymała się, kiedy wyciągała rękę, żeby otworzyć drzwi prowadzące do jej sanktuarium. Pokój kiedyś stanowił część tylnego ganku, który ciągnął się na całej długości domu, ale mniej więcej w latach pięćdziesiątych część ganku została zabudowana i wydzielono z niej dwa pokoje. Po prawej stronie

znajdowała się oszklona weranda ze starymi meblami z białej wikliny, po lewej mieścił się gabinet Jordan. Na ogród wychodziła ściana okien. Przez sufit i dwie ściany ciągnął się stary gzyms pomalowany na kolor pastelowej brzoskwini, dawna zewnętrzna ściana była z bielonej cegły. Pokój urządzała sama i sama z wielką starannością dobrała każdy przedmiot i każdy mebel. W całym domu było to jedyne pomieszczenie, które należało tylko do niej. Choć nie dzieliła sypialni z Danem, jej pokój, podobnie jak wszystkie w posiadłości, został urządzony przez zawodowych dekoratorów i znajdowało się w nim mnóstwo antyków.

Jordan przystanęła przed kanapą w beżowo-brązowe pasy i odwróciła się do gościa. Ich spojrzenia się spotkały. Jordan z trudem przełknęła ślinę.

- Proszę usiąść. - Sama również usiadła na sofie.

- Dziękuję, *madam*. - Usiadł naprzeciwko niej w fotelu w kolorze miedzi. -

Czy jest jakiś problem?

- Mam nadzieję, że nie, ale jeżeli się pojawi, będziemy musieli rozwiązać go tak szybko jak to możliwe. Zgoda?

- Tak, *madam*.

- Ryan panu ufa, ponieważ pracuje pan dla Nicole i Griffina Powellów, a ja zwykle ufam opinii Ryana. Muszę mieć jednak pewność, że wszelkie poufne informacje, do jakich pan dotrze w trakcie śledztwa, zachowa pan dla siebie i nie wyjawia ich nikomu poza Ryanem i mną.

- Mogę panią o tym zapewnić, chyba że odkryję coś, co w kwestii śmierci pani męża bezpośrednio obciąży panią lub Ryana. Wszystkie inne informacje zachowam w ścisłej tajemnicy.

Serce Jordan zamarło na ułamek sekundy. Czy ten mężczyzna rzeczywiście powiedział to, co usłyszała? Czyżby sugerował... Nie, na pewno nie odważyłby się insynuować, że ona albo Ryan mogą być sprawcami śmierci Dana.

- Panie Carson, czy chce pan powiedzieć, że Ryan lub ja mogliśmy...

- Proszę posłuchać, będę szczery. Mam bezpośrednią naturę, a skoro płaci pani za moje usługi, ma pani prawo wiedzieć, że moim jedynym celem jest dowiedzieć się, czy pani mąż został zamordowany, a jeżeli tak, to kto go zabił. Rozumie to pani?

- Tak, rozumiem. Po to pana zatrudniliśmy.

Pochylił się, a Jordan instynktownie odsunęła się, wciskając mocno w oparcie kanapy. Jej ciało podświadomie starało się uciec przed zagrożeniem, jakie wyczuwała.

- Nie będzie pani miała nic przeciwko temu, żebym zadał jedno proste pytanie, prawda?

Serce zaczęło jej walić jak oszalałe.

- Proszę pytać.

Spojrzał jej prosto w twarz, przeszywając ją ciemnymi oczami na wskroś.

- Pani Price, czy zabiła pani swojego męża?

4

Rick miał wrażenie, że nie zaskoczył Jordan Price swoim pytaniem. Spojrzała na niego groźnie chłodnymi szaroniebieskimi oczami, z miną wyrażającą dziwne połączenie bólu i złości. Ale zachowała spokój. Jedyne zaciśnięte wargi i groźne spojrzenie zdradzały emocje.

- Uwierzy pan, jeżeli panu powiem, że nie zabiłam męża i że bardzo mi na nim zależało?

- Bardzo zależało? Zaskakujący dobór słów, pani Price.

- Szczery dobór słów. Kochałam Dana, ale nie w głupi, młodzieńczo namiętny sposób. Takie małżeństwo odpowiadało nam obojgu. Na swój sposób byliśmy zadowoleni.

- Kolejny zaskakujący dobór słów.

- Po raz kolejny szczery.

- Chyba nie jest pani zwolenniczką głębokich, namiętnych uczuć?

Wpatrywała się w niego z bliżej nieokreślonym błyskiem czegoś pulsującego tuż pod powierzchnią - odrobiny wściekłości, odrobiny wewnętrznego płomienia.

Pilnuj się, Carson. Nie daj się nabrać, te swoje kobiece sztuczki wypróbowała już na innych mężczyznach. Chce, żebyś uwierzył, że jesteś tym jedynym, który potrafi ożywić w niej uszpiętą namiętność. Nie bądź głupi. Nie daj się na to nabrać.

Patrzył na nią przenikliwie, bez zażenowania oceniając jej fizyczne walory. Owszem, takie zachowanie być może ocierało się o grubiaństwo, może nawet o brak szacunku. Ale według księgi zasad Ricka Car-sona na szacunek trzeba sobie zasłużyć.

Jordan była smukła i gibka, ale nie chuda. Miała przyjemnie zaokrąglone biodra, a biust na tyle duży, że wypełniał miseczkę C. Oceniał jej wzrost i wagę - metr sześćdziesiąt, pięćdziesiąt trzy kilogramy. Miała porcelanową cerę, nietkniętą przez słońce czy solarium. Była niemal eteryczna, jak ożywiony posąg anioła.

- Przygląda mi się pan - zauważyła ostrożnie.

Owszem, przyglądał się. Przyglądał się pięknej kobiecie, którą podejrzewał o morderstwo. Czy Jordan Price jest czarną wdową? A może jest taka, na jaką wygląda - smutna, bezbronna i potrzebuje silnego ramienia, na którym mogłaby się wesprzeć?

Odpędził tę ostatnią myśl. Nie jest tu po to, żeby ją pocieszać. Ma prowadzić dochodzenie w sprawie zabójstwa.

- Powiedzmy, że mnie pani przekonała i że wierzę, iż nie zabiła pani męża. Domyśla się pani, kto mógł to zrobić?

Uniosła szczupłą dłoń i odgarnęła niesforny kosmyk jasnopopielatych włosów. Gęste włosy zczesła luźno do tyłu i spięła na karku srebrną klamrą w szeroki kok. Poza okazałymi pierścionkami na serdecznym palcu lewej ręki, nosiła skromną biżuterię - jedynie srebrno--złoty zegarek i małe, dyskretne kolczyki z diamentami.

Do licha, dlaczego jest taka piękna?

- Nie mam pojęcia, kto mógł zabić Dana, jeżeli rzeczywiście został zamordowany - powiedziała. - No tak, miał politycznych przeciwników, ale na pewno nie zabił go żaden z nich.

- A prywatni wrogowie? - Rick naprawdę starał się nie mierzyć wzrokiem jej ciała, ale nie na wiele się to zdało. Miała na sobie granatowe spodnie i biały bawełniany sweter. Nie był to strój eksponujący kobiece wdzięki, a jednak

wydała mu się piekielnie pociągająca. W końcu przeniósł wzrok na jej twarz. Patrzyła na niego.

- Nie przychodzi mi do głowy nikt, kto mógłby chcieć zabić Dana.

Miał wrażenie, że coś przed nim ukrywa. Ale dlaczego? Czyżby podejrzewała Devona Markhama i chciała go chronić, dlatego że są kochankami?

- Chyba zdaje sobie pani sprawę z tego, że jeśli ktokolwiek żywił do pani męża niechęć, dowiem się tego podczas dochodzenia. Oszczędziłaby mi pani czasu, gdyby mi pani sama powiedziała.

Wzięła głęboki oddech, a później powoli wypuściła powietrze. Zwrócił uwagę na to, jak unoszą się i opadają jej piersi. Do diabła, musi przestać tak patrzeć na Jordan. Nie może pożądać zleceniodawcy, przede wszystkim dlatego, że to bardzo nieprofesjonalne. A poza tym, co bardziej istotne, byłby głupi, angażując się emocjonalnie w znajomość z kobietą podejrzaną o morderstwo.

- Dan i jego była żona, Jane Anne, nie byli przyjaciółmi, ale nie sądzę, że byłaby zdolna posunąć się aż do morderstwa. - Jordan przerwała na chwilę i zerknęła w stronę zamkniętych drzwi swojego gabinetu. - Mój przyrodni brat, J. C., i Dan kilka razy się pokłócili. J. C. uprawia hazard i w zeszłym roku popadł w poważne długi. Dan pomógł mu, ale kiedy po raz drugi J. C. przyszedł do niego w tym roku, odesłał go z kwitkiem.

Rick skinął głową.

- I to wszystko? Była żona i pani przyrodni brat?

- O nikim więcej nie wiem. Dan cieszył się wielkim szacunkiem i ludzie na ogół go lubili. Miał dobre serce.

Zacisnęła zęby i z trudem przełknęła ślinę. Jeśli udawała, robiła to naprawdę dobrze. Rick nie mógł się powstrzymać - wyciągnął rękę i ścisnął jej

dłoń. Ich oczy spotkały się i, niech Bóg go ma w swojej opiece, miał ochotę wziąć ją w ramiona i pocieszyć.

Ale ścisnął tylko jej dłoń i szybko ją wyswobodził.

- Będę potrzebował pomieszczenia biurowego. - Tak jest, Carson, zajmij się sprawami Agencji Powella i nie rób cyrku. - Chodzi mi o dostęp do szybkiego Internetu, faks, kpiarkę i drukarkę. Czy można to zorganizować w moim pokoju z...

- Wszystko znajduje się w gabinecie Dana. Służył mu za domowe biuro. Proszę urządzić się tak, jak panu wygodnie. Uprzedzę Tobiasa i Vadonę, że na czas pana pobytu gabinet jest do pana dyspozycji.

- Na pewno chce pani, żebym korzystał z gabinetu męża? To przecież miejsce jego śmierci.

Jordan zacisnęła dłonie i zwilżyła wargi, lekko je oblizując. Czy ta kobieta wie, jak na niego działa? Na pewno. Bawi się nim i lepiej, żeby o tym nie zapomniała.

- Tak, może pan korzystać z gabinetu Dana. Ja nie... nie wchodziłam tam aż do wczoraj, kiedy przerwałam panu poufną rozmowę z Ryanem.

- Podejrzany jest każdy, dopóki go nie wykluczę, włącznie z Ryanem i panią. Jeżeli ma pani z tym problem, muszę to wiedzieć teraz.

Niemal się uśmiechnęła. Lekko skrzywiła wargi, zauważył nikły płomyk uśmiechu w jej oczach.

- Proszę mówić mi Jordan. Czy mogę zwracać się do pana po imieniu?

Skinął głową. W co ona z nim gra? „Proszę mówić mi Jordan. Czy mogę zwracać się do pana po imieniu?”

Przerwało im dyskretne pukanie do drzwi.

- Tak, proszę - powiedziała Jordan, jakby się kogoś spodziewała. Do gabinetu weszła pulchna kobieta w średnim wieku ze srebrną tacą w rękach. Postawiła ją na biurku Jordan.

- Dziękuję, Vadonno.

- Czy podać coś jeszcze?

- Nie, dziękuję, to wszystko.

- Masz ochotę na kawę? - Jordan wskazała srebrny czajnik i zastawę na tacy, kiedy kobieta wyszła.

- Chyba nie. - Rick pokręcił głową.

- Wyłożyłeś karty na stół, Rick. Spytałeś mnie wprost, czy zabiłam męża.

Teraz moja kolej na brutalną szczerość. Nie lubię cię. Nie chcę, żebyś przebywał w moim domu, wtrącał się w moją żalobę, naruszał moją prywatność i podważał moją uczciwość. Ale jeżeli mojego męża rzeczywiście zamordowano, chcę, żeby zabójca został odnaleziony i stanął przed sądem. Chcę, żebyś wykonał swoje zadanie. Jednak jeżeli zrobisz coś, co splami dobre imię Dana Price'a, osobiście dopilnuję, żebyś tego pożałował. Jasne?

- Tak, *madam*. Jasne jak słońce. Żadne wstydlive tajemnice nie wyjdą na jaw.

- Mam być na bieżąco informowana o przebiegu dochodzenia. - Westchnęła ciężko. - Na razie wystarczy mi codzienny raport.

Najwyraźniej była przyzwyczajona do wydawania poleceń, które musiały zostać wykonane. Przywilej bogactwa - bogactwa zmarłego męża.

- Czy codzienny raport mogę składać rano zaraz po śniadaniu, czy wolisz sprawozdanie wieczorem przed snem?

- Może być rano. - Chłodna, lakoniczna odpowiedź. Wstała, on również się podniósł.

- Tobias pokaże ci twój pokój. Jeżeli czegoś potrzebujesz, daj nam znać. -
Ruszyła w kierunku drzwi, on za nią. - Kolacja jest o siódmej.

Otworzyła drzwi i wypuściła go z gabinetu, wyraźnie chcąc się go pozbyć.

- Poczekaj tu, znajdę Tobiasa.

Przyglądał się, jak odchodzi. Poruszała się płynnie, z naturalnym wdziękiem. Jordan Price miała klasę, której nie można się wyuczyć. To było wrodzone.

Jeżeli nie będzie się pilnował, w jednej chwili owinie go sobie wokół palca.

Rene brała szybki prysznic, zmywając z ciała zapach seksu, a później nie bawiąc się w wycieranie, wciągnęła stringi i spodnie. Kiedy wkładała biustonosz, zauważyła, że na lewej piersi ma siniaka. J. C. lubił gryźć, nie do krwi, ale na tyle mocno, żeby zostawić ślad. Włożyła bluzkę i wróciła do sypialni. J. C, nadal nagi, leżał wyciągnięty na łóżku, z lubieżnym uśmiechem na zbyt przystojnej twarzy.

- Gdzie się spieszysz, skarbie? Siostrze dzisiaj nie będziesz potrzebna. Towarzystwa dotrzyma jej ten ogier z Agencji Powella. - J. C. zachichotał.

- Zaniknij się! Co ty wygadujesz! Jordan nie będzie się oglądać za panem Carterem, skoro biedny Dan jeszcze dobrze nie ostygł.

- Nieżywy to nieżywy. Za pół roku nie będzie bardziej nieżywy niż teraz. Poza tym oboje dobrze wiemy, że ze starego Danny'ego nie miała pożytku.

- Cicho! Opowiadasz' świństwa. Nie masz za grosz szacunku dla twojej siostry i Dana?

- Szanowałem władzę i pieniądze szwagra. A Jordan szanuję cholernie, chociaż jest zimną suką.

- Wstawaj, weź prysznic i ubieraj się - nakazała Rene, nienawidząc się za to, że znowu uległa jego urokowi. Był z niego kawał chama, ale w łóżku

przypominał dynamit. Przynajmniej tak jej się wydawało. Pod-kochiwała się w nim, pewnie więc była trochę zaślepiona.

- Uważasz, że Jordan jest zimna, tylko dlatego, że bez trudu potrafi ci się oprzeć. - Wzięła grzebyk z toaletki i przeczesała nim krótkie czarne włosy. - Na miłość boską, masz na nią ochotę, chociaż jest twoją siostrą. Jesteś prawdziwym dupkiem, wiesz o tym?

J. C. zsunął się z łóżka i stanął w całej okazałości. Miał metr siedemdziesiąt osiem wzrostu, był szczupły, lekko umięśniony, a jego skóra wydawała się ciemniejsza niż była w rzeczywistości z powodu blond włosów i jasnoniebieskich oczu. Wyglądał imponująco.

Zmierzył ją pożądlivym spojrzeniem, podszedł do niej, wyciągnął rękę i przyciągnął do siebie.

- Przybrana siostra. Oficjalnie nie byłoby kazirodztwa, gdybym ją przeleciał.

- Jesteś podły.

Uśmiechnął się szeroko, otarł się o nią na wpół wzwiedzionym członkiem i chwycił za pupę.

- Zgadza się, ale jestem twoim padalcem, prawda?

- Nie jestem na tyle głupia, żeby wierzyć, że tylko moim. - Rene odsunęła się od niego. - Dobrze wiem, że przeleciałbyś wszystko, co ma cipkę.

- Ale wiesz, że ty jesteś moją ulubioną cipką. - J. C. roześmiał się. Nie zwróciła na niego uwagi. Odwrócił się i poszedł do łazienki, a ona przejrzała się w lustrze. Przydałaby się szminka. A poza tym, obleci.

Nie widziała Jordan od śniadania, najwyższa pora pokazać się szefowej. Potrzebowała trochę czasu, żeby nauczyć się pracować dla Jordan. Poznały się na studiach, kiedy obie pracowały na dwóch etatach, żeby zarobić na chesne. Kilka

lat po studiach Jordan niespodziewanie zadzwoniła do niej i zaproponowała jej pracę w Atlanta PR, gdzie właśnie dostała awans. Od tamtej pory się zaprzyjaźniły, a kiedy Jordan wyszła za senatora Daniela Price'a i potrzebowała osobistej asystentki, zaproponowała jej to stanowisko. Rene zgodziła się bez namysłu.

Pośrodku korytarza na piętrze pogrążona w myślach Rene niemal wpadła na Darlene Wright, która uskokczyła na bok, żeby uniknąć zderzenia.

- Dobry wieczór - odezwała się do starszej pani ze zwykłą grzecnością.

Darlene obrzuciła Rene protekcyjnym spojrzeniem, zadzierając ostry, podobny do ptasiego dziobu nos.

- Widziałaś Jordan?

- Na śniadaniu. Dlaczego pytasz?

- Wiem, że czekała na tego detektywa, pana Carsona, i chciałam sprawdzić, czy wszystko w porządku i czy jego przyjazd przypadkiem nie wytrącił jej z równowagi.

- A dlaczego miałby ją wytrącić z równowagi? Przecież sama go wynajęła, prawda?

- Chyba Ryan nie zostawił jej wyboru - prychnęła Darlene. - Gdyby pogodził się z opinią lekarza sądowego, oszczędziłby Jordan większego cierpienia niż to, przez które i tak przechodzi.

- Ma pani rację. - Nie miała najmniejszej ochoty przytakiwać starej, nadętej suce, ale ona również nie chciała, żeby Jordan narażono na dodatkowe przykrości. - Możemy ją wspierać i starać się pomóc w miarę możliwości. I modlić się, żeby się nie okazało, że Dan został jednak zamordowany.

- To niemożliwe. Kto chciałby zabić takiego miłego człowieka?

- Był miłutki, to prawda. - Rene westchnęła. - Biedna Jordan. Jeżeli chodzi o facetów, ma pecha.

- Jak możesz tak mówić! - Darlene aż sapnęła.

- Przecież pani wie, że nie miałam nic złego na myśli. Chciałam tylko powiedzieć, że Jordan przeżyła już tyle tragedii, że można by nimi obdzielić kilka osób.

- Gdyby żył mój Robby Joe... - Głos Darlene zmienił się w delikatny, cichy jęk.

Do licha, Rene nie miała zamiaru znowu wysłuchiwać tego, że Robby Joe był miłością życia Jordan. Nie dzisiaj. Darlene nie uraczyła jej tą żalną śpiewką raz, robiła to bez przerwy.

- Jeżeli zobaczę Jordan, powiem, że pani jej szuka. - Rene okrążyła Darlene i podeszła prosto do schodów.

- W gabinecie jej nie ma - krzyknęła Darlene. - W sypialni też nie.

- Dziękuję za informację.

Do dwóch miejsc może nie zaglądać - do sypialni i do gabinetu.

Poszuka szefowej, a jeżeli nie będzie mogła jej znaleźć, spróbuje zadzwonić do niej na komórkę. Chociaż pewnie na niewiele się to zda - Jordan wyłączyła telefon, żeby uniknąć niechcianych rozmów.

Przeszukała cały parter, włącznie z kuchnią i łazienkami, i wyszła tylnymi drzwiami na ganek. Wyjęła z kieszeni spodni paczkę papierosów i zapalniczkę i zapaliła papierosa. Niedawno rzuciła palenie, ale po śmierci Dana zaczęła szukać pocieszenia w starym nałogu. Zaciągnęła się i westchnęła z rozkoszy, przechadzając się po ganku.

Do jej uszu dobiegł cichy płacz. Odgłos dobiegał zza żywopłotu, który odgradzał niewielki ganek od patio okalającego basen. Zaciągnęła się jeszcze raz

i zeszła do ogrodu. Kiedy skręciła za wysoki żywopłot, poczuła, że ktoś ją obserwuje. Rozejrzała się na lewo i prawo, a potem spojrzała w górę, w stronę okien na piętrze. W jednym z nich zobaczyła ciemny cień.

W dół spoglądał Rick Carson, ale nie patrzył na nią. Podążyła za linią jego wzroku i jęknęła. Jasny gwint! Stojący na patio Devon obejmował Jordan. Kiedy stanęła przy nich, Jordan oderwała głowę od piersi mężczyzny.

- Co się dzieje? - spytała.

- Niezłe przedstawienie odstawiacie przed naszym detektywem. Nie odwracajcie się teraz. Rick Carson obserwuje was z okna swojej sypialni i Bóg jeden wie, co sobie myśli.

RS

5

Rick zdecydowanie nie pasował do towarzystwa. Po pierwsze, był nieodpowiednio ubrany. Ale skąd miał wiedzieć, że trzej pozostali mężczyźni przyjdą w garniturach? Doszedł do wniosku, że nie ma to znaczenia. W końcu był pracownikiem, a nie gościem, i nie zdziwiłby się wcale, gdyby kazano mu jeść w kuchni z Tobiaszem i Vadonną. Wchodząc do jadalni, przesunął dłonią po twarzy. Powinien się ogolić, bo chociaż zrobił to rano, na policzkach znów pojawił się zarost. Miał na sobie džinsy, niebieską bawełnianą koszulkę w paski i lekką, brązową sztruksową marynarkę. Jedyne garnitur, jaki miał, ten, który włożył na wczorajszy pogrzeb, zostawił w pralni, wyjeżdżając z miasta.

Przebiegł wzrokiem siedzących przy stole i natychmiast zauważył, że brakuje Jordan. Kiedy tak przyglądał się stołowi, nakrytemu na dziesięć osób, poczuł zapach słodkich, pewnie drogich perfum.

- No, kochany, sterczysz tu jak złamany paluch - szepnął mu do ucha czyjś kobiecy głos.

Odwrócił się i spojrzał na podstarzałą tlenioną blondynkę, która uśmiechała się do niego szelmowsko, jakby znała wszystkie jego sekrety. Jej śmiech wydostawał się z głębi gardła i był szorstki i niski jak u wieloletniego palacza.

- Chyba widzieliśmy się wczoraj. - Rick uniósł brwi i uśmiechnął się do kobiety, która była dobre dwadzieścia lat starsza od niego. - Jestem Rick Carson z Prywatnej Agencji Detektywistycznej Powella.

Ujęła jego dłoń i przytrzymała. Uśmiech podkreślił zmarszczki wokół oczu i warg. Linie śmiechu. Ta kobieta na pewno dużo się w życiu śmiała.

- A ja jestem Roselynn Harris. Mama Jordan. - Spojrzał na nią pytająco. - Właściwie macocha - wyjaśniła. - Wyszłam za jej ojca, kiedy miała dwanaście

lat. Ale kocham tę dziewczynę jak własną córkę, kocham tak samo jak Tammy i J. C.

- Tammy i J. C?

- Moje własne dzieci. Ojciec Jordan adoptował mojego syna i córkę. Był dobry. Jordan ma to po nim. - Wskazała najpierw drobną brunetkę o brązowych oczach stojącą samotnie w rogu. Nieładna Tammy, ze smutną miną, najwyraźniej poczuła wzrok matki i odwróciła się do niej z szeroko otwartymi oczami. - Dałam jej na imię Tammy po Tammy Wynette. Wie pan, tej królowej country. Miała taki przebój *Stand by Your Man*. - Roselynnę rozejrzała się po jadalni i zatrzymała wzrok na szczupłym blondynie, który rozmawiał z dwiema nastolatkami. Byli tak do siebie podobni - szczupli, wysocy, z ciemnymi włosami i oczami - że mogliby uchodzić za bliźnięta.

- To mój syn. - Roselynnę wskazała na blondyna. - Mój J. C, moja radość i duma. Nazwałam go po królu country, Johnnym Cashu. Mojego pierwszego męża poznałam, kiedy zaczynałam karierę piosenkarki country. - Ściszyła głos do szeptu. - Wpadłam i wyszłam za przystojnego obiboka.

- Bywa - skwitował Rick. - A te bliźniaki, które rozmawiają z pani synem?

- Ci dwoje? To Kendra i Wes Brannonowie. Nie są bliźniakami, po prostu rodzeństwem. Ona ma osiemnaście lat, a on dwadzieścia. To pasierbowie Jordan.

- Byli tu na Wielkanoc, kiedy zmarł senator Price, prawda?

- Tak, wydaje mi się, że tak. W tamten weekend wszyscy się zjeżdżali i rozjeżdżali. Przyjechali z uczelni. On studiuje w Auburn, a ona na uniwersytecie stanowym Georgii, tam gdzie studiowała Jordan.

- Powiedziała pani, że wtedy ludzie się zjeżdżali i rozjeżdżali. Orientuje się pani, czy wszyscy tu obecni byli w domu tamtej nocy, kiedy zmarł Dan Price?

Roselynnie nie odpowiedziała od razu, co chyba nie zdarzało się jej zbyt często. Rick miał wrażenie, że należy do ludzi, którzy rzadko tracą czas na zastanawianie się nad tym, co mówią.

- Devon jest... był asystentem Dana. Mieszkał razem z Jordan i Da-nem. A Rene... - Wskazała atrakcyjną brunetkę pogrążoną w rozmowie z Devonem Markhamem. -... jest asystentką Jordan i też tutaj mieszka, wtedy, kiedy są w Georgii. Pochodzi chyba z Waszyngtonu.

- A pani i dzieci? Gdzie mieszkacie na stałe?

- Zabawia się pan w detektywa?

- Nie zabawiam się, pani Harris. To moja praca.

- Mów mi Roselynnie. - Uśmiechnęła się promiennie. - Wszyscy są ze mną na „ty”.

Jasne, był się w stanie założyć, że spoufalała się z każdym mężczyzną, którego poznała.

- Dobrze, Roselynnie, gdzie więc... ?

- J. C. sporo podróżuje, ale kiedy jest na miejscu, zatrzymuje się u mnie. Tammy ma trochę kłopotów ze zdrowiem, potrzebuje opieki, chyba wiesz, co mam na myśli. - Roselynnie puknęła się w prawą skroń. - Moja córka jest nadpobudliwa i nerwowa.

Czyżby Roselynnie w ten matczyzny sposób chciała powiedzieć, że jej córka jest psychicznie nieźrównoważona?

- Dzieciaki Jordan są na studiach, ale ich dom jest tam, gdzie mieszka Jordan. Uwielbiają ją, jak my wszyscy.

- Słyszałem, że uchodzi niemal za świętą?

- Dla mnie tak. - Oczy Roselynnę zasłży mgłą. - Kocha ją każdy, kto ją poznał. Możesz mi wierzyć. Nie znajdziesz ani jednego człowieka, który powiedziałby o niej złe słowo.

- Ciężko mi w to uwierzyć. Wrogów mają nawet święci.

- Ale nie nasza Jordan - oznajmiła uroczyście Roselynnę.

- Co mu opowiadasz o Jordan? - Kobieta, która właśnie pojawiła się przed nimi, gniewnie i z wyższością spojrziała na Roselynnę.

- Pani Harris mówiła mi właśnie, że Jordan jest święta - wyjaśnił Rick.

Kobieta spojrziała na niego przenikliwie małymi, ciemnymi oczami.

Patrzyła na niego z góry, zadzierając szczupły, orli nos, i najwyraźniej dawała mu do zrozumienia, że jest stworzeniem niższej kategorii.

- Nazywam się Rick Carson, jestem detektywem, którego pani Price i jej szwagier wynajęli do przeprowadzenia śledztwa w sprawie śmierci senatora Price'a. - Rick wyciągnął rękę.

Przez pół minuty gniewnie przyglądała się jego dłoni, jakby zastanawiała się, czy przypadkiem nie jest zakażona. W końcu chwyciła go za rękę i mocno, stanowczo nią potrząsnęła.

- Jestem Darlene Wright... - Zawahała się, jakby nie była pewna, co je łączy. -... Przyjaciółka. Należałam do tego samego bractwa studenckiego, co Helene, matka Jordan. Przyjaźniłyśmy się. Traktuję Jordan jak córkę, a ona mnie jak matkę. - Spojrzała z ukosa na Roselynnę, sprawdzając, czy odważy się jej sprzeciwić.

- Wygląda na to, że pani Price jest wyjątkową szczęściarą, skoro ma dwie matki.

Żadna z kobiet nie zdążyła zareagować, bo w pokoju nagle rozległ się szmer i wszyscy odwrócili wzrok w stronę drzwi. Do jadalni weszła Jordan. Jej

wejście wywołało takie wrażenie, jakby w jadalni zjawiała się królowa angielska albo anioł z nieba.

Jakim cudem drobna, krucha kobieta zaskarbiła sobie takie uczucia?

Czyżby źle ją ocenił? Czy faktycznie jest suką bez serca, która nie uroniła ani jednej łzy na pogrzebie męża? Czy raczej piękną, bezradną wdową, którą instynktownie pragnął pocieszyć? A może niewierną żoną, która miała romans z asystentem męża? Albo ubóstwianą córką dwóch matek? Czy Jordan Price faktycznie jest kandydatką na świętą, czy też bezduszną morderczynią?

Rick przyglądał się, jak wokół Jordan gromadzi się wianuszek wielbicieli. Chociaż widzieli ją całą i zdrową, wyrażali niepokój. Wyglądało na to, że wszystkim na niej zależy, bo ona... Rick odniósł dziwne wrażenie. Wydawało mu się, że wszyscy wysysają z niej siły i energię, a jej blask rozprasza ich mroki.

Skąd mi przyszła do głowy taka dziwaczna myśl? Jej blask rozprasza ich mroki. Trochę się zagalopowałeś, Carson. Lepiej uważaj, bo stąpasz po grząskim gruncie.

Jordan przedarła się przez gromadę wielbicieli i podeszła do niego. Przystanąła, kiedy znalazła się na wyciągnięcie ręki.

- Dobry wieczór, panie Carson... Rick.

- Jordan. - Skinął głową.

- Mam nadzieję, że sypialnia ci odpowiada. Jeżeli nie, to...

- Pokój jest w porządku. Dzięki.

- Przepraszam, że musieliście na mnie czekać - zwróciła się do zebranych. -

Rozmawiałam przez telefon z gubernatorem. Chciał mnie poinformować, że umówił Gary'ego Wernetha, który ma odczytać testament Dana. On... - Głos jej zadrżał. Zamknęła oczy i pochyliła głowę.

Wszyscy rzucili się w jej stronę, gotowi ją wesprzeć albo przytrzymać, gdyby miała zemdleć. Kendra Brannon pierwsza objęła i przytuliła macochę. Jordan odwzajemniła uścisk.

- Siadajcie, proszę - odezwała się, wyzwalając się z objęć Kendry. - Poinformuję Vadonnę, że może podawać kolację.

Przez półtorej godziny, które zajęło zjedzenie czterodaniowej kolacji, Jordan robiła wszystko, żeby każdy czuł się swobodnie. Rick został posadzony pomiędzy Rene Burke, asystentką Jordan, a Darlene Wright. Obie odnosiły się do niego z serdecznym szacunkiem, ale żadna nie okazywała nadmiernej sympatii. Siedząca naprzeciw Tammy Harris odzywała się tylko wtedy, gdy ją o coś zapytano, i nieśmiało spoglądała na Ricka, kiedy wydawało jej się, że na nią nie patrzy. Jordan w miarę możliwości włączała Ricka do rozmowy, podobnie jak jej macocha, Roselynn, przez większość czasu nikt jednak nie zwracał na niego uwagi. Prawdopodobnie był dla nich piątym kołem u wozu. Nikt z rodziny i przyjaciół Jordan nie był wobec niego otwarcie niegrzeczny, ale wyczuwał niechęć połączoną z zaciekawieniem.

Po kolacji, kiedy wszyscy wstali od stołu i zaczęli krążyć po pokoju, Jordan odciągnęła go na bok.

- Spotkasz się ze mną i z Devonem w gabinecie? - spytała.

- Oczywiście.

Skinęła Markhamowi, który stał pośrodku pokoju, przyglądając się im i czekając. Jest na każde jej skinienie, pomyślał Rick. Ilu biedaków takich jak przystojny, młody asystent jej męża miała na zawołanie?

Rick z Markhamem ruszyli za Jordan, która zaprowadziła ich do swojej prywatnej pustelni. Zamknęła drzwi, wyciągnęła rękę i ujęła dłoń Markhama w

swoje. Rick przeniósł wzrok z ich dłoni na twarze. Nie wiedział, o co w tym wszystkim chodzi, ale nie miał wątpliwości, że mają na myśli to samo.

- Chcę od razu coś wyjaśnić - zaczęła Jordan. - Nie musisz dociekać, co mnie łączy z Devonem. Nie trać czasu, lepiej poświęć go na to, żeby się dowiedzieć, czy Dan został zamordowany, a jeśli tak, kto to zrobił.

- Mam rozumieć, że każesz mi nie...

- Jordan i ja nie jesteśmy kochankami - oznajmił Markham. Dobry bajer, pomyślał Rick.

- Skoro pan tak twierdzi...

- Devon i ja znamy się od dziecka - wyjaśniła Jordan. - Odkąd pamiętam, był moim najlepszym przyjacielem, w podstawówce i w liceum. Ale nie jesteśmy kochankami. I nigdy nie byliśmy.

- W porządku. Nie jesteście kochankami, po prostu dobrymi przyjaciółmi. Rozumiem.

- Jeśli rozważa pan inne scenariusze, w których Jordan i ja zabijamy Dana, to niech pan sobie nie zawraca nimi głowy - powiedział Markham. - Oboje kochaliśmy Dana, Żadne z nas nigdy w życiu nie zrobiłoby mu krzywdy.

- A kto mógł chcieć go skrzywdzić? - spytał Rick. - Pani Price twierdzi, że nie przychodzi jej do głowy nikt, kto miałby powód, żeby go zabić. Jej zdaniem, ani rozżalona była żona Dana, ani łasy na pieniądze J. C. nie posunęliby się do zabójstwa. Co pan na to, panie Markham?

Devon Markham, przystojny jak amant filmowy, zarumienił się, ale całkowicie panował nad emocjami.

- Zgadzam się z Jordan. Rozwód był dla Jane Anne trudny, ale w końcu ona i Dan zostawili przeszłość za sobą. Nie powiedziałbym, że się przyjaźnili, ale na pewno nie byli wrogami. Co do J. C... Jest uroczym facetem, ale... - Markham

spojrzał na Jordan i wzruszył ramionami. - Podejrzany może być tylko dlatego, że należy do rodziny Jordan. Ale to fałszywy trop i strata czasu.

- Cóż, dzięki za informacje - odezwał się Rick. - Nikt nie chciał śmierci Dana Price'a, a jednak Price nie żyje. Możliwe, że ktoś zadał sobie wiele trudu, żeby upozorować samobójstwo. - Wskazujący palec prawej ręki kierował to na Jordan, to na Markhama. - Wy dwoje jesteście dobrymi przyjaciółmi, ale nie kochankami, nie powinienem więc marnować czasu na podejrzenia, że senatora z niewyjaśnionych pobudek zabiło któreś z was albo oboje razem. Czy wszystko dobrze zrozumiałem?

- Niech pan posłucha, panie Carson. - Markham puścił dłoń Jordan i stanął przed Rickiem. - Nic nie usprawiedliwia pańskiego obraźliwego zachowania. Przez kilka ostatnich tygodni Jordan przeszła tyle, że nie będzie już znosić pana bezczelności.

Rick spojrział jej w oczy. Wielki błąd. Miała żalowaną minę smutnej, bezbronnej istoty, która rozpaczliwie potrzebuje pociechy. I niech go Bóg ma w swojej opiece - chciał jej dać więcej niż pociechę.

- Nic się nie stało, Devon. - Jordan położyła dłoń na ramieniu Markhama. - Naprawdę. Pan Carson... Rick, na pewno tylko odgrywał rolę adwokata diabła. Nie chciał nikogo obrazić. - Delikatnie i czule ścisnęła Markhama za ramię. - Zostawisz nas samych? Rick i ja musimy omówić kilka innych kwestii.

Markham spojrział na nią pytająco, najwyraźniej obawiając się zostawić ją sam na sam z Rickiem.

- Jesteś pewna?

- Tak.

Markham spojrział gniewnie na Ricka, posłał mu milczące, ale wymowne ostrzeżenie, po czym niechętnie wyszedł z pokoju.

Kiedy zostali sami, Jordan zamknęła oczy i westchnęła.

Efektowne. Słodka i bezradna. A ja przy niej, moje silne męskie ramię, na którym może się wesprzeć. Boże, czy ona mnie ma za idiotę?

- Od tej chwili wszystkie nieczyste zagrania, na jakie masz ochotę, kieruj pod moim adresem - oznajmiła. - Devona nie tykaj. Ja zniosę wszystko, co mi zgotują ty, ludzie, życie. Ale Devon nie. Śmierć Dana była dla niego prawdziwym ciosem. Wiem, że ktoś taki jak ty nie potrafi wyobrazić sobie, że mężczyzna jest aż tak wrażliwy, ale Devon w tej chwili jest bezbronny. Jeżeli zrobisz mu krzywdę...

- Co masz na myśli, mówiąc „ktoś taki jak ty”?

- Twardziel. Macho, który jest z tego dumny.

- Jak widać, nie tylko ja wyrobiłem sobie zdanie pod wpływem intuicji.

Wczoraj uznałem cię za bezduszną sukę, a dzisiaj ty dochodzisz do wniosku, że jestem neandertalczykiem, kupą mięśni bez mózgu i uczuć. - Przysunął się do niej, a ona cofnęła się o krok, potem zatrzymała się i stała nieruchomo.

- Skoro ty się mylisz co do mnie, może i ja pomyliłem się co do ciebie - stwierdził, spoglądając na nią z góry. Dzieliły ich milimetry.

- A mylę się co do pana, panie Carson?

- Poniekąd. A czy ja się mylę co do pani, pani Price?

- Sam sobie odpowiesz, kiedy się lepiej poznamy.

Robił, co mógł, żeby jej nie dotknąć. Problem jedynie w tym, że właściwie nie wiedział, czy chce ją pocałować, czy zbić na kwaśne jabłko.

Kiedy Rick wyszedł z gabinetu, Jordan zamknęła drzwi i zgasiła światła. Zostawiła zapaloną tylko jedną lampkę na biurku. Podeszła do okna i wyjrzała w mrok. Nagromadziło się w niej tyle bólu, że nie umiała dłużej tłumić go w sobie i po raz pierwszy od śmierci Dana chciała dać mu upust. Przestała za wszelką cenę

nad nim panować i na chwilę poddała się rozpacz. Stała samotnie w ciemności i drżała pod wpływem ogarniającego ją smutku, bo nie mogła płakać. Cierpiała z powodu Dana, przyszłości, która nigdy nie nastanie, i przeszłości, której nie da się zmienić.

Zamknęła oczy i jęknęła cicho. Chciała krzyknąć, rzucać gromy, kląć, na czym świat stoi. Czy gdyby mogła, cofnęłaby czas o kilka tygodni i zmieniła przeszłość? Dla dobra ich dziecka?

Ile lat mógłby spokojnie przeżyć Dan? Rok? Pięć? Już się tego nie dowiedzą. Jego przedwczesna śmierć uratowała ich wszystkich, choć jednocześnie czas z nich zadrwił. Ona, w przeciwieństwie do Devona, widziała obie strony medalu. Jeżeli z tego powodu jest bezduszną suką, jak zarzucił jej Rick Carson, to faktycznie zasługuje na taką ocenę. Życie nie jest czarno-białe, ma różne odcienie szarości. Ludzie nigdy nie są całkiem dobrzy albo całkiem źli, noszą w sobie dobro i zło w miliardach różnych proporcji.

Czy życie i okoliczności zniszczyły w niej czyste i dobre serce? Czy naprawdę stała się bezduszną suką, która jest w stanie przyznać, choćby tylko sama przed sobą, że dzięki śmierci Dana uwolniła się od kłamstwa, w jakie zamieniło się jej życie?

Wybacz mi, Dan. Proszę, wybacz.

Oboje zasługiwaliśmy na coś o wiele lepszego niż to, na co przystaliśmy - małżeństwo bez namiętności, małżeństwo które wiedzie podwójne życie - jedno na pokaz, drugie prawdziwe.

Opadła na najbliższe krzesło, pochyliła się i ukryła twarz w dłoniach, żeby stłumić szloch. Chciała się rozplakać, marzyła, żeby z jej oczu popłynęły oczyszczające łzy, które wypłakałaby do końca. Płacz przyniósłby jej ulgę.

Skuliła się w wielkim, wyściełanym fotelu, zdjęła z poręczy złożony pled, rozłożyła go i owinęła się nim.

Jutro rano zacznie myśleć o tym, co ją czeka - o odczytaniu testamentu Dana, prywatnym dochodzeniu w sprawie jego śmierci, Garym Wernecie, który zajmie w senacie miejsce Dana, o tym, jak utrzymać liczną rodzinę, urodzić dziecko, które nie ma ojca, i jak pogodzić się z tym, że resztę życia spędzi bez miłości.

Dziś wieczorem nie musi być silna i odważna. Nie musi dźwigać na barkach ciężaru całego świata. Nie musi czuć się winna ani obwiniać się za to, co się stało.

Musi po prostu przeżyć kolejną noc.

Zapukała delikatnie do drzwi. Martwiła się o Jordan. Devon powinien z nią zostać. Zawsze był dla niej wsparciem, pomagał jej przeżyć wszystkie tragedie. Ale tym razem nie jest w stanie dać jej tego, czego potrzebuje, bo sam boleśnie przeżywa stratę. Kochał Dana jak wszyscy. Co stanie się z nimi teraz, kiedy go zabrakło? Jeśli nie zmienił w secrecie testamentu, jedną trzecią ogromnej fortuny odziedziczy Jordan. Gdyby zdążyła powiedzieć mu o dziecku, które nosi, pewnie inaczej podzieliłby majątek. Całkiem możliwe, że bystry prawnik zgłosi zastrzeżenie do testamentu i upomni się o część majątku Dana dla jego syna lub córki. Ale bez względu na to, co Jordan postanowi zrobić ze swoją częścią spadku, ona nie musi się martwić. Jordan na pewno o nią zadba. Zadba o nich wszystkich, tak jak robiła to przez lata.

- Jordan... Jordan, nic ci nie jest? - Nacisnęła klamkę i zorientowała się, że drzwi są zamknięte na klucz. O, Boże, to niedobry znak.

- Jordan, wpuść mnie. Porozmawiamy. Jordan, proszę...

Cisza.

- Może czegoś ci potrzeba... Tak bardzo mi przykro z powodu Dana.

Dlaczego nie odpowiada? Nigdy nie odsuwała jej w ten sposób.

- Kocham cię, Jordan, bardzo cię kocham. Wiesz, że dla ciebie zrobiłabym wszystko. Dosłownie wszystko.

Żadnej reakcji.

Przycisnęła czoło do zamkniętych drzwi i oparła obie ręce o futrynę.

- Nigdy cię nie opuszczę. Przyrzekam, możesz na mnie liczyć, dopóki będę żyć.

O wpół do dziesiątej wieczorem Rick odebrał telefon od koleżanki z Agencji Powella, Maleah Perdue.

- Rano przefaksuję ci wszystko, co zebraliśmy - powiedziała Maleah. - Ale chcę ci przekazać coś, co wydało się nam interesujące.

- Dawaj - powiedział Rick.

- Wymyśliłam pewną teorię na podstawie wstępnych informacji. Zobaczymy, czy się zgodzisz, kiedy przedstawię ci dowody.

- Dowody? Mówisz tak, jakbyś się dowiedziała, kto jest zabójcą.

- Przecież nie mamy stuprocentowej pewności, że senator Price został zabity, prawda?

- Stuprocentowej nie - przyznał Rick.

- Jeżeli rzeczywiście został zamordowany, na tym etapie dochodzenia fakty wskazują, że zabiła go żona.

Rick zeszywniał.

- Na jakich dowodach się opierasz?

- Wiesz już, że Daniel Price nie był pierwszym mężem Jordan, prawda?

- Tak. I co z tego?

- Kiedy wychodziła za senatora, była wdową, a teraz, w wieku trzydziestu czterech lat została wdową po raz drugi - wyjaśniła Maleah.

- Właściwie, owdowiała trzykrotnie.

- Mów jaśniej.

- W wieku dwudziestu jeden lat była zaręczona z mężczyzną, który nazywał się Robby Joe Wright. Trzy tygodnie przed ślubem zginął w wypadku samochodowym. Kilka lat później, przed trzydziestką, straciła pierwszego męża, Boyda Brannona, który zginął na polowaniu, a teraz kolejny mąż prawdopodobnie popełnił samobójstwo. Dziwne, nie uważasz? Trzej mężczyźni, którzy kochali Jordan Price, nie żyją.

- Chcesz powiedzieć, że zabiła wszystkich trzech?

- Niewykluczone. Mam zamiar pokopać głębiej, żeby się dowiedzieć, czy skorzystała finansowo na śmierci Robby'ego Joe Wrighta i Boyda Brannona.

Założysz się, że tak? Powiedzmy, o pięćdziesiąt dolców.

Rick poczuł dziwny skurcz w dole brzucha.

- Założyłbym się, gdybym był pewien, że jest niewinna.

- Ale nie jesteś, prawda? Tak samo jak ja zastanawiasz się, czy Jordan Price nie jest przypadkiem czarną wdową.

6

Pierwszej nocy w Price Manor Rick spał źle, dręczony dziwnymi snami. Budził się, wstawał i chodził po pokoju. Nie do końca podobał mu się pobyt w starej posiadłości. Nie wierzył w duchy, ale niewiele brakowało, by zaczął się rozglądać za zmarłym senatorem. Przynajmniej miałby okazję zapytać Dana Price'a, kto go zabił.

Mógłby przysiąc, że kilka razy słyszał kroki za drzwiami sypialni. A raz obudził się śmiertelnie przerażony, bo wydawało mu się, że słyszy krzyk. Kiedy wyrzwał na korytarz, okazało się, że jest pusto i cicho. Najwidoczniej nękały go koszmary.

Nie dawało mu spokoju to, co na temat Jordan powiedziała Maleah. W ciągu dwunastu lat straciła dwóch mężów i narzeczonego. Wszyscy zginęli tragicznie. Cóż, nie można wykluczyć, że po prostu miała pecha w miłości. Ale jakie jest prawdopodobieństwo, że kobieta, która nie skończyła jeszcze trzydziestu pięciu lat, pochowała trzech mężczyzn, którzy ją kochali?

Gołąc się i biorąc prysznic, Rick wymieniał sobie wszystkie powody, dla których nie powinien wyciągać pochopnych wniosków ani zakładać, że Jordan zamordowała męża. Później rozważył wszystkie logiczne powody, dla których mogła zamordować trzech mężczyzn. Zanim zdążył się ubrać i zejść na śniadanie, doszedł do jednego wniosku - powinien zadzwonić do Nicole i poprosić, żeby do tego zlecenia wyznaczyła kogoś innego. Powód był prosty - o morderstwo podejrzewał zleceniodawcę. Zanim jednak zadzwoni do Nicole, musi porozmawiać z Jordan. Czeka na jego pierwszy raport, może więc przedstawić jej informacje i dać szansę obrony.

Wchodząc do jadalni, kątem oka dostrzegł Tobiasa.

- Dzień dobry, panie Carson. - Tobias skinął głową, wnosząc srebrny czajnik z kawą. Postawił go na srebrnej tacy na kredensie.

- Czy pani Price już zeszła?

- Tak, proszę pana. Pani Jordan jest w swoim gabinecie.

- Dziękuję.

Spojrzał na zegarek i ruszył w stronę gabinetu Jordan znajdującego się na tyłach domu. Wpół do ósmej. Najwyraźniej, podobnie jak on, była rannym ptaszkiem. Na dole nie było nikogo oprócz służących. Zastanawiał się, ile osób zostało tu na noc, a ile pojechało do siebie.

Kiedy znalazł się pod drzwiami, usłyszał dobiegające z gabinetu głosy, ale nie słyszał poszczególnych słów. Drzwi były przymknięte, przystanął więc i słuchał, nie zdradzając swojej obecności.

- Nie musisz tego robić dzisiaj - odezwał się kobiecy głos.

Miał wrażenie, że to głos Rene Burke, ale nie miał co do tego stu-procentowej pewności.

- Im szybciej, tym lepiej - odparła Jordan. - Im dłużej będziemy czekać, tym więcej może się pojawić spekulacji na temat tego, kto jest ojcem dziecka.

Dziecka? Jakiego dziecka?

- Masz rację - przyznała Rene. - Przygotuję oświadczenie dla prasy, chyba że chcesz to ogłosić osobiście.

- Nie, myślę, że nie wypada, żebym występowała publicznie tak szybko po śmierci Dana. Napisz, że jestem bardzo szczęśliwa i że Dan i ja bardzo tego dziecka pragnęliśmy.

Rick poczuł, jakby dostał obuchem w głowę. Jordan Price jest w ciąży!

- Gdyby Dan wiedział... - zaczęła Rene. - Dzięki temu zawsze będziesz miała przy sobie jego cząstkę. I my wszyscy. Nikt, kto cię zna, nie będzie kwestionował tego, kto jest ojcem dziecka.

- Dziękuję, że to mówisz. Od tej chwili najważniejsze jest dla mnie dziecko. To ono jest na pierwszym miejscu. Zrobię wszystko, żeby je chronić i zapewnić mu najlepsze życie, chociaż Dan już mi w tym nie pomoże.

- Wzorem do naśladowania będzie dla niego Devon i wujek Ryan, a my wszyscy będziemy je kochali. Będzie dorastać, wiedząc, że jego ojciec był porządnym człowiekiem.

Rick zapukał w uchylone drzwi i otworzył je na oścież.

- Przeszkadzam? Jeżeli tak, przyjdę później.

Obie kobiety odwróciły się szybko w jego stronę, najwyraźniej zaskoczone tym wtargnięciem.

- Nie, możesz wejść - powiedziała Jordan. - Rene właśnie wychodzi. - Odwróciła się do asystentki. - Chciałabym przeczytać oświadczenie, zanim przekażesz je prasie.

- Oczywiście. - Rene minęła Ricka, posyłając mu wymuszony uśmiech, i wyszła z pokoju.

- Masz ochotę na kawę? - Jordan wskazała dzbanek na biurku.

- Niestety, jest bezkofeinowa. A jeśli wolisz gorącą herbatę...

- Może być kawa, ale z tym się nie spieszymy. Przyszedłem przekazać raport.

- Tak, oczywiście. Nie spodziewałam się, że już dzisiaj coś będziesz wiedział.

Rick zmierzył ją od stóp do głów. Nie było widać, że jest w ciąży, brzuch ani trochę nie był zaokrąglony. Była szczupła i blada. Zbyt blada. Kobiety w ciąży podobno promienieją?

Jak ma przedstawić swoje podejrzenia ciężarnej kobiecie? Przecież już ją pytał, czy zabiła męża, i odpowiedziała mu, że nie. Jak ma jej powiedzieć, że straciła już dwóch mężów i narzeczonego i że jego zdaniem jest mało prawdopodobne, by wszyscy trzej zginęli w nieszczęśliwych wypadkach? Nie miał zamiaru jej niepokoić, zwłaszcza w obecnym stanie.

- Chyba powinnaś wiedzieć, że słyszałem twoją rozmowę z panią Burke - wyznał. - Nie całą, ale dowiedziałem się, że jesteś w ciąży.

- Ciąża nie jest tajemnicą. - Westchnęła i skinęła lekko głową.

- Rodzina i bliscy przyjaciele już wiedzą. Dzisiaj, po oświadczeniu prawnym, dowiedzą się wszyscy.

Rick zerknął na jej płaski brzuch.

- Nie widać. To chyba początek?

- Szósty tydzień.

- Senator nie wiedział, że jesteś w ciąży?

- Nie. Miałam zamiar powiedzieć mu tego ranka, kiedy znalazłam go w gabinecie.

- Chcesz tego dziecka, prawda? Słyszałem, jak mówiłaś, że jest dla ciebie najważniejsze.

- Chcieliśmy mieć dziecko. Dan i ja. Żałuję tylko, że nie zdążyłam... - Przełknęła z trudem ślinę.

Rick zacisnął zęby. Sprawiała wrażenie naprawdę smutnej.

- Dan byłby takim dobrym ojcem... W ogóle był dobrym człowiekiem. Łagodnym i troskliwym. Bardzo kochałby to dziecko.

Kiedy bezwiednie położyła na brzuchu dłoń, w delikatnym, opiekuńczym geście, Rick zrozumiał, jak wiele znaczy dla niej dziecko. To było nieudawane, głębokie uczucie. A skoro kochała dziecko Dana Price'a, kochała chyba i jego?

- Co mogę dla ciebie zrobić? - Zrobił niepewny krok w jej stronę, rozpaczliwie pragnąc wyzwolić ją od bólu, jaki dostrzegł w jej oczach.

- Przepraszam, panie Carson... Rick. - Jordan usiłowała się uśmiechnąć. - Nic mi nie jest. Naprawdę. Przyszedłeś, żeby zdać mi raport, prawda? - Zmieniła temat.

Przyglądał się, jak nalewa sobie bezkofeinowej kawy z dzbanka na biurku. Wypiła mały łyk.

- Właściwie nie mam żadnych nowych informacji - powiedział. - Niczego, o czym byś nie wiedziała.

Wypiła kawę i odstawiła filiżankę na biurko.

- Mam wrażenie, że jednak chciałeś mi coś powiedzieć.

- To może poczekać.

- Usiądziesz? Napij się kawy i powiedz to, co masz do powiedzenia.

Do tej pory nie miał do czynienia z kobietami w ciąży. Nie był żonaty ani nie miał dziecka. Siostra była od niego starsza, a więc matki w ciąży nie widział. A siostra większość życia poświęciła robieniu kariery i wyszła za mąż dopiero dwa lata temu. W zeszłym roku adoptowali z mężem dziesięciolatka.

Nie usiadł. Podszedł do Jordan i spojrzał jej prosto w oczy.

- Wczoraj wieczorem dostałem informacje z Agencji Powella.

- Jakie informacje? - spytała z niewinną miną.

- O tobie.

Nie drgnął jej ani jeden mięsień twarzy. Zaskoczenie ujawniło się tylko w lekkim mrugnięciu powiek.

- Poprosiłeś o informacje na mój temat?

- To standardowa procedura. Dostanę też informacje o Rynie, prawdopodobnie dzisiaj.

- Dowiedziałeś się z nich czegoś interesującego, co cię utwierdza w podejrzeniach?

- Przeżyłaś kilka tragedii.

Podejrzewał, że Jordan wkłada sporo wysiłku w to, żeby nie odwrócić wzroku i nadal patrzeć mu w oczy.

- Nie jest tajemnicą, że Dan był trzecim mężczyzną, którego kochałam i straciłam. Mój narzeczony zginął w wypadku samochodowym na krótko przed planowanym ślubem. Miałam dwadzieścia jeden lat. Pierwszy mąż został zabity w wypadku na polowaniu zaledwie dwa lata po ślubie. A teraz Dan... Ani Robby Joe, ani Boyd nie zostali zamordowani, jeżeli to cię nurtuje.

- Wypadek można upozorować - skwitował Rick, a kiedy spostrzegł, że zrobiła się biała jak kreda, a jej oczy otworzyły się szeroko z przerażenia, pożałował, że nie zachował tej uwagi dla siebie.

Jordan opadła na krzesło za biurkiem tak, jakby nie była w stanie dłużej utrzymać się na nogach. Zaniepokojony Rick zrobił kilka niepewnych kroków w jej stronę.

- Nie, proszę. - Powstrzymała go gestem dłoni. - Nic mi nie jest. Poraziło mnie tylko to, że podobna myśl przyszła ci do głowy.

- Zostałem wynajęty w określonym celu i muszę brać pod uwagę każdy aspekt sytuacji, a to oznacza, że dokładnie zbadam przeszłość. Przeszłość senatora, twoją i wszystkich, którzy mogli mieć sposobność zabicia Dana Price'a.

- Wiem, że wykonujesz swoje zadanie, ale pomyśl, że śmierć Robby'ego Joe albo Boyda nie była wypadkiem, jest niedorzeczny.

- Przykro mi, jeżeli cię zdenerwowałem, przecież jesteś w ciąży - odparł Rick. - Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, powinniśmy się chyba zastanowić, czy nie byłoby lepiej, gdyby Agencja Powella przysłała innego detektywa. Mam wrażenie, że nie nadaję się do tej roboty.

- Nie chcę nikogo innego - zaprotestowała gwałtownie Jordan. -Ja... Nie chcę zaczynać wszystkiego od nowa z kimś innym. Jesteś profesjonalistą, inaczej Nicole nie wyznaczyłaby cię do tego zlecenia. Czy mam rację?

- Tak, *madam*. Ale doszedłem do wniosku, że skoro...

- Nie czuję się urażona twoim podejrzeniem, że mogłam zabić Dana. Na twoim miejscu, pewnie też kwestionowałabym swoją niewinność, zwłaszcza gdybym się dowiedziała, że Dan nie jest pierwszym mężczyzną w moim życiu, który zmarł tragicznie. Ale nie zabiłam Dana. Nie zabiłam też Robby'ego Joe ani Boyda. Nie boję się prawdy, a prawda jest taka, że śmierć Robby'ego Joe i śmierć Boyda to tragiczne wypadki. A jeżeli Dan faktycznie został zamordowany, ja tego nie zrobiłam.

Do licha, wierzył jej, przynajmniej w tej chwili. Sprawiała wrażenie szczerzej, mówiła przekonująco, emanowała od niej słodycz i niewinność. Całym sercem chciał jej wierzyć. Chciał, żeby okazała się zrozpaczoną wdową w ciąży, dla której mąż był naprawdę drogi i która nie zrobiłaby mu najmniejszej krzywdy.

Może nie powinien rezygnować ze zlecenia, tylko zostać i udowodnić sobie, że Jordan nie jest niczemu winna? Przecież właśnie tego chce?

- Czy mógłbyś jeszcze raz zastanowić się nad swoją rezygnacją?

Chciałabym, żebyś został i poprowadził dochodzenie w sprawie śmierci Dana. - Rzuciła mu błagalne spojrzenie, które niemal powaliło go na kolana. Niewiele

brakowało, a zacząłby ją błagać o wybaczenie, że ośmielił się w nią zwątpić.

Cholera, jest dobra. A może po prostu on jest zbyt podatny na jej wdzięki?

- Zastanowię się, czy zostać, jeżeli rzeczywiście tego chcesz.

- Chcę kogoś bezstronnego, kto dowie się prawdy na temat śmierci Dana. -

Posłała mu kruchy, uwodzicielski uśmiech.

Do licha, w tym łagodnym uśmiechu doszukiwał się chyba czegoś więcej niż powinien. Bardzo chciał, żeby znaczył on coś szczególnego, ale doskonale wiedział, że to tylko zwykły uśmiech.

Nie możesz tu zostać. Nie będziesz bezstronny, bo za bardzo ulegasz jej urokowi. Wiesz, że może być sprawczynią trzech morderstw, ale chcesz, żeby okazała się niewinna, bo masz ochotę ją przelecieć.

No, wydusił to z siebie. Przyznał, że myśli rozporkiem, a nie mózgiem. I przypuszczał, że nie jest pierwszym mężczyzną, który mając do czynienia z Jordan Price, traci głowę i ulega pożądaniu.

Nie zdążył odmówić dalszego zajmowania się dochodzeniem w sprawie śmierci jej męża, bo oboje usłyszeli jakieś głośne zamieszanie, krzyki i odgłos szybkich kroków gdzieś w pobliżu.

Co u licha?

Jordan zerwała się z krzesła.

- Co się dzieje? - szepnęła.

Pobiegli w stronę drzwi, Rick tuż za Jordan. Do pokoju wpadła Tammy Harris z rozbieranym wzrokiem, ze łzami spływającymi po policzkach. Złożyła ręce, łapczywie nabierając powietrza.

- Co się stało? - Jordan ujęła drżące dłonie Tammy.

- Pomocy, błagam, pomocy - wyrzuciła z siebie Tammy roztrzęsionym głosem.

- Uspokój się. - Jordan ścisnęła dłonie Tammy. - Wszystko będzie dobrze. Powiedz mi tylko, co się stało.

Nagle rozległ się głośny huk, potem kolejny, i kolejny. Tammy wyrzała przez otwarte drzwi z przerażeniem w oczach.

- Musicie ich powstrzymać, bo się pozabijają - wydusiła z siebie na jednym wzburzonym oddechu.

- Kogo? - spytała Jordan.

- J. C. i Wesa - odpowiedziała Tammy. - Biją się.

- Dlaczego się biją?

- Powstrzymajcie ich, proszę. - Tammy wyszarpnęła dłonie ze stanowczego uścisku Jordan. - Ja tego nie wytrzymam. Nie wytrzymam! Musicie ich powstrzymać, zanim się pozabijają.

- Dobrze, dobrze. Uspokój się.

Tuż za drzwiami gabinetu Jordan wpadła na Kendrę Brannon.

- Jordan, musisz coś zrobić. Wes i J. C. się biją, a wszystko przeze mnie. J. C. trochę ze mną flirtował i Wes dostał szału. Wiesz, że jest nad-opiekuńczy. Myśli, że J. C. jest za stary, żeby flirtować.

- J. C. niewątpliwie jest za stary, żeby z tobą flirtować. Ale Wes nie powinien z tego powodu wszczynać bójki. Chodź ze mną. Natychmiast. - Przeniosła wzrok z Kendry na Tammy. - Musimy opanować sytuację, zanim stanie się coś złego.

- On też ma iść? - Kendra zerknęła na Ricka. - Poradziłby sobie z J. C. i Wesem.

- Mam się tym zająć, pani Price? - spytał Rick. Trochę obawiał się tej bójki.

- Proszę iść z nami - powiedziała Jordan. - Ale ja to załatwię. W tej rodzinie nie od dziś gram rolę rozjemcy.

Zanim dotarli na miejsce, awantura, która zaczęła się w domu, przeniosła się na werandę. W chwili gdy Jordan otwierała drzwi, Wes kopniakiem zepchnął J. C. ze schodów na trawnik.

- W tej chwili skończcie tę idiotyczną bijatykę! - krzyknęła Jordan tonem nieznoszącym sprzeciwu.

J. C, zataczając się, wstał z ziemi. Miał zakrwawioną twarz, jedwabna koszula ociekała potem. Wes przybrał obronną postawę, zionąc czystą nienawiścią.

- Dość! - Jordan przebiegła przez werandę i zbiegła po schodach. Do licha, pakowała się między dwóch rozwścieczonych facetów,którzy najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy z jej obecności. Nie rób tego. Nie pchaj się między nich.

Ale właśnie to zrobiła - znalazła się dokładnie między J. C. i Wesem, którzy zamierzali dalej się tłuc. Rick skoczył za nią, ale nie zdążył wyciągnąć jej z pola bójki.

- Nie wtrącaj się, Jordan - powiedział Wes. - Mam zamiar mu dołożyć, Bóg mi świadkiem. Następnym razem porządnie się zastanowi, zanim dotknie Kendry albo innej dziewczyny, która mogłaby być jego córką.

- Na litość boską, Wes, przecież on mnie tylko pocałował - krzyknęła Kendra. - A ja wcale nie chciałam, żeby przestał!

- Idź stąd. - Jordan spojrzała gniewnie na J. C. - Natychmiast. Idź do domu i nie wychodź. Porozmawiamy później.

J. C. otarł krew z warg.

- Trzymaj tego dzieciaka z dala ode mnie. - Uśmiechnął się z wyższością do Jordan i spojrzał na Kendrę. - Oba te bachory trzymaj ode mnie z daleka!

Wes rzucił się za nim, ale Jordan chwyciła go za ramiona i potrząsnęła. J. C, pogwizdując, ruszył niespiesznie w stronę domu. Wes wyrwał się z uścisku Jordan, najwyraźniej zamierzając go dogonić.

Rick kątem oka zauważył, że przed domem znaleźli się wszyscy domownicy - Roselynn, Darlene, Rene, Devon i oboje służący. Wes wyszarpnął się z uścisku Jordan, popychając ją mocniej niż zamierzał. Rick zorientował się, że Jordan upada. Wes zrozumiał to dopiero w chwili, gdy Rick doskoczył do niej i podtrzymał, żeby nie upadła.

- O, Boże, Jordan, przepraszam - zawołał Wes.

Rick wziął oszołomioną Jordan na rękę. Pierwotny instynkt kazał mu ją chronić przed krążącymi wokół niej sępami.



7

Jordan instynktownie zarzuciła mu ręce na szyję. Oszołomiona tym, co się przed chwilą wydarzyło, patrzyła mu w oczy. Ich spojrzenia się spotkały. Wiedziała, że jak najszybciej musi wyzwolić się z tej bliskości. Nabierała powoli powietrza do płuc, starając się uspokoić oddech, zanim się odezwie.

- Postaw mnie na ziemi.

Rick zawahał się na ułamek sekundy, ale spełnił jej prośbę.

- Dziękuję - szepnęła.

Nie zdążył nic odpowiedzieć, bo natychmiast otoczył ją krąg wielbicieli. Jeden przez drugiego usiłowali okazać troskę. Devon Markham przedarł się przez tłum i niemal odepchnął Ricka.

- Nic ci nie jest? - Na twarzy Devona malowało się prawdziwe zmartwienie.

- Nie. - Poklepała go po ramieniu. - Przedstawienie skończone. Nic się nie stało. Niech wszyscy wracają do domu.

Tobias i Vadonna natychmiast ruszyli w stronę posiadłości, ale nikomu innemu się nie spieszyło. Zaczęli coś szeptać między sobą.

- Zaczekaj, Wes - krzyknęła Jordan do pasierba. - Muszę z tobą porozmawiać. Z tobą też, Kendra. Usiądźcie. Zaraz do was przyjdę. - Odwróciła się do Ricka. - A ty idź na śniadanie i bierz się do pracy. Ja muszę spełnić obowiązki macochy i rozmówić się z nimi, zanim odeślę ich do szkoły.

- Nie chcę się wtrącać, ale najpierw powinnaś chyba porozmawiać ze swoim przyrodnim bratem na temat podrywania nastolatek?

- Nie, ważniejsze są dzieci. J. C. zajmę się później.

Rick zostawił ją, żeby mogła pozalać rodzinne problemy. Jordan wyprostowała się i przeszła przez trawnik, a potem po schodach na werandę. Wes siedział w jednym z wiklinowych foteli zgarbiony, z opuszczoną głową i dłońmi splecionymi między nogami. Kendra chodziła tam i z powrotem. Na widok Jordan przystanąła i popatrzyła na nią błagalnie szeroko otwartymi oczami.

- Po pierwsze, Wes przesadnie zareagował na coś, co nie powinno go obchodzić - oznajmiła.

- J. C. cię pocałował, tak? - Jordan obrzuciła ją groźnym matczynym spojrzeniem.

- Tak.

- Czy wydarzyło się coś poza tym?

- Nie.

- Całował cię już wcześniej?

- Raz.

- Kendro Diane Brannon, masz osiemnaście lat. J. C. trzydzieści sześć.

Policz sobie. Jest dwa razy starszy od ciebie i ma pięć razy więcej doświadczenia. Jest uwodzicielem i kobieciarzem, wykorzystuje kobiety i zmienia je jak rękawiczki.

- Ale...

- Żadnego „ale” - ucięła Jordan. - To nieważne, co ci naopowiadał, i nieważne, co do niego czujesz. Zapomnij o tym.

- Jesteś nie w porządku - jęknęła Kendra, udowadniając tym samym jak bardzo jest niedojrzała.

Może to przez nią Kendra nadal patrzy na świat przez różowe okulary, ale Jordan bardzo chciała chronić ją przed brutalną rzeczywistością jak najdłużej.

Kiedy wyszła za Boyda, Kendra była nieśmiałą, spragnioną matczynego uczucia dziesięcioletnią dziewczynką. W tym samym wieku Jordan straciła matkę. Od razu zajęła się Kendrą, ofiarując jej miłość i uwagę, której rozpaczliwie potrzebowała.

- Jestem tylko rozsądna. Chronię cię, bo cię kocham. Jeśli masz co do tego jakiegokolwiek wątpliwości, mogę ci to przeliterować. Koniec. Po śniadaniu idziesz na górę i pakujesz się. Wracasz do Aten nie w sobotę, ale dzisiaj.

- Jordan, czy naprawdę muszę... - Kendra przerwała i westchnęła głęboko, wręcz teatralnie. - Dobrze, pojedę.

- Wiesz, że robię to, co wydaje mi się dla ciebie najlepsze.

- Tak, mam. Wiem.

- Idź już. Muszę porozmawiać z Wesem. W cztery oczy.

Kiedy Kendra wyszła, Jordan odwróciła się do Wesleya. Nie patrzył nawet na nią, tylko w podłogę. Był już młodym dwudziestoletnim mężczyzną, miał metr osiemdziesiąt i szerokie barki, ale ona nadal widziała w nim chłopca, jakim był, kiedy wychodziła za Boyda - wrogo nastawionego dwunastolatka, który postanowił sobie, że będzie nienawidził macochę. Rok ciężkiej pracy kosztowało ją to, żeby się przełamał i zrozumiał, że ona wcale nie ma zamiaru zajmować miejsca jego matki, że chce mieć w jego życiu i sercu własne miejsce.

- Spójrz na mnie, Wes.

Odważył się zerknąć na nią przelotnie.

- Powinieneś przyjść do mnie, kiedy zobaczyłeś, że J. C. całuje Kendrę. Zajęłabym się tym. Niepotrzebnie rzuciłeś się na J. C, bo obaj poturbowaliście się i zrobiliście aferę na całą rodzinę.

- Nie tylko - mruknął Wes. - Zrobiło mi się bardzo miło, kiedy mu przywalałem.

Jordan z trudem powstrzymała uśmiech.

- Domyślam się. - Położyła mu rękę na ramieniu. - Ja też parę razy miałam ochotę mu przylać, żeby nauczyć go rozsądku.

- Nie rozumiem, po co znosisz tu tego palanta. Wszyscy wiedzą, że to łobuz. Nawet Devon ma o nim jak najgorsze zdanie, a on mało kogo nie lubi.

- J. C. jest moim przyrodnim bratem. Należy do rodziny.

- A nie przyszło ci do głowy, że to on mógł zabić Dana? Pytanie przeraziło Jordan.

- Nie, nie przyszło, bo mimo wszystkich wad J. C. nie byłby zdolny do morderstwa.

- Mylisz się - powiedział Wes. - Wyciągał od Dana pieniądze, a kiedy ostatnim razem Dan się nie ugiął, J. C. się wściekł. Może pomyślał, że kiedy zabije Dana, ty dziedziczysz...

- J. C. nie zabił Dana. Nawet nie wiemy, czy Dan został zamordowany.

- Nie ufaj mu. - Wes wzruszył ramionami. - Jesteś bystra, ale niezbyt obiektywna, jeżeli chodzi o rodzinę i przyjaciół. Proszę, uważaj na niego.

- Dziękuję za troskę.

- Też się pójde pakować. - Wes uśmiechnął się szeroko. - Pewnie chcesz, żebym wyjechał razem z Kendrą.

- Dla twojego dobra. - Objęła pasierba w pasie. - I tak opuściliście dużo zajęć w tym semestrze. Wiem, że chcecie tu mieszkać, bo się o mnie martwicie, ale niepotrzebnie. Wszystko będzie dobrze. Jest ze mną Devon, Roselynn, Darlene, no i Rene.

- Od razu mi lepiej - skwitował sarkastycznie Wes. - Od śmierci Dana Devon jest wrakiem, Roselynn i Darlene same potrzebują opiekunki, a liczyć

możesz tylko na Rene. Na nią i na tego Carsona. Widzę, że go nie lubisz, ale wydaje mi się, że jest w porządku.

- Mnie też się tak wydaje. Jeżeli zdołam go przekonać, że nie jestem czarną wdową, która zabiła dwóch mężów i narzeczonego...

- Żartujesz? Chyba nie sądzi, że zastrzeliłaś Dana, zabiłaś tatę i...

- Jego zadaniem jest odkrycie prawdy - powiedziała Jordan. - Ja też tego chcę, wszyscy chcemy.

- Gdybyś mnie potrzebowała, dzwoń. - Wes przytulił ją i pocałował w policzek. - Chciałbym...

- Co byś chciał, skarbie?

- Chciałbym, żeby ktoś się o ciebie zatroszczył tak, jak ty troszczysz się o nas. Zasługujesz na to, żeby być szczęśliwa.

Wzruszenie ścisnęło Jordan za gardło tak, że nie była w stanie niczego odpowiedzieć. Zresztą w tej chwili czułości między matką a synem słowa nie były potrzebne.

Tammy z rozmachem otworzyła drzwi do domu, w którym mieszkała z matką, i wbiegła do salonu. J. C. zaciągnął się papierosem, a potem wypuścił spiralę dymu. Młodsza siostra wyglądała na rozwścieczoną.

- Co jest, kwiatuszku? - spytał, starając się ją ułagodzić.

- Jak mogłeś? Zupełnie oszalałeś?

- Ja? Nie. W tej rodzinie to ty masz nie po kolei w głowie, nie ja. - Pokręcił palcem wskazującym przy skroni, pokazując, że jest stuknięta.

Żart zdenerwował Tammy.

- Kendra jest pasierbicą Jordan, nie możesz jej mieć.

- Mogę mieć każdą kobietę, którą chcę, a możesz mi wierzyć, że Kendry chcę. Chętnie bym ją rozprawiczył, o ile już nie zrobił tego któryś ze studentów.

A nawet jeśli tak jest, to pokazałbym jej, jaka jest różnica między harcami z młokosem a seksem z prawdziwym mężczyzną.

- Jesteś odrażający. I dobrze o tym wiesz, prawda? Po porodzie mama powinna spakować cię w tobołek i wrzucić do rzeki.

J. C. zachichotał i znów zaciągnął się papierosem.

- Skarbie, to ciebie należało uśpić jak wściekłego psa. Dla mamy i Jordan jesteś tylko ciężarem. - Położył papierosa na popielniczce na stoliku. - Biedna, żałosna, mała Tammy.

Rzuciła się na niego z pazurami i zębami, jak dzikie stworzenie. Zdażyła zadrapać mu policzek, zanim on wykręcił jej oba nadgarstki i zmusił, by uklękała.

- Boli mnie! - krzyknęła.

Przygniatał ją coraz mocniej, aż zaczęła błagać o litość.

- Johnny Cashu Harrisie, co ty wyprawiasz? - krzyknęła Roselynnie, wpadając do pokoju. - Na miłość boską, puść ją!

Poluźnił uścisk, ale nie uwolnił siostry.

- Znów dostała szału. Gdybym jej nie złapał, skończyłoby się czymś gorszym niż podrapana twarz. Jest stuknięta i najwyższa pora, żebyś zamknęła ją tam, gdzie nikogo więcej nie zabije.

Roselynnie doskoczyła do nich, miotając z oczu pioruny. J. C. wstał, podniósł Tammy na nogi, a potem pchnął ją w stronę matki. Tammy wpadła w otwarte ramiona Roselynnie.

- Idź do łazienki i umyj twarz, a ja porozmawiam z J. C. - Roselynnie uspokajała córkę, delikatnie głaszcząc ją i szepcząc do niej czule.

- Dobrze, mamó. - Tammy złagodniała jak baranek.

J. C. nigdy nie mógł pojąć, jakim cudem matce kilkoma słowami i delikatnym dotykiem udawało się zapanować nad Tammy. Poza nią, jedynie

Jordan potrafiła sobie poradzić z jego stukniętą młodszą siostrą. Jordan w ogóle umiała postępować z ludźmi.

- Synu, co mam ci zrobić? - Roselynn odwróciła się do J. C, gdy Tammy zniknęła w łazience. - Nie możesz znęcać się nad siostrą. Ile razy mam ci to powtarzać? A co do tego, że niby kogoś zabiła, nie chcę więcej słyszeć takich bzdur. Rozumiesz?

- To nie bzdury i dobrze o tym wiesz. Chyba przeszło ci przez myśl, że Dana mogła zabić Tammy?

- Zamknij się! Nie ma żadnych dowodów, że Dan nie zabił się sam.

- Ryan Price uważa, że został zamordowany. I ten detektyw Powella, który tu węszy.

- Każdy ma prawo do własnego zdania. Ryan nie potrafi pogodzić się z tym, że Dan popełnił samobójstwo, ale to wcale nie znaczy, że było inaczej. A Rickowi Carsonowi płacą za to, żeby węszył i dowiedział się, co jest grane.

- Chciałbym być przy tym, kiedy odkryje prawdę o małżeństwie Dana i Jordan. - J. C. się roześmiał.

- Nawet jeżeli się dowie, zatrzyma to dla siebie. Takie zasady mają prywatni detektywi.

- A ciebie zupełnie nie ciekawi, skąd się wzięło dziecko? - spytał J. C. - Chyba ciężko zająć w ciążę, nie sypiając z mężem.

- Nie chcę więcej tego słuchać. Dziecko, które urodzi Jordan, jest dzieckiem Dana Price'a i jego spadkobiercą. Jasne?

- Tak, jasne. - J. C. puścił oko do matki. - Może dla dzieciaka dostanie więcej pieniędzy, a wtedy wszyscy będziemy mieli więcej, prawda?

- Ty skąpy, niewdzięczny...

- Mówię, co myślę. - Zmrużył oczy i patrzył na matkę przez kilka sekund. -
A wiedziałaś, że Dan miał Alzheimera?

J. C. przysparza niepotrzebnych problemów. Prawdopodobnie będzie musiała się nim zająć, i to jak najszybciej. Jest członkiem rodziny i z niechęcią myślała o tym, że trzeba się go pozbyć. Dopóki nie stanowił dla nich zagrożenia, tolerowała jego złe zachowanie, usprawiedliwiała karygodne wybryki i nie miała zamiaru go zabijać. Aż do dzisiaj. Stał się ciężarem. Zanim zabiła Dana, wiedziała, że będzie musiała usunąć też J. C. To tylko kwestia czasu. Swoim postępowaniem wyrządzał coraz więcej szkód. Nie mogła dopuścić do tego, żeby nadal szarpał im nerwy, przecież w drodze jest dziecko. A nikt i nic nie jest ważniejsze niż ich dziecko.

Po prostu poczeka na właściwy moment i wtedy zadziała. Musi to wyglądać na wypadek. Szkoda, że zabijając Dana, upozorowała samobójstwo, a nie wypadek, jak kilka razy wcześniej.

Nie ma mowy, żeby zabić J. C. od razu. Po pierwsze, nigdy nie zabijała nikogo bez powodu, trzeba rozważyć wszystkie okoliczności. Kiedy już podjęła decyzję, tak jak w przypadku J. C, zaczynała obmyślać plan. Do tego potrzeba czasu - kilku dni, a nawet tygodni. Powinna uważać, żeby nie ściągnąć na siebie podejrzeń, zwłaszcza po śmierci Dana. A już na pewno nie miała zamiaru ryzykować, mając pod dachem Price Manor prywatnego detektywa.

Ale kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, usunie J. C. z ich życia, podobnie jak usunęła wszystkich innych, którzy ich zdradzili, świadomie lub po prostu zwykłym zrzędzeniem losu.

Jordan pomachała Kendrze i Wesowi na pożegnanie. Cieszyłaby się bardzo, gdyby zostali z nią aż do niedzieli, ale wiedziała, że podjęła słuszną decyzję, odsyłając ich dzisiaj. Nie mogła ryzykować, bo nie wiedziała, czy Kendra

przypadkiem nie okaże się nieposłuszna i nie zacznie zabiegać o względy J. C. Przyrodniemu bratu nie można było ufać, jeżeli chodzi o kobietę, która mu się podoba, a młode, niedoświadczone dziewczyny, takie jak Kendra, podobały mu się wyjątkowo. Jordan aż za dobrze pamiętała, że nieraz do niej uderzał, kiedy była nastolatką. Przez lata skutecznie się od niego opędzała i nie zdołał zrobić jej krzywdy, ale w końcu poskarżyła się Roselynnie. Nie dowiedziała się, co powiedziała czy zrobiła macocha, ale nigdy więcej nie musiała użerać się z J. C.

- Będziemy za nimi tęsknić, prawda? - Darlene podeszła tak cicho, że Jordan podskoczyła. - Kochanie, nie miałam zamiaru cię przestraszyć. Przepraszam bardzo.

- Nic się nie stało. - Jordan uśmiechnęła się do niej. - Dzisiaj jestem chyba trochę zdenerwowana. - Wsunęła rękę pod ramię Darlene. - Tak, będziemy za nimi tęsknić, ale dzięki temu, że odesłałam ich do szkoły, unikniemy na razie większych kłopotów.

- Powinnaś odesłać raczej J. C. - oznajmiła Darlene. - Ten człowiek... - Westchnęła. - Nie znoszę mówić o nikim źle, ale z J. C. są same problemy.

- Wiem, ale najpierw damy szansę Roselynnie. Może sobie z nim poradzi, a jeżeli nie, poproszę go, żeby wyjechał. Jest już u nas dłużej niż zwykle. Prawdę mówiąc, nie spodziewałam się, że zostanie tak długo.

- Czeka na odczytanie testamentu, bo ma nadzieję, że kiedy dostaniesz spadek, będziesz hojna dla niego, Roselynnie i Tammy.

- Chyba masz rację. Może powinnam mu powiedzieć, że o Roselynnie i Tammy się zatroszczę, ale z nim nie chcę mieć nic wspólnego. Nie dostał pieniędzy od Dana, nie dostanie ich ode mnie.

- Ja... chyba nie powinnam tego mówić, ale... cóż, zastanawiałaś się nad tym, czy to nie J. C. zabił Dana?

- Przejdźmy się. - Jordan delikatnie pociągnęła Darlene za rękę.

Ruszyły długą alejką prowadzącą od domu do drogi okręgowej położonej w odległości kilometra.

- Jesteś na mnie zła, że... ? - spytała Darlene.

- Nie, skąd - odpowiedziała Jordan. - Nigdy nie brałam pod uwagę możliwości, że Dana mógł zabić J. C. Ale jesteś już drugą osobą, która sugeruje, że to on może być mordercą.

- Pierwszą był Wesley?

- Tak.

- Wesley to bardzo bystry chłopak. Wiem, że Roselynn i jej dzieci należą do rodziny, ale jeżeli się okaże, że Dan został zamordowany, moim zdaniem pan Carson i szeryf najpierw powinni przyjrzeć się tej trójce. Przez ostatnie lata widziałam różne napady hysterii u Tammy. Bóg jeden wie, do czego jest zdolna. A Roselynn... cóż, kiedy w grę wchodzi pieniądze...

- Pan Carson podejrzewa, że Dana mogłam zabić ja - wyznała Jordan.

- To najbardziej absurdalna rzecz, jaką słyszałam. - Darlene westchnęła.

- Nie. Niezupełnie. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że mój narzeczony, pierwszy mąż, a teraz drugi zginęli nagle...

- Robby Joe zginął w wypadku, tragicznym wypadku. Ledwie pozbierałyśmy się po jego śmierci. Jak ktokolwiek mógłby pomyśleć, że go zabiłaś, skoro kochałaś go całym sercem?

Jordan przystanąła, ujęła obie dłonie Darlene i uśmiechnęła się ciepło do matki Robby'ego Joe, która była dla niej najważniejszą osobą na świecie.

- Robby Joe był miłością mojego życia. - Jordan miała na twarzy uśmiech, chociaż chciało jej się płakać. Musiała być silna, ze względu na Darlene i na siebie samą.

- Jeżeli urodzi się chłopiec, chciałabym, żeby miał na imię Robby Joe, ale wiem, że to nie wchodzi w rachubę. - Darlene położyła rozpostartą dłoń na płaskim brzuchu Jordan.

- Nie zastanawiałam się jeszcze nad imieniem. A poza tym, może to będzie dziewczynka. - Przycisnęła dłoń Darlene do swojego brzucha.

- W takim razie powinnaś nadać jej imię po twojej matce.

- Po mojej i Dana - Elizabeth Helene.

- A jeżeli będzie chłopiec? Daniel junior?

Jordan przeszył zimny dreszcz. Nie, nie nazwie dziecka Danielem juniorem.

- Mamy dużo czasu na wybór imienia. Przez siedem miesięcy na pewno przyjdzie nam do głowy coś odpowiedniego dla naszego dzidziusia.

Darlene westchnęła, zdejmując dłoń z brzucha Jordan.

- Jesteś taka dobra, że dzielisz się dzieckiem z nami - ze mną, z Devonem i innymi. Twój syn albo córka będzie dla mnie prawie jak wnuk, którego nie dane mi było doczekać.

- To będzie bardzo szczęśliwe dziecko, skoro tyle osób będzie je kochać i troszczyć się o nie. Moja rodzina i przyjaciele, i rodzina i przyjaciele Dana. - Jordan spojrzała w górę na niebo i dostrzegła nadciągające ciemne chmury. - Lepiej wracajmy do domu.

- Masz rację. - Darlene zadarła głowę. - Znosi się na wiosenną burzę.

Przeszły pospiesznie alejką i ledwie zdążyły wejść na werandę, kiedy na ziemię spadły pierwsze krople deszczu. Nim weszły do środka, rozpętała się burza, a niebo na horyzoncie zaczęły szarpać błyskawice.

- Przepraszam, pani Jordan, ale jest do pani telefon - odezwał się Tobias stojący w głębi przestronnego holu z przenośną słuchawką w ręce.

- Kto dzwoni? - spytała Jordan.

- Pani Price. Pani Jane Anne Price.

Jordan wymieniła z Darlene pełne zdziwienia spojrzenie i wyciągnęła rękę po słuchawkę.

- Witaj, Jane Anne - powiedziała.

- Witaj, Jordan.

- Coś się stało, że dzwonisz?

- Dotarła do mnie radosna nowina, że jesteś w ciąży. Chciałam ci pogratulować cudownego poczęcia.

- Bardzo się cieszę z dziecka i wiem, że Dan cieszyłby się również. - Serce Jordan zaczęło bić szybciej. - Pragnął dziecka tak samo jak ja.

- Tak, wiem, jak bardzo Dan pragnął dziecka. Zawsze żałowałam, że nam się nie udało - powiedziała Jane Anne. - Biorąc pod uwagę fakt, że lekarze stwierdzili u Dana bezpłodność, możesz sobie wyobrazić, z jakim zaskoczeniem przyjąłam wiadomość, że nosisz dziecko Dana.

- Czego chcesz, Jane Anne? - Jordan przełknęła z trudem ślinę.

- Swojego kawałka tortu. Nie sądzę, że Dan uwzględnił mnie w testamencie, ale ty na pewno dostaniesz w spadku sporą fortunę.

- Dan był hojnym i troskliwym człowiekiem. Sądzę, że o mnie zadbał.

- O ciebie, Devona i Ryana.

- Ile? - spytała Jordan.

- Tajemnica, która pewnie zniszczyłaby reputację Dana i twoją, warta jest przynajmniej milion dolarów, nie wydaje ci się?

Do licha! Dan jednak się mylił, twierdząc, że Jane Anne wyleczyła się z zawiści. Spłacił dług wobec niej wiele lat temu, przynajmniej tak mu się

wydawało. Dał jej przy rozwodzie astronomiczną sumę. Najwyraźniej ta kwota okazała się dla niej zdecydowanie za mała.

- Nie dysponuję aż taką ilością gotówki - powiedziała Jordan.

- Nic nie szkodzi, możesz mi zapłacić w ratach. Powiedzmy, sto tysięcy teraz i kolejne sto tysięcy po odczytaniu testamentu.

- A jeżeli nie dam ci nic?

- Opowiem prasie, że dziecko, które nosisz, raczej nie jest dzieckiem Dana, bo nie dość, że był bezpłodny, to jeszcze...

- Zdobędę pieniądze w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

RS

8

Wallace McGee IV poszedł w ślady ojca i dziadka, prawników rodziny Price'ów. Ponieważ Wallace McGee Junior ożenił się z jedną z prapraciotek Dana i Ryana, obie rodziny uważały się za spokrewnione. A w starych rodach z Południa więzy krwi stawiano ponad wszystko. Na pierwszym miejscu była zawsze rodzina.

Przyglądała się Wallace'owi, który z teatralnym zacięciem godnym aktora-amatora odczytywał testament, zawieszając głos w odpowiednich momentach dla uzyskania lepszego efektu. Był postawny, wysoki, rumiany i łysy, jeżeli nie liczyć niesfornych kepek białych włosów nad uszami i karkiem. Wyglądał jak podstarzały żołnierz piechoty, jednak w jego bystrych ciemnych oczach widać było nieprzeciętną inteligencję, a pod powierzchownością starego, dobrego, grubego i sympatycznego chłopca krył się lotny umysł.

Wallace'a wszyscy lubili i ufali mu tak samo, jak ufali innym. Dan z pewnością był przekonany, że świat, w jakim obracał się jego przyjaciel i on sam, był dobrym sprawdzianem charakteru.

Tak jak przypuszczali, testament Daniela Price'a niczym ich nie zaskoczył. Dan nie wprowadził żadnych niespodziewanych zmian, nie dodał załącznika włączającego czy wykluczającego kogoś z testamentu lub zmieniającego sposób podziału majątku. Kilka milionów podarował różnym organizacjom dobroczynnym, a Tobiasa i Vadonnę zabezpieczył wysokim funduszem emerytalnym. Przeważająca część fortuny Dana - 57 milionów - została podzielona równo pomiędzy jego brata Ryana, żonę Jordan i asystenta, Devona Markhama. Price Manor do końca życia będzie należało do Jordan, a po jej śmierci stanie się własnością spadkobierców Ryana.

Biorąc pod uwagę, że pojawiło się jeszcze dziecko - córka lub syn Dana - była niemal pewna, że gdyby zwrócili się do sądu, otrzymaliby większą część majątku i wyłączne prawo do posiadłości Price Manor. Ale czy tego rodzaju posunięciem nie ściągną na siebie podejrzeń, skoro okoliczności śmierci Dana są niejasne?

Ryan Price spojrział na żonę. Wymienili porozumiewawcze spojrzenie.

- Ze względu na to, że Jordan jest w ciąży, mam propozycję. Może we troje z części naszego spadku powinniśmy ustanowić fundusz powierniczy dla dziecka?

- Nie, Ryan, nie trzeba - powiedziała Jordan. - Na fundusz dla dziecka zamierzam przeznaczyć większość pieniędzy, jakie zostawił mi Dan.

- Jesteś pewna? - spytał Ryan. - Wiesz, że i bez pieniędzy Dana jestem finansowo zabezpieczony, a nie mam wątpliwości, że gdyby Dan wiedział o dziecku...

- O przyszłość dziecka nie musisz się martwić - zapewnił Ryana Devon. - Podobnie jak Jordan, dużą część spadku zamierzam przeznaczyć na fundusz dla niej lub dla niego.

- Dobrze, skoro taka jest wasza decyzja. - Ryan zerknął na Darlene i przeniósł wzrok na pozostałych znajdujących się w pokoju - Roselynnę, Tammy, Rene i oboje służących. - Pamiętasz, mam nadzieję, o tym, że masz na utrzymaniu dom, służących i parę osób, które są zależne od twojego wsparcia.

- Na to wszystko wystarczą mi odsetki od niemal dwudziestu milionów dolarów - powiedziała Jordan.

- No, to chyba mamy jasność - ogłosił Wallace. - A teraz, jeżeli nie ma innych pytań ani uwag, chciałbym toastem uczcić pamięć Dana.

- Spojrzał na Tobiasa, który stał w głębi pokoju. - Chyba nadaje się do tego napoleon Dana, zgodzicie się?

- Oczywiście - przytaknęła Jordan. - Tobias, przynieś panu McGee butelkę. I nalej wszystkim, którzy mają ochotę. Ja, oczywiście, nie będę pić.

Ani łyka koniaku dla filigranowej przyszłej matki. Wiedzieli, że w ciąży należy kierować się rozsądkiem, który zabraniał pić alkoholu. Zdrowie dziecka jest najważniejsze.

- Jordan? - Claire objęła Jordan ramieniem. - Jak się czujesz? Ale szczerze.

- Dobrze.

- Najważniejsze, że mamy to już za sobą - powiedziała Claire.

- Kolejna rzecz z głowy. - Westchnęła. - Och, kochana, przepraszam, to chyba zabrzmiało niegrzecznie. Ale wiesz, co miałam na myśli. Im szybciej pozalutwimy formalności, tym szybciej będziemy mogli wrócić do normalnego życia.

- Masz rację. Niestety, w moim normalnym życiu był Dan.

- Strzelam gafę za gafą, co?

- Nie, skąd. Wiem, co chcesz powiedzieć. Znam cię, Claire. Wiem, że jesteś troskliwa.

- Dzięki Bogu. Nie chcę umniejszać tego, co straciłaś, ani tego, co łączyło cię z Danem.

- Wszystko w porządku? - przerwał im Ryan, dzięki czemu Jordan nie musiała znów zapewniać Claire, że nic się nie stało.

- Tak, oczywiście, kochanie - zapewniła go Claire.

- Kiedy spełnimy toast za Dana, chciałbym od razu jechać do domu. Na dworze zrobiło się paskudnie. Wiosenny deszczyk zamienił się w burzę.

- Może zostanieie na kolacji? - zaproponowała Jordan.

- Innym razem - odparła Claire. - Michael ma katar, a kiedy jest chory, robi się nieznośny. Obawiam się, że moja mama kona już ze zmęczenia.

- W takim razie, kiedy indziej.

Tobias przyniósł butelkę koniaku. Odkręcił korek, nalał dużą porcję do kieliszka i podał go Wallace'owi, który obrócił nim kilka razy i dopiero wtedy wypił pierwszy łyk.

- Wyborny - stwierdził.

Po kilku minutach wszyscy oprócz Jordan trzymali w ręce kieliszek z koniakiem. Wallace uniósł swój.

- Za jednego z najporządniejszych ludzi, jakich znałem, mojego dobrego przyjaciela i drogiego kuzyna, Dana Price'a.

Zgadzała się z nim. Dan był porządnym człowiekiem. Wielka szkoda, że musiała go zabić. Ale nie miała wyjścia, tak jak poprzednio. Musiała ich chronić, prawda? Mężczyzna nie będzie im już potrzebny. Będzie za to dziecko. To w zupełności wystarczy im do szczęścia. A zasługują na szczęście. Jeżeli ktoś stanie im na drodze do szczęścia, poradzi sobie z nim, tak jak zamierza poradzić sobie z J. C, jeżeli przysporzy im kolejnych kłopotów.

- Sama do niej nie pojedziesz - oznajmił Devon, na którego gładkim czole ze zmartwienia pojawiły się zmarszczki. - Jadę z tobą.

- Nie. Mam się z nią spotkać sama, jutro o czwartej na Old Pine Creek Road. Wyjadę pod pretekstem, że chcę trochę pomyśleć w samotności.

- Zawsze starałem się wytłumaczyć Danowi, że Jane Anne nigdy mu nie wybaczy. - Devon potarł kark. - Chociaż udaje przyjaźń, nie można jej ufać.

- Wiesz, jaki był Dan. Chciał mieć o wszystkich dobre zdanie, o swojej byłej żonie też.

- Nie mogę się nadziwić, że ktoś taki jak Dan odnalazł się w brutalnym świecie polityki. Poświęcał się, żeby zgodnie z rodzinną tradycją służyć ojczyźnie. Ty i ja wiemy najlepiej, że zrobiliby wszystko, żeby utrzymać fotel senatora.

- Jego życie prywatne było kłamstwem. - Jordan delikatnie pogłaskała Devona po rękę. - A ty i ja pomogliśmy mu oszukać wszystkich. Teraz musimy dopilnować tego, żeby te tajemnice nie wyszły na jaw, bez względu na to, do czego będziemy musieli się posunąć. Na przykład zapłacić milion dolarów jego byłej żonie.

- Myślisz, że zadowolony będzie milionem? Ma spore wydatki. Przez dwanaście lat zdążyła przepuścić dziesięć milionów z ugody rozwodowej.

- Nie mamy wyjścia, musimy jej zapłacić. Nie chodzi mi tylko o reputację Dana, ale o moje dziecko. Jeżeli prawda wyjdzie na jaw, prasa będzie miała o czym pisać. Będą na nas zerować miesiącami, oczerniać Dana i kpić z niego i z naszego dziecka.

- Przysięgam, że byłbym w stanie udusić babę za to, przez co każe ci teraz przechodzić. Dopiero co straciłaś Dana, jesteś w ciąży, nie wspominając o tym, że masz na głowie prywatnego detektywa, który stara się udowodnić, że Dan został zamordowany. - Devon splótł dłonie i zaczął pocierać kciukami na zmianę wewnętrzną stronę lewej i prawej dłoni.

Biedny, poczciwy Devon. Kiedyś był nerwowym, nieśmiałym i bojaźliwym dzieckiem o wielkich błękitnych oczach, które spoglądały na świat z zachwytem i niepewnością. Pamiętała dzień, kiedy go zobaczyła pierwszy raz. Chował się za spódnicą matki, zza której prawie nie było go widać. To był pierwszy dzień szkoły, druga klasa pani Coker. W ciągu tygodnia się polubili. Po miesiącu

łączyła ich już serdeczna przyjaźń. Przed końcem roku stali się najlepszymi przyjaciółmi.

Wiedzieli o sobie wszystko.

- Nie martw się. - Jordan ujęła jego dłonie, żeby go uspokoić. - Poradzę sobie, jak zawsze. Uświadomię Jane Anne, że nie dostanie nic ponad ten milion, a jeżeli będzie chciała wyciągnąć ode mnie więcej pieniędzy, powiadomię policję. Mam nadzieję, że uda mi się zamydląć jej oczy, a wtedy może da nam spokój na kilka lat. Co do Ricka Carsona, po prostu wykonuje swoją pracę, w końcu po to go wynajęliśmy. - Nawet Devonowi, najstarszemu i najbliższemu przyjacielowi, nie odważyłaby się wyznać, że boi się Ricka. Boi się, bo Rick podejrzewa ją o morderstwo. I boi się tego, że ją pociąga, a ona wcale tego nie chce.

- Nie miałaś innego wyjścia, musiałaś zgodzić się na wynajęcie prywatnego detektywa, którego sprowadził Ryan. Gdybyś się sprzeciwiła, to...

- Kochany, musisz się opanować, inaczej grozi ci załamanie nerwowe. Wiem, że ledwie się trzymasz, ale zamartwiając się o mnie, możesz tylko pogorszyć sytuację. Wszystko się ułoży. Obiecuję.

- Wiesz, jak bardzo cię kocham? - Devon położył ręce na jej dłoniach, złączył je i pocałował czubki jej splecionych palców.

- Tak, wiem. Ja też cię kocham. I zatroszczę się o ciebie. Znajdę sposób, żeby znów było jak dawniej.

Zsunęła ręce po jego ramionach i objęła go. Kiedy oparł głowę na jej ramieniu, przez cienką jedwabną bluzkę poczuła wilgoć łez.

Nie chciał, żeby Jordan czy Devon zorientowali się, że usłyszał ich wyznanie miłości. Miał zamiar porozmawiać z Jordan przed spotkaniem z Ryanem Price'em. Najświeższe informacje na temat mężczyzny z życia Jordan,

które przesłała mu mailem Maleah, jedynie utwierdziły go w podejrzeniach. Dobrze, że nakrył kochanków, inaczej Jordan dalej mydliłaby mu oczy i usiłowała przekonać, że była wierną żoną Dana Price'a i Boyda Brannona. Chciał wierzyć, że jest taka, za jaką chce uchodzić, ale rola wdowy była jedynie pozą. W rzeczywistości była z wzajemnością zakochana w przystojnym, młodym asystencie męża. Ta informacja w zasadzie wystarczyła, aby oboje stali się głównymi podejrzanymi o zamordowanie senatora.

Rick pośpiesznie przeszedł przez dom i wyszedł na tylny ganek. Popołudniowa burza zamieniła się w leniwą, miarową mżawkę. Chociaż było przed wpół do szóstej, zaczynało się ściemniać, bo słońce przesłaniały gęste chmury.

Wyjął z kieszeni telefon komórkowy i wybrał numer Ryana.

- Panie Price, mówi Rick Carson. Muszę z panem porozmawiać. Mam informacje, które na pewno pana zainteresują. Mogę wpaść do pana wieczorem po kolacji?

- Tak, oczywiście - odpowiedział Ryan. - Może być o wpół do ósmej?

- Jasne.

Jeden telefon z głowy, kolejny do wykonania. Wybrał numer.

- Sierżant McLain.

Uśmiechnął się, kiedy usłyszał rzeczowy kobiecy głos.

- Pani sierżant, tu Rick Carson.

- Witam. - Jej głos złagodniał.

- Jadła już pani kolację?

- Na kolację chyba trochę za wcześnie?

- Chciałbym z panią porozmawiać. Pomyślałem, że moglibyśmy zjeść wczesną kolację na przykład w centrum Priceville. Ja stawiam.

- Na Main Street jest miła włoska knajpka - powiedziała Haley. - Możemy się tam spotkać za dwadzieścia minut.

- Dobra, za dwadzieścia minut.

- Rick?

- Tak?

- Uchylicz choć rąbka tajemnicy? O czym będziemy rozmawiać?

- Agencja dotarła do pewnych informacji, dzięki którym chyba wiem, kto zabił Dana Price'a. Potrzebny mi ktoś z głową na karku, bystry i bezstronny, kto mógłby mi podpowiedzieć, czy mam rację, czy też źle wszystko interpretuję.

Kiedy skończyli sałatkę, Haley odłożyła widelec i spojrzała Rickowi w oczy.

- No, to do rzeczy.

- Nie chcesz poczekać, aż zjemy lasagne?

- Nie. Już i tak długo wytrzymałam. Zżera mnie ciekawość.

Rick uśmiechnął się wesoło. Polubił Haley. Podobało mu się, że jest bezpośrednia, pewna siebie, że ma seksowny głos i duże piersi. Nie należała do klasycznych piękności, ale posiadała pewne przymioty, które do niego przemawiały. Haley McLain i Jordan różniły się od siebie jak noc i dzień. Haley była jak porządna zastawa do powszedniego użytku, solidna i wytrzymała, która bez uszczerbku znosi codzienność i zmywanie w zmywarce. Jordan porównałaby do wyszukanej chińskiej porcelany, która łatwo się tłucze, dlatego wyciąga się ją tylko na specjalne okazje, i która wymaga ręcznego mycia.

- Dan Price nie jest pierwszym mężczyzną w życiu Jordan, który zginął w podejrzanych okolicznościach - oznajmił Rick.

- Kiedy wychodziła za senatora, była wdową z dwójką przysposobionych dzieci. - Haley uniosła brwi.

- Jej pierwszy mąż zginął w wypadku na polowaniu, ale nigdy nie ustalono, który z myśliwych strzelił do Boyda Brannona.

- Uważasz, że to podejrzane?

- Nie, ale to nie koniec historii. W połączeniu z inną informacją...

- Jaką?

- Boyd Brannon miał polisę na życie na pół miliona dolarów. Spadkobierczynią była jego żona, Jordan Harris Brannon.

- To normalne, że mąż zapisuje polisę żonie - zauważyła Haley.

- Sześć lat wcześniej narzeczony Jordan zginął w wypadku samochodowym. Robby Joe odziedziczył po dziadku spadek warty kilkaset tysięcy dolarów. Zostawił go Jordan. Dwa lata przed śmiercią Robby'ego Joe Jordan straciła ojca. Prawdopodobnie zmarł na atak serca. Chociaż był wtedy żonaty i dom oraz zawartość wspólnego konta zostawił żonie, ubezpieczenie wypłacono Jordan. Sto tysięcy.

- Bardzo ciekawe.

Haley uniosła szklankę do ust i wypila łyk mrożonej herbaty. Kelnerka przyniosła dwa talerze pełne smakowicie pachnącej i gorącej lasagne i postawiła przed nimi.

- Podać państwu coś jeszcze? - spytała. - Herbatę albo paluszki chlebowe?

- Ja dziękuję - powiedział Rick.

- Ja również - dodała Haley.

- Nie widzisz w tym nic podejrzanego? - spytał Rick, gdy kelnerka odeszła.

- Chcesz powiedzieć, że Jordan Price zabiła ojca, narzeczonego, a potem pierwszego i drugiego męża?

- I byłego szefa.

- Co?

- Gdy pracowała w firmie public relations w Atlancie, jej szef nie-
szczęśliwie spadł ze schodów i skręcił kark. Jak myślisz, kto zajął jego
stanowisko i dostał awans oraz podwyżkę?

- Jordan.

- Nie wiem, czy zabiła tych mężczyzn, czy nie, ale nie ulega kwestii, że dla
mężczyzn, którzy pojawili się w jej życiu, znajomość z nią okazała się zgubna.

- Masz dowód, że zabiła choć jednego z nich?

- Nie mam żadnych dowodów - przyznał. - Ale na ile prawdopodobne jest,
żeby nagła śmierć dotknęła po kolei tylu mężczyzn związanych z jedną kobietą?

- Nie takie rzeczy się zdarzają. Muszę przyznać, że to mało praw-
dopodobne, by taka ilość tragicznych zgonów była kwestią przypadku. Na
śmierci każdego z nich skorzystała Jordan, wygląda więc na podejrzaną.
Słyszałam, że majątek senatora wynosił sześćdziesiąt milionów.

Na pewno nie zgarnęła całego, ale mimo wszystko tym razem wygrała los
na loterii.

- Zgadzasz się ze mną? - spytał Rick. - Czy myślisz, że to możliwe, żeby
Jordan Harris Brannon Price była morderczynią?

- Oczywiście, że to możliwe, ale jak to udowodnisz? Poza senatorem,
wszyscy zginęli wiele lat temu. Przypuszczam, że wszystkich, którzy zginęli w
wypadku, poddano sekcji zwłok, która nie wykazała nic podejrzanego.

- W żadnym z tych przypadków nikt nie szukał dowodów morderstwa -
powiedział Rick. - Potrzebuję rady, pani sierżant. Pracownica Powella, która
przekazała mi informację na temat Jordan, sugerowała, żebym działał ostrożnie,
bo z formalnego punktu widzenia Agencja Powella pracuje dla pani Price. O
wpół do ósmej jestem umówiony z Ryanem Price'em. Jak myślisz, powinienem
mu powiedzieć, że podejrzewam jego szwagierkę, świętą Jordan, o to, że zabiła

nie tylko jego brata, ale też pierwszego męża, narzeczonego, a możliwe, że także ojca i szefa? Czy ktokolwiek uwierzy, że osoba, która sprawia wrażenie tak łagodnej, dobrej i bezbronnej, może być morderczynią?

Haley przyglądała mu się w milczeniu przez kilka minut, na tyle długo, że poczuł się niezręcznie.

- Co się stało? - spytał.

- Fakty mówią same za siebie, a jednak ty chcesz, żeby się okazało, że jest niewinna. I chcesz, żebym cię w tym utwierdziła, prawda? Żebym cię przekonała, że niesłusznie podejrzewasz Jordan, bo ona naprawdę jest łagodna, dobra i bezbronna. Chcesz usłyszeć, że nie jest morderczynią.

Otworzył usta, by odeprzeć zarzuty, ale nie powiedział ani słowa.

- Powiedzmy, że masz rację i że faktycznie chcę, by się okazało, że jest niewinna. Intuicja mi mówi, że podejrzewam ją niesłusznie, bo ona nikogo by nie zabiła.

- Jesteś pewien, że to intuicja, a nie rozporek?

Rick zacisnął zęby, wytrącony z równowagi tym pytaniem. Haley ma rację. Gdyby nie to, że Jordan go pociąga, nie podważałby oczywistych, niezaprzeczalnych faktów. Nie zastanawiałby się, czy jego zwykle słuszne wnioski są rozsądne.

Rene obserwowała Ricka Carsona i sierżant Haley McLain, kiedy wychodzili z restauracji Gino w centrum Priceville. Pojechała za detektywem, bo przypadkiem usłyszała jego rozmowy telefoniczne z Ryanem i z policjantką. Nie miała zamiaru podsłuchiwać, ale wyszła na dwór na papierosa, a ściana żywopłotu między tylnym gankiem a patio osłoniła ją tak, że Rick jej nie widział. Usłyszała, jak mówił zastępczyni szeryfa, że dzięki informacjom z Agencji

Powella jest niemal pewien, kto zabił Dana. Rene natychmiast stwierdziła, że musi się dowiedzieć, co to za informacje.

W kapeluszu i w okularach słonecznych przyjechała do Gino's przed Rickiem i Haley McLain. Miała szczęście, bo posadzono ich przy stoliku przed nią. Chciała znaleźć się jeszcze bliżej i po cichu spytała kelnerkę, czy może się przesiąść do stolika tuż za Rickiem i panią sierżant. Całej rozmowy nie udało jej się usłyszeć, ale dowiedziała się, że Rick podejrzewa Jordan nie tylko o morderstwo Dana, ale też Boyda, Robby'ego Joe, pana Farrisa, jej dawnego szefa, a nawet własnego ojca. A teraz Rick jedzie do Ryana, żeby podzielić się z nim swoimi podejrzeniami. Pytanie, czy Ryan mu uwierzy. A jeżeli tak, co zrobi?



9

Ryan Price nie roześmiał mu się w twarz. Rick sądził, że to już coś. Schwagier Jordan wysłuchał cierpliwie Ricka, kiedy przedstawiał informacje na temat żony brata, do których dokopała się Agencja Powella. Później spokojnie zaczął jej bronić.

- Daję głowę, że Jordan nikogo nie zamordowała - powiedział. - Jest jedną z najlepszych osób, jakie w życiu poznałem. Może mi pan wierzyć, nie zabiła Dana. A jeżeli któryś ze związanych z Jordan mężczyzn został zamordowany, zabójcy będzie pan musiał szukać gdzie indziej, bo na pewno nie zrobiła tego Jordan.

W ten sposób Rick wracał do Price Manor i do punktu wyjścia. Czy Ryan Price, który zna Jordan od ładnych paru lat, może się aż tak mylić w ocenie jej osoby? Czy nie jest bardziej obiektywnym sędzią jej charakteru niż Rick, który poznał ją zaledwie kilka dni temu?

A jednak dowody są dowodami.

Zgoda, tylko jakie właściwie dowody świadczą przeciwko Jordan? Zupełnie przypadkowe, jak stwierdziła Haley.

Czy to możliwe, że czterej pozostali mężczyźni nie zginęli na skutek morderstwa? Czy można przypisać to zwykłemu zbiegowi okoliczności i stwierdzić, że Jordan jest po prostu jedną z najbardziej pechowych kobiet na świecie?

I co on ma teraz zrobić? Nie może zlekceważyć informacji i uznać ich za bezużyteczne. Z drugiej strony, nie może poprzestać na założeniu, że winna jest Jordan, i nie szukać zabójcy Dana gdzie indziej.

Jeżeli Jordan zabiła męża, dlaczego nalegała, żeby nadal prowadził śledztwo dla Agencji Powella? Musiała przecież mieć świadomość, że w końcu dowie się wszystkiego o jej przeszłości?

Sęk w tym, że wszystkiego nie wie. Zna tylko kilka podstawowych faktów. Czterech mężczyzn bliskich Jordan, z Danem Price'em - pięciu, zmarło nagle, a śmierć każdego z nich przyniosła Jordan finansowe korzyści. Te fakty nie dowodzą jeszcze, że jest winna morderstwa. Możliwe, że jej ojciec faktycznie umarł na atak serca, a śmierć pozostałych była wynikiem tragicznych wypadków.

Chyba powinien zadzwonić do Nicole i zdać jej relację ze wszystkiego, zakładając oczywiście, że nie zrobiła już tego Claire Price. Jeżeli tak, będzie się musiał nieźle tłumaczyć. Zadaniem detektywa nie jest poszukiwanie dowodów, które rzucają na klienta podejrzenie o popełnienie pięciu morderstw.

Poszedł do gabinetu Price'a, gdzie urządzono mu biuro. Miał zamiar nalać sobie drinka z bogato zaopatrzonego barku senatora, a potem zadzwonić do Nicole. Może szefowa go odwoła. Tak byłoby chyba lepiej dla wszystkich.

W połowie drogi usłyszał pośpieszne kroki na korytarzu prowadzącym na tyły domu. Ktoś biegł w butach na szpilkach. Ricka ogarnęła ciekawość, a poza tym nie spieszyło mu się do rozmowy z Nicole, postanowił więc sprawdzić, czyje to kroki. Za rogiem korytarza, tuż za gabinetem, dostrzegł Jordan, która biegła do damskiej toalety znajdującej się z tyłu domu.

Z jej niewyraźnej miny wywnioskował, że zbiera jej się na wymioty. Może powinien kogoś wezwać? A może sam powinien sprawdzić, jak się czuje?

Przecież jest w ciąży. Poranne mdłości to chyba normalne?

Zastanawiając się, co robić, ruszył w stronę toalety. Przez uchylone drzwi zobaczył Jordan, która klęczała, pochylając głowę nad miską klozetową i trzymając się za brzuch.

Jęknęła kilka razy, a później nagle nią szarpnęło i zwymiotowała. Otarła usta grzbietem dłoni, jęknęła i natychmiast zwymiotowała po raz drugi.

Rick wszedł do łazienki, ale zamiast pomóc, tylko ją przestraszył. Westchnęła, odwróciła się gwałtownie i spojrzała na niego gniewnie.

- Co tu robisz? - spytała.

Boże, wyglądała strasznie. Była blada, słaba i wymęczona.

- Nie chciałem cię przestraszyć - wytłumaczył. - Usłyszałem, że biegniesz przez korytarz i wyszedłem zobaczyć, co się dzieje.

- Mdli mnie - powiedziała. - Poranne mdłości wieczorem. Przez kilka ostatnich dni zdarzyły mi się parę razy, ale nigdy nie były tak silne jak teraz.

- Mogę ci jakoś pomóc?

- Nie możesz... - Pokręciła przecząco głową. Nie zdążyła dokończyć zdania, bo znów zwymiotowała.

Czy wszystkie kobiety w ciąży przez to przechodzą? Jeżeli tak, to nie pojmował, jak któraś z nich mogła się zdecydować na kolejne dziecko.

Jak przez mgłę przypominał sobie jak to było, kiedy w dzieciństwie kilka razy złapał wirusa grypy żołądkowej. Pamiętał, jak troskliwie zajmowała się nim matka. Podeszedł do umywalki, zdjął z uchwyty ozdobny ręcznik, odkręcił kran i zwilżył materiał. Gdy Jordan uniosła głowę znad miski klozetowej i odwróciła się, uklęknął przy niej i delikatnie otarł jej twarz chłodnym ręcznikiem.

Odruchowo uniół drugą dłoń i pogładził ją po plecach.

- Lepiej ci? - spytał.

- Trochę. Dzięki.

Spojrzała na niego szaroniebieskimi oczami pełnymi wdzięczności. Chciał ją objąć. Była w ciąży, zupełnie sama i potrzebowała kogoś, kto się nią zaopiekuje.

- Myślisz, że to już koniec, czy chcesz zostać jeszcze chwilę?
- Daj mi kilka minut. Chyba przestało mnie mdlić, ale nie jestem pewna. Jeszcze raz otarł jej twarz i wrzucił ręcznik do umywalki.
- Chcesz wstać? - spytał, podając jej rękę.

Ujęła jego dłoń i pozwoliła, żeby pomógł jej podnieść się z podłogi.

Chwiejąc się na osłabionych nogach, osunęła się na Ricka. Objął ją w talii, a ona oparła się o niego, jej piersi musnęły jego tors. Ich spojrzenia spotkały się i zamarły na ułamek sekundy. Odsunęła się o kilkanaście centymetrów, na bezpieczną odległość.

- Odprowadzisz mnie do sypialni? - spytała. - Trochę kręci mi się w głowie i...

- Mogę cię zanieść, jeżeli nie masz siły iść.

- To bardzo miło z twojej strony, ale chyba dojdę o własnych siłach. -

Uśmiechnęła się. - Po prostu nie chcę być sama, bo nie wiem, czy nie zasłabnę. Należę do tych głupich kobiet, które mają skłonności do omdleń, kiedy jest im niedobrze.

- Może poproszę kogoś, żeby został przy tobie? Twoją macochę albo panią Wright, albo...

- Nie, proszę. - Chwyliła go za rękę. - Nie przeszkadzaj im. Nie chcę ich niepokoić. Roselynnie i Darlene już i tak się o mnie martwią, a stres nie jest dla nich wskazany. Obie mają kłopoty ze zdrowiem. Roselynnie cierpi na nadciśnienie, Darlene od lat boryka się z zapaleniem jelita. Boję się, że za bardzo się przejmą, a to tylko zwykłe poranne mdłości.

- Jesteś tego pewna? - spytał Rick. - Niewiele wiem o ciąży, ale te mdłości były dość silne.

- Jestem pewna. Jeżeli pomożesz mi wejść na górę, dam sobie radę.

Cały czas obejmował ją w talii, tak szczupłej, że swobodnie zmieściłaby się między jego dłońmi. Kiedy wchodzili po schodach, poczuł na sobie jej ciężar. Od jego siły zależała jej równowaga. Ze względu na nią stawiał kroki powoli i ostrożnie, ze świadomością, że w każdej chwili może zemdleć albo zacząć wymiotować.

Kiedy weszli na górę, poczuł, że Jordan potrzebuje odpoczynku, przystanął więc i czekał, aż da mu znać, kiedy będzie w stanie iść dalej.

- Na pewno nic ci nie jest? - spytał. Skinęła głową, ale się nie odezwała.

Była blada jak śmierć, jakby cała krew odpłynęła jej z twarzy. Jej dłoń na jego ręce drżała. Nie pytając więcej o pozwolenie, wziął ją na ręce i przeniósł przez korytarz. Nie protestowała. Pod drzwiami sypialni przełożył ją sobie na rękach tak, by móc przekręcić klamkę. Wszedł do pogrążonego w półmroku pokoju, ominął kanapę i fotele i zaniósł ją wprost do antycznego łóża. Posadził na brzegu, na grubej narzucie, a potem włączył nocną lampkę.

- Idę po panią Wright. Ktoś...

- Nie, proszę. - Ścisnęła go za rękę. - Nic mi nie będzie. Posiedź ze mną kilka minut. Proszę.

Potrzebowała go.

A on przecież nigdzie się nie wybierał.

- Co mogę dla ciebie zrobić? - spytał.

- W garderobie mam małą lodówkę... Jest tam cola. Przyniósłbyś mi jedną?

- Jasne. Z lodem?

- Nie. Tylko otwórz butelkę.

W ogromnej garderobie znalazł małą chłodziarkę z ręcznie wkomponowaną podciągającą się od ściany do ściany toaletką. W lodówce było dużo różnych rzeczy, między innymi kilka małych butelek coli. Wyjął jedną, zamknął lodówkę

i odkręcił nakrętkę. Wracając do sypialni, poczuł delikatną woń perfum Jordan unoszącą się nad tapicerowanym krzesłem toaletki i przy jej szlafroku wiszącym na drzwiach. Buteleczka subtelných i niewyobrażalnie drogich perfum kosztowała pewnie więcej niż wynosi tygodniowa pensja przeciętnego Amerykanina.

Kiedy wrócił do sypialni, Jordan leżała z głową opartą o kilka poduszek. Podał jej colę. Uśmiechnęła się, biorąc butelkę.

To uśmiech Heleny Trojańskiej. Uśmiech, dla którego w morze wypływają tysiące okrętów. Uśmiech, który potrafi posłać na śmierć całą armię.

Ich palce zetknęły się na jedną chwilę, która skończyła się, zanim się zaczęła. Jordan uniosła butelkę do ust i wypila kilka łyków.

- Dziękuję. - Odetchnęła głęboko. - Cięża to jednak przygoda. Różne kobiety opowiadały, jak to jest, ale... - Skrzywiła się żałośnie. - Tyle czasu pragnęłam dziecka i prawie straciłam nadzieję. Ale nie przypuszczałam, że będę przez to przechodzić bez Dana.

Wyglądała na szczerą, ale może to jednak dziecko Devona Markhama? Może... Czyżby miał wątpliwości? Owszem, miał. O wiele za dużo wątpliwości, jeżeli chodzi o Jordan. Zmieniał zdanie na temat tej kobiety praktycznie z minuty na minutę. W tej chwili skłaniał się raczej ku temu, że faktycznie jest tak święta, za jaką uważali ją inni. Pół godziny temu był przekonany, że jest bezduszną morderczynią.

- Masz rodzinę i przyjaciół - przypomniał. - Wiem, że męża nikt nie zastąpi, ale masz Ryana i Devona Markhama, którzy mogą się zaangażować i zastąpić dziecku ojca.

- Moje dziecko będzie szczęściarzem, mając wokół tylu kochających ludzi.

Napiła się znów coli, szybko opróżniając butelkę do połowy, i odstawiła ją na ozdobną podkładkę na szafce nocnej.

- Lepiej ci? - spytał Rick.

- O wiele. - Wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń. - Jesteś dla mnie bardzo dobry, Rick. Dziękuję, że tak się o mnie troszczysz. Nie jestem przyzwyczajona do tego... powiedzmy, że zwykle to ja się troszczę o innych i opiekuję się innymi.

- W takim razie chyba pora, żeby ktoś zaopiekował się tobą, przecież jesteś w ciąży i dopiero co straciłaś męża.

- Już dobrze się czuję, możesz iść, jeśli chcesz. - Szybko ścisnęła mu dłoń.

- Mogę jeszcze zostać.

- To usiądź i opowiedz mi coś. - Poklepała brzeg łóżka. - Chociaż przez chwilę. Opowiedz mi o czymkolwiek, byle nie o śmierci Dana ani o śledztwie. Opowiedz mi o sobie. O twojej rodzinie. Jak zostałeś detektywem Powella.

Rick zawahał się, ale usiadł na łóżku. Wiedział, że igra z ogniem, przebywając z nią sam na sam. Była piękna. Dopiero co pochowała męża, a jednak Trick wyczuwał, że między nimi coś iskrzy.

- Przez kilka lat służyłem w wojsku - powiedział. - Później rozbijałem się po świecie, miałem się różnych zajęć, w końcu osiadłem w Stanach. Znajomy powiedział mi, że Agencja Powella szuka ludzi. Złożyłem podanie, poszedłem na rozmowę i pracuję dla nich od prawie piętnastu lat.

- Lubisz swoją pracę?

- Raczej tak. Opłaca się.

- Przed ślubem z Danem miałam etat w Agencji Peachtree, firmy public relations z Atlanty. Pracowałam dla nich, zanim wyszłam za Boyda i przez całe małżeństwo.

- Porzuciłaś karierę dla senatora?

- Kiedy zgodziłam się wyjść za Dana, wiedziałam, że będę mu potrzebna i w Waszyngtonie, i kiedy będzie przyjeżdżał do domu w Georgii. - Przyjrzała się Rickowi. - Masz żonę?

- Nie.

- A miałeś?

- Nie.

- A czy jest ktoś...

- Nie. Jestem wolnym strzelcem. Żadnego bagażu uczuciowego. Od czasu do czasu z kimś jestem. Bez zobowiązań. Takie życie mi się podoba. Proste i nieskomplikowane.

- I samotne.

- Być samemu, a być samotnym to dwie całkiem różne sprawy - stwierdził.

- Oczywiście, masz rację. - Spojrzała na swoje dłonie, które trzymała na kolanach. - Rzadko jestem sama, a jednak często jestem samotna.

Dobra, trzeba spadać. Niewiele brakuje, żeby się przed nią wygłupił. Jeżeli zostanie dłużej, pocałuje ją, a to ostatnia rzecz, jakiej im potrzeba.

- Jeżeli czujesz się lepiej, to chyba pójdę do siebie. - Wstał z łóżka.

- Czuję się dobrze. - Przesunęła się na krawędź materaca. - Chyba wezmę długą kąpiel, a potem trochę poczytam.

- Jeżeli będziesz mnie potrzebować... - Cofnął się w kierunku drzwi.

- Dzisiaj już raczej nie.

Przestań na nią patrzeć jak na ulubiony deser.

Uśmiechnął się. Ona też. Odwrócił się i niemal wybiegł z sypialni.

Tamtego wieczoru, ponad trzy tygodnie temu, Dan przyszedł do niej i poprosił ją o krótką rozmowę. Zabrał ją do swojego gabinetu i zamknął drzwi.

- Potrzebuję twojej pomocy - oświadczył.

- Oczywiście. Wiesz, że zrobię wszystko, co trzeba.
- Doktor Carroll stwierdził u mnie początkowe stadium choroby

Alzheimera.

Zaskoczona tym, że oznajmił jej to tak spokojnie, robiła wszystko, żeby nie wybuchnąć płaczem. Objął ją ramieniem. To takie typowe dla Dana - pocieszał ją, a przecież to u niego zdiagnozowano nieuleczalną chorobę, która powoli i w poniżający sposób odbierze mu życie.

Na początku była przerażona, a później, kiedy dotarła do niej prawda, bardzo posmutniała. Byli zadowoleni z Dana, porządnego człowieka, który sprawdzał się w roli męża, a jego bogactwo pozwalało im żyć w prawdziwym luksusie. No i chciał dziecka, tak jak oni, w przeciwieństwie do Boyda Brannona. Boyd miał własne dzieci z poprzedniego małżeństwa i w wieku czterdziestu pięciu lat nie chciał mieć kolejnych. To rozczarowanie, ale pogodzili się z jego decyzją, przekonani, że jest dobrym człowiekiem. No i miał dzieci, które można było kochać. Ale Boyd sprawił im wielki zawód. Zrobił coś niewybaczalnego. Dopuszczył się zdrady. Tak ciężkiego grzechu nie można wybaczyć. Przysięgał, że zrobił to tylko raz. Że ten wyskok nic dla niego nie znaczył. Ale wiadomo, że mężczyzna, który zdradził raz, zrobi to znowu.

Nie miała wyjścia. Musiała go zabić. Nie zasługiwał na to, żeby żyć.

Dan z kolei nie zasłużył na to, żeby umierać, ale trudno, jego też musiała zabić. Zapewne mogłaby poczekać, aż choroba zacznie się rozwijać, ale wiadomość o tym, że u Dana stwierdzono Alzheimera, wprowadziłaby w ich życie niepotrzebny stres i mogłaby źle wpłynąć na ciążę. Nie wolno ryzykować, że coś stanie się z dzieckiem, na które tak długo czekali.

Kiedy tamtego wieczoru zostawiała go samego w gabinecie, była pewna, że udało się go przekonać do jedyne rozwiązanie - samobójstwa. Oczywiście nie

zasugerowała mu wprost, żeby się zabił. Nie, na to była za sprytna. Zrobiła subtelną aluzję, że mężczyzna z jego pozycją będzie chciał wszystkim, których kocha, oszczędzić piekła, na jakie byliby skazani dzień po dniu, rok po roku.

Zajrzała do niego później, zobaczyła, że upił się i zasnął. Wszyscy spali na górze, nikt nie widział, że wróciła do gabinetu. Usiadła i czekała na odpowiedni moment, obserwując śpiącego Dana. Kiedy zaczął się poruszać i mamrotać przez sen, włożyła rękawiczki i wzięła z biurka pistolet. Stosunkowo łatwo było podnieść jego dłoń i wsunąć w nią broń, a potem podtrzymać mu rękę i przystawić pistolet do skroni. Na sekundę przed przyciśnięciem jego palca wskazującego do spustu zobaczyła, że otworzył oczy.

Uśmiechnął się do niej.

Ale ona uśmiechnęła się dopiero później, kiedy wychodziła z gabinetu ze świadomością, że kolejny raz rozwiązała wszystkie ich problemy.

Nicole Baxter Powell odłożyła słuchawkę po krótkiej rozmowie ze swoją kuzynką Claire i przewróciła się na łóżku, przytulając do męża, który wieczorem wrócił z podróży do Anglii. Pierwszy raz od ślubu spędzili kilka dni z dala od siebie i straszliwie za nim tęskniła.

Griff wsunął jej rękę pod plecy i przyciągnął do siebie, pochylił głowę i pocałował ją.

- Sądząc po twojej pochmurnej minie, domyślam się, że rozmowa z Claire dotyczyła interesów, nie plotek.

- Zgadłeś. - Nicole westchnęła.

- Co się stało?

- Ryan i jego szwagierka Jordan wynajęli agencję do przeprowadzenia prywatnego śledztwa w sprawie okoliczności śmierci Dana Price'a.

- Tak, wspominałaś mi o tym przez telefon. Ryan nie wierzy, że jego brat popełnił samobójstwo.

- Rick, wykonując zlecenie, poprosił Maleah, żeby zebrała informacje na temat przeszłości Jordan Price. Maleah dokopała się do kilku faktów, a on na ich podstawie wywnioskował, kto mógł zabić Dana Price'a.

- To źle? Czyżby Claire zdenerwowała się tym, że znalazł podejrzanego?

- To jej nie zdenerwowało. Oboje z Ryanem zaniepokoiłi się tym, kim jest podejrzany.

- Dobra, nie trzymaj mnie w niepewności.

Uśmiechnął się do żony promiennie. Ten uśmiech, któremu nie sposób się było oprzeć, słał jej zaproszenie, które chciała natychmiast przyjąć.

- Oj, Griff, nie bardzo chce mi się rozmawiać o pracy pierwszej nocy, kiedy wróciłeś do domu.

- To mów szybko. Im szybciej rozwiążemy problem, tym szybciej będziesz mogła mi zrobić powitalny prezent.

- A tęskniłeś za mną tak mocno jak ja za tobą? - Dała mu żartobliwego kuksańca i obsypała pocałunkami.

Chwycił ją za ramiona i odsunął na odległość wyciągniętej ręki, mocno trzymając.

- Kto, zdaniem Ricka, zabił senatora Price'a?

- Żona.

- Jordan Price?

- Rick chyba podejrzewa, że Jordan jest czarną wdową, bo jej pierwszy mąż i narzeczonny, i szef zginęli tragicznie, a ona na śmierci każdego nich skorzystała finansowo.

- No cóż, to przekonujący motyw. A co myślą Claire i Ryan?

- Chcą zwolnić Ricka. Mają stuprocentową pewność, że Jordan jest niewinna. Claire twierdzi, że dałaby sobie rękę uciąć, że Jordan nie jest zdolna do morderstwa.

- Odwołaj Ricka i wyślij na jego miejsce innego detektywa.

- A jeśli Rick ma rację?

- Jeśli ma rację, to inny detektyw dojdzie do tych samych wniosków, a wtedy być może Claire i Ryan zmienią zdanie.

- Zadzwoń do niego rano. - Nicole objęła męża za szyję. - W tej chwili mam na głowie poważniejsze sprawy.

- A jakie, pani Powell? - Griff promiennie się uśmiechnął. Rozwiązała pasek szlafroka, zsunęła go z ramion i uniosła kóldrę.

Naga wsunęła się na jego także nagie ciało.

- Witaj w domu, mężu.



Telefon komórkowy Ricka zadzwonił za piętnaście szósta i wytrącił go z głębokiego snu. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego, skąd dobiega dźwięk. Przewrócił się na łóżku, wyciągnął rękę i chwycił telefon leżący na nocnej szafce. Zanim odebrał, spojrzął, która godzina, a później sprawdził numer dzwoniącego. Griff Powell.

Musiało się coś stać, że szef dzwoni do niego tak wcześnie.

- Rick Carson. - Przygotował się na złe wieści.

- Wy tłumacz mi, jakim cudem „Daily Gazette” z Priceville dotarła do informacji, że jeden mąż Jordan popełnił samobójstwo, poprzedni mąż, narzeczony i dawny szef zginęli tragicznie, i do tego był jeszcze ojciec, który podobno miał zawał.

Jasna cholera!

- Nie mam pojęcia. - Rick gorączkowo starał się przetrwać informację.

- Właśnie zadzwonił do mnie Ryan Price. Wydawca „Daily Gazette” to jakiś jego znajomy, który miał na tyle przyzwoitości, żeby uprzedzić Ryana, co się dziś znajdzie na pierwszej stronie. Chcesz wiedzieć, jaki będzie tytuł?

Rick natychmiast przyjął postawę obronną.

- Nie ujawniłem prasie żadnych informacji.

- Mam nadzieję - sapnął Griff. - Z kim, poza panią Price i Ryanem, rozmawiałeś o przeszłości Jordan?

Niech to szlag! Powiedział sierżant Haley McLain. Ale po co miałyby lecieć z tymi informacjami do prasy? Dlaczego miałyby zdradzić jego zaufanie? Może to nie Haley, a w takim razie, kto?

- Rozmawiałem z pracownicą wydziału szeryfa Okręgu Dade, żeby zasięgnąć jej opinii na temat interpretacji faktów z przeszłości Jordan Price. Chciałem sprawdzić, jak na moją teorię zareaguje ktoś spoza Agencji Powella, komu mogę zaufać.

- Widocznie zaufałeś nieodpowiedniej osobie - stwierdził Griff. - Dowiedz się i daj mi znać. Ale najpierw uprzedź o wszystkim panią Price. Lepiej, żeby dowiedziała się od ciebie. Jeżeli stwierdzi, że to ty jesteś źródłem przecieku, nie będę miał wyjścia i muszę cię odwołać. Ryan dostał szału i chce cię zwolnić, ale zapewnilem go, że „Daily Gazette” nie zdobyła informacji od ciebie.

- Uwierzył ci?

- Na razie się waha.

- Zadzwoń do ciebie, jeśli czegoś się dowiem.

- Uprzedzam, że gdy informacja ukaże się w lokalnej prasie, media zaczną bombardować Jordan. Radzę natychmiast zabezpieczyć Price Manor. Skontaktuj się z miejscową policją możliwie szybko. Maleah i Holt przyjadą dziś przed południem. Jeżeli dojdiesz do wniosku, że potrzebujesz większej liczby agentów, jutro możesz mieć sześciu.

I po rozmowie. Koniec.

Rick odrzucił kołdrę, wstał i ruszył do łazienki. Ogolił się elektryczną maszynką, a robił to tylko wtedy, kiedy gonił go czas, wziął trzyminutowy prysznic i ubrał się pośpiesznie.

Bez względu na to, czy informację ujawniła Haley, czy ktoś inny, skutek będzie ten sam. Rozpęta się piekło i Jordan Price zostanie obrzucona wstrętnymi oskarżeniami. A wszystko przez niego.

Ktoś ją wołał. Bez skutku usiłowała podnieść powieki. Nagle pokój zalało jasne światło i chociaż oczy miała na wpół zamknięte, zorientowała się, że ktoś podniósł rolety.

- Co się stało? - spytała zaspana.

- Obudź się, Jordan. - Devon podszedł do łóżka.

Kołdra opadła jej do pasa, odsłaniając górę błękitnej jedwabnej piżamy. Spojrzała na Devona i westchnęła. Po jego minie domyśliła się, że stało się coś straszego.

- Spójrz. - Podał jej złożoną gazetę. - Nie do wiary, że ktoś mógł być tak podły.

Jordan wzięła gazetę, rozłożyła i spojrzała na pierwszą stronę opatrzoną tytułem: „Czy Jordan Price jest czarną wdową?”

Zamarła. Devon coś do niej mówił, ale słyszała jedynie łomot własnego serca. Szybko przejrzała artykuł. Tragedie z jej przeszłości przedstawione były jako dowód rozmyślnego okaleczenia, chociaż o nic jej nie oskarżano. Ale każdy człowiek po przeczytaniu takiego artykułu nabrałby przekonania, że kobieta, która straciła niemal wszystkich ważnych w jej życiu mężczyzn i ze śmierci każdego nich wyciągnęła finansowe korzyści, jest bezduszną morderczynią.

- Jak to się stało? - spytała. - Kto mógł przekazać te informacje „Daily Gazette”?

- Rick Carson - odpowiedział Devon. - To dla niego Agencja Powella przestudiowała twój życiorys i dokopała się do tych historii. I to on podejrzewa, że ty i ja zabiliśmy Dana. To na pewno on.

Rick Carson? Nie chciała wierzyć, że celowo mógłby ją w ten sposób zranić. A nie miała wątpliwości, że informacja została ujawniona po to, żeby ją zranić.

Opanuj się, Jordan. Prawie nie znasz Ricka. Nie masz pojęcia, do czego jest zdolny.

Ale przecież zeszłego wieczoru był taki troskliwy, delikatny i rozsądny... Wyczuwała w nim dobroć. Czyżby to była tylko gra? Czy za jego dobrocią kryły się jakieś ukryte pobudki? Może miał nadzieję na to, że mu zaufa i wyzna swoje grzechy?

- Pan Carson nie zdradziłby klienta. - Jordan usiłowała przekonać samą siebie i Devona. - Przecież wie, że gdyby zrobił coś takiego, straciłby pracę.

- Tak, chyba masz rację. - Devon skinął głową. - Ale jeżeli nie Carson, to kto? Nikt z rodziny i na pewno nikt z twoich przyjaciół nie poszedłby do prasy z tak nedorzeczną historią.

- Czytałeś? - spytała Jordan. - To nie jest nedorzeczna historia. Artykuł przedstawia suche fakty, a resztę zostawia wyobraźni czytelnika. Tylko tytuł sugeruje, że zamordowałam obu mężów i narzeczonego.

- Boże, Jordan, jest źle. Naprawdę źle.

- Nie rozkliwiaj się nade mną - upomniała go. - Nie teraz. Biedny, pocziwy Devon. Taki wrażliwy, uczuciowy, podatny na zranienia. Strata Dana o mało go nie zniszczyła. Zawsze starała się go chronić, ale czasami było to po prostu niemożliwe. Sprawy przybrały nowy obrót. Jak ma teraz opędzać się od hien i chronić nie tylko Devona, ale i siebie wraz z nienarodzonym dzieckiem?

Odrzuciła kołdrę, wstała z łóżka i przytuliła go do siebie. Przywarł do niej, robiąc wszystko, żeby okazać jej wsparcie, a jednocześnie zaczerpnąć od niej siły.

Nagle ich uwagę zwróciło głośne stukanie. Odwrócili się w chwili, kiedy otwarły się drzwi. W progu stał Rick Carson, mierząc ich gniewnym

spojrzeniem. Devon usiłował odsunąć się od Jordan, ale ona objęła go w pasie. Nie ma nic do ukrycia, niczego się nie wstydy, a już na pewno nie przyjaźni z Devonem.

- Możesz wejść - rzuciła do Ricka.

Wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Spojrzał na gazetę leżącą na łóżku.

- Widziałaś.

- Tak. Domyślałam się, że wiesz już o artykule z pierwszej strony. Dostyc obciążający tytuł, prawda?

- Nie widziałem gazety. - Rick przeszedł przez pokój i wyciągnął rękę po egzemplarz „Daily Gazette” z Priceville. Skrzywił się, czytając nagłówek. - Sukinsyn - mruknął pod nosem.

- Skoro nie widziałeś porannej gazety, to skąd wiesz o artykule? - spytał Devon.

- Zadzwoił do mnie szef, Griffin Powell. Wydawca gazety rano skontaktował się z Ryanem, żeby go uprzedzić, a Ryan zadzwonił do Griffa.

Jordan spojrzała na niego kątem oka w nadziei, że wyczyta z jego twarzy, czy jej nie okłamuje.

- Mam zamiar zadać ci brutalne pytanie, tak jak ty mnie kilka dni temu. Skinął głową.

- Czy to od ciebie prasa dostała informacje na temat mojej przeszłości?

- Nie, nie ode mnie.

Wypuściła powietrze, które bezwiednie wstrzymywała, i przełknęła ślinę, żeby pozbyć się ściskającego za gardło napięcia. Niech ją Bóg ma w swojej opiece, jeżeli się myli, ale mu uwierzyła.

- Niedługo telefony będą się urywać, a dziennikarze zaczną oblegać dom. Musimy coś zrobić...

- Już się tym zająłem - oznajmił Rick. - Zarządziłem, żeby zamknięto wejście przy bramie wjazdowej. Bez twojego albo mojego pozwolenia nikt nie może wjechać na prywatny podjazd. Skontaktowałem się z szeryfem Corbettem. Będziemy potrzebowali kilku funkcjonariuszy do pilnowania porządku przy bramie. Przed południem przyjedzie dwóch agentów Powella. Obudziłem też twoją asystentkę i poinformowałem ją o sytuacji, żeby mogła zająć się odbieraniem telefonów.

- Muszę się zobaczyć z Ryanem i Claire. - Jordan odsunęła się od Devona i zrobiła niepewny krok w stronę Ricka. - Muszę im wytłumaczyć, że...

- Ryan chce mnie zwolnić, bo myśli, że przeciek wyszedł ode mnie. Twój szwagier chyba wierzy ci bezgranicznie, nie musisz się martwić tym, co myśli o tobie on i jego żona. Ręczy za twoją niewinność.

Tak, wiedziała, że może liczyć na wsparcie Ryana i Claire. Przez ostatnie trzy lata jej małżeństwa z Danem nauczyli się ufać sobie nawzajem. Stali się jej równie bliscy jak inni członkowie przybranej rodziny.

- Darlene i Roselynnę będą się wściekać i zamartwiać. A kiedy informacja przedostanie się do mediów stanowych i krajowych, Kendrę i Wesa spotkają docinki kolegów na temat macochy.

- Staraj się zachować spokój. - Rick podszedł do niej, powstrzymał się jednak i nie dotknął jej. - Ani dla ciebie, ani dla dziecka nie jest wskazane, żebyś się denerwowała.

- Myślisz, że o tym nie wiem?

- Oczywiście, że wiesz. - Rick spojrzał na Devona. - Mógłbyś zebrać członków rodziny na dole w holu, żebyśmy mogli poinformować wszystkich, co się stało i jak zamierzamy poradzić sobie z sytuacją? Zrobisz to dla Jordan?

Zamglone oczy Devona otworzyły się szeroko, jakby nie był pewien, jak ma zareagować. Spojrzał na Jordan.

- Jeżeli Jordan chce, zrobię to.

- Będę ci wdzięczna - odparła.

- Potrafię sobie poradzić z sytuacją - powiedział Rick. - Jeżeli mam odeprzeć atak, zapewnić ci bezpieczeństwo i utrzymać dziennikarzy z daleka, muszę cię prosić, żebyś pozwoliła mi wszystkim kierować, podejmować decyzje i wydawać polecenia.

- Nie jestem przekonany, czy to dobry pomysł - stwierdził Devon. - Skąd pewność, że to nie ty ujawniłaś, "Daily Gazette" informacje o Jordan?

- Nie, Devon. - Jordan ze wzrokiem utkwionym w Ricku położyła Devonowi dłoń na ramieniu. - Wierzę Rickowi. - Uśmiechnęła do Devona. - Zbierz nasze stadko w holu. Zaraz zejść na dół.

Devon z wahaniem skinął głową i ruszył do drzwi. Przed wyjściem rzucił Rickowi ostrzegawcze spojrzenie, żeby nie ważył się zrobić krzywdy Jordan.

Jordan została sam na sam z Rickiem i nagle zorientowała się, że stoi przed nim tylko w jedwabnej piżamie. Przeszła niespokojnie z nogi na nogę.

- Muszę... muszę się ubrać - powiedziała.

- Naprawdę mi wierzysz? - spytał Rick. Wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić.

- Tak, wierzę. - Dziwne, ale naprawdę mu wierzyła. Miała pewność, że Rick nie zdradził informacji dotyczącej jej przeszłości, i nie miała oporów, żeby

kierowanie sytuacją zostawić w jego rękach. - Wierzę ci na tyle, że oddaję się w twoje doświadczone ręce.

- Dziękuję. Zrobię, co mogę, żeby cię nie zawieść.

- Ja... muszę coś na siebie włożyć.

Patrzyli na siebie, w końcu Rick odwrócił wzrok.

- Wyjdę i poczekam na korytarzu. Nie spiesz się. Dopilnuję, żeby nikt ci nie przeszkadzał.

- Dziękuję.

Dlaczego wydawało jej się, że Rick naprawdę potrafi ochronić ją przed wszystkim i wszystkimi? Jakiś zupełnie pierwotny, kobiecy instynkt popychał ją w jego ramiona.

- Pospieszę się - powiedziała tylko, nie poddając się impulsowi, i poszła szybko do garderoby.

Ryan i Claire przyjechali do Price Manor niedługo po tym, jak Rick sprowadził Jordan na dół, aby uprzedzić rodzinę o nadciągającym huraganie prasowym, który wkrótce uderzy w Jordan i we wszystkich z nią związanych. Szeryf Corbett przyjechał do posiadłości przed dziewiątą w towarzystwie sierżant Haley McLain i dwóch funkcjonariuszy, Wilsona i Burgessa.

Postawiono ich przy zamkniętych bramach na końcu długiego podjazdu, gdzie od siódmej rano zaczęły ściągać ekipy lokalnych gazet i telewizji.

Steve Corbett odbył rozmowę z Jordan, a potem z Ryanem i zapewnił oboje, że jako szeryf dopilnuje, żeby jego pracownicy panowali nad tłumem.

- Będziemy współpracować z agentami Powella - powiedział Ryanowi Corbett. - Współpraca zależy od waszych decyzji.

Szeryf rozmawiał z rodziną Price'ów, a Rick dyskretnie chwycił Haley za rękę i wyciągnął na korytarz. Syknęła i spojrzała na niego gniewnie, ale nie zaprotestowała, dopóki nie znaleźli się sami.

- Co ma znaczyć to szarpanie? - spytała kategorycznie.

- Czy możesz mi wyjaśnić, skąd „Daily Gazette” dowiedziała się o przeszłości Jordan?

- Jeżeli sugerujesz to, co myślę, to... - Przyjęła obronną postawę i obrzuciła go groźnym spojrzeniem.

- Nic nie sugeruję. Po prostu pytam bez ogródek, czy kontaktowałaś się z kimś z „Daily Gazette” i przekazałaś im informacje, którymi podzieliłem się z tobą wczoraj wieczorem.

- Dlaczego miałabym wyjawić informacje? Jaki mogłam mieć powód, żeby to zrobić?

- Jesteś przekonana, że Daniel Price został zamordowany - powiedział Rick. - A po tym, co usłyszałaś ode mnie wczoraj wieczorem, pewnie nabrałaś pewności, że zabiła go Jordan.

- A ty nie?

Rick zignorował uszczypliwą uwagę.

- Przekazałaś informacje w nadziei, że dzięki temu dochodzenie zostanie wznowione, a śmierć senatora uznana za zabójstwo. Mam rację?

- Tak, masz rację co do tego, że chcę, żeby śledztwo zostało wznowione, ale mylisz się, jeżeli uważasz, że zdradziłam twoje zaufanie i celowo wyjawiałam informacje o pani Price.

Nie wierzył jej. Logika podpowiadała, że wszystkiemu winna jest ona.

- Jeżeli nie ty, to kto?

- Nie mam pojęcia - powiedziała nieco bardziej swobodnie. - Może ktoś podsłuchiwał naszą rozmowę w restauracji? A może ktoś z Agencji Powella...

- To nie był agent Powella.

- To nie wiem.

- Jeżeli się okaże, że mnie okłamałaś...

- To co zrobisz, bohaterze? - Haley znów odgrodziła się murem obronnym i posłała mu złowieszcze spojrzenie. - Powiedziałam, że to nie ja zdradziłam informacje. Możesz mi wierzyć, albo nie. Twoja wola. - Nie oglądając się za siebie, odwróciła się na pięcie i wróciła do holu.

Intuicja, która go zwykle nie myliła, coś ostatnio szwankowała. I to mocno. Powinien wierzyć Haley. Była funkcjonariuszem porządku publicznego, którego rolą jest ochrona i obrona. Nie miał powodów, żeby jej nie wierzyć. Z kolei przeszłość Jordan Price właściwie czarno na białym wskazywała, że jest morderczynią, która zabiła co najmniej czterech mężczyzn. Dlaczego więc cholerna intuicja mówiła mu, że Haley kłamie, a Jordan jest niewinna?

Kiedy Rene poinformowała Jordan, że wśród licznie dzwoniących osób, które zostawiły wiadomość, prosząc o kontakt, znalazła się Jane

Anne Price, Jordan wykorzystała sytuację, żeby wyjść z werandy, na której utknęła wczesnym rankiem. Zebrała się tam cała rodzina, z wyjątkiem Kendry i Wesa, i Jordan zaczynała się dusić od nadmiaru okazywanej jej troski. Bała się rozmowy z byłą żoną Dana, ale stwierdziła, że każdy pretekst jest dobry, by uciec od rodzinnego zamieszania, jakie wywołał artykuł w gazecie. Zamknęła za sobą drzwi gabinetu, oparła się o nie i zamknęła oczy, marząc o tym, żeby pozbycie się koszmaru było równie łatwe, jak wyłączenie światła. Kusiło ją, żeby zamknąć drzwi na klucz. Ale co jej to da? Każdy, kto będzie chciał się do niej

dostać, będzie pukał tak długo, aż go wpuści. W tym domu nie było prywatności. W życiu też jej nie miała.

Skakało wokół niej mnóstwo ludzi, wszyscy robili, co mogli, żeby ją pocieszyć, ale jedyna osoba, u której chciała znaleźć zrozumienie, u której chciała szukać wsparcia, była zajęta wykonywaniem swoich obowiązków, robieniem tego, co robić należało.

Zdawała sobie sprawę, że pragnienie szukania pociechy u Ricka jest głupie. Prawie wcale go nie знаła, wątpił w jej niewinność i niektórzy byli zdania, że to on mógł ją zdradzić. A mimo to czuła to, co czuła. Może wynikało to tylko z tęsknoty za silnym ramieniem, na którym mogłaby się wesprzeć, z potrzeby, żeby ktoś się nią zajął, żeby nie musiała nieść całego ciężaru wyłącznie na swoich barkach. Miała wrażenie, że poświęciła życie, troszcząc się o wszystkich, a zapomniała o własnych pragnieniach.

Inaczej było tylko w czasie narzeczeństwa z Robbym Joe. Był dla niej opoką. Silnym, wrażliwym, troskliwym mężczyzną, który kochał ją tak bardzo, jak ona jego. Był jej prawdziwą miłością.

I jedyną.

Wypuściła wstrzymywane w płucach powietrze i otworzyła oczy. Zaciągnięte trzcinowe rolety na oknach nie przepuszczały dziennego światła. Gabinet wychodził na południowy zachód i o tej porze powinien być skąpany w popołudniowym słońcu. Gorączkowo zaczęła odsłaniać jedną roletę za drugą, pokój zalała ciepła jasność.

Gdyby nie straciła Robby'ego Joe...

Ale straciła. Nie żył od dawna. Straciła go na zawsze.

Boyd Brannon był przyzwoitym człowiekiem i zależało jej na nim, ale ani on, ani ona nie zawierali małżeństwa z nadzieją na wielką namiętność. Był

wdowcem, ponad piętnaście lat starszym od niej i samotnie wychowywał dwoje dzieci. Poznali się, gdy jego firma wynajęła Agencję Peachtree do prowadzenia spraw kadrowych. Ich znajomość rozpoczęła się od przyjaźni i właściwie na tym etapie pozostała także po ślubie. Chciał, żeby była matką dla jego dzieci, a dla niego pokrewną duszą i żoną, której nie powstydzi się jako ambitny dyrektor. Patrząc wstecz, wiedziała, że popełniła błąd, wychodząc za niego, ale wtedy wydawało jej się, że do pełni szczęścia wystarczy jej macierzyństwo. Na początku Boyd sugerował, że powinni poczekać z dzieckiem, ale po roku zwlekania przyparła go do muru.

- Przykro mi, Jordan, nie chcę kolejnego dziecka. Powinno wystarczyć ci to, że pomagasz mi wychowywać Wesa i Kendrę. Pokochali cię jak matkę.

Decyzja Boyda, że nie będą mieli dziecka, złamała jej serce, ale pogodziła się z nią i robiła wszystko, by małżeństwo było udane. Nie odeszła od niego nawet wtedy, kiedy odkryła, że nie jest jej wierny, bo miałyby to druzgocący wpływ na Wesleya i Kendrę.

Kiedy Boyd został zastrzelony w bezsensownym wypadku na polowaniu, przeżywała stratę ojca dzieci, ale nie własnego męża.

Usiadła przy biurku. Nie mogła skorzystać z telefonu stacjonarnego, bo od samego rana dzwonił bez przerwy, aż w końcu Rene musiała go wyłączyć.

Wsunęła dłoń do kieszeni, wyjęła komórkę i położyła ją na blacie. Zgodnie z poleceniem Ricka, wyłączyła ją rano.

Zadzwoń do Jane Anne, będziesz mieć to z głowy.

Ani dziś, ani jutro, ani nawet pojutrze nie uda się jej wyjechać z Price Manor, żeby spotkać się z Jane Anne. Dopadliby ją dziennikarze, każdy jej ruch byłby bacznie obserwowany.

Zastanawiała się, czy Dan kochał kiedyś Jane Anne, przynajmniej na początku małżeństwa. Może wtedy była inną, lepszą osobą? Danowi pewnie się tak wydawało, bo inaczej by się z nią nie ożenił. Właściwie Jordan rozumiała, dlaczego Jane Anne z taką złością zareagowała na rozwód. Ale gdyby naprawdę kochała Dana, wybaczyłaby mu i pogodziła się z prawdą, nie szukając okazji do zemsty. Nawet teraz, dwanaście lat po rozwodzie, chociaż Dan już nie żyje, stanowiła zagrożenie dla jego dobrego imienia, wzorowej reputacji, wkładu w rodzinne tradycje i dla przyszłości dziecka Jordan.

Włączyła telefon komórkowy i gdy tylko złapał zasięg, wybrała numer Jane Anne.

- No, myślałam, że nigdy nie zadzwonisz. - Jane Anne roześmiała się. - Domyślam się, że byłeś zajęta przekonywaniem wszystkich dookoła, że nie jesteś czarną wdową, która zabiła obu swoich mężów.

- Po to dzwoniłaś? Żeby spytać mnie, czy zabiłam Dana?

- Nie. Gównu mnie obchodzi, czy go zabiłaś. Zasłużył sobie, sukinsyn.

Chyba nie zaprzeczysz?

- Owszem, zaprzeczę, ale ja kochałam Dana, a ty, jak widać, nigdy.

- Ależ z ciebie kłamczucha!

- Domyślam się, że dzwoniłaś w sprawie spotkania - powiedziała Jordan. - Obawiam się, że musimy je przełożyć. Nie mogę się ruszyć z Price Manor. Potrzebuję kilku dni, może tygodnia...

- Ty nie możesz wyjść, ale ja mogę wejść. Wystarczy, żebyś dodała moje nazwisko do listy osób, które można wpuścić. Przyjadę do ciebie.

- Nie mam w domu takiej gotówki.

- Nie szkodzi. Wezmę czek.

- Czy to rozsądne?

- Słuchaj, nie wykręcisz się. Chcę dostać moje pieniądze, i to jak najszybciej. Idę ci na rękę i zgadzam się na raty, nie żądam całego miliona od razu. Teraz chyba jeszcze bardziej ci zależy, żebym nie opowiedziała światu o twoim układzie z Danem, prawda?

- Dobrze wiesz, że tak.

- No to załatw, żebym po południu została wpuszczona i przygotuj czek.

- Nie możesz poczekać kilku dni?

- Każdy dzień zwłoki oznacza wyższą stawkę. Za kilka dni zażądam dwóch milionów. A może po prostu skontaktuję się z Devonem? Może on...

- Devona zostaw w spokoju!

Pełen satysfakcji śmiech Jane Anne rozzłościł Jordan. Ta kobieta najwyraźniej lubiła dręczyć innych.

- Jak ty się nad nim trzęsiesz. Jak kwoka nad kurczakiem. Zrobiłabyś dla niego prawie wszystko, co? Musisz go strasznie kochać.

- Przyjedź o piątej. Podejdz do tylnej bramy. Wiesz, gdzie jest. Wyjdę po ciebie i wpuszczę cię.

- Nie chcesz, żeby ktoś mnie zobaczył, co? Nie ma sprawy. Nie zamierzam zwracać na siebie uwagi, bylebym tylko dostała pieniądze.

- Dostaniesz. Obiecuję.

Rick nie miał okazji porozmawiać z Jordan na osobności, i pewnie lepiej. Za każdym razem kiedy zerkał na nią w ciągu tego długiego, wyczerpującego dnia, widział, że patrzy na niego z tęsknotą błękitno szarymi oczami. Tłumaczył sobie, że to kwestia wybujałej wyobraźni, że widzi to, co chce zobaczyć. Chciał, żeby go potrzebowała, żeby była od niego zależna, i chciał stać się jej wybawcą. Przecież naprawdę nie miała nikogo. Tak, zainteresowanie okazywał jej cały tłum ludzi, ale tylko dlatego, że jej potrzebowali, bo zawsze martwiła się za nich.

Poza Ryanem i Claire reszta była od Jordan zależna finansowo lub uczuciowo albo na oba sposoby. A na kim miała polegać Jordan?

Może pod wieczór pójdzie do Devona Markhama. Może on ją przytuli i pocieszy. Może powie jej, że się o nią zatroszczy.

Może, ale to mało prawdopodobne.

Rick nie do końca wiedział, co łączy Jordan i Devona, ale wyczuwał, że nie są sobie równi. Jordan była silniejsza, kobieta taka jak ona potrzebuje mężczyzny, który pod każdym względem będzie dla niej równorzędnym partnerem.

Co takiego ma w sobie, że mężczyźni dostają na jej punkcie świra? Zaczynał powątpiewać nawet we własny zdrowy rozsądek. Doskonale wiedział, że Jordan może być bezduszną morderczynią, a jednak nie mógł opanować rozpierającego go od wewnątrz pragnienia, żeby się nią zaopiekować.

Teraz właśnie przyszło mu do głowy, że powinien jej poszukać i sprawdzić, jak się trzyma. Odkąd w Price Manor znaleźli się Maleah i Holt, część obowiązków mógł zdać na nich, co wcale nie oznaczało, że miał czas na rozmowy z Jordan. Część dnia spędził z Rene Burke na obmyślaniu planu, częściowo już zrealizowanego. Rene przygotowała z Jordan oświadczenie dla prasy - krótką wypowiedź Ryana Price'a, który dobitnie poinformował, że ma do szwagierki pełne zaufanie i że wspiera ją bezwarunkowo.

Rick doszedł do wniosku, że musi zaczerpnąć świeżego powietrza. Zanosilo się na to, że kolacja będzie przypominać dom wariatów. Nie mógł znieść myśli, że będzie musiał patrzeć na Jordan, która zmusza się, żeby coś zjeść, chociaż nie ma ochoty, tylko dlatego, żeby nikogo nie zmartwić. Porozmawia z nią i poradzi, żeby kolację zjadła w swoim pokoju.

Może długi spacer po okolicy pomoże mu ochłonać i zebrać myśli. Z jednej strony chciał chronić Jordan i wyrwać ją z tego kręgu szaleństwa, a z drugiej czuł, że powinien się wycofać, zanim wciągnie go jeszcze głębiej w bagno, jakim stało się jej życie.

Wyszedł na boczny ganek i przeszedł na tyły domu. Na zachodzie nisko wisiało słońce - żółtopomarańczowa kula wiosennego światła i ciepła. Wiejskie powietrze było rześkie i czyste, unosił się w nim zapach kwitnących drzew, krzewów i kwiatów. Rick rozejrzał się po okolicy i w alei drzew, prowadzącej do jednego z dwóch stawów znajdujących się na terenie posiadłości, dostrzegł cień. Samotna postać poruszała się szybko, niemal biegła. Kobieta. Drobna i szczupła. W brązowych spodniach i beżowym swetrze. Jordan?

Postanowił, że pójdzie za nią. Jeżeli to faktycznie Jordan, a był tego niemal pewien, to dokąd, u licha, się wybiera? Może tak jak on potrzebowała chwili samotności i postanowiła zrobić sobie szybki spacer na świeżym powietrzu. Pójdzie za nią, ale w dyskretnej odległości.

Podszedł bliżej i upewnił się, że to rzeczywiście Jordan. Niosła w ręce coś, co wyglądało jak prostokątny kawałek kartki albo koperta. Minęła staw, kierując się wprost do porośniętego winoroślą płotu na tyłach posiadłości. Rick, niezauważony, obserwował ją zza masywnego dębu.

Podeszła do zawsze zamkniętej elektronicznej bramy. Trzeba było znać kod, żeby ją otworzyć. Brama wychodziła na starą piaszczystą drogę, od lat niewykorzystywaną. Tylny wjazd do Price Manor już dawno zarósł trawą i chwastami, pozostały tylko resztki żwirowego podjazdu.

Jordan odsunęła winorośl, częściowo zasłaniającą elektroniczną płytkę, i wcisnęła cyfry kodu. Rick przysunął się bliżej, cicho i ostrożnie. Schował się za

następnym drzewem, olbrzymią topolą. Jordan otworzyła bramę i stała w niej, jakby na kogoś czekała. Co tu się, do licha, dzieje?

Po upływie trzech czy czterech minut, które dłużyły się jak wieczność, usłyszał odgłos podjeżdżającego do bramy samochodu. Ze swojego punktu obserwacyjnego widział, jak małe sportowe czerwone auto zatrzymuje się i wysiada z niego drobna brunetka w dżinsach, kozakach i wielkich okularach słonecznych na nosie. Podeszła do Jordan. Był daleko, nie słyszał więc, o czym rozmawiają. Dobiegał go jedynie szmer głosów. Po krótkiej rozmowie Jordan podała kobiecie kopertę, którą ścisnęła w dłoniach. Nieznajoma zdjęła okulary słoneczne i zsunęła je sobie na głowę. Rick rozpoznał Jane Anne, była żoną senatora.

Otworzyła kopertę, wyjęła zawartość i uśmiechnęła się. Choć stał daleko, wydawało mu się, że pierwsza pani Price trzyma w ręce czek.

Czyżby Jordan płaciła byłej żonie senatora? Szantaż? Co takiego wie pierwsza żona, że druga chce to utrzymać w tajemnicy?

Rozmawiały jeszcze przez kilka minut, a potem Jordan odwróciła się i odeszła. Jane Anne otworzyła niewielką torebkę, którą miała na ramieniu, wrzuciła czek do środka i zapięła zamek.

Rick miał ochotę natychmiast rozmówić się z Jordan. Jeżeli była szantażowana, powinna była przyjść z tym do niego i zostawić sprawy w jego rękach. A może nie mogła? Może informacje, które posiada pierwsza pani Price, obciążają Jordan w sprawie zabójstwa senatora?

Jane Anne uśmiechnęła się. Sto tysięcy dolarów w torebce to dopiero pierwsza rata. Dostanie o wiele więcej. Nie będzie chciwa. Na razie milion jej wystarczy. Później, jeżeli będzie potrzebować, poprosi o więcej. Przecież Jordan niedługo przejmie pokaźną fortunę, nawet jeżeli częścią majątku Dana będzie

musiała podzielić się z Ryanem i Devonem. Jordan jest bystra i wie, że Jane Anne nie blefuje, kiedy mówi, że wyjawí wszystkie tajemnice Dana, wołała więc zapłacić jej za milczenie.

Skoro dostała to, po co przyjechała, nie ma sensu się tu dłużej kręcić. Niewiele osób wie o starej piaszczystej drodze za posiadłością Price'ów i o tym, że do posiadłości jest drugi wjazd. Bramę wystarczyło zatrzasać, bo zamykała się automatycznie. Jane Anne może wrócić, kiedy tylko zechce, bo pamięta kod z czasów, kiedy była żoną Dana. To data urodzenia jego matki. Nie sądziła, by go zmienił.

Kiedy podchodziła do bramy, usłyszała, że ktoś ją woła. Obejrzała się przez ramię, ale nikogo nie dostrzegła.

Wiatr szeleścił liśćmi pobliskich drzew ledwie zauważalną pieśczętą. Po ziemi przemknęła wiewiórka, druga przeskoczyła z gałęzi na gałąź wysokiego drzewa.

- Kto to? - spytała Jane Anne.

Żadnej odpowiedzi, jedynie delikatny szmer wiatru i łagodny szelest liści drzew.

Pchnęła częściowo otwartą bramę na tyle, żeby móc wyjść. Znowu usłyszała wołanie.

Na ułamek sekundy zamarło w niej serce. Odwróciła się w nadziei, że zobaczy, kto się z nią drażni, ale nikogo nie zauważyła.

- Wiem, że ktoś tu jest. Czego chcesz? Cisza.

Jane Anne jednego była pewna - głos należał do kobiety.

- Daj mi spokój! - krzyknęła i przez otwartą bramę wybiegła do swojego porsche. Nie miała zamiaru tkwić w miejscu, żeby ktoś głupio zabawiał się jej kosztem.

W chwili, kiedy chwyciła klamkę przy drzwiach od strony kierowcy, ktoś za nią stanął. Nie zdążyła się odwrócić, bo dręczycielka owinęła jej wokół szyi jedwabną apaszkę i szybko zacisnęła. Jane Anne chwyciła chustkę, ale napastniczka wsunęła jej kolano między nogi i powaliła na ziemię. Jane Anne starała się wyrwać, ale morderczyni przygniotła ją do ziemi całym ciężarem ciała.

- Zagrasz nam. Musisz umrzeć.

Jane Anne poczuła, że apaszka zaciska się jej wokół jej szyi, odcinając dopływ powietrza. Rozpaczliwie walcząc o oddech, szamotała się, żeby poluznić pętlę, drapiąc sobie przy tym kark do krwi.

Nie pozwolę ci na to. Nie pozwolę, żebyś mnie zabiła. Nie!

Jane Anne była drobna, ale silna. Walczyła z zaciskającą się na jej szyi apaszką, drapiąc skórę akryłowymi tipsami w kolorze ostrego różu. Robiła wszystko, żeby przeżyć. Z zadrapań sączyła się krew.

Nie wygrasz tej walki. Za kilka minut dotrzesz do ciebie, że umrzesz i że nie możesz się uratować. Pomyliłaś się, jeżeli myślałaś, że możesz nas szantażować. Widziałam, z jaką satysfakcją się uśmiechałaś, kiedy Jordan dała ci czek. Pewnie wyobrażałaś sobie, na co wydasz pieniądze i jak często będziesz do nas przychodzić po następne.

Nienawidzę cię, głupia suko! Nienawidzę za to, że wpędziłaś Jordan w jeszcze gorsze problemy. Ani tobie, ani nikomu innemu nie pozwolę jej skrzywdzić. Zawsze ją chroniłam i będę chronić.

Jordan pewnie byłaby skłonna płacić ci za milczenie, ale o wiele prościej cię zabić. Takie rozwiązanie jest lepsze. Załatwię to po swojemu i nigdy więcej nie staniesz nam na drodze.

Zaciskała apaszkę coraz mocniej. Sił dodawała jej wściekłość.

Umieraj, suko! Umieraj!

Pomóż mi, dobry Boże, proszę. Pozwól mi żyć. Obiecuję, że oddam pieniądze. Zostawię Jordan w spokoju i nigdy więcej nie wejdę jej w paradę.

Kobieta, która ją dusiła, miała chyba nadludzką siłę. Im bardziej Jane Anne walczyła, żeby się uwolnić, tym zacieklej szał stawała się przeciwniczka. Z całej siły przygniotła Jane Anne do ziemi, prawie ją unieruchamiając. Z każdą sekundą jej wściekłość rosła.

Jane Anne sapnęła, walcząc o każdy oddech, ale powietrza nie było. Nie miała czym oddychać. Och, dobry Boże, nie mogę oddychać! Nie... proszę... proszę...

Po raz ostatni rozpaczliwie starając się zaczerpnąć powietrza, zrozumiała, że umiera.

Jane Anne opuściły siły. Życie uszło z jej ciała. Morderczyni nie przestawała zaciskać apaszki, żeby mieć całkowitą pewność, że ta chytro, przebiegła suka naprawdę nie żyje.

Wstała powoli i przyjrzała się swojemu dziełu. Twarz i szyja ofiary były ciemnoczerwone od przekrwienia. Wybałuszone oczy wpatrywały się w niebo. Wielka szkoda, że nigdy tego nieba nie zobaczy, bo kobiety takie jak Jane Anne idą do piekła. Miała szeroko rozchylone wargi po rozpaczliwym, ale bezskutecznym zmaganiu, żeby zaczerpnąć tchu.

Uśmiechnęła się do siebie, wycierając spocone dłonie w spodnie.

Misja zakończona.

No, prawie. Musi jak najszybciej pozbyć się ciała. Co tu zrobić? Co zrobić? Pstryknęła palcami.

Niedaleko tylnej bramy jest staw. Przyjrzała się ciału kobiety, mierząc je od stóp do głów. Jane Anne ważyła chyba niecałe pięćdziesiąt kilogramów, powinna więc dać radę dociągnąć ciało do stawu.

Pochyliła się, chwyciła ciało za kostki i pociągnęła. Piekielnie ciężkie. Westchnęła. Postaraj się. Spróbowała jeszcze raz, tym razem mocniej chwytając za kostki. Rozejrzała się, czy nie ma nikogo w pobliżu, i zaczęła ciągnąć ciało Jane Anne po ziemi, na zwirowy podjazd, a potem na trawę przez otwartą bramę.

Kiedy już wrzuci ciało do stawu, jak najszybciej niepostrzeżenie wróci do domu. Musi uważać, żeby nikt jej nie zobaczył.

A co z samochodem Jane Anne? Jeżeli go zostawi tam, gdzie stoi, ktoś go na pewno zobaczy. Może nie dzisiaj, bo tylna brama nie jest używana i rzadko ktoś się tu zapuszcza, ale w końcu ktoś natknie się na auto.

Zostaw je. Nie warto ryzykować. Ktoś może zobaczyć, jak będziesz usiłowała je usunąć.

Zaciągnięcie ciała Jane Anne do stawu wymagało nie lada wysiłku. Wygięta, z obolałymi rękami i plecami, wyswobodziła kostki ofiary, wyprostowała się i wzięła głęboki oddech. Nie chciała wchodzić do wody, bo mogłaby sobie zamoczyć ubranie. Jak by się wytłumaczyła, gdyby ktoś ją zobaczył, zanim zdąży się przebrać? Uniosła stopę i pchnęła ciało raz, drugi, trzeci. W końcu zdołała je wepchnąć do stawu.

Nagle usłyszała nucenie.

Rozejrzała się na wszystkie strony, ale nikogo nie dostrzegła, chociaż delikatne z początku nucenie stawało się coraz głośniejsze. Po raz ostatni pchnęła stopą ciało i szybko uciekła w przeciwnym kierunku.

W połowie drogi do domu przystanąła, żeby uspokoić oddech. Nikt jej nie zauważył. Wiedziała, jak zatrzeć za sobą ślady. Przecież robiła to już wcześniej

tyle razy... Zabijając była żoną Dana, nie mogła upozorować wypadku, ale na pewno nikt nigdy nie będzie jej podejrzewał o to zabójstwo.

A Jordan ma alibi. Jest z Rickiem Carsonem.

RS

Rick zastał Jordan w jej gabinecie, ale nie była sama. Tulila się do Devona - obejmował ją, a ona trzymała rękę na jego ramieniu. Szeptali, nie słyszał więc, o czym mówią, ale ze zmartwionych min wywnioskował, że rozmawiają o transakcji z byłą żoną senatora. Najwyraźniej informacja, którą Jane Anne szantażowała Jordan, nie była tajemnicą dla Devona Markhama.

Jakby wyczuwając jego obecność, Jordan wyjrzała zza ramienia Devona i napotkała spojrzenie Ricka. Zdjęła dłoń z ramienia przyjaciela i delikatnie przesunęła go na bok.

- Tak, Rick? O co chodzi?

- Musimy porozmawiać.

- Dobrze, a czy możemy z tym poczekać?

- Nie.

- Dobrze. - Otworzyła szeroko oczy. - Wejdz i powiedz, co się stało.

- Wolałbym porozmawiać z tobą na osobności. Przeniosła wzrok z Ricka na Devona.

- Mogę cię przeprosić? - spytała przyjaciela.

- Jesteś pewna? - Devon spojrzał gniewnie na Ricka. Nie lubi go. Trudno.

On za nim też nie przepada.

- Jestem pewna - odpowiedziała Jordan.

Kiedy Devon mijał Ricka, miał ochotę na niego warknąć.

- Nie lubi mnie. - Rick zatrzasnął za nim drzwi.

- Nie ufa ci.

- A ty?

- Pytasz, czy ci ufam?

- Tak, o to właśnie pytam.
- Chcę ci wierzyć. Bo chyba nie mam powodu nie wierzyć?
- Spójrzmy prawdzie w oczy - prychnął Rick. - Nie wiesz, czy możesz mi ufać, a ja nie wiem, czy mogę ufać tobie.

Przeszła przez pokój, poruszając się wdzięcznie i lekko. Przystanąła przed nim i uśmiechnęła się. Kiedy położyła dłoń na jego rękę tuż nad nadgarstkiem, stwardniał mu członek.

Sukinsyn!

Spojrzał na drobną, szczupłą dłoń, która na tle brązowego rękawa marynarki wydawała się biała.

- O co chodzi? - spytała Jordan. - Czy o czymś nie wiem? Coś się stało?
- Chcę być po twojej stronie - powiedział. - Chcę ci pomóc, ale będzie to trudne, jeżeli sobie nie zaufamy.
- Powiedz, że wierzysz, że nie zabiłam Dana i w ogóle nigdy nie zabiłam nikogo.

Powiedz jej to, co chce usłyszeć. Okłam ją, jeżeli musisz.

- Chcę ci wierzyć, ale kiedy robisz coś takiego jak dziś po południu, zaczynam się zastanawiać, czy nie wyjdę na głupca.

- O czym mówisz? Co ja takiego... ?
- Poszedłem za tobą i widziałem, że spotkałaś się z Jane Anne Price.

Wyszarpnęła dłoń z jego ręki.

- Dałaś jej czek, prawda?
- Tak.
- Szantażuje cię?
- Tak. - Jordan odwróciła wzrok, celowo unikając jego spojrzenia.

- Spójrz na mnie. - Wyciągnął dłoń i ujął jej brodę w zagłębienie między kciukiem a palcem wskazującym.

Uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Ile jej zapłaciłaś?

- Sto tysięcy - wyznała. - To rata. Chce dostać milion. Rick gwizdnął cicho.

- Widać wie coś cholernie ważnego. Milion dolców za milczenie. Ładnie.

Co to za tajemnica?

- Chodzi o reputację mojego męża.

- Możesz mówić jaśniej?

- Nie, nie mogę. O, Boże, Rick, proszę, nie nalegaj. Nie draż. Nie odkryjesz, że zabiłam Dana, Boyda czy Robby'ego Joe. Ale możesz mimo woli rozbudzić czyjąś ciekawość, a jeżeli jeszcze ktoś się dowie...

Proszę, dla mojego dobra ogranicz dochodzenie do tego, czy Dan popełnił samobójstwo.

- Czego się tak obawiasz? - Chwycił ją za ramiona, a ona spojrzała na niego błagalnie. - Chyba wiesz, że prasa nie zostawi na tobie suchej nitki. Informacje na twój temat to smaczny kąsek dla dziennikarzy. Jeżeli to, co wie Jane Anne, może pogorszyć sprawę...

- To, co wie, może wyrządzić krzywdę wielu ludziom, z moim dzieckiem włącznie. Ciężko ci zrozumieć, że musiałam jej zapłacić?

- Naprawdę wierzysz, że skończy się na milionie? Szantażysta nigdy nie ma dość. Zawsze mu mało, niezależnie od tego, ile dostanie.

- Co mam zrobić?

Pociągnął ją w ramiona, a ona wpadła w jego objęcia bez protestów, z radością. Zaczął głaskać ją po plecach, jakby chciał ją pocieszyć.

- Czy ktoś poza tobą i Devonem wie to, co wie Jane Anne?

- Tak. - Oparła głowę na jego torsie.
- A zatem nie ona jedna jest dla ciebie problemem?
- Nikt inny...
- Kto o tym wie?
- Tylko garstka najbliższych mnie i Danowi ludzi. Devon. Ryan i Claire.
- Ktoś jeszcze?

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo w domu rozległ się kobiecy krzyk, a po nim inne krzyki i kroki. Jordan uniosła głowę z piersi Ricka. Drzwi gabinetu otworzyły się z rozmachem. Darlene westchnęła na widok Jordan w ramionach Ricka.

Jordan odsunęła się od niego.

- O co chodzi? Co się stało?
- Tammy krzyczy - powiedziała Darlene, spoglądając to na Ricka, to na Jordan. - Mówi, że w stawie leży ciało.
- Co? - Jordan jęknęła.
- Dostała histerii. Przybiegła do domu, drąc się w niebogłosey. J. C. poszedł z jednym z agentów Powella, tym panem Keinanem, żeby sprawdzić, czy faktycznie w stawie jest jakieś ciało, a Roselynn stara się uspokoić Tammy.
- Chyba nie sądzisz, że... - Jordan spojrzała na Ricka.
- Zostań tu. - Pokręcił głową. - Pójdę do Holta i J. C. i dowiem się, o co chodzi.
- Proszę, nie mów nikomu o tym, co widziałeś - szepnęła mu do ucha, wspinając się na palce i chwytając go za rękę.

Nie chciał o tym myśleć, ale nie mógł odpędzić obaw. Co będzie, jeżeli w stawie rzeczywiście jest ciało? I co będzie, jeżeli to ciało Jane Anne Price? Jeżeli znaleziono przy niej czek, który dała jej Jordan...

Ciało było do połowy zanurzone w wodzie, od połowy wystawało ponad jej powierzchnię. Badając okolice, odkryli ślady, które jednoznacznie wskazywały na to, że zaciągnięto je do stawu spod bramy. Zgodnie wykluczyli utonięcie. Zwłoki leżały na brzuchu i Rick nie mógł mieć stuprocentowej pewności, że to Jane Anne Price, chociaż zmarła kobieta, podobnie jak pierwsza żona senatora, była drobna, miała ciemne włosy i była identycznie ubrana. Przy bramie znaleźli małą skórzaną torebkę. Na zwirowym podjeździe nadal stał czerwony sportowy samochód. Obawy Ricka stawały się rzeczywistością.

Holt i J. C. zostali na miejscu, a Rick wrócił do domu. Po drodze zadzwonił do szeryfa, a potem do Griffna Powella.

- Ryan Price cię wywalił? - spytał Griff, odbierając telefon.

- Nie. Wygląda na to, że będziemy potrzebować dodatkowych detektywów, i to jak najszybciej.

- Co się stało?

Rick przedstawił sytuację. Wyjaśnił, że Jordan zapłaciła byłej pani Price okup i że całkiem możliwe, że w torebce Jane Anne znajduje się czek od Jordan.

- Po ich spotkaniu poszedłeś za Jordan do domu? Nie ma żadnej możliwości, że tam wróciła i zabiła Jane Anne?

- Nie.

- No to Jordan ma alibi.

- Na to wygląda - przyznał Rick.

- Policja nie da jej spokoju. Jeżeli znajdą czek, będzie w kręgu podejrzanych, nawet gdybyś przysiągł, że nie spuszczałeś jej z oczu i że nie mogła zabić byłej pani Price. Mogą dojść do wniosku, że zleciła komuś morderstwo albo że jest w zмовie, na przykład z Devonem Markhamem. Najpierw zabili Dana Price'a, a teraz Jane Anne, tyle że rękami Markhama.

- Będzie jej potrzebny dobry adwokat.
- Rzeczywiście.
- Skontaktujesz się z Camem Hendriksem?
- Sporo na siebie bierzesz - stwierdził Griff. - Nie uważasz, że lepiej

najpierw zapytać ją o zdanie, a dopiero potem...

- Potrzebny jej ktoś, kto się o nią zatroszczy, i staram się to robić. To chyba należy do moich obowiązków, prawda?

- Na ogół nie angażujesz się w prywatne sprawy klienta.

- Ja się nie angażuję... No, może i tak, ale przysięgam, Griff, że ona ma potwornego pecha. Nie zabiła Jane Anne i zaczynam wierzyć, że nie zabiła też swojego męża ani nikogo innego.

- Zadzwoń do Cama - powiedział Griff. - Jeżeli Jordan wyrazi zgodę, zrobię wszystko, żeby natychmiast ściągnąć go do Chattanooga.

- Dzięki. I przyślij tu jutro co najmniej sześciu ludzi. Będą nam potrzebni.

Skończył rozmowę i ruszył w stronę domu. Jordan stała na tylnym ganku. Wybiegła do niego, kiedy go zobaczyła. Zatrzymała się zdyszana i lekko oszołomiona spojrzała na niego oczami pełnymi pytań.

- Czy to... ?

- To Jane Anne - oznajmił Rick.

- O Boże.

Bezradnie patrzył, jak starała się nad sobą zapanować. Z całych sił zacisnęła zęby.

- Holt i J. C. zostali na miejscu. Mają dopilnować, żeby nikt niczego nie ruszał. Powiadomiłem szeryfa Corbetta. Wezwał na miejsce jednego ze strażników z bramy wjazdowej, a sam przyjedzie tu w ciągu godziny z lekarzem sądowym.

- Co jej się stało? Wiesz, jak zginęła? Utonęła? - Jordan chwyciła go za ramiona.

Rick zdjął jej dłonie ze swoich ramion, złożył je i przytrzymał, spoglądając jej w oczy.

- Odetchnij głęboko i postaraj się uspokoić. Natychmiast. Zrobiła, o co prosił, nie spuszczać z niego wzroku.

- Grzeczna dziewczynka. A teraz posłuchaj. Wiem, że jej nie zabiłaś. Masz alibi. Ale kiedy znajdą w jej torebce czek...

- O Boże! - Jordan westchnęła.

- Wszystko będzie dobrze. - Chwycił ją za ramiona i potrząsnął delikatnie. - Ale musisz się przygotować na kilka ciężkich dni. Szeryf cię przesłucha i nie będzie to przyjemne, nawet jeśli potraktuje cię łagodnie. Będzie chciał wiedzieć, dlaczego dałaś Jane Anne Price czek na sto tysięcy dolarów.

- Wymyślę coś wiarygodnego. Może pożyczkę, a może...

- A może powiedziałaś mu prawdę?

Patrzyła jakby zdziwiona tym, że nie wie, iż prawda nie wchodzi w rachubę.

- Będzie ci potrzebny dobry prawnik. I nie chodzi mi o Wallace'a McGee. Mam na myśli adwokata.

- Ryan na pewno zna odpowiedniego człowieka.

- Słyszałaś o Camie Hendriksie? Skinęła głową.

- Pochodzi z Chattanooga, prowadzi sprawy w Tennessee, Georgii, Kentucky i Alabamie. Jest przyjacielem Griffina Powella. Powiedz tylko słowo...

- Tak.

- Porozmawiam z Ryanem i zobaczymy, czy uda mu się przekonać swojego kumpla szeryfa, żeby przesłuchał cię dopiero jutro rano. Powinni wziąć pod uwagę, że jesteś w ciąży.

- Ludzie pomyślą, że zabiłam Jane Anne, prawda?

- Niektórzy na pewno, podobnie jak posądzają cię, że zabiłaś Dana i innych.

- Ale ty wierzysz, że ich nie zabiłam?

Patrzyła tak, jakby jego odpowiedź liczyła się najbardziej na świecie, jakby miała zadecydować o jej życiu lub śmierci.

- Daj spokój - powiedział Rick. - Nakręcasz się, a to nie jest dobre ani dla ciebie, ani dla dziecka.

- Ty... uważasz, że byłabym zdolna do morderstwa. - Głos jej zadrżał.

- Nieprawda. - Pokręcił głową. Przebiegł ją dreszcz.

- Zimno ci. - Objął ją ramieniem. - Chodźmy do środka. Usiądziesz i odpoczniesz.

- Wszyscy będą chcieli wiedzieć, co się stało. Musimy wezwać doktor Carroll, żeby zajęła się Tammy. Trzeba będzie uspokoić Darlene. Będzie się o mnie zamartwiała. I Devona!

Rick objął ją mocniej, kiedy szli w stronę tylnego ganku.

- Pójdiesz do swojego gabinetu i zostaniesz tam. Poproszę Vadonę, żeby ci przyniosła gorącą herbatę i zajmę się wszystkim, Devonem też.

- Nie mogę cię prosić o to, żebyś...

- O nic mnie nie prosisz - uciął. - Zamierzam zablokować drzwi w gabinecie. Zostanę tam z tobą. Zadzwoń do Ryana, a potem do Griffa.

Każdy, kto będzie się chciał do ciebie dostać, najpierw będzie musiał mieć do czynienia ze mną.

Jordan usiadła w gabinecie na ulubionym fotelu i wyciągnęła nogi na otomanie. Po prawej stronie na podstawce w kwiaty na ławie stała do połowy opróżniona filiżanka z herbatą. Rick przy biurku rozmawiał cicho przez telefon komórkowy. Zamknęła oczy i westchnęła.

Niełatwo powierzyć kierowanie sytuacją komuś innemu, ale Rick niemal siłą zmusił ją, żeby pozwoliła mu wszystkim się zająć. Nie wiedziała, jak to zrobił, ale odkąd przyprowadził ją do gabinetu, nikt jej nie nękał. Słyszała hałasy za drzwiami, ale najwyraźniej nikt nie odważył się sprzeciwić poleceniom Ricka.

W głowie dudniło jej od napięcia wywołanego stresem. Dzień zaczął się aferą, która z każdą chwilą nabierała większych rozmiarów, a zakończył przerażająco - znalezieniem ciała Jane Anne w stawie. Nie zamordowała byłej żony Dana, ale nawet jeżeli Rick przysięgnie, że widział, gdzie była, kiedy zabito Jane Anne, ludzie i tak będą snuć domysły na jej temat. Już to nie dawało jej spokoju, ale o wiele bardziej martwiła ją świadomość, że mordercą jest ktoś, kto ma wstęp na teren posiadłości. Bramy były zamknięte i obstawione i mało prawdopodobne, żeby ktoś, mimo ochrony, dostał się do środka. A skoro nikt niepostrzeżenie nie mógł tu wejść, lista potencjalnych podejrzanych zawężyła się do osób, które znajdowały się tu w chwili śmierci Jane Anne.

Claire i Ryan pojechali do domu wcześniej. Szeryfa Corbetta i sierżant McLain nie było już od dłuższej chwili. Poza Rickiem i dwoma detektywami Powella byli tylko członkowie rodziny oraz Tobias i Vadonna. Po prostu nie mogła uwierzyć, żeby ktokolwiek z nich zabił Jane Anne.

Devonowi obca była wszelka przemoc. Rene zabiłaby tylko w obronie własnej. J. C. jest zdolny do wszystkiego, ale po co miałby zabijać Jane Anne? Tammy jest niezrównoważona umysłowo i ma skłonności do furii, ale Jordan nie chciała wierzyć, że byłaby w stanie posunąć się do morderstwa. Roselynne

zabiłaby, żeby chronić tych, których kocha, a Darlene nie potrafiłaby dopuścić się zabójstwa z zimną krwią.

Nagle Jordan poczuła przyływ niespodziewanej fali mdłości. Nie teraz, proszę, nie teraz. Akurat teraz musiała się męczyć wymiotami.

Mimowolnie jęknęła. Rick przerwał rozmowę telefoniczną i zapytał, czy wszystko w porządku.

Miała odpowiedzieć, że nic jej nie jest, tylko trochę ją mdli, ale zanim zdążyła się odezwać, brzuch przeszył jej rozdzierający ból. O, Boże, nie! Chwyciła się za brzuch. Tylko nie dziecko.

- Jordan, co ci jest? - spytał Rick, a potem odezwał się do osoby, z którą rozmawiał przez telefon. - Słuchaj, muszę kończyć, zadzwonię później. Zabierz się do tego.

- Rick. Rick!

- Jestem. - Przebiegł przez pokój. - Co się stało? Źle się czujesz?

- Tak, mam... mam skurcze. Chyba coś się dzieje z dzieckiem.

Kiedy się obudziła, nie przypominała sobie nic poza tym, że Rick wziął ją na ręce i zaniósł do samochodu. Jak przez mgłę pamiętała, że wszyscy coś naraz mówili, a głosy zlewały się w jeden gigantyczny krzyk rozpacz. Coś, co z początku wyglądało na mdłości, szybko zamieniło się w ostry ból brzucha i krwotok. Rick nie marnował czasu i nie czekał na pogotowie, nie przejmował się też innymi. Jadąc do szpitala przekroczył dozwoloną prędkość o jakieś pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Krótco potem chyba straciła przytomność, bo nie pamiętała nic...

Poza poczuciem, że Rick trzyma ją za rękę. I poza dźwiękiem jego głosu, kiedy mówił, że wszystko będzie dobrze.

Rozejrzała się po sterylnym pokoju. Dotarło do niej, że jest w małej klinice - szpitalu w centrum Priceville. Pokój był pogrążony w półmroku, oświetlało go jedynie światło z korytarza i blask latami wpadający przez szpary w zasłoniętych roletach. Na krześle przy łóżku siedziała Darlene z pochyloną głową i zamkniętymi oczami.

Modli się. Modli się o mnie i o moje dziecko.

Moje dziecko!

Cichy jęk przerwał modlitwę Darlene i przywołał do łóżka Devona, który stał w rogu pokoju.

Patrzyła na nich, ale w ciemności nie była w stanie rozpoznać ich min. - Dziecko? - spytała.

Darlene chlipnęła i odwróciła twarz.

- Nic nie dało się zrobić. - Devon chwycił jej rękę. - Poroniłaś w izbie przyjęć, dosłownie kilka minut po przyjeździe do szpitala.

- Nie... - Jordan wyszarpnęła dłoń z ręki Devona i odwróciła się, chowając twarz w poduszce. To niemożliwe. To nie może być prawda.

- Nie mogę na ciebie patrzeć. - Devon pogłaskał ją po plecach.

- Proszę, Jordan, proszę...

- Zostaw ją w spokoju - wtrąciła się Darlene. - Musi mieć czas na żalobę.

- Dlaczego tak musiało się stać? - Devonowi drżał głos. - Dlaczego... ?

- Chodź, pójdziemy na kawę, damy Jordan chwilę, żeby odpoczęła.

- Darlene dotknęła ramienia Jordan. - Kochanie, nie odchodzimy daleko.

Zaraz wracamy.

Nie odpowiedziała. Ból rozdzierał jej serce na strzępy. Dziecka już nie ma, straciła je na zawsze. Ogarnęło ją potworne poczucie pustki i samotności. Gdyby żył Dan, wiedziałby, co zrobić i co powiedzieć. Miał taką łatwość słowa, zawsze umiał się zachować. Między innymi dzięki temu był tak dobrym politykiem.

- Dan, chciałabym, żebyś tutaj był, żeby nam pomóc...

Opłakując dziecko, straciła poczucie czasu i nie od razu zorientowała się, że ktoś wszedł do pokoju. Poczowała jego obecność dopiero wtedy, kiedy wyciągnął rękę i odgarnął jej z policzka wilgotne kosmyki włosów. Ten dotyk był łagodny i delikatny, ale palce szorstkie. To nie były wypielegnowane dłonie Devona.

- Rick?

- Tak, to ja.

- Straciłam dziecko.

- Wiem. Przykro mi.

Nie uniosła głowy z poduszki ani nie odwróciła się do niego, tylko wyciągnęła rękę i położyła na jego dłoni, która spoczywała na jej ramieniu. Splótł palce z jej palcami.

- Co mogę dla ciebie zrobić? - spytał.

- Nic, teraz już nic się nie da zrobić. - Straciła dziecko, na które czekała całe życie, dziecko, które kochałyby ponad wszystko.

- Pielęgniarka powiedziała, że jutro po południu prawdopodobnie będziesz mogła pójść do domu. Cały tłum się tu pojawił - powiedział.

- Czuwali przy tobie na zmianę. Wszyscy już chyba pojechali, zostali tylko Devon i Darlene.

- Jak się trzyma Devon?

- Nie wiem.

- Odwiesz ich do domu? - Odwróciła się i spojrzała na Ricka. -Ale przedtem chcę się zobaczyć z Devonem.

- Na pewno chcesz na noc zostać sama? Może z tobą zostać Devon albo ja...

- Nie, nie ma potrzeby. Dadzą mi tabletki, na pewno zasnę. Chcę się tylko pożegnać z Devonem.

- Znajdę go.

Kilka minut później Devon stanął w drzwiach, czekając, aż go przywoła. Skinęła na niego, więc wszedł, usiadł na łóżku, a potem ujął obie jej dłonie i pocałował ją w kostki palców.

- Tak mi przykro. To niesprawiedliwe. Straciliśmy Dana, powinno nam zostać chociaż dziecko.

Z dużych niebieskich oczu na splecione dłonie kapały łzy. Kiedy położył jej głowę na piersi, przeczesala palcami jego ciemne włosy, pieszcząc go jak matka, która pociesza syna.

- Cśśś... Już dobrze.

- Wyobrażałem sobie to dziecko - powiedział. - Myślałem, że będziemy mieć dziewczynkę i że będzie podobna do ciebie, ale że będzie miała moje ciemne włosy i niebieskie oczy. Dan by ją kochał. Rozpieszczałby ją. Wszyscy byśmy ją rozpieszczali.

Uspokajała go głaskaniem, z trudem przyglądając się jego cierpieniu.

- A ja myślałam, że urodzi nam się chłopiec. Dan byłby zachwycony synem i najszcześniejszy pod słońcem, gdyby był podobny do ciebie.

Rick nie miał w zwyczaju podsłuchiwać, ale Devon zostawił niedomknięte drzwi. Żałował, że usłyszał tę cholerną rozmowę. Ale nie mógł zapomnieć tego, czego się dowiedział - ojcem dziecka Jordan był Devon Markham, a Daniel Price najwyraźniej o tym wiedział.

Coś mu w tym wszystkim nie pasowało. To zupełnie bez sensu, musi jednak istnieć jakieś logiczne wyjaśnienie. Ścisłe tajne? Jane Anne Price widocznie знаła sekret i właśnie dlatego musiała zginąć.

Zaczął obmyślać możliwe scenariusze, ale zakreśliło mu się w głowie od pytań bez odpowiedzi. Devon wyszedł z pokoju Jordan.

- Nie trzeba jej mówić, że na wszelki wypadek Darlene zostanie przy niej na noc - powiedział. - Jordan pewnie zaśnie, zanim Darlene wróci z baru.

- Pan wie, co jest dla niej najlepsze.

- Zostałbym z nią, ale kazała mi wracać do domu. - Spojrzał na Ricka. - Troszczy się o mnie nawet teraz, po tym wszystkim, co przeszła.

- Tak, faktycznie.

- Pan mnie nie lubi, panie Carson, prawda? - spytał Devon, kiedy szli korytarzem do windy.

- Wydaje mi się, że to obustronne - odpowiedział Rick.

- Jesteśmy całkiem różni - stwierdził Devon.

- Nie mam nic przeciwko facetom pana pokroju. - Rick wcisnął przycisk, żeby przywołać windę. - Wystrzałowu ubranym ładnym chłopcom, którzy robią sobie manicure i pedicure i lepiej znają się na winie niż na sporcie i samochodach. A pana nie lubię dlatego, że nie znoszę facetów, którzy romansują z żonami innych facetów. A poza tym nie cierpię mężczyzn, którzy szukają u kobiety wsparcia, bo to oni powinni się o nią troszczyć.

Drzwi windy się otworzyły. Rick wszedł pierwszy, za nim Devon. Rick wcisnął przycisk „Parter”.

- A ja nie lubię pana, bo uważa pan, że Jordan mogła popełnić morderstwo - wyznał Devon. - Nie bardzo zna się pan na ludziach. Co do Jordan pomylił się pan okrutnie. A co do mnie... - Devon roześmiał się. - Poniekąd ma pan rację. Robię manicure i pedicure i bardziej się znam na dobrym winie niż na sporcie. I ma pan rację, szukam wsparcia u Jordan. Przyjaźnimy się od dziecka, zawsze się o mnie troszczyła. Niech się pan nie da zwieść pozorom. Pod powłoką drobnej i delikatnej kobiety kryje się lwica, która obroni tych, których kocha.

Winda zjechała na parter, drzwi się otworzyły. Devon wyszedł pierwszy, a za nim Rick.

- A zatem bardzo się pomyliłem co do Jordan - podsumował Rick, kiedy szli na parking. - Ale pana oceniłem trafnie?

- Uwierzy mi pan, jeżeli powiem, że Jordan i ja kochamy się, odkąd skończyliśmy siedem lat, ale nie mieliśmy romansu?

Rick przekręcił kluczyk w stacyjce jeepa i poczekał, aż Devon wsiądzie.

- Niech mi pan odpowie na jedno pytanie - odezwał się w końcu.

- Dobrze.

- Czy to pan był ojcem dziecka Jordan? - Spojrzał na Devona w półmroku.

- Nie.

- Kłamię pan.

- Pewnych rzeczy pan nie wie i nie zrozumie. Jordan i ja nigdy nie byliśmy kochankami.

- Widzę, że to wielka tajemnica, ale ją poznam, to tylko kwestia czasu.

Tajemnice, bez względu na to, jak dobrze strzeżone i jak głęboko ukryte, mają to do siebie, że prędzej czy później wychodzą na jaw.

- Ma pan rację, ale... Tylko Jordan ma prawo panu powiedzieć.

- Może mi pan wierzyć albo nie, ale ja naprawdę jestem po jej stronie. Nie chcę, żeby spotkało ją więcej przykrości. - Rick uruchomił silnik i wycofał się z miejsca parkingowego.

- Jeżeli to prawda, to niech jej pan uwierzy i pomoże. Zaczyna panu ufać. Niech pan nie zawiedzie tego zaufania.

Rick nie spuszczał wzroku z ciemnej drogi przed sobą. Nie podtrzymywał rozmowy. Zaległa pełna napięcia cisza. Dość dziwne, ale Rick uwierzył w to, co powiedział mu Devon - że on i Jordan nigdy nie byli kochankami.

Słodka duszyczka ich dziecka jest teraz w niebie. Odeszła do Pana. Może jest też z Danem, Robbym Joe i innymi członkami rodziny, którzy odeszli przed nim. Była pewna, że maleńka, niewinna dusza nigdy nie będzie sama, nie poczuje smutku takiego jak oni.

Jordan miała złamane serce. Ona też. Ale czas je uleczy. Będą żyć dalej, tak jak żyły po każdej tragedii. Razem. A któregoś dnia ich życie zatoczy pełen krąg, wracając do początku. On na nie czeka, czeka, aż się złączą.

Siedziała w ciemności, sama i smutna, żałując, że nie może cofnąć czasu i wrócić życia dziecku. Devon myślał, że to będzie dziewczynka, ale one wiedziały, że urodzi się chłopiec.

Ileż to razy o nim marzyła, niemal była w stanie poczuć go w swoich ramionach. Stałby się dla nich pępkiem świata. Kochaliby go, pielęgowali i chronili za wszelką cenę.

Bóg zabrał dziecko, żeby cię ukarać.

Poderwała się.

Kto to powiedział?

Ja.

- Gdzie jesteś? - krzyknęła głośno. Serce łomotało jej jak oszalałe.

W tobie. Jestem twoim sumieniem. Głęboko odetchnęła z ulgą. Tylko? No to milcz i daj mi spokój.

Wsunęła poduszkę pod głowę i naciągnęła koc po samą szyję.

Bóg zabrał dziecko, żeby cię ukarać za śmierć tych wszystkich ludzi.

Chyba nie myślałaś, że morderstwa ujdą ci na sucho? Przecież musiałaś wiedzieć, że w końcu przyjdzie ci zapłacić za zbrodnie?

Powiedziałam: milcz. To nonsens. Bóg wie, że zabiłam tylko tych, którzy zasługiwali na to, żeby umrzeć.

A Dan? Też zasługiwał na śmierć?

Nie, może nie, ale wyrok śmierci wydał na niego Bóg. Ja tylko wysłałam go do Stwórcy trochę wcześniej. Ale inni zasłużyli sobie na to, co ich spotkało. Zrobiliby nam krzywdę. Nie mogłam tego tolerować.

Może masz rację. Nie lubiłam Jane Anne Price. Nie była miłą kobietą. Cieszę się, że ją zabiłaś.

Nie powinna szantażować Jordan.

Tak, nie powinna. Ale zajęłam się nią. I nigdy więcej nie stanie nam na drodze.

Ryan zadzwonił do Ricka o ósmej następnego ranka i poprosił, żeby do niego przyjechał.

- Steve już tu jedzie. Musi przesłuchać Jordan w sprawie morderstwa Jane Anne, ale najpierw chce porozmawiać z tobą. Na rozmowę z Jordan poczeka, aż wypiszą ją ze szpitala.

W drzwiach przywitała Ricka Claire, która zaprowadziła go do gabinetu Ryana. Drzwi były zamknięte, więc zapukała.

- Proszę - odezwał się Ryan.

- Wejdz. - Claire posłała Rickowi zdawkowy uśmiech. - Po powrocie ze szpitala spał w nocy tylko dwie godziny. Oboje bardzo martwimy się o Jordan.

- Trochę czasu upłynie, zanim pozbiera się po stracie dziecka - stwierdził Rick.

- To dziecko tyle dla niej znaczyło... właściwie dla nas wszystkich.

Kiedy Rick wszedł do gabinetu, Ryan podniósł się z brązowej skórzanej sofy stojącej pod szerokim oknem. Odstawił na ławę prawie pusty kubek po kawie i podał Rickowi rękę. Wymienili serdeczny uścisk dłoni.

- Wejdz i siadaj. Spodziewam się Steve'a za jakieś piętnaście, dwadzieścia minut.

Rick zajął krzesło w brązowo-zieloną kratę, naprzeciwko Ryana.

- Musimy przekonać szeryfa, żeby wstrzymał się z przesłuchaniem Jordan. Absolutnie nie jest gotowa do składania zeznań.

- Zgadzam się, ale i tak wyświadcza mi grzeczność, że nie przesłuchuje jej w szpitalu.

- To samo, co powiedziałyby Jordan, mogę powiedzieć ja. Byliśmy razem, kiedy...

- Może mi pan wytłumaczyć, dlaczego Jordan dała Jane Anne czek na sto tysięcy dolarów?

Cholera! Nie powinien być zaskoczony tym, że znaleźli czek Jordan.

- Jane Anne ją szantażowała.

- Przekłeta baba! Domyśliłem się, kiedy Steve powiedział mi o czeku.

'- Wie pan, dlaczego szantażowała Jordan, prawda? Ryan zaczął nerwowo błędzić wzrokiem po pokoju, w końcu spojrzał na Ricka.

- Wiedziała pewne rzeczy, o małżeństwie Dana z Jordan, które mogłyby zniszczyć jego reputację.

- Wiedziała, że ojcem dziecka Jordan nie był Dan, tylko Devon Markham? Twarz Ryana stężała.

- Jak się pan dowiedział? Jordan panu powiedziała?

- To prawda?

- Prawda. - Ryan skinął głową. - Mój brat był bezpłodny, dowiedział się o tym już za czasów Jane Anne. Ale bardzo pragnął dziecka, podobnie jak Jordan. Oczywiście na biologicznego ojca bez wahania wybrali Devona.

- Jordan poddała się sztucznemu zapłodnieniu? - spytał Rick, któremu elementy łamigłówki powoli zaczęły układać się w całość.

- Naturalnie.

- A Devona wybrali bez wahania, bo przyjaźni się z Jordan od dziecka?

- Dlatego, ale też ze względu na jego związek z Danem.

Klik, klik, klik. Pozostałe fragmenty układanki znalazły się na właściwym miejscu.

- Pana brat był gejem. - Tyle czasu potrzebował, żeby domyślić się rzeczy oczywistej. - On i Devon byli...

- Potajemnymi kochankami, potajemnymi partnerami. To dlatego rozszedł się z Jane Anne. Dał jej hojną odprawę rozwodową, żeby zapłacić jej za milczenie.

- Kto jeszcze zna prawdę o pana bracie i Devonie?

- Tylko najbliższa rodzina.

- Kto wiedział, że ojcem dziecka Jordan nie jest Dan?

- Claire i ja, Jordan, Devon, Dan i lekarz Jordan.

- Nikt więcej?

- W każdym razie ja o nikim więcej nie wiem. Ci, którzy wiedzieli o Devonie i Danie, zostali poinformowani, że biologicznym ojcem jest Dan, że to jego spermy użyto do zapłodnienia Jordan.

- Po co Jordan za niego wyszła, skoro wiedziała, że jest gejem?

- Na to pytanie to ona powinna chyba odpowiedzieć - stwierdził Ryan.

- Dlaczego nie powiedzieliście mi prawdy na samym początku?

- Powinniśmy, wiem. Ale tak długo ukrywaliśmy tajemnice Dana, że weszło nam to w krew. Poza tym mieliśmy nadzieję, że nie trzeba będzie tego wyjawiać ani panu, ani nikomu innemu. Im więcej ludzi zna sekret, tym większe prawdopodobieństwo, że stanie się on tajemnicą poliszynela.

- Senator nie żyje. Teraz to już chyba bez znaczenia?

- Reputacja znaczyła dla Dana więcej niż wszystko. Nawet więcej niż miłość do Devona. Mógł się ujawnić i zacząć żyć otwarcie z Devonem, ale obawiał się konsekwencji. Był przekonany, że pruderyjni mieszkańcy Georgii nie wybraliby go po raz drugi, gdyby prawda wyszła na jaw, i że na pewno nie miałby szans wystartować w wyborach prezydenckich. Po śmierci Dana chcieliśmy to chronić. Poza tym Jordan była w ciąży... Niech pan pomyśli, na co narażone byłoby dziecko, gdyby wyszło na jaw, kto jest jego ojcem.

Delikatne pukanie do drzwi przerwało rozmowę.

- Ryan, przyjechał Steve. Czeka na ciebie w salonie - krzyknęła Claire przez zamknięte drzwi.

- Dziękuję, kochanie. Poproś, żeby wszedł na górę.

- On nie wie? - spytał Rick.

- Oczywiście, że nie wie!

Kilka minut później Claire otworzyła drzwi, uśmiechając się czule do męża. Odsunęła się na bok, żeby wpuścić szeryfa do środka.

- Może przyniosę świeżej kawy? - Spojrzała na srebrny dzbanek stojący na biurku Ryana.

- Na razie dziękuję, później - powiedział Ryan. - Wchodź, Steve.

- Bardzo mi przykro, że narażam waszą rodzinę na dodatkowe nieprzyjemności, ale muszę robić, co do mnie należy.

- Rozumiem. Byłbym ci wdzięczny, gdybyś wstrzymał się z przesłuchaniem Jordan dzień albo dwa. Dopiero co straciła dziecko.

- Chciałbym, ale nie mogę - oznajmił Corbett.

- Dlaczego? - spytał Rick.

- Ryan chyba powiedział panu o czeku, który znaleźliśmy w torebce Jane Anne Price?

Rick skinął głową.

- Pani Price na pewno potrafi wyjaśnić, skąd się wziął.

- Mam nadzieję - odparł Corbett. - I mam nadzieję, że będzie potrafiła wyjaśnić, dlaczego Jane Anne, zdaniem lekarza sądowego, została uduszona apaszką, która należy do Jordan.

Wstyd jak cholera, żeby szeryf marnował czas na Jordan, skoro wszyscy wiedzą, że nie zamordowała Jane Anne Price - Roselynn włożyła do jasnoczerwonych ust ostatni kęs maślanej bułki.

Tammy przyglądała się, jak matka popija bułkę mocno przesłodzoną kawą. Matka była piękną kobietą, mimo że miała prawie sześćdziesiątkę na karku. Miała lekką nadwagę, ale skórę bez jednej zmarszczki, jedwabiste blond włosy i nienaganny makijaż i strój. Owszem, styl Roselynn był trochę wyzywający jak na przeciętną kobietę, ale do jej pełnej temperamentu osobowości pasował doskonale. Tak bardzo chciała być chociaż w połowie równie atrakcyjna jak matka... To niesprawiedliwe, że J. C. odziedziczył po rodzicach wygląd, a ona uchodziła za brzydkie kaczątko.

- Ktoś wkreca Jordan - oznajmił J. C.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała Roselynn.

- No, ktoś przekazał „Daily Gazette” informacje o Boydzie, Robbym Joe, Farrisie i tatuśku Wayne. I założę się, że była żoną Dana zabiła ta sama osoba i celowo udusiła tę sukę apaszka Jordan.

- Ale kto, do licha, aż tak nienawidzi Jordan, żeby wrabiać ją w morderstwo? - spytała Roselynn bezradnie.

- Zgadzam się z twoją matką - stwierdziła Darlene. - Wszyscy kochają Jordan i nie wyobrażam sobie, żeby ktoś mógł chcieć wplątać ją w morderstwo. Może apaszka, którą zamordowano Jane Anne, wcale nie należała do Jordan, a tylko przypomina któraś z jej apaszek.

- Czy to nie dziwne, że informacja o apaszce przedostała się do prasy? - spytała Tammy. - Dowiedział się o tym każdy, kto czyta poranną gazetę.

- Chociaż raz masz rację, panno z sianem w głowie - prychnął J. C. - Wydawałoby się, że wydział szeryfa powinien taką informację potraktować jako ściśle tajną.

Tammy jednocześnie kochała i nienawidziła brata. Często był niemiłosiernie okrutny, wyśmiewał się z jej psychicznego stanu, a czasami był dla niej równie miły. Zdarzało się, że kupował jej drobne prezenty - płytę, ładny sweter, kolczyki, ulubione słodycze. A kiedy byli dziećmi, zanim mama wyszła za tatę Wayne'a i musiała pracować na nocną zmianę, J. C. opiekował się Tammy. Przygotowywał jej posiłki, pomagał w lekcjach, a kiedy śnił jej się koszmar, siedział przy niej, dopóki znowu nie zasnęła.

- Mam nadzieję, że Jordan nie zaufała niewłaściwej osobie. - Darlene złożyła lnianą serwetkę i odłożyła ją obok talerza. - Muszę przyznać, że pan Carson wygląda na porządnego człowieka i szczerze martwi się o Jordan, ale prawie go nie znamy.

- Nie jest jednym z nas - stwierdził J. C. - Nie należy do rodziny. Możliwe, że to właśnie jego zaleta. Chwilowo Jordan ma nas chyba wszystkich serdecznie dosyć.

- Nie gadaj bzdur. - Darlene rzuciła J. C. ganiące spojrzenie, odsunęła krzesło i wstała. - Jesteśmy rodziną Jordan, ona kocha nas, a my ją. Choć nie ma co ukrywać, że ty wystawiłeś jej cierpliwość na próbę i sprawiałeś jej kłopoty wulgarnym i grubiańskim zachowaniem.

- To ty nie należysz do rodziny. - J. C. uśmiechnął się zadziornie i szelmowsko, dając do zrozumienia, że nie ma dobrych zamiarów. - Nie jesteś matką Jordan. Cholera, nawet nie jesteś jej macochą! Jesteś po prostu żalną staruszką, nad którą Jordan się lituje.

- J. C, natychmiast przeproś Darlene - nakazała Roselyne.

- Możesz sobie darować - odparła Darlene. - Te złośliwe słowa zupełnie nic dla mnie nie znaczą, podobnie jak twoje przeprosiny.

Tammy nie lubiła Darlene, chociaż staruszka nigdy nie była niemiła dla niej. Właściwie traktowała Tammy tak, jakby w ogóle nie istniała. J. C. za to gardziła, być może dlatego, że przy każdej nadarzającej się okazji umiał jej dopiec.

W Darlene było coś smutnego. Matka, zapytana o to, wytłumaczyła jej, że to dlatego, że Darlene straciła jedyne dziecko, a kiedy matka traci dziecko, nigdy do końca nie jest w stanie się po tym podnieść.

Czy to znaczy, że Jordan nigdy się nie pozbiera po stracie dziecka?

Chciała wymyślić coś wyjątkowego, co mogłaby zrobić dla Jordan. Upiec ciasto albo kupić jej prezent, cokolwiek, żeby pokazać, jak bardzo ją kocha. Tammy naprawdę kochała Jordan, bo była najlepszą siostrą na świecie. Owszem, wiedziała, że nie są prawdziwymi siostrami, nie mają tych samych rodziców. Ale tata Wayne był prawdziwym ojcem Jordan i adoptował ją i J. C, a to oznaczało, że w pewnym sensie Jordan jednak jest jej siostrą.

Jordan tyle dla wszystkich robiła. Tammy wydawało się, że inni mają za mało rozsądku, żeby uświadomić sobie, że bez Jordan byliby nikim. Słyszała, jak mama mówiła do J. C, kiedy narzekał, że Jordan nie chce mu pożyczyć tysiąca dolarów:

- Synu, nie przeciągaj struny. - Matka pogroziła mu palcem przed nosem. - Nie dość ci, że dzięki Jordan mamy dach nad głową i co włożyć do garnka i na grzbiet? Ty byś pewnie chciał, żeby spłacała za ciebie twoje hazardziane długi. Ta dziewczyna jest aniołem i powiem ci, dlaczego. Bez niej wszyscy bylibyśmy niczym.

Tammy i mama zgadzały się, że dla Jordan zrobiłyby wszystko. Z wdzięczały jej tyle, że nigdy nie byłyby w stanie jej odplacić.

- Kiedy umarł tata Wayne, mogła się na nas wypiąć - zauważyła matka. - Ale nie zrobiła tego, prawda?

Czasami uwielbiała słuchać, jak J. C. się śmieje, ale czasem, tak jak tym razem, kiedy naśmiewał się z kogoś, nie mogła znieść tego odgłosu. Jego śmiech niósł się za Darlene, która wychodziła z jadalni z wysoko uniesioną głową, nie zwracając na J. C. najmniejszej uwagi.

- Ta starucha chodzi jakby kij połknęła - rzucił J. C. - Przysięgam, że to najbardziej nadęta stara raszpla, jaką w życiu widziałem.

- Mógłbyś trzymać język za zębami - zganiła go Roselynn. - Ale ty jesteś taki jak twój ojciec. Był wygadany, tak jak ty. Miał cięty język i czasami nie zostawiał na człowieku suchej nitki. Ale wiesz, co ci powiem, synu? Któregoś dnia ten twój język cię zgubi.

J. C. wstał, pochylił się nad krzesłem matki i pocałował ją w policzek.

- Ale mnie kochasz, tak samo, jak kochałaś jego. I cieszysz się, że jestem przystojny jak on i mam urok osobisty, prawda?

- No, no. - Roselynn poklepała go po ramieniu. - Jordan dziś rano wraca do domu. Po stracie dziecka będzie jej ciężko i bez twoich wybryków. W dodatku jest podejrzana o zabójstwo byłej żony Dana.

- Nie jest podejrzana, mamo, tylko znajduje się w kręgu zainteresowania - poprawił ją J. C. - I nie musisz się martwić o naszą Jordan. Ma do dyspozycji fortunę Price'ów. Ryan ściągnął tu połowę Agencji Powella, żeby pilnować wstępu do domu. Słyszałem, jak Rick Carson rozmawiał z Ryanem o tym, żeby sprowadzić Camdena Hendriksa. Ten adwokat zbił fortunę, broniąc bogaczy

takich jak Jordan, którzy dzięki niemu bez szwanku wychodzili z różnych trudnych sytuacji.

- Jordan na pewno jest niewinna.

- Naprawdę myślisz, że nie byłaby zdolna do morderstwa?

- Raczej nie.

J. C. wzruszył ramionami.

- Nie bądź niedobry dla Jordan - odezwała się Tammy. - Nie waż się być dla niej niedobry.

- No i zobacz, do czego doprowadziłeś. - Roselynnę sapnęła. - Przesadziłeś i zdenerwowałeś siostrę.

- Nie będę niedobry dla Jordan. Obiecuję. Nie martw się, siostro.

- Dobrze. - Uśmiechnęła się. Lubiała, kiedy J. C. mówił do niej „siostro”. - Wierzę ci, bo zawsze dotrzymywałeś obietnic. Zawsze.

Zwolnili, czekając, aż otworzy się elektroniczna brama, i zaraz dopadły ich hordy dziennikarzy. Walili w drzwi jeepa, wskakiwali na maskę i przyciskali twarze do szyb. Wszyscy wykrzykiwali jakieś pytania, a ich głosy zlewały się w nieopisany ryk przypominający odgłos monstrualnej bestii. Devon, który siedział obok Jordan na tylnym siedzeniu, objął ją opiekuńczo ramieniem.

- Boże drogi, są jak wataha wściekłych psów - stwierdził Devon.

- Trzymajcie się - rozkazał Rick. - Odpalam, zaraz się ich pozbędę.

Jordan wstrzymała oddech. Jeep wyrwał do przodu, a ludzie, którzy oblepiali maskę, polecili na ziemię. Rickowi ledwie udało się wymanewrować tak, żeby przejechać przez bramę, nie potrącając przy tym żadnego dziennikarza.

- Agenci Powella wyłapią wszystkich, którzy przedostali się na teren posiadłości uczepieni jeepa - oznajmił. - I wyprowadzą ich na zewnątrz.

- Nie martw się. Jesteś bezpieczna. - Devon chwycił Jordan za rękę.

- Wiem, teraz już jestem bezpieczna. - Spojrzała na kark Ricka i jego szerokie barki. Wiedziała, że dopóki znajduje się w bezpiecznych rękach Ricka, nic jej nie grozi.

- Lubisz go - szepnął jej do ucha Devon, tak cicho, że ledwie usłyszała. Ścisnęła go za rękę i skinęła głową.

Rick podjechał przed dom, wyskoczył z samochodu i otworzył tylne drzwi. Kiedy pomógł jej wysiąść i razem z Devonem zaprowadzili ją na werandę, przed dom zdążyła już wybiec cała rodzina. Rick i Devon stali po obu stronach Jordan, chroniąc ją przed tłumem.

Rozglądając się po uśmiechniętych, ale zatroskanych twarzach, wśród wypowiedzianych po cichu: „witaj w domu”, „kochamy cię”, Jordan napotkała wzrok szwagra. Stał w otwartych drzwiach, a jego ponura mina ostrzegała, że zanoszą się na coś nieprzyjemnego.

Kiedy dostrzegła szeryfa Corbetta stojącego w holu po lewej stronie Ryana, zachwiała się. Rick objął Jordan w talii, żeby ją podtrzymać. Na ułamek sekundy przymknęła oczy i zaczęła się modlić o siłę.

- Przepuście Jordan, dajcie jej wejść do domu - powiedział Devon.
- Porozmawiacie z nią później.

Rozstąpili się, robiąc przejście. Kiedy znaleźli się na progu, Devon pocałował Jordan w policzek i odsunął się od niej.

W korytarzu Ryan wyciągnął ręce i ujął jej dłonie w swoje.

- Bardzo mi przykro z powodu dziecka.

Zwykle była dumna z tego, że potrafi panować nad emocjami, ale strata dziecka zostawiła dziury w jej żelaznym pancerzu.

Spojrzała na Steve'a Corbetta. Zorientowała się, że nie jest sam. U jego boku stała sierżant Haley McLain.

- Steve przesłucha cię dopiero po rozmowie z twoim prawnikiem
- powiedział Ryan. - Pan Hendrix będzie z tobą podczas przesłuchania.
- Czy Cam już dotarł? - spytał Rick.
- Przyjechał jakieś dziesięć minut temu - odpowiedział Ryan.
- Czeka w gabinecie Dana.
- Proszę się nie spieszyć, pani Price - powiedział szeryf Corbett.
- Dziękuję. - Rozejrzała się w poszukiwaniu Tobiasa. Dostrzegła go w głębi holu i przywołała. - Tobias, dopilnuj, proszę, żeby szeryf Corbett i sierżant McLain mieli wszystko, czego potrzebują. Podaj kawę, herbatę, kanapki i ciastka. I poproś Vadonę, żeby przygotowała obiad dla wszystkich.

- Tak jest, pani Jordan. - Spojrzał na nią z mieszaniną współczucia i troski.
- Czy czegoś pani trzeba? Proszę tylko powiedzieć...
- Nie, dziękuję.

Ryan dogonił Jordan, kiedy Rick prowadził ją do gabinetu Dana. Otworzył drzwi i wszedł pierwszy. Z kanapy wstał przystojny blondyn. Miał na sobie szyty na miarę granatowy garnitur w prążki, doskonale uwydatniający barczyste ramiona. Żółty jedwabny krawat w srebrne groszki grzecznie spoczywał na białej koszuli w jasnosrebrne paski. Od mężczyzny biła aura bogactwa i widać było, że ma dobry gust. Uśmiechał się, nie otwierając ust, a w jasnoniebieskich oczach połyskiwały iskry, które dowodziły pewności siebie.

- Pani Price, jestem Camden Hendrix. - Podał jej rękę.
- Dziękuję, że pan przyjechał. - Uścisnęła jego dłoń, nie spuszczać wzroku z przystojnej twarzy.
- No dobrze. Cóż, możemy porozmawiać na osobności, w cztery oczy, albo, jeżeli pani woli, może zostać z nami pani szwagier.
- Wolę rozmawiać w cztery oczy.

- Panowie wybaczą. - Hendrix spojrział na Ryana, a potem na Ricka. Wyczuła, że zarówno Ryan, jak i Rick, nie chcą jej zostawić. Kiedy jednak podeszła do biurka Dana, usiadła na fotelu i położyła ręce na kolanach, Ryan skinął na Ricka, żeby za nim poszedł. Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, Hendrix odwrócił się i spojrział na Jordan.

- Musi pani wiedzieć, że wszystko, co mi pani powie, zostanie...
- Między nami - dokończyła. - Informacje poufne, tylko dla adwokata.
- Tak, *madam*. - Uśmiechnął się.
- Domyślam się, że bierze pan pod uwagę możliwość, że jestem winna?
- Każdy ma jakieś grzechy na sumieniu, pani Price. Ale jeżeli pyta mnie pani o to, czy myślę, że zabiła pani była żonę pani męża, odpowiedź jest prosta. Nie wiem. Pani mi musi powiedzieć.

- Nie zabiłam Jane Anne.
- Dobrze. Powiedzmy, że pani wierzę. Niech mi pani wyjaśni, dlaczego dała jej pani czek na sto tysięcy dolarów.
- Szantażowała mnie. - Nie spuszczała wzroku z jego twarzy. - Myślałam, że zdążył już pan rozmawiać z Rickiem Carsonem i że wszystko pan wie.
- Poprosiłem Ricka, żeby nic mi nie mówił.
- Rozumiem. W takim razie muszę panu odpowiedzieć na wszystkie pytania i wątpliwości?

- Do rzeczy - oznajmił Cam Hendrix. - Jest nieźle. Dobrze nam idzie, pani Price.

- Proszę mówić mi Jordan.

Dwadzieścia minut później Cam zaprosił do gabinetu Dana szeryfa Corbetta i panią sierżant i zaczęło się oficjalne przesłuchanie.

- Po pierwsze, chciałbym, żeby pan mi coś wyjaśnił, szeryfie Corbett - powiedział Cam. - Czy moja klientka jest podejrzana o morderstwo Jane Anne Price?

Zmieszany Steve Corbett spojrział w podłogę, przestępując z nogi na nogę.

- Nie - odpowiedział po długim wahaniu. - Ale jesteśmy zainteresowani osobą pani Price.

Cam przysiadł na brzegu biurka, swobodnie krzyżując ręce na piersi. Szeryf wysunął krzesło i ustawił je naprzeciwko Jordan siedzącej za biurkiem. Sierżant McLain stanęła przy zamkniętych drzwiach.

- Czy widziała pani Jane Anne Price w dniu morderstwa? - spytał szeryf.

- Tak.

- Gdzie i kiedy?

- Przy tylnej bramie posiadłości. Wydaje mi się, że około piątej.

- Dlaczego spotkała się z nią pani potajemnie?

- Była żona mojego męża mnie szantażowała. Miałam jej zapłacić sto tysięcy dolarów i spotkać się z nią poza Price Manor. Dom był otoczony dziennikarzami, ustaliłam z nią więc, że się spotkamy na tyłach posiadłości. Dałam jej czek i wróciłam do domu. Kiedy odchodziłam, była bardzo ożywiona.

- Dlaczego panią szantażowała?

No to pytanie nie chciała odpowiadać. Spojrzała na Cama. Skinął głową.

- Była żoną Dana i posiadała pewne informacje na temat jego zdrowia. Nie chciałam, żeby zostały upublicznione.

- Co to za informacje?

Jordan położyła sobie dłoń na brzuchu.

- Dan i ja bardzo pragnęliśmy dziecka. - Przełknęła z trudem ślinę. - Ale Dan był bezpłodny, ustaliliśmy więc, że spróbujemy sztucznego zapłodnienia.

Jane Anne wiedziała, że Dan nie jest biologicznym ojcem dziecka, które... -
Zacisnęła dłoń w pięść i zdjęła ją z brzucha. - Zapłaciłam jej, żeby nie ujawniła
tych informacji.

- Nie jest to chyba powód, żeby na zawsze zamykać komuś usta - wtrącił
Cam.

Szeryf Corbett rzucił mu groźne spojrzenie.

- Apaszka, którą uduszono Jane Anne, należała do pani. Są na niej pani
inicjały i została kupiona dla pani przez pani zmarłego męża w sklepie w
Priceville.

- Apaszka jest z lawendowego jedwabiu, a moje inicjały są
ciemnofioletowe - powiedziała Jordan. - Nie nosiłam jej od zeszłej jesieni.
Trzymałam ją w górnej szufladzie komody w garderobie, razem z innymi
apaszkami i kilkoma parami rękawiczek.

- Mógł ją wziąć każdy, kto był w domu - wtrącił Cam.

Szeryf Corbett zrobił się czerwony jak burak. Znów spojrzał gniewnie na
Cama.

- Zmierza pan chyba do tego, żeby mnie zapytać, czy zabiłam Jane Anne -
powiedziała Jordan. - Odpowiedź brzmi: nie. Spotkałam się z nią, dałam jej czek
i wróciłam do domu. Rick Carson, pracownik Agencji Powella, którą
wynajęliśmy do przeprowadzenia prywatnego śledztwa w sprawie śmierci
mojego męża, widział przebieg transakcji. Poszedł za mną do domu, żeby
porozmawiać w gabinecie. Byliśmy tam, kiedy znaleziono ciało Jane Anne.

- Wydaje mi się, że moja klientka udzieliła panu wszystkich niezbędnych
wyjaśnień. - Cam rozłożył ręce. - Domyślam się, że teraz będzie pan chciał
zweryfikować to, co usłyszał pan od pani Price. Rick Carson na pewno
potwierdzi jej wersję.

- Z pewnością. - Szeryf Corbett zmarszczył brwi i obejrzał się przez ramię na swoją współpracownicę. - Cóż, nie da się tego powiedzieć w delikatny sposób, powiem więc prosto z mostu. Wygląda na to, że wznawiamy dochodzenie w sprawie śmierci senatora.

Jordan poczuła się tak, jakby ktoś kopnął ją w żołądek.

- Pani Price i jej szwagier wynajęli prywatną agencję do prowadzenia dochodzenia w sprawie śmierci Dana Price'a, na pewno ucieszą się z tej informacji. - Cam spojrział na Jordan ukradkiem, jakby chciał się upewnić, że zareaguje odpowiednio.

- Tak, oczywiście, że tak. - Jordan wstała powoli, okrążyła biurko i stanęła obok swojego adwokata. - Przypuszczam, że pański wydział ma teraz podstawy, żeby podejrzewać, że mój mąż nie popełnił samobójstwa.

- Prokurator okręgowy Anderman konsultował się z Biurem Śledczym Georgii, które przyznaje, że istnieje uzasadniona wątpliwość w związku z okolicznościami śmierci pani męża. W świetle nowych... ehm... nowych informacji, uznano, że należy prowadzić dalsze dochodzenie w sprawie śmierci senatora.

- Jakich nowych informacji? - spytała Jordan, chociaż wiedziała. Boże drogi, wiedziała.

- Pani Price, nie wiem, jak to powiedzieć. - Szeryf Corbett pokręcił głową i podrapał się po brodzie. - Nie ja podejmowałem tę decyzję i nie chcę, żebyście pani czy Ryan choć przez minutę myśleli, że w to wierzę. Nie wierzę. Ale... biorąc pod uwagę pani przeszłość i wszystko, podejrzaną śmierć pani pierwszego męża i narzeczonego i...

- Obaj zginęli w wypadkach - przerwała mu Jordan.

- Tak, *madam*, nie wątpię.

- Jeżeli skończył pan przesłuchanie mojej klientki, szeryfie Corbett, może odprowadzę pana i pana pracownicę do drzwi? - Cam Hendrix spojrział na Jordan, wzrokiem nakazując jej milczenie. Podeszedł z szeryfem do drzwi i wyprowadził go wraz z sierżant McLain na korytarz.

Jordan stała jak wryta, zupełnie ogłuszona. To nie może dziać się naprawdę. Niemożliwe. Jestem niewinna. Nie zamordowałam Dana, Boyda ani Robby'ego Joe.

Cam wrócił szybko i zatrzasnął za sobą drzwi.

Wpatrywała się w niego z przerażeniem, ale jedyną zewnętrzną oznaką zdenerwowania były lekko drżące dłonie.

- Jedno pytanie, pani Price. Czy zabiła pani kogokolwiek?

- Nie. - Z trudem powiedziała to jedno słowo, które ledwie przeszło jej przez gardło.

- Tak myślałem. Ale nie każdy pani uwierzy, a to oznacza, że z całą pewnością zostanie pani uznana za winną do chwili, kiedy udowodnimy pani niewinność.

14

Szeryf Corbett przesłuchał Ricka. Chciał wiedzieć, gdzie była Jordan, gdy zamordowano Jane Anne Price. Odpowiedzi agenta najwidoczniej go zadowoliły.

- Muszę porozmawiać z Ryanem. Chcę mu wyjaśnić, że w tej kwestii niewiele ode mnie zależy. Ja tylko wykonuję swoją pracę.

Rick miał zamiar wyjść z pokoju, ale zawołała go Haley. Przystanął i obejrzał się przez ramię. Podczas przesłuchania, które prowadził szeryf, stała w milczeniu w kącie. Kilka razy spojrzął na nią kątem oka i widział, że bacznie się przygląda jego reakcjom.

- Możesz zostać jeszcze kilka minut? - spytała.

- Po co? - Zawahał się, a potem skinął głową.

- W dalszym ciągu myślisz, że to ja zadzwoniłam do kogoś z „Daily Gazette” i opowiedziałam o przeszłości Jordan Price, prawda?

- Nikt inny nie przychodzi mi do głowy - odparł Rick. - Szeryf Corbett nie wyjawiał informacji o tym, że Jane Anne została uduszona apaszką, która należała do Jordan. I ty chciałaś, żeby dochodzenie w sprawie śmierci Dana Price'a zostało wznowione. Udało ci się do tego doprowadzić. Dla mnie sprawa jest oczywista: tylko ty miałaś tę informację i powód, żeby wyjawić ją prasie.

- Dlaczego wierzysz Jordan, że jest niewinna, a mnie nie?

Rick uśmiechnął się ironicznie. Można by pomyśleć, że Haley jest zazdrosna o Jordan.

- Kto mówi, że jej wierzę?

- Potwierdzasz jej zeznania, mówisz, że jesteś w stanie ręczyć za to, gdzie była, kiedy uduszono Jane Anne i zaciągnięto do stawu. Nie robiłbyś tego, gdyby cię nie przekonała, że jest niewinna.

- Potwierdziłem jej zeznania dlatego, że mówi prawdę - powiedział Rick. - Nie zabiła byłej żony senatora. Nie mogła, bo była ze mną, kiedy to się stało.

Haley wciągnęła policzki i głośno odetchnęła.

- No dobrze, może i nie zabiła byłej pani Price. Mogła kogoś do tego wynająć. Devona Markhama albo tego swojego przyrodniego brata albo...

- Albo może nie ma z tym nic wspólnego. - Przyjrzał się dokładnie Haley i zauważył, że drży jej broda, ma zarumienione policzki i oczy zmrużone w szparki. - Chcesz, żeby się okazało, że jest winna. Dlaczego?

- Gdybyś nie był zaślepiony, widziałbyś oczywiste fakty, tak jak prawie każdy. Rick, nie daj się jej robić w trąbę. Jesteś na to za bystry. Spójrz na dowody. Wiesz równie dobrze jak ja, że to mało prawdopodobne, żeby kobieta straciła tylu bliskich mężczyzn w wypadkach. Zabiła Dana Price'a i udało jej się upozorować samobójstwo. Nie chciała brać sobie na głowę skakania nad chorym mężem, a może on się dowiedział, że go zdradza, i chciał się rozwieść, a może po prostu chciała jego pieniędzy...

- Poszłaś z tą teorią do prokuratora okręgowego, prawda? Naciskałaś na niego, żeby nakazał wznowić dochodzenie. I prawdopodobnie zadzwoniłaś do chłopaków z Biura Śledczego Georgii. Po artykule we wczorajszej gazecie nie miałaś większych problemów, żeby dopiąć swego.

- I co z tego? Trzeba kuć żelazo póki gorące. Zrobiłam to, czego nie zrobiliby szeryf Corbett, bo jest przyjacielem rodziny.

- Tak, i zrobiłaś to w chwili, gdy Jordan Price leżała w szpitalu po stracie dziecka, które było dla niej wszystkim.

- Mój Boże! Czy ty sam siebie słyszysz? Tak cię omamiła, że nie widzisz rzeczy oczywistych.

- Wiem, że tak jak każdy obywatel, Jordan Price jest niewinna, dopóki nie udowodni się jej winy. - Rick miał ochotę w coś uderzyć, ale na pewno nie w Haley. Nigdy w życiu nie uderzył kobiety. Nie mógł też walnąć pięścią w ścianę pokoju, bo złamałby sobie rękę. Stary dom miał twarde ściany, grube pewnie na trzydzieści centymetrów.

- Jakich potrzebujesz dowodów? - spytała Haley.

- Ty na pewno masz ich cholernie mało. Nawet jeżeli udowodnisz, że Dan Price i inni mężczyźni z życia Jordan zostali zamordowani, nie znaczy to wcale, że to ona ich zabiła.

- Kiedy zaczniemy głębiej kopać w jej przeszłości i odkryjemy więcej informacji na temat śmierci tych ludzi, będziemy w stanie udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że nikt inny poza Jordan nie miał powodu, okazji i...

- Jeśli będziecie tak kopać, to pamiętajcie, że Agencja Powella też kopie...

- Będę o tym pamiętać i nie zapomnę, że pracujesz dla pani Price.

- Rodzina Price'ów chce dowiedzieć się prawdy. Właśnie staramy się ją odkryć. Ale ciebie prawda nie interesuje. Ty już osądziłaś i skazałaś Jordan. Ty i prokurator okręgowy polujecie na czarownice.

- Naprawdę liczyłam na to, że jesteś bystrzejszy niż inni faceci. Bystrzejszy niż Ryan Price i szeryf Corbett, i Devon Markham, i zmarły senator, i wszyscy, na których Jordan Price rzuciła urok. Ale jesteś takim samym naiwniakiem jak reszta. - Podeszła do drzwi i otworzyła je, a potem przystanąła i odwróciła się do niego. - Miejmy tylko nadzieję, że nie będziesz żałował, że jej zaufałeś, i nie przypłacisz tego życiem, jak co najmniej czterej inni.

Słowa Haley pobrzmiwały Rickowi w głowie, kiedy wybiegał z domu. Czy Haley ma rację? Czy rzeczywiście pozwala, żeby Jordan go oszukiwała?

- Nie aresztują Jordan, prawda?

Dopiero kiedy usłyszał kobiecy głos, zorientował się, że nie jest na werandzie sam. Z tyłu ganku stała Rene Burke. Zaciągnęła się ostatni raz papierosem, zgmiotła niedopałek jaskraworóżowymi paznokciami i wyrzuciła do ogrodu.

- Nie - odpowiedział Rick.

- Sytuacja nie wygląda ciekawie?

- Prasa chce ukamienować Jordan.

- Jest twarda. Przeżyje to.

Rick przyjrzał się minie Rene, żeby domyślić się, jakie emocje poddyktowały jej te słowa.

- Myślałem, że jest pani jej przyjaciółką.

- Jestem - odparła Rene, podchodząc do niego. - Poznałyśmy się na studiach, od razu złapałyśmy kontakt, a po studiach, kiedy pomogła mi dostać pracę w Agencji Peachtree, stałyśmy się przyjaciółkami. Zrobiłabym dla niej wszystko. To, co powiedziałam o niej, jest prawdą. Przetrzyma wszystko. To jedna z jej wielu godnych podziwu zalet.

- Znała pani jej pierwszego męża, Boyda Brannona, prawda?

- Tak, znałam Boyda i znałam też Robby'ego Wrighta. Znałam wszystkich mężczyzn, którzy pojawili się w życiu Jordan. - Rene uśmiechnęła się. - No dalej, niech mnie pan spyta.

- O co mam spytać?

- Niech mnie pan spyta, czy uważam, że ich zabiła.

- Dobrze. Myśli pani, że ich zabiła?

- Nie. Jordan nie zabija ludzi, ona się nimi opiekuje.

- Dostyc dobrze znała pani Dana Price'a, prawda? Myśli pani, że popełnił samobójstwo?

- Przypuszczam, że to możliwe, ale Dan na takiego nie wyglądał.

Skłaniałabym się bardziej ku temu, że został zamordowany.

- Jeżeli to prawda i jeśli nie zabiła go Jordan, kto mógł to zrobić?

- Nie mam pojęcia. Wszyscy lubili Dana.

- Nie wszyscy.

- Prawie wszyscy - poprawiła się.

- A jeżeli ktoś zabił go ze względu na Jordan, ktoś, kto wiedział albo podejrzewał, że senator choruje na Alzheimera, i chciał uchronić Jordan przed męczarnią, jaką oznacza opieka nad powoli umierającym mężem? Zna pani kogoś, kto zabiłby dla niej?

Rene przechyliła głowę na bok i spojrzała mu prosto w oczy.

- A więc taką teorię pan wysnuł, panie detektywie. Celować w kogoś innego. Hm... Czy znam kogoś, kto zabiłby dla Jordan? Pierwszą osobą, która przychodzi mi na myśl, jest Devon Markham, ale on nigdy nie zrobiłby krzywdy Danowi.

- A ktoś oprócz Devona?

- Kilka osób. Na przykład Darlene Wright. Ona prawie całuje ziemię, po której stąpa Jordan. No i trójka Harrisów, Roselynn i jej dzieci. Zrobiliby dla Jordan dosłownie wszystko, bo żyją dzięki niej.

- A przybrane dzieci?

- Żadne z nich nie wygląda na zabójcę, ale są bardzo oddane Jordan, przypuszczam więc, że gdyby nie miały wyjścia, zabiłyby dla niej.

- A pani?

- Ja?

- Sama pani powiedziała, że zrobiłaby dla Jordan wszystko. Zabiłaby pani dla niej?

- Jasne, że tak, gdybym musiała.

Jordan uciekła do swojego gabinetu i zamknęła drzwi na klucz, czego nigdy nie robiła. Ale rozpaczliwie pragnęła kilku minut dla siebie, żeby nikt nad nią nie skakał i nie dopytywał się, czy czegoś jej potrzeba i czy dobrze się czuje. Nie, nie czuje się dobrze. Straciła męża i dziecko. Szkaluje ją prasa. Piszą, że jest czarną wdową. Określano ją też jako „osobę powiązaną” ze sprawą morderstwa Jane Anne Price. Jej szwagier wynajął jednego z najszynniejszych adwokatów na Południu, żeby jej bronił. Nie mogła wprost uwierzyć, jak szybko jej poukładane dotąd życie wymknęło się spod kontroli po śmierci Dana.

Każda kobieta, która przeżyła poronienie, chce mieć u boku męża. Dzieli on z nią żal i opłakuje tragedię. Powinna teraz leżeć w ramionach męża, który by ją pocieszał i podobnie odczuwał stratę, dla niego równie bolesną.

Ale życie Jordan toczyło się nie tak jak powinno, odkąd skończyła dziesięć lat.

Usiadła w wygodnym fotelu, oparła głowę o miękkie oparcie i zamknęła oczy. Gdyby chodziło tylko o nią, mogłaby sobie pozwolić na luksus odcięcia od świata i rozpaczania przez wiele dni. Użaliłaby się nad sobą. Życie płynęłoby poza nią do chwili, kiedy znów byłaby w stanie wrócić do świata.

Ale nie mogła przedkładać swoich potrzeb nad wszystko inne, podobnie jak to było po śmierci Dana. Wtedy musiała myśleć o Devonie, który stracił ukochanego. I o dziecku, które nosiła.

Kiedy zmarł Boyd, musiała zaopiekować się jego dziećmi i przygotować je do życia bez ojca. To na niej spoczęła odpowiedzialność - musiała zapewnić im

dach nad głową i zaspokoić wszystkie ich codzienne potrzeby, ale też zatroszczyć się o ich przyszłość.

Kiedy zmarł Robby Joe, myślała, że ona też umrze. Nie mogła sobie wyobrazić życia bez niego. Ale nie była osamotniona w tym żalu. Darlene straciła jedynaka, syna, który był dla niej całym światem. Oprócz Jordan nie miała już zupełnie nikogo.

Śmierć ojca zmieniła jej życie, chociaż nie na lepsze, bo dostała w spadku przybraną rodzinę, którą każdy inny zostawiłby własnemu losowi. Roselynnie miała dobre serce, ale była leniwa i ograniczona. Problemy umysłowe i emocjonalne Tammy wymagały leczenia i opieki, a to nie było tanie. A J. C. okazał się czarującym, ale nic niewartym chłopakiem, do którego, jak mówił Devon, nie warto nawet strzelać.

Dobry Boże, daj mi siłę, której potrzebuję.

Jordan nie wiedziała, jak długo siedziała sama w gabinecie. W pewnym momencie zasnęła i śniło jej się dziecko. Obudziła się, słysząc, że ktoś ją woła.

- Jordan, wszystko w porządku? - Zza zamkniętych drzwi dobiegał głos Ricka. - Tobias mi powiedział, że siedzisz tu od trzech godzin. Może powinnaś pójść na górę i położyć się na chwilę?

- Rick? - Przebudziła się, zamroczona i lekko zdezorientowana. - Wszystko... wszystko w porządku. - Wstała z fotela na chwiejnych nogach. Całe ciało miała zeszywniałe, była wyczerpana fizycznie i psychicznie. - Zaczekaj. Chcę z tobą porozmawiać. - Przeszła powoli przez pokój i przekręciła klucz w drzwiach.

Otworzyła je i spojrzała w ciemnobrązowe oczy pełne troski.

- Powinnaś leżeć w łóżku - powiedział. - Dopiero wyszłaś ze szpitala. Nie przejmuj się całym tym wariactwem. W każdym razie nie dzisiaj.

- Wejdz. Proszę.

Kiedy wszedł do gabinetu, zamknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku.

- Jedynie tak mogę ich powstrzymać, żeby nie wchodzili sprawdzić, jak się czuję.

- Na pewno nie chcesz, żebym zostawił cię w spokoju?

- Nie, chcę z tobą porozmawiać i coś ci wytłumaczyć.

- Nie wiem, o czym myślisz, ale czy to nie może poczekać?

- Ryan ci opowiedział o Danie. Że był gejem i że Devon był jego partnerem.

- Tak, powiedział mi. Miałbym o wiele mniej roboty, gdybyście wyjaśnili mi to od razu, kiedy mnie wynajęliście.

- Ci z nas, którzy kochali Dana, bardzo dbają o jego reputację i dobre imię. Im mniej osób zna prawdę, tym bezpieczniejsze są jego tajemnice.

- Jego życie było kłamstwem i twoje małżeństwo z nim było kłamstwem.

- W pewnym sensie masz chyba rację - przyznała. - Ale polityka jest, jaka jest, nawet w naszych czasach, a tu, w Georgii, ludzie nie są zbyt tolerancyjni. Dan musiał wybierać między uczciwością w prywatnym życiu i porzuceniem kariery a skrywaniem prywatnego życia i utrzymaniem pozycji.

- I zrezygnował z uczciwości na rzecz kariery.

- Wychował się w rodzinie i w czasach, które nie akceptowały homoseksualizmu. Zrobił, co uważał za najlepsze dla siebie, kariery i rodziny.

- A ty, Jordan? Dlaczego za niego wyszłaś, skoro wiedziałaś, że jest gejem?

- Rick machnął ręką przepaszająco. - Zapomnij, że pytałem. To nie moja sprawa.

- Nie, chcę ci wytłumaczyć. Chcę, żebyś spróbował mnie zrozumieć.

Odwróciła się i podeszła do kanapy, a Rick za nią. Usiadł obok niej. Odwróciła się do niego wyprostowana.

- Dla Dana i dla mnie był to układ - wyznała Jordan. - Obojgu nam małżeństwo dawało to, czego potrzebowaliśmy. On doszedł do wniosku, że poważnie potraktuje zamiary jego partii, która chciała delegować go do ubiegania się o fotel prezydenta. Usłyszał, że musi mieć u boku odpowiednią żonę. Devon i ja od dziecka byliśmy przyjaciółmi, a Dana znałam od lat, odkąd zaczął być z Devonem. Devon dobrze wiedział, że nie mam zamiaru ponownie wychodzić za mąż i że na pewno nie łudzę się, że jeszcze kiedyś się zakocham. Przedstawili mi z Danem propozycję.

Rick przyglądał jej się uważnie. Wiedziała, że usiłuje ocenić, czy mówi prawdę. Chciał jej wierzyć, chciał jej ufać, a jednak nadal miał wątpliwości. Nie mogła go za to winić.

- Miałam na utrzymaniu rodzinę i chociaż dostałam sporą sumę z ubezpieczenia po śmierci Boyda, nie wystarczyłoby mi na wychowanie Wesa i Kendry, na to, żeby opłacić im studia i zapewnić taki start w dorosłe życie, na jaki oboje zasługują. Miałam też rodzinę, którą dostałam w spadku po ojcu. Moja macocha i przybrana siostra były, i nadal są, całkowicie zależne ode mnie finansowo, a J. C, chociaż od czasu do czasu zdarza mu się pracować, ciągle potrzebuje pieniędzy.

- Dan Price zaoferował, że zapewni byt twojej rodzinie, jeżeli za niego wyjdiesz?

- Nie tylko. Obiecał mi też jedną trzecią jego majątku po śmierci, ale myślałam, że stanie się to za jakieś dwadzieścia, trzydzieści lat... Nigdy nie przypuszczałam...

Rick zmrużył oczy i przyglądał jej się intensywnie, w zamyśleniu.

- Zgodziłaś się na układ, który wykluczał z twojego życia miłość i seks.

Chyba że Dan zgodził się, żebyś...

- Mogłam mieć kochanka, gdybym chciała, pod warunkiem, że zachowam dyskrecję, tak jak Dan i Devon. Ale nigdy nie poznałam mężczyzny, który by mnie pociągał.

- Czy wszyscy wiedzą, że w spadku po Danie dostałaś jedną trzecią jego majątku?

- Wszyscy, to znaczy... ?

- Rodzina i przyjaciele.

- Tak, chyba tak. Dlaczego pytasz?

- Bo zastanawiam się, czy ktoś, kto jest od ciebie zależny, mógł zabić Dana, żebyś jedną trzecią jego majątku odziedziczyła teraz, a nie w przyszłości.

- Niepotrzebnie się zastanawiasz. - Pokręciła głową.

- Czyżby? Jane Anne zamordował ktoś przebywający w posiadłości.

Prawdopodobnie zabił ją dlatego, żeby chronić reputację senatora albo ciebie.

- Ale przecież poza Devonem nikt nie wiedział, że Jane Anne mnie szantażuje. I zanim zaczniesz mówić dalej, mogę cię zapewnić, że Devon nie byłby w stanie nikogo zabić.

- No dobrze, skreślmy Devona. Sama jednak przyznałaś, że w tym domu nie ma prywatności, a to oznacza, że nie masz pojęcia, kto mógł podsłuchać twoją rozmowę z Devonem albo nawet usłyszeć, jak rozmawiałaś przez telefon z Jane Anne.

- Chcesz, żebym zgodziła się z tobą, że Jane Anne zabił ktoś, kogo znam i kocham. Nie mogę tego zrobić.

- A chcesz wziąć na siebie winę za morderstwo, którego nie popełniłaś?

- Nie, oczywiście, że nie.

- Ale to właśnie robisz, eliminując podejrzanych. W sprawie morderstwa Jane Anne nie jesteś podejrzana tylko dlatego, że zapewniam ci alibi. Ale to za mało, żebyś była bezpieczna. Prawdopodobnie myślą, że są w stanie udowodnić, iż namówiłaś kogoś innego, żeby zabił...

- Ty też tak myślisz? - Spojrzała na niego gniewnie, złość i frustracja zabrzmiały w jej głosie.

- Liczy się tylko to, co myśli policja, nie ja.

- Dla mnie to ważne.

Zobaczył szczerą jej oczach. Jego zdanie było dla niej ważne. Ale dlaczego? Z jakiego powodu? W kwestii Jordan niczego nie mógł być pewien. Czy poprosiła Rene Burke, żeby pozbyła się Jane Anne? A J. C? Rick był prawie pewien, że ten sukinsyn bez zasad moralnych jest zdolny niemal do wszystkiego, zwłaszcza gdy w grę wchodzi pieniądze. Może Jordan obiecała mu sowitą zapłatę za to, żeby wykonał za nią brudną robotę?

- Nie jesteś pewien, prawda? - Jordan zaczęła oddychać szybciej. Spojrzała na Ricka gniewnie. - Znowu wszystko rozbija się o kwestię zaufania. Nie wierzysz mi.

- Nie znam cię. Nie znam prawdziwej Jordan Price, ukrytej pod grubą skorupą. Nie mam pojęcia, kim jesteś wewnątrz.

- Może morderczynią, która ciągle zabija.

- Nie powinniśmy o tym teraz rozmawiać. Musisz pójść na górę do łóżka i odpoczywać. - Rick wstał.

Wyciągnęła rękę i chwyciła go za nadgarstek. Spojrzał na nią z góry, a ona uniosła wysoko głowę.

- Dowiedz się prawdy. Dowiedz się, kto zabił Jane Anne. Dowiedz się, czy Dan został zamordowany.

- Naprawdę tego chcesz?

- Tak.

- Zatem nie może być między nami tajemnic. Od tej pory musisz być wobec mnie całkowicie szczerą. Zgoda?

Zawahała się tylko przez chwilę, a potem wyswobodziła jego rękę. - Zgoda.

Kiedy po południu wkładała sweter, zanim wyszła za Jordan, wiedziała, że prawdopodobnie będzie musiała zabić Jane Anne. Stanowiła zagrożenie, którego nie można lekceważyć. Nie było czasu na obmyślenie planu, żeby przestępstwo wyglądało na wypadek. Nie miała zamiaru pogorszyć sytuacji. Chciała tylko uwolnić je od kłopotu. Bóg jej świadkiem, że kiedy wyciągała z kieszeni swetra apaszkę, nie pomyślała, że kilka tygodni temu wyjęła ją z szuflady Jordan. Często pożyczała jej rzeczy, a Jordan nie miała nic przeciwko temu. Była aż nazbyt hojna. Dałaby jej wszystko, o co tylko by poprosiła.

A teraz jej bezmyślność wpędziła Jordan w kłopoty. Następnym razem nie popełni już takiego błędu.

Dzięki Bogu, że Rick Carson stanął po stronie Jordan. Może myliła się co do niego. Może rzeczywiście okaże się, że jest ich przyjacielem. Miała taką nadzieję. Potrzebny im silny, troskliwy mężczyzna, który się nimi chwilowo zaopiekuje, a Rick Carson, jak widać, nadaje się do tej roli.

Tak długo, jak będzie dla nich dobry, nic złego mu się nie stanie.

Ale jeżeli zrobi im krzywdę albo zdradzi, albo zacznie stanowić jakiegokolwiek zagrożenie, będzie musiała się nim zająć, podobnie jak wszystkimi innymi.

Rick przyglądał się Jordan i Tammy. Z kuchennego okna częściowo widział ganek i tył ogrodu. Przyszedł tu w poszukiwaniu Vadonny, żeby poprosić ją o dzbanek świeżej kawy do gabinetu Price'a, ale pokojówki nigdzie nie było. Pewnie przygotowała obiad, pozmywała i poszła odpocząć do siebie. Przecież kawę równie dobrze może zrobić sobie sam. Nikt inny kawy nie chciał, ale on i Cam potrzebowali czegoś na wzmocnienie, a alkohol nie wchodził w grę. Niezbyt cieszyła go wizja spotkań, jakie zaplanowali na dzisiejsze popołudnie - rozmów z członkami licznej rodziny Jordan. Ryan i Claire, którzy prosili, by przesłuchano ich razem, przyjechali prosto z kościoła i czekali z Camem w gabinecie.

Darlene Wright poinformowała go rano, że rodzina zwykle w komplecie uczęszcza na nabożeństwa, jakby uznała to wyjaśnienie za konieczne.

- Roselynnie i ja, chociaż często się nie zgadzamy, doszliśmy do tego samego wniosku. Biorąc pod uwagę sytuację, stwierdziłyśmy, że dzisiaj powinniśmy zostać w domu. A nasza droga Jordan nie jest jeszcze na siłach, by pójść do kościoła.

Chyba się im nie dziwił. Kto miałby ochotę znosić szeptki za plecami albo natarczywe czy wręcz oskarżycielskie spojrzenia?

Czując się trochę jak podglądacz, pomyślał sobie, że jest głupcem. Stał i gapił się na Jordan, jakby nie miał nic lepszego do roboty. Wzbudzała jego zainteresowanie nie tylko dlatego, że była jego klientką, a nawet nie tylko dlatego, że jest piękną kobietą. Fascynowała go tak, jak żadna kobieta do tej pory. Widział oczywiste przejawy jej chłodu i opanowania, a jednak dostrzegał przebliski kruchości i bezbronności. Które oblicze Jordan Price jest prawdziwe?

Oba? Żadne? Zależy? Zaczął się zastanawiać, czy może istnieją dwie Jordan - łagodna czarująca kobieta, którą chciał chronić i pocieszać, oraz jej zła bliźniaczka - zimna wdowa bez uczuć, jaką widział przy grobie senatora.

Tammy szła z Jordan za rękę w stronę domu i uśmiechała się, słuchając tego, co mówi. Roześmiała się i pociągnęła Jordan za rękę do huśtawki na ganku. Usiadły i rozmawiały dalej.

Jordan Price jest zagadką. Łamigłówką, której nie potrafi rozwiązać. Gołym okiem widać, że troszczy się o innych, że jest uprzejma, a nawet zdolna do poświęceń. A jednak jest w niej jakiś chłód, który kontrastuje z matczyną naturą. Ani razu nie widział, żeby płakała. Ani na pogrzebie męża, ani potem, ani nawet po stracie dziecka.

- One się kochają - powiedziała Roselynn, wchodząc do kuchni i stając za Rickiem.

Obejrzał się przez ramię, ale nic nie powiedział.

- Nie wszyscy mają cierpliwość do mojej Tammy, czasami nawet mnie jej brakuje. Niektórzy są dla niej niemili, dlatego, że jest inna. Jordan nigdy. Od samego początku, kiedy Wayne sprowadził mnie z dziećmi do siebie.

- Ile lat miała wtedy Jordan?

- Dwanaście, a to było niecałe dwa lata po tym, jak straciła mamę. Wtedy mnie za bardzo nie lubiła, ale nie przekładała swojej niechęci na Tammy. Przemeblowała pokój, żeby znalazło się miejsce dla Tammy, i serdecznie się do niej odnosiła. Chyba od pierwszego dnia zaczęła traktować ją jak przybraną młodszą siostrę i tak już zostało.

- Pani bardzo lubi Jordan, prawda?

- Kocham tę dziewczynę, bo ma dobre serce i jest dla nas lepsza, niż mogliśmy się spodziewać. - Roselynn podeszła do niego i stanęła z boku,

spoglądając tam, gdzie on, na huśtające się Jordan i Tammy, którym włosy mierzwił popołudniowy wiatr.

- Chyba dobrze się trzyma. Nie niepokoi pani to, że po stracie dziecka nie uroniła ani jednej łzy? - spytał Rick.

- Jordan nie płacze. - Roselynnie westchnęła, a jej wielki biust uniósł się i opadł pod wpływem głębokiego oddechu. - No, może czasem lekko zaszklą jej się oczy, ale to wszystko. O ile wiem, nie uroniła łzy od śmierci Robby'ego Joe. Chyba wypłakała za nim wszystkie łzy.

Czyżby wyjaśnienie było tak proste? Ale jaka kobieta nie zapłacze po stracie dziecka, którego, jak twierdzi, pragnęła najbardziej na świecie?

- Nie mam ochoty im przeszkadzać - zaczął Rick. - Ale obiecałem Jordan, że dam jej znać, kiedy Cam Hendrix i ja będziemy zaczynać rozmowy.

- Kto pierwszy? - spytała Roselynnie.

- Ryan i Claire.

- A Tammy i ja zaraz po nich, tak?

- Zgadza się, chyba że wolą panie później.

- Nie, mogę być następna. Dziękuję, że się zgodziłeś, żebym była przy Tammy, kiedy będzie przesłuchiwana. Może się zdenerwować, a ja potrafię ją uspokoić.

- Będziemy się starali nie wyprowadzić jej z równowagi. Chcemy tylko zadać kilka pytań.

- Widzę, jak patrzysz na Jordan. - Roselynnie położyła mu dłoń na ramieniu.

- Możesz tylko pogorszyć sytuację, jeżeli ktoś to źle odbierze, a chyba nie chcesz do tego dopuścić.

- Widzi pani coś, czego nie ma - uciał Rick. - Pani Price jest moją klientką. To wszystko.

- Skoro tak twierdzisz... - Poklepała go po plecach. - Może oszczędzę ci zachodu i pójdę jej powiedzieć, że Claire i Ryan już są?

- Skoro jest pani tak miła. Kiedy skończymy rozmawiać z Ryanem i Claire, przyjdziemy po panią albo wyślemy Tobiasa, żeby dał pani znać, że czekamy.

Odetchnął dopiero wtedy, kiedy Roselynn wyszła z kuchni. Od tej pory będzie musiał uważać na to, jak patrzy na Jordan. A najlepiej, żeby w ogóle przestał na nią patrzeć.

Po przesłuchaniu Claire i Ryana, Cam uściśnął mi dłoń i podziękował za współpracę. Byli otwarci i szczerzy. Oboje przyznali, że bardzo nie lubili Jane Anne Price. Było im przykro, że nie żyje, ale odczuwali ulgę, że nie będzie mogła wyjawic pilnie strzeżonych tajemnic zmarłego senatora. Byli razem w chwili, gdy zamordowano Jane Anne, w dodatku zdążyli już wyruszyć do swojego domu. Pracownicy biura szeryfa widzieli, jak wyjeżdżali przez główną bramę.

Cam spojrzał na Ricka, który siedział z nogami opartymi na otomanie, trzymając na kolanach rozłożoną teczkę.

- Oboje bardzo lubią Jordan - zauważył Cam.

- A kto nie lubi?

- Nie wiesz, czy jest winna czy niewinna i nie daje ci to spokoju. - Cam roześmiał się. - Witaj w klubie. Jestem jej adwokatem, a sam mam poważne wątpliwości.

- Jakim cudem kochałoby ją tylu ludzi, gdyby była bezduszną morderczynią? - spytał Rick.

- Seryjni mordercy, a do takich zalicza się czarne wdowy, często potrafią być czarujący i zwodniczo mili. Ale to manipulacja. Wykorzystują swój urok, żeby omamić, a potem zadają śmiertelny cios.

- Ona nie zabiła Jane Anne. To wiem na pewno.

- W takim razie musimy się dowiedzieć, kto to zrobił, a także czy zrobił to sam, czy z czyjąś pomocą. Ale przede wszystkim należy pamiętać o tym, że zostałem wynajęty po to, żeby bronić Jordan, a nie wydawać osąd, czy jest winna czy nie. Detektywem jesteś ty. To ty musisz dokopać się prawdy.

- Nie tylko Jordan знаła wszystkie ofiary. - Rick bębnił palcami w teczkę. - Zakładając, że wszyscy bliscy jej mężczyźni rzeczywiście byli ofiarami. Znali ich Roselynn, J. C. i Tammy, ale też Darlene i Devon. Każde z nich mogło zabić Dana i pewnie czterech pozostałych. I Jane Anne.

- A jaki miałby powód?

- Miłość, zazdrość, nienawiść. Wybierz sobie.

- Może poszukasz pani Harris i jej córki, a ja zapoznam się z nowymi informacjami, które dostałeś rano z agencji? Będę lepiej przygotowany do rozmowy z nimi.

- Zwróć szczególną uwagę na informację o pierwszym mężu pani Harris. - Rick wstał i podał Camowi teczkę.

Przesłuchanie Roselynn i Tammy przebiegało w zasadzie tak, jak przewidywał Rick. Obie gorąco broniły Jordan. Roselynn zachowywała się swobodnie i natychmiast odpowiadała na każde pytanie. Tammy była zdenerwowana i oporna. Za każdym razem, kiedy miała odpowiedzieć, spoglądała na matkę. Odzywała się dopiero wtedy, kiedy Roselynn skinęła głową. Roselynn kilka razy wtrącała się i mówiła za córkę.

- Lubię spacerować. Czasami idzie ze mną mama, a czasem Jordan, ale tu, w pobliżu, sama mogę chodzić, gdzie tylko chcę, prawda, mamo?

- Tammy spojrzała na Roselynn, czekając na potwierdzenie.

- Zgadza się. Spacer to dobre ćwiczenie, a Tammy uwielbia być na dworze.

- I podczas jednego z codziennych spacerów zobaczyłaś w stawie ciało Jane Anne? - spytał Cam.

Oczy Tammy otworzyły się szeroko, jakby oczami wyobraźni zobaczyła staw i ciało.

- Nie wiedziałam, kto to. Nie znałam tej kobiety. Ale wiedziałam, że jest martwa. Tak samo jak Dan.

- Już dobrze. Już dobrze. - Roselynn poklepała Tammy po ręce.

- Widziałaś, żeby ktoś inny też spacerował? - spytał Rick. Tammy zastanawiała się przez kilka minut, a potem pokręciła przecząco głową.

- Już nic więcej panom nie powie. - Roselynn spojrzała na Ricka, a potem na Cama. - Chyba wystarczy.

- Dobrze. Dziękuję, Tammy, że odpowiedziałaś nam na pytania. Bardzo nam pomogłaś.

- Pomogłam Jordan? - spytała Tammy. - Chcę pomóc Jordan.

- Tak, pomogłaś Jordan - odparł Rick.

- Jeżeli to wszystko, to my...

- Niech Tammy idzie się pochwalić Jordan, jak jej dobrze poszło

- zaproponował Rick. - A my w tym czasie zadamy jeszcze kilka pytań pani, pani Harris.

- Mogę iść, mamó? Mogę iść się pochwalić Jordan, jak mi dobrze poszło i jak jej pomogłam?

- Tak, skarbie, biegnij. Idź do Jordan. - Roselynn nie spuszczała wzroku z twarzy Ricka. Kiedy Tammy wyszła, uśmiech zniknął z jej twarzy. - Pewnie dokopaliście się jakichś brudów. Przypuszczałam, że to tylko kwestia czasu. Trochę szalałam za młodu, zadawałam się z paroma żonatymi facetami i... Jeżeli się dowiedzieliście, że Tammy i J. C. mieli różnych ojców, to byłabym

wdzięczna, gdybyście zachowali to dla siebie. Oni o tym nie wiedzą i nie chcą, żeby wiedzieli. Rick i Cam wymienili spojrzenia.

- W tej chwili interesuje nas jedynie informacja dotycząca pani pierwszego męża - odezwał się Rick.

- A co ma do tego Andy Terry? Nie żyje od ponad dwudziestu pięciu lat.

- Jak zmarł pan Terry? - spytał Cam.

- Zabił się. - Oczy Roselynnne otworzyły się szeroko, kiedy dotarła do niej prawda. - Strzelił sobie w głowę. - Zbladła jak ściana.

- Jak senator Price. - Rick bacznie obserwował jej reakcję.

- Słuchajcie, panowie. Nie miałam nic wspólnego ze śmiercią Andy'ego.

Nawet ze sobą nie mieszkaliśmy, kiedy to się stało.

- Nikt pani o nic nie oskarża, pani Harris - uspokoił ją Cam. - Pomyśleliśmy tylko, że to ciekawy zbieg okoliczności.

- No właśnie, zbieg okoliczności, nic więcej. - Roselynnne podskoczyła na krześle. - Nie zabiłam Andy'ego i z całą pewnością nie zabiłam Dana. Nie zabiła go też Jordan. - Przeszła przez pokój jak burza, otworzyła z rozmachem drzwi i wypadła na korytarz.

- I co ty na to? - spytał Cam.

- Powiem krótko: im więcej ludzi, których możemy podejrzewać, tym lepiej dla Jordan.

J. C. Harris był nadętym dupkiem. Rickowi wydawało się, że jest zdolny do wszystkiego. Ale miał odpowiedź na każde pytanie, a alibi zapewniały mu matka i siostra, zarówno w chwili śmierci Dana, jak i Jane Anne. Był elokwentny:

Chyba trochę za bardzo elokwentny.

Devonowi Markhamowi przez cały czas przesłuchania drżały dłonie. Kilka razy zadrżał mu też głos, a po jego gładkich, ładnych policzkach popłynęły łzy.

Wyglądało na to, że jego miłość do Dana Price'a oraz przyjaźń i miłość dla Jordan są zupełnie prawdziwe. Rick nie mógł sobie wyobrazić, żeby ten delikatny mężczyzna był w stanie kogoś zabić.

Darlene Wright rozciągała wokół siebie aurę wyższości, która onieśmiała Ricka, ale okazała się pomocna. Nie ulegało wątpliwości, że jest oddana Jordan.

- Mam małe mieszkanie w centrum, ale kiedy Jordan i Dan przyjeżdżali do domu, często spałam tutaj, tak jak wtedy, kiedy Dan się zabił - powiedziała Darlene. - Na całe szczęście, bo Jordan mnie potrzebowała.

- Nadal pani wierzy, że senator zabił się sam? - spytał Rick.

- No cóż, tak myślałam do... Jeżeli Dan został zamordowany, mogę zapewnić pana, że nie zrobiła tego Jordan. Jest najśłodsza, najdroższa...

- A pani, pani Wright? - spytał Cam. - Zabiłaby pani senatora Price'a ze względu na Jordan? A Jane Anne? Zrobiłaby pani wszystko, żeby chronić Jordan, prawda?

- Tak, chyba ma pan rację. Dla Jordan zrobiłabym wszystko - przyznała Darlene. - Ale jeżeli insynuuje pan, że poprosiła mnie, żebym zabiła Dana albo jego byłą żonę, to się pan myli. Jordan nie znosi przemocy, podobnie jak ja.

- Mam do pani jedno, ostatnie pytanie - powiedział Rick.

- Słucham.

- Wierzy pani, bez najmniejszego cienia wątpliwości, że wypadek pani syna był rzeczywiście wypadkiem?

- Tak, jak najbardziej. - Darlene spojrzała mu prosto w oczy. Siedziała z rękami spokojnie splecionymi na kolanach i nogami skrzyżowanymi w kostkach, jak na damę przystało.

Kiedy zostali sami w gabinecie, Cam podsumował rozmowy.

- Z tych wypowiedzi wyłania się obraz, który stawia Jordan w bardzo pozytywnym świetle. Nawet ten jej przyrodni brat hulaka nie powiedział o niej złego słowa.

- Przecież ci mówiłem. Wszyscy ją kochają. Rodzina i przyjaciele, rodzina senatora, a nawet służący.

- Na to wygląda. Nikt nie ma alibi na czas, kiedy została zabita Jane Anne, poza klanem Harrisów, którzy ręcą za siebie nawzajem. Mógł to zrobić każdy.

- Została nam jeszcze Rene Burke - przypomniał Camowi Rick. Cam spojrzał na zegarek.

- Jest po piątej, lepiej więc się pośpieszmy, żeby skończyć do szóstej, jeśli to możliwe. Wieczorem wracam do Chattanooga.

Rene była chętna do współpracy, szybko i wyczerpująco odpowiadała na pytania. Spała, kiedy Dan Price się zabił, bądź został zabity, i była sama, gdy uduszono Jane Anne. Wskazywała palcem wszystkich innych, podając, jakie powody mogły ich skłonić do morderstwa.

- Czy brali panowie pod uwagę ewentualność, że Dana, jeśli nie popełnił samobójstwa, zabił ktoś inny niż jego była żona? - spytała Rene.

- Jasne - odpowiedział Rick. - Niewykluczone, że mamy do czynienia z dwoma mordercami, ale w takim razie istnieje duże prawdopodobieństwo, że ze sobą współpracują. Takim duetem może być Roselyne i Tammy albo Devon i Jordan, albo na przykład pani i Darlene lub J. C.

- Pomiął pan Ryana i Claire.

- Nie było ich w Price Manor, kiedy zginął senator, i wyjechali, zanim została zamordowana Jane Anne.

- To zmniejsza krąg podejrzanych o dwie osoby, ile więc zostaje? Siedem? Dziewięć osób, razem ze służącymi.

- Jak pani myśli, kto zabił Jane Anne? - wtrącił się Cam.
- Nie mam pojęcia - odpowiedziała Rene.
- Myśli pani, że Dan Price popełnił samobójstwo czy też... ? - spytał Rick.
- Nie wiem. Może się dowiem od panów? - Poruszyła się na krześle. -

Panowie, te pytania zadajecie mi po raz drugi. Nie wiem, kto zabił Dana, nie wiem, kto zabił jego byłą żonę. Nie wierzę, że którekolwiek z nich zamordowała Jordan. I zgadza się, w pewnych okolicznościach byłabym w stanie zabić dla Jordan, ale nie zabiłam ani Dana, ani jego byłej żony.

- A Robby'ego Joe Wrighta? - Rick pochylił się nad jej krzesłem i spojrzał jej w oczy.

- Robby'ego Joe? - Rene zamrugła kilka razy. - O co panu chodzi, do diabła?

- Zabiła pani Robby'ego Joe Wrighta?

- Chyba pan oszalał. Robby Joe zginął w wypadku samochodowym. Nie został zamordowany, a już na pewno nie przeze mnie.

- Jak dobrze znała pani Robby'ego Joe?

- Powiedziałam panu wczoraj, że znałam wszystkich mężczyzn, którzy pojawiali się w życiu Jordan, włącznie z jej ojcem i Robbym Joe.

- Nie odpowiedziała mi pani na pytanie. Jak dobrze go pani znała?

Zacisnęła zęby i spojrzała gniewnie na Ricka.

- Znała pani Robby'ego Joe zanim poznała go Jordan? - Rick odsunął jej się sprzed oczu.

- Tak. Ja ich ze sobą poznałam.

- Spotykała się pani wtedy z Robbym Joe?

- Nieźle się pan musiał natrudzić, żeby dokopać się do tej informacji, co? -

Rene prychnęła. - Tak, spotykałam się z Robbym Joe przez kilka miesięcy, ale

nigdy nie łączyło nas nic poważnego. Kiedy poznał Jordan, wszystko się skończyło. Zupełnie oszalał na jej punkcie.

- Była w nim pani zakochana?

Rene zawahała się, po czym z trudem przełknęła ślinę.

- Tak, ale on nie odwzajemniał tych uczuć i nie sądzę, że wiedział, co czuję.

- A Jordan wiedziała?

- Nie, nie wiedziała. Nie umówiłaby się z nim, zanim nie wyjaśniłaby sytuacji ze mną. Taka jest. Nie miała pojęcia, co czuję do Robby'ego Joe i mam nadzieję, że jej panowie nie powiedzą. Jaki miałoby to sens po tylu latach?

Jej ojciec był myśliwym. Kiedyś, kiedy miała siedem lat, zabrał ją ze sobą na pierwsze polowanie, nie zważając na lamenty matki, że zabijanie zwierząt nie jest odpowiednią rozrywką dla małej dziewczynki. Ale ona była zachwycona każdą chwilą tej przygody. Na tej wyprawie nauczyła się posługiwać strzelbą, zasmakowała emocji polowania i triumfu zabijania. Potem często jeździła z ojcem polować na kaczki i przepiórki, a czasem i na sarny. Te wspaniałe przygody stały się dla niej cennymi wspomnieniami. Gdyby nie te wyprawy łowieckie, nigdy nie zostałaby wyborowym strzelcem.

Tamtej zimnej listopadowej nocy siedem lat temu, wzięła strzelbę z zamkniętej skrzyni z piwnicy domu, ubrała się w ciepły kombinezon maskujący i pojechała za Boydem. Zaparkował jeepa i dołączył do grupy przyjaciół, a ona zatrzymała auto w bezpiecznej odległości i podeszła do lasu pieszo.

Wspomnienie tamtego poranka stało jej przed oczami jak żywe, jakby wszystko wydarzyło się wczoraj. Miała wrażenie, że cała scena rozgrywa się na nowo, w tej właśnie chwili.

Złożył obietnice, których nie dotrzymał. Wierzyły, że będą z nim szczęśliwe, że da im dziecko, które będą kochać. Ale co chwila je rozczarowywał. Boyd Brannon nie był mężczyzną, za jakiego go uważały. Tolerowały jego przewinienia tak długo, jak się dało.

Niewierność stała się przysłowiową kroplą, która przepełniła czarę. To niewybaczalny grzech.

Niełatwo było podjąć decyzję, że trzeba się go pozbyć. W końcu kochały jego dzieci, a Wesley i Kendra stracili już matkę. Ale na dłuższą metę im też będzie lepiej bez niego.

Poprawiła ciężką strzelbę, którą niosła na ramieniu, przemykając cicho wśród drzew. Było tak zimno, że kiedy oddychała lodowatym powietrzem, z ust wydobywała się para. Cieszyła się, że włożyła długie buty, dwie pary skarpet i czapkę na głowę. Gdyby przypadkiem ktoś ją zauważył, opatuloną od stóp do głów, nie domyśliłby się nawet, że jest kobietą.

Świt nadchodził coraz szybciej, a żaden z myśliwych nic nie ustrzelił. Zaczynała się martwić, że Boyd się zniechęci i wcześniej wróci do domu. Ale nie mogła zaatakować za szybko. Musiała poczekać, aż nadejdzie odpowiednia chwila, idealny moment.

Niedługo. Zaraz.

Wytropiła go, stał kilkanaście metrów od niej.

Serce zaczęło jej szybciej bić.

Spokojnie. Opanuj się. Nie możesz chybić.

Miała tylko jeden strzał. Jedną szansę, żeby odpowiednio załatwić sprawę.

Musiało to wyglądać na wypadek, tragiczny wypadek na polowaniu. Takie rzeczy zdarzają się od zawsze. Nie ma winnych. Po prostu myśliwy znajduje się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwej chwili.

Strzelać w głowę czy w serce? Co bardziej przypomina wypadek? Chyba to obojętne.

Przyglądała się uważnie, jak Boyd opiera strzelbę o pień i rozpina zamek w spodniach. Co on robi? Matko jedyna, sika.

Uśmiechnęła się.

To odpowiednia chwila.

Niewiele myśląc, bez wahania ustawiła strzelbę, namierzyła go, wycelowała i wypaliła. Kiedy kula mknęła do celu, wstrzymała oddech. Czekwała niecierpliwie. Puf! Kula trafiła Boyda w czoło.

Gdy zwalił się na ziemię, ogarnęło ją niewypowiedziane podniecenie, które można poczuć tylko w chwilach takich jak ta. W chwilach zabijania.



Po śniadaniu Griff poprosił Nicole i Sandersa, żeby spotkali się z nim w gabinecie. Zastanawiała się, jak długo będą musieli czekać, żeby wtajemniczył ich w szczegóły ostatniej wyprawy do Anglii. Doskonale знаła swojego męża, więc go nie ponaglała. Griffin Powell kierował się własnymi zasadami i żył tak, jak mu się podobało o wiele za długo, żeby można go było zmienić. Nawet gdyby chciała to zrobić żona. Dziwne, ale Nicole nie chciała w nim nic zmieniać, nawet gdyby mogła.

W domu był od czwartku, a o wizycie u Yvette Meng powiedział tylko tyle, że kiedy wyjeżdżał z Londynu, czuła się dobrze i kazała przekazać pozdrowienia.

- Przyjedzie do nas pod koniec roku - dodał. - Chyba na dłużej. Na początku znajomości z Griffem, Nicole była zazdrosna o piękną

Yvette, egzotyczną i tajemniczą kobietę z przeszłości męża. Ale teraz, znając tę przeszłość i naturę nierozzerwalnej więzi łączącej go z Sandersem i z Yvette, rozumiała ich wzajemne oddanie. Rozumiała też, że pewnych rzeczy na temat męża nigdy się nie dowie, bo lepiej dla niej -jak powiedział - żeby ich nie wiedziała.

Nie licząc nocy, kiedy się kochali, od powrotu do domu Griff niemal ją ignorował. Dzień po dniu godzinami rozmawiał przez telefon w gabinecie, całkowicie pochłonięty jakimiś sprawami. Chociaż starała się nie mieć do niego żalu, że nie chce jej wtajemniczyć w to, co się dzieje, czuła się dotknięta. Przez ostatnich kilka dni czasem niewiele brakowało, żeby zażądała wyjaśnień. Starła się jednak ćwiczyć cierpliwość.

Swoim niepokojem podzieliła się z Sandersem.

- Przypuszczam, że pracuje nad czymś bardzo ważnym - powiedział. -
Wyjaśni ci wszystko w swoim czasie.

Nie znosiła tego, że Sanders rozumiał Griffa w taki sposób, w jaki ona nie potrafiła i pewnie nigdy nie będzie umiała. Ale była pewna swojego miejsca w życiu i sercu Griffa, starała się więc pogodzić z tym, że dla jej męża przyjaźń z Sandersem i Yvette jest ważna.

Kiedy spotkali się w gabinecie, Griff spojrzał najpierw na Nicole, potem na Sandersa, a potem znowu na Nicole.

- Przepraszam, że zwlekałem z omówieniem ostatniej podróży do Yvette, ale najpierw musiałem sobie wszystko uporządkować i nadać bieg sprawom związanym ze wspólnym projektem z Yvette.

Sanders milczał. Nicole postanowiła, że będzie robić to, co on.

- Nie chciałem cię z tego wykluczać. - Jego wzrok napotkał wzrok żony. W jego oczach dostrzegła szczerą i błagającą wyrozumiałość. - O wiele za długo byłem starym kawalerem. Bądź wobec mnie cierpliwa, a przyjdzie czas, że łatwiej mi będzie dzielić się z tobą różnymi rzeczami.

- Obojgu nam potrzeba czasu, żeby przyzwycząić się do tego, że jesteśmy małżeństwem. - Uśmiechnęła się. - I zrozumieć, co to oznacza dla każdego z nas.

Odwzajemnił uśmiech, a potem spojrzał na Sandersa.

- Yvette przyśle do nas młodą kobietę, która tu trochę pobędzie. Przyjeżdża w przyszłym tygodniu.

- To ktoś szczególny dla Yvette? - spytał Sanders.

- Tak, osoba, z którą pracuje - odpowiedział Griff. - Poznałem ją w Londynie. Jest Amerykanką, która od kilku lat mieszka w Europie.

- Mogę wiedzieć, dlaczego Yvette wysłała ją do nas, skoro jest na szkoleniu psychiatrycznym u Yvette? - spytała Nicole.

- To, co usłyszycie, ma zostać między nami, możecie powiedzieć tylko Barbarze Jean - oznajmił Griff. - Od jakiegoś czasu do Yvette przyjeżdżają ludzie, którzy, podobnie jak ona, mają nadprzyrodzone zdolności. W tej chwili pracuje z pięcioma osobami - czterema kobietami i mężczyzną.

- Ci ludzie twierdzą, że mają zdolności paranormalne? - spytała Nicole. Griff uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Ciągłe jesteś moją małą sceptyczką? Muszę was wtajemniczyć w nasze plany - oznajmił Griff. - Yvette chce się przenieść tu, do Stanów, do Przystani Griffina. Chce tu wysłać Meredith, żeby zajęła się nadzorowaniem budowy domu i małego kompleksu biurowego.

Nicole nie była pewna, co czuje w związku z wizją Yvette wprowadzającej się do Przystani Griffina razem z grupą obcych ludzi. Ale skoro to dla Griffa ważne...

Griff najwyraźniej wyczuł jej niechęć.

- Wybrałem na budowę miejsce oddalone od naszego domu. Nie będziemy też uczestniczyć w tym, co Yvette i jej... jej uczniowie będą robić. Ona po prostu potrzebuje spokojnego miejsca do pracy z tymi młodymi ludźmi. Chce im pomóc. - Spojrzał w oczy żonie. - Yvette martwiła się o to, jak zareagujesz. Powiedziała mi, że przyjedzie tutaj tylko wtedy, jeżeli ty się na to zgodzisz.

No, pięknie. Jeżeli powiem „nie”, wyjdę na zazdrosną żmiję bez serca. Nie zadrezczaj się, Nicole. Lubisz Yvette. Szanujesz ją. Nie masz powodu być o nią zazdrosna. Jest przyjaciółką Griffa i jasno dała do zrozumienia, że chce być twoją przyjaciółką.

- Jeżeli ty chcesz, żeby Yvette przyjechała do Przystani Griffina, i zgadzasz się na budowę domu i szkoły czy biura, czy jak sobie tam to nazwiecie, dla ludzi z różnymi paranormalnymi zdolnościami, nie mam nic przeciwko temu.

- Dzięki, Nicole. Westchnęła głęboko.

Nikt nigdy nie twierdził, że małżeństwo z Griffinem Powellem będzie prostą sprawą, zwłaszcza dla takiej kobiety jak ona.

- Jeżeli to wszystko, pójdę już do pracy. - Wstała.

- Resztę omówimy później - powiedział Griff.

- Jasne. - Podeszła do drzwi, przeszła korytarzem na werandę i dopiero wtedy dała upust frustracji.

- Do diabła!

- Nic ci nie jest? - dobiegł ją kobiecy głos. Nicole jęknęła.

- Przepraszam - odezwała się Barbara Jean. - Myślałam, że wiesz, że tu jestem.

Nicole wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić, i spojrzała na jedną z wielu pracujących dla agencji osób. Barbara Jean była kimś wyjątkowym. Nie tylko mieszkała w Przystani Griffina i zajmowała się prowadzeniem domu, ale też była miłością życia Sandersa.

- Nie zauważyłam cię - przyznała Nicole. - Szukałam miejsca, żeby wyładować złość, nie stawiając na nogi całego domu.

Barbara Jean, która po wypadku samochodowym wiele lat temu była niepełnosprawna, podjechała do Nicole na wózku inwalidzkim.

- Chcesz porozmawiać?

- Yvette Meng zamierza obok Przystani Griffina zbudować dom i przeprowadzić się tu, chyba na stałe.

- Ach, rozumiem.

- A ja nie. Nie rozumiem, dlaczego musi się tu przeprowadzać, i nie rozumiem, dlaczego ta perspektywa tak mnie denerwuje.

- Będzie ci lżej, jeżeli ci powiem, że ja też jestem o nią zazdrosna? -

Barbara Jean wyciągnęła rękę i ujęła dłoń Nicole.

Wymieniły porozumiewawcze spojrzenie i obie wybuchnęły śmiechem.

- Z naszymi mężczyznami łączy ją przeszłość. - Barbara Jean ścisnęła Nicole za rękę. - I nie zmienimy tego. Ale ich miłość do niej nie stanowi zagrożenia dla żadnej z nas. Przecież wiesz, prawda?

- Tak, wiem. - Nicole postukała się po głowie, a potem położyła sobie rękę na sercu. - To w tym miejscu mam problem.

- No, to musimy tylko popracować...

Dzwonek telefonu komórkowego Nicole przerwał Barbarze Jean w pół zdania.

- Przepraszam - powiedziała Nicole, wyciągając telefon z kieszeni bluzy.

- Nie szkodzi. Odbierz. Porozmawiamy później, jeżeli będziesz chciała.

- Chyba musimy. - Nicole otworzyła telefon, sprawdziła, kto dzwoni, i odebrała. - Cześć, Rick, co tam?

- Mam do ciebie sprawę.

- Wal. - Otworzyła szklane drzwi prowadzące na taras i wyszła na zewnątrz.

- Potrzebna mi informacja, którą ciężko zdobyć.

- Dotycząca sprawy Daniela Price'a, jak się domyślam?

- Tak. Właściwie to informacja prywatna, dotycząca Jordan.

- Jaka prywatna informacja? Myślałam, że dokopaliśmy się do wszystkich trupów z jej życia?

- Muszę wiedzieć, czy Jordan była poddawana leczeniu psychiatrycznemu, czy miała załamanie nerwowe albo jakikolwiek inny problem psychiczny.

- Hm... Ciekawe. A dlaczego ci przyszło do głowy, że mogła...

- Nie wiem. Powiedzmy, że snuję domysły. Odkąd zacząłem pracować nad tą sprawą, nie jestem w stanie rozgryźć Jordan. W końcu uderzyło mnie, że są w niej jakby dwie różne kobiety.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że cierpi na rozszczepienie osobowości?

- Nie, nie. Nic z tych bzdur. Ale czy to normalne, żeby kobieta nie uroniła ani jednej łzy po stracie dziecka i żyła dalej, jakby zupełnie nic się nie stało?

- Nie wiem, ale być może Jordan w ten sposób radzi sobie z załamaniem nerwowym.

- Nie zapłakała ani razu od pogrzebu Dana Price'a. Dziwne w tym wszystkim jest to, że na ogół zachowuje się jak normalna, wrażliwa osoba, ale czasami odnoszę wrażenie, że funkcjonuje jak robot.

- Do dokumentacji medycznej ciężko się dostać - powiedziała Nicole. - Bez zezwolenia to nielegalne.

- Czy chcesz powiedzieć...

- Chcę powiedzieć, że nie pozwolę na żadne nielegalne działanie, ale Griff być może się zgodzi.

- Może nie trzeba będzie się uciekać do nielegalnych działań. Myślisz, że Claire może wiedzieć coś na temat przeszłości Jordan?

- A, to dlatego zadzwoniłeś do mnie, a nie do Griffna. - Nicole roześmiała się. - Jasne, zadzwonię do Claire i zobaczę, co wie. Oddzwonię za kilka godzin.

- Nicole?

- Tak?

- Zanim się rozłączysz, chcę ci jeszcze powiedzieć, że korzystając z tego, że w Price Manor są agenci Powella, przeprowadzę się do Priceville Inn.

- Czy jest jakiś szczególny powód tej wyprawki?

- Powiedzmy, że zacząłem podchodzić do sprawy zbyt emocjonalnie.

- Do Jordan Price?
- Chyba tak.
- Chcesz, żebym cię odwołała z tego zlecenia?
- Nie, muszę dopilnować sprawy do końca.
- Dobrze. Zadzwoń do Claire i dam ci znać.
- Dzięki.

Jordan spędziła poranek na odpoczynku, głównie po to, żeby uspokoić Darlene i Roselynnę, które, odkąd wróciła ze szpitala, skakały nad nią, jakby była bezwładną inwalidką. Darlene przyniosła jej na górę śniadanie na tacy i siedziała przy niej, dopóki nie zjadła po trochu wszystkiego, co miała na talerzu.

- Musisz odzyskać siły, kochanie - powiedziała.

Teraz, pół godziny po tym, jak Jordan udało się przekonać Darlene, żeby zostawiła ją samą, do pokoju wtargnęły Roselynnę i Tammy. Tammy przyniosła bukiet wiosennych kwiatów, zapewne zerwanych w ogrodzie w Price Manor. Włożyła je do wazonu, a Roselynnę w tym czasie poprawiła Jordan poduszki i kołdrę.

- Dzisiaj wyglądasz o wiele lepiej. Nie jesteś już taka blada. - Pocałowała Jordan w czoło i poklepała po ramieniu. - Nie od razu, ale się pozbierasz. - Ściszyła głos do szeptu. - Wy, dzieci, nie wiedzieliście, ale poroniłam kilka miesięcy po ślubie z twoim ojcem. To nam złamało serca.

Jordan nawet nie przeszło przez myśl, że jej macocha była w ciąży. Czy dlatego ojciec się z nią ożenił? To by wiele wyjaśniało...

Tammy postawiła wazon z kwiatami na nocnym stoliku po prawej stronie Jordan i usiadła na łóżku.

- Mama mówi, że wszystko się dobrze skończy i że pewnego dnia znów wyjdiesz za męża i urodzisz nam inne dziecko.

- Tammy!-zganiała ją Roselynnne.

- Co... co złego zrobiłam? - Do oczu Tammy napłynęły łzy.

- Nie zrobiłaś nic złego. - Jordan chwyciła Tammy za rękę. Spojrzała na macochę. - Naprawdę, Roselynnne, nic się nie stało.

- Kiedy się nauczę trzymać gębę na kłódkę? - Roselynnne pokręciła głową i jęknęła. - Po prostu głośno myśląc, powiedziałam, że kiedyś wyjdiesz za mąż. Powinnam mieć rozum, żeby nie mówić takich rzeczy przy Tammy.

- To mama ma rację? - spytała Tammy. - Kiedyś urodzisz nam innego dzidziusia, prawda? Naprawdę się cieszyliśmy, że będziemy mogli kochać to maleństwo. Nawet zaczęłam robić sweterek na drutach.

- Tammy, skarbie, chyba już pójdziemy i damy Jordan odpocząć. - Roselynnne zmarszczyła groźnie brwi.

Jordan przytuliła Tammy, a ta zeskokczyła z łóżka i uśmiechając się promiennie, tanecznym krokiem opuściła pokój. Roselynnne ruszyła za nią, ale przystanęła w drzwiach.

- Gdybym mogła dać ci to, na co zasługujesz, wybrałabym dla ciebie mężczyznę godnego ciebie, takiego, który by cię naprawdę kochał. I chciałabym ci życzyć dobrego męża i gromadki dzieci. Może kiedyś...

Jordan nie zdążyła nawet zastanowić się nad odpowiedzią, bo Roselynnne wyszła. Ostatnią rzeczą, o jakiej myślała, było ponowne zamążpójście i dzieci. Dwa razy próbowała małżeństwa i oba te związki zakończyły się tragicznie. A jeżeli chodzi o dziecko... Bezwiednie opuściła dłoń na brzuch. Dziecko właśnie straciła. Dziecko Devona. Ciekawe, do tej pory ani przez chwilę nie myślała o tym, że jest to również dziecko Devona. Chyba w głębi duszy traktowała je jako wyłącznie swoje, chociaż musiałyby dzielić się nim zarówno z Danem, jak i z Devonem.

Była tak pochłonięta sobą i dochodzeniem w sprawie morderstwa Jane Anne, że właściwie nie okazała Devonowi wsparcia, którego potrzebował. On też stracił najpierw Dana, a potem dziecko. Nie powinna się nad sobą użalać, tylko starać się mu pomóc.

Pograżona w myślach, niemal nie usłyszała delikatnego pukania do drzwi.

- Jordan, mogę wejść? - spytała Rene.

- Oczywiście.

- Na pewno? - Rene uchyliła drzwi, zajrzała do środka i uśmiechnęła się.

Jordan odrzuciła kołdrę, przesunęła się na brzeg łóżka i skinęła na Rene.

- Na pewno. Zwariuję, jeśli będę tu dłużej gnić.

- Poranna poczta. - Rene wniosła plik kopert. - Pomyślałam, że może ją przejrzyysz i zdecydujesz, co chcesz otworzyć sama, a czym mam się zająć ja.

- Daj mi pięć minut na szybki prysznic. - Jordan wstała, wsunęła pantofle i poszła do łazienki. - Zostaniemy tu, nie będziemy schodzić na dół, bo Darlene i Roselynnie nie dadzą mi spokoju.

- Martwią się o ciebie, dlatego tak cię prześladowają.

- Wiem, ale nie muszą się przejmować. Już doszłam do siebie.

- Nie wątpię - odparła Rene. - Ale wiesz, tym razem nikt by się nie zdziwił, gdybyś się załamała nerwowo.

- Nie mogę.

- Wiem o tym.

Piętnaście minut później siedziały wygodnie w fotelach po obu stronach stolika. Rene nalała do filiżanek kawy ze srebrnego dzbanka stojącego na tacy ze śniadaniem i mogły już zająć się przeglądaniem poczty. Od śmierci Dana zalewały ją kartki i listy z kondolencjami, które nadchodziły do tej pory. Rene

zajmowała się większością korespondencji, ale zwykle najpierw Jordan przeglądała pocztę, żeby wybrać to, co załatwi osobiście.

- Rozmawiałś rano z Rickiem Carsonem? - spytała Rene.

- Nie, dlaczego pytasz? - Jordan usłyszała troskę w głosie asystentki.

- Nie mówił ci, że przeprowadza się do miasta? W domu są detektywi Powella, postanowił więc przenieść się do Priceville Inn.

Nie powinno mieć dla niej znaczenia to, gdzie mieszka Rick i gdzie będzie spędzał noce. A jednak miało. Dlaczego nagle postanowił wyjechać z Price Manor? I dlaczego jej o tym nie powiedział ani się nie wytłumaczył?

- Nie, nie mówił.

- Ja wiem o tym tylko dlatego, że wpadłam na niego rano, jak wychodził z walizką w ręce.

- I co powiedział? Wyjaśnił ci coś czy...

- Nie. Powiedział tylko, że gdybyś o niego pytała, mam ci przekazać, że skontaktuje się z tobą.

- Rozumiem.

- Cholerni faceci! Jeden wart drugiego. Wielka kupa owłosionych mięśni, nic więcej.

Jordan roześmiała się. Za to właśnie lubiła przyjaciółkę, Rene zawsze umiała ją rozśmieszyć.

- Lubisz go, prawda? - spytała Rene.

- Znam go zaledwie tydzień. Pierwszy raz zobaczyłam go na pogrzebie Dana. Myśli, że mogłam zabić obu moich mężów i narzeczonego. Nie mam go za co lubić.

- Chodzi mi o inne lubienie. Takie, które nie zależy od tego, jak długo się kogoś zna, ani od tego, czy ktoś jest wart tego, żeby go lubić. Mówię o hormonach. Rick Carson działa na ciebie.

- Jeżeli masz na myśli to, że twoim zdaniem Rick mnie pociąga fizycznie, to muszę ci przyznać rację. I wkurza mnie to. Wcale nie chcę się tak czuć. Nigdy więcej. A zwłaszcza teraz, kiedy moje życie pogrążyło się w wielkim chaosie.

- No cóż, mogę ci tylko powiedzieć, że moim zdaniem ty działasz na niego podobnie. Pociągasz go, a on tego nie chce. Nie wiem, czym będzie tłumaczył wyprowadzkę z Price Manor, ale moim zdaniem wyprowadził się właśnie z tego powodu.

- W takim razie postąpił właściwie. Na pewno wie, że to nieodpowiedni czas, miejsce i wszystko. - Jordan zabębniła palcami w dziesięciocentymetrowy stos korespondencji. - Weźmy się do tego.

Szybko przejrzała koperty i posegregowała je na trzy pliki: śmieci, Rene i osobiste. Właściwie znalazł się tylko jeden list, który musiała przeczytać osobiście. Jakieś zaproszenie.

Jordan przyjrzała się zwykłej, białej kopercie. Adres wypisany był odręcznie, ołówkiem. Nadawcy nie było. Stempel z Priceville, Georgia.

- Coś ciekawego? - spytała Rene.

- Spójrz na to. - Jordan podała kopertę asystentce.

- Hm... Pismo wygląda na dziecinne. Mam otworzyć?

- Nie, ja to zrobię. - Drżącą ręką wzięła kopertę od Rene i rozcięła ją srebrnym nożykiem do otwierania korespondencji.

Nie wiedziała, dlaczego nagle serce zaczęło jej bić i spocily się jej dłonie. Jakby ostrzegana intuicją, ostrożnie wyjęła zwykłą białą pojedynczą kartkę w

linie i rozłożyła ją. Treść wypisana była ołówkiem, tym samym dziecięcym charakterem pisma.

„Oni myślą, że jesteś morderczynią. Ale my wiemy, że nie, prawda? Co mam zrobić, żeby im udowodnić, że jesteś niewinna? Zabić także ciebie?”

Jordan czuła, jak krew dudni jej w skroniach i przesywa głowę niczym huk odjeżdżającego pociągu.

- Jordan? Co się stało? Co to jest?

Głos Rene brzmiał tak, jakby dobiegał z zaświatów. Jordan bez słowa podała jej list.

- Co to jest, do licha?

- Może ty wiesz.

- To robota jakiegoś świra. - Odłożyła list na stół. - Musimy zadzwonić do szeryfa Corbetta.

- Nie - ucięła Jordan.

- Nie wiadomo, czy masz do czynienia z psychopata czy z dowcipnisiem.

Jordan wstała, zrzucając na podłogę listy, które trzymała na kolanach. Znalazła telefon komórkowy leżący na nocnym stoliku, gdzie położyła go, kładąc się wieczorem spać. Włączyła aparat i wyszukała numer w pamięci telefonu.

- Do kogo dzwonisz? - spytała Rene.

Gestem dłoni poprosiła, żeby jej nie przeszkadzała, a sama słuchała dźwięku w słuchawce.

- Witaj, Jordan - odezwał się Rick Carson.

- Musisz natychmiast wrócić do Price Manor.

- Rene powiedziała ci, że wyprowadzam się do Priceville Inn?

- Tak, ale nie dlatego dzwonię. Jeżeli chodzi o mnie, możesz mieszkać, gdzie ci się żywnie podoba. To twój wybór. Ale musisz tu natychmiast przyjechać. Ktoś grozi mi śmiercią.

RS

Czy to jedyny list z pogrózkami, jaki dostałaś? - spytał Rick.

- Tak.

- W takim razie, moim zdaniem, należy przypisać go wariatowi, który po morderstwie poczytał sobie doniesienia prasowe.

Jordan odetchnęła z ulgą.

- To samo powiedziała Rene. Ale muszę przyznać, że kiedy to przeczytałam, przeraziłam się...

- O ile tego listu nie napisała osoba, która mieszka razem z tobą, nie masz się czego obawiać. A może właśnie to cię tak zdenerwowało? Myślisz, że ten list napisał ktoś, kogo znasz, i uważasz za godnego zaufania?

- Nie, wcale tak nie pomyślałam.

- Wiem, że nie chcesz przyjąć do wiadomości całkiem realnej możliwości, że Dana zabił ktoś bliski tobie i jemu. Ale fakty mówią same za siebie. Coraz bardziej prawdopodobna staje się hipoteza, że Dan został zamordowany. A jeśli to nie ty pomogłaś mu pociągnąć za spust, to kto? Do twojego domu wstęp ma ograniczona liczba ludzi.

- Chcesz, żebym uwierzyła, że Dana zabił któryś z członków naszej rodziny, ale ja nie mogę. Nikt, nawet J. C, chociaż jest, jaki jest, nie zrobiłby krzywdy Danowi.

- Wierz, w co chcesz - powiedział Rick. - W tej chwili to ty jesteś główną podejrzaną, chociaż wydział szeryfa określa cię jako osobę „powiązaną ze sprawą”. Jeżeli nie chcesz brać na siebie winy za morderstwo, którego dopuścił się ktoś inny, powinnaś przyjąć do wiadomości kilka brutalnych faktów.

- Nie mogę. Nie tylko zmuszasz mnie do tego, żebym uwierzyła, że Dana zabił ktoś, kogo kocham i komu wierzę, ale jeżeli napisał ten list...

- Spojrzała gniewnie na kartkę, którą trzymał w ręce. -... właściwie może chcieć zabić również mnie.

- List napisał ktoś, kto najwyraźniej wierzy w twoją niewinność, ale w dość dziwny sposób to okazuje. - Rick pomachał przed nią listem.

- Napisał to ktoś niewykształcony, a może celowo posłużył się ołówkiem i kartką w linie.

- Rene chciała, żebym zadzwoniła do Steve'a Corbetta. Jeżeli faktycznie ktoś mi grozi, powinien o tym wiedzieć.

- Powiem mu, kiedy uznam to za stosowne - stwierdził Rick. - Na razie włożę list i kopertę do torebki foliowej i zabiorę ze sobą. Na kopercie jest na pewno wiele odcisków palców, ale na samym liście powinny być tylko twoje, Rene i moje, no i prawdopodobnie osoby, która go napisała. Jeżeli otrzymasz kolejny, wyślę oba do Agencji Powella i zbadamy je w naszym laboratorium. Jeżeli drugiego listu nie będzie, uznamy ten za nieszkodliwy wybryk jakiegoś wariata.

- Dobrze. Miejmy nadzieję, że to nic poważnego. - Podała mu rękę. -
Dziękuję.

Rick zawahał się, a potem szybko uścisnął jej dłoń.

Mimo jego spokoju, Jordan wyglądała na zmartwioną. Serce mu się krajało, kiedy widział ją w takim stanie - bladą, zdenerwowaną i oczekującą od niego cudu, jakby mógł rozwiązać wszystkie jej problemy. Emanowała od niej bezradność, która sprawiała, że chciał ją ratować.

Uciekaj stąd, zanim zrobisz coś głupiego.

Przecież nie bez powodu wyprowadził się do Priceville Inn. Nie powinien o tym zapominać.

- Będę w pobliżu jeszcze przez kilka godzin, gdybyś mnie potrzebowała - powiedział. - Po zmianie na bramie wjazdowej podwożę detektywów Powella do miasta.

Patrzyła na niego rozczulającymi szaroniebieskimi oczami, wywołując w nim dziwne wrażenie, że potrafi przejrzeć go na wylot, odczytać jego myśli.

- Dlaczego wyprowadziłeś się do hotelu? - spytała.

- Wszyscy pracownicy Powella tam mieszkają. Wydawało mi się, że to właściwa decyzja. Nie chciałem, żeby wyglądało, że jestem lepiej traktowany, ponieważ prowadzę tę sprawę.

Było to kłamstwo, i oboje o tym wiedzieli, ale Jordan nie zakwestionowała jego słów.

- Czy pojawiły się jakieś nowe fakty w sprawie morderstwa Jane Anne? - spytała Jordan.

- Nie.

- A co z dochodzeniem w sprawie śmierci Dana?

- Wydział szeryfa wznowił śledztwo, możemy więc się domyślać, że twój mąż został zamordowany.

- Tak, to oczywiste.

- Pozostaje pytanie, kto zabił senatora i jego byłą żonę - stwierdził Rick.

Znała z góry odpowiedzi na swoje pytania. Nie miał wątpliwości, że czegoś od niego chce. Żeby poświęcił jej czas? Okazał zrozumienie? Właściwie czego?

Przyznaj, Carson, jesteś w tym samym stopniu winny, co ona. Ociągasz się, bo chcesz z nią spędzić trochę więcej czasu, nawet gdyby to miało być kilka minut. Ależ z niego głupiec. Dla nich obojga ta rozmowa jest pretekstem do tego, żeby przez chwilę dłużej móc być blisko siebie. Czy nią kieruje to samo, co nim? Jakie to ma znaczenie? Oboje znajdują się na z góry przegranych pozycjach.

Zadzwoił telefon komórkowy Ricka.

- Przepraszam. - Zawahał się, ale wyjął telefon i odebrał. -Carson.

- Rick, tu Nicole.

- Możesz chwilę poczekać? - Spojrzał na Jordan. - Muszę porozmawiać.

Sprawy służbowe.

- Jasne. - Usiłowała zdobyć się na uśmiech, ale się jej nie udało. - A ja muszę omówić z Vadonną listę zakupów na następny tydzień.

Przyglądał się, jak wychodzi z gabinetu, który kiedyś był jednym z salonów. Wrócił do rozmowy dopiero wtedy, gdy za Jordan zamknęły się drzwi.

- Tak, Nic, już jestem. Przepraszam, ale byłem z Jordan.

- Rozmawiałam z Claire.

- I co?

- Niewiele wie na temat życia Jordan sprzed małżeństwa z Danem, poza paroma rzeczami, o których powiedziała jej sama Jordan.

- Mówiła jej, że miała w przeszłości jakieś psychiczne lub emocjonalne problemy?

- Niezupełnie, ale takimi sprawami człowiek się raczej nie chwali, nie sądzisz?

- A zatem Claire nic nie wie?

- Claire mówi, że jeżeli chcesz dowiedzieć się czegokolwiek na temat przeszłości Jordan, powinieneś zapytać ją samą.

- Myślisz, że powie mi prawdę?

- Raczej nie - zgodziła się Nic. - Ale może ktoś, kto zna Jordan od dawna, jeśli uwierzy, że chcesz jej pomóc, opowie ci, co stworzyło z niej kobietę, którą jest obecnie?

- Radzisz mi, żebym udawał, że interesuję się tym dlatego, że lepiej ją rozumiejąc, łatwiej będzie mi udowodnić, że jest niewinna.

- Warto spróbować. Poza tym, kto wie - może się okazać, że faktycznie jest zupełnie niewinna?

Rick wypróbował taktykę, którą zasugerowała Nicole, ale nikt nie dał się na nią nabrać. Pomyślał, że na temat przeszłości Jordan najprędzej wyciągnie coś od Roselynn, ale najwyraźniej go przejrzała. Devon, Tammy, Darlene i J. C. wznosili hymny pochwalne na cześć Jordan, ale nie dowiedział się od nich niczego nowego. Ostatnią deską ratunku była Rene.

- Jeszcze tu jesteś? - spytała, kiedy znalazł ją na ganku, gdzie paliła papierosa. - Myślałam, że już wróciłeś do hotelu?

- Wyjeżdżam za pół godziny, po zmianie agentów na bramie wjazdowej. Zaciągnęła się papierosem i wypuściła chmurę dymu.

- Naprawdę myślisz, że wyprowadzka do Priceville Inn coś zmieni?

- Nie wiem, o co ci chodzi. - Wzruszył ramionami.

- Oczywiście, że wiesz. Co z oczu, to z serca. Ale to nie działa. Kiedy Jordan pojawia się w życiu, to na zawsze. Przyglądałam się temu wiele razy. - Rene roześmiała się. - Chyba nie sądzisz, że jesteś pierwszym mężczyzną, który padł ofiarą jej uroku?

- Myślałem, że nie żywisz do niej urazy z powodu Robby'ego Joe Wrighta?

- Nie żywię. - Znów zaciągnęła się papierosem. - Możesz mi wierzyć, cieszę się, że to nie ja byłam z nim zaręczona, kiedy zginął. Do tamtego czasu zdążyłam już w miarę dojść do siebie. Gdybyś widział, przez co musiała przechodzić Jordan...

- Chyba ciężko to zniosła, prawda? No ale tego można było się spodziewać. Kochała go?

- Świata poza sobą nie widzieli. Boże, tacy byli zakochani. - Rene po raz ostatni zaciągnęła się papierosem, rzuciła go na kamienną posadzkę patio i zgasiła czubkiem czarnego czółenka na dziewięciocentymetrowej szpilce.

- Czy ktoś pomógł jej przetrwać żałobę? - Rick zadał to pytanie najswobodniej jak tylko umiał.

- Oczywiście. Darlene praktycznie nie odstępowała jej na krok. Przyjaźniły się ze sobą jeszcze przed wypadkiem Robby'ego Joe, ale potem stały się nierozłączne. Nie wiem, jak przeżyłyby bez siebie tę tragedię.

- Jestem zaskoczony, że Darlene nie wpadła w czarną rozpacz. Przecież Robby Joe był jej jedynym synem.

- Cóż, nie wpadła. Chyba trzymała się ze względu na Jordan. To Jordan... - Rene urwała w pół zdania, jakby nagle dotarło do niej, że niewiele brakuje, a wyjawi coś, co nie powinno interesować Ricka.

- To Jordan wpadła w czarną rozpacz?

Rene spojrzała na niego gniewnie. Czyżby zaczęła podejrzewać, że wypytuje ją nie bez powodu?

- Słuchaj, pytam, bo chcę pomóc Jordan. Jeżeli w przeszłości miała problemy psychiczne lub emocjonalne, to by wyjaśniało, dlaczego jest, jaka jest.

- A jaka jest teraz?

- Przysięgam, że nie chcę Jordan zrobić krzywdy - powiedział Rick. - Chcę jej pomóc.

Rene przyglądała mu się przez parę minut.

- Wiesz co, właściwie ci wierzę. Ty jej nie ufasz. Nie rozumiesz jej. Nie masz stuprocentowej pewności, że nie zabiła tych osób, a jednak chcesz jej pomóc. - Rene pokręciła głową i uśmiechnęła się z zakłopotaniem. - Przysięgam, że nie wiem, jak ona to robi.

- Co?

- Owija sobie facetów wokół palca. Devon, J. C, Robby Joe, Jay, Boyd, Dan, Ryan, a teraz ty.

- Ryan?

- Nie, nigdy między nimi nic nie było. Nie to miałam na myśli. Ryan uważa, że jest wspaniała, tak jak wszyscy inni, którzy pojawiali się w jej życiu.

- Kim jest Jay? - spytał Rick.

- Jay? Jay Reynolds. Pracowałyśmy z nim w Agencji Peachtree. Czuł coś do Jordan, ale ona wtedy opłakiwała Robby'ego Joe i chociaż umówili się parę razy, nic z tego nie wyszło. Kiedy przestała się z nim spotykać, zareagował dosyć ostro. Któregoś dnia zrobili w pracy scenę.

- Jaką scenę?

- Jordan nigdy nie opowiadała o tym ze szczegółami, ale chyba przesadził, zrobił się agresywny, a ona uderzyła go w twarz.

- I co było potem? Dalej razem pracowali?

- Tak, przez chwilę, ale w końcu Jay wyjechał z Atlanty. Chyba dostał pracę w innym mieście - odparła Rene. - Słuchaj, bardzo miło mi się z tobą gada, ale muszę zadzwonić w kilka miejsc i wysłać parę maili przed kolacją.

Odwróciła się i chciała odejść, ale Rick złapał ją za rękę.

- Co właściwie stało się z Jordan po śmierci Robby'ego Joe? Rene zawahała się.

- Słuchaj. Powiem ci, bo wiem, że i tak w końcu dotrzesz do tej informacji.

- Spojrzała mu w oczy. - Usiłowała popełnić samobójstwo.

Jak ma pogodzić informację od Rene, że Jordan usiłowała popełnić samobójstwo, z tym, jaką Jordan zna. Ta Jordan nie targnęłaby się na swoje życie, podobnie jak i on. Krótka znajomość nie pozwoliła mu dobrze poznać

Jordan, ale jedno wiedział na pewno - jest niewiarygodnie silna. A silni i odporni ludzie na ogół nie odbierają sobie życia. Czy Rene go okłamała? A jeżeli tak, to dlaczego? A może Jordan była kimś zupełnie innym dwanaście lat temu, kiedy straciła narzeczonego?

Może tak bardzo kochała Robby'ego Joe, że uznała, iż bez niego nie może żyć? W takim razie to całkiem nieprawdopodobne, że go zamordowała.

Czy śmierć Robby'ego Joe mogła spowodować załamanie psychiczne, które doprowadziło ją do próby samobójczej i do tego stopnia zaburzyło osobowość Jordan, że stała się bezduszną morderczynią?

Czy informacja, którą zdobył, dawała mu odpowiedź na pytania o Jordan? Nie. Rodziła jedynie nowe. A jedyną osobą, która mogła mu udzielić odpowiedzi, była sama Jordan.

Spojrzał na zegarek. Za dziesięć minut nastąpi zmiana na bramie wjazdowej. Otworzył telefon komórkowy i zadzwonił do Holta Keinana.

- Muszę zostać jeszcze jakąś chwilę w Price Manor. Możesz załatwić transport dla strażników?

- Nie ma sprawy - odpowiedział Holt. - Przywożę drugą zmianę, a potem wracam do miasta. Mogę ich zabrać.

- Dzięki.

Rick poszedł poszukać Jordan i znalazł ją tam, gdzie najwyraźniej spędzała większość czasu - w małym, prywatnym gabinecie na tyłach domu. Drzwi były lekko uchylone, zapukał więc i po prostu otworzył. Stała przy oknie i spoglądała na ogród. Kiedy wszedł, zerknęła na niego przelotnie.

- Myślałam, że już wyjechałeś. Zmieniłeś plany?

- Nie, coś mnie zatrzymało - odpowiedział.

Co ma powiedzieć? Chyba nie może ni z tego, ni z owego wyskoczyć z pytaniem, czy usiłowała popełnić samobójstwo? Jak zareaguje, jeżeli jej oznajmi, że miała psychiczne i emocjonalne problemy, które mogły popchnąć ją do morderstwa?

- Chcesz ze mną o czymś porozmawiać? - spytała. Podszedł bliżej.

- Nie chcę, żeby się okazało, że jesteś winna morderstwa.

Uśmiechnęła się, a potem odwróciła wzrok, skupiając się na jakimś odległym przedmiocie na dworze.

- Gdybym naprawdę kogoś zamordowała, Dana czy któregokolwiek z bliskich mi mężczyzn, nie sądzisz, że ktoś wpadłby na to wcześniej?

- Niekoniecznie.

- Mówiłam ci już, jaka jest prawda. Powtarzałam, że jestem niewinna. Nie wiem, co jeszcze mogę powiedzieć albo zrobić, żeby przekonać ciebie, wydział szeryfa, a nawet mojego adwokata, że nigdy nikogo nie zabiłam.

- A czy kiedykolwiek próbowałaś kogoś zabić? Odwróciła gwałtownie głowę i spojrzała na niego gniewnie.

- Nie, nigdy...

- A siebie?

Krew odpłynęła jej z twarzy. Przyglądała mu się tak, jakby nagle wyrosły mu rogi.

- Co... co powiedziałeś?

- Pytam, czy niedługo po śmierci Robby'ego Joe Wrighta nie próbowałaś się zabić.

- Kto ci powiedział, że...

- Nieważne, jak się dowiedziałem - uciał Rick. - Czy to prawda?

- Nie, nieprawda.

- Chcesz powiedzieć, że nie przedawkowałaś tabletek nasennych i nie robiono ci płukania żołądka?

Pod wpływem złości odzyskała rumieńce. Zacisnęła mocno zęby.

- Wiesz, że przede mną się nic nie ukryje? - uprzedził.

- Po śmierci Robby'ego Joe miałam kłopoty z zasypianiem. A kiedy już udało mi się usnąć, śniły mi się koszmary. Lekarz przepisał mi tabletki nasenne. Żyłam z dnia na dzień, otumaniona, czułam tylko ból i pustkę. Żyłam, ale nie byłam żywa.

- I dlatego...

- Nie! Nie usiłowałam się świadomie zabić! W każdym razie tak mi się wydaje. Nie pamiętam, żebym połknęła całą butelkę tabletek. - Zamknęła oczy. Najwyraźniej wspomnienia tamtych wydarzeń ciągle były bolesne. - Ale widocznie jednak połknęłam cały zapas albo większą część. Gdyby nie znalazła mnie Darlene i nie zadzwoniła po pogotowie...

Jordan nachyliła się do niego tak delikatnie, że nawet nie była świadoma tego ruchu.

Nie waż się jej dotykać.

Zaczęła głębiej oddychać, jakby starała się nad sobą zapanować i uspokoić.

- Byłaś pod opieką psychiatry? - spytał łagodnie.

- Tak, przez trzy miesiące. Po tym doświadczeniu postanowiłam, że już nigdy nie dam się zepchnąć na skraj rozpacz.

No i znalazło się wyjaśnienie jej zimnego, jakby bezdusznego zachowania. Raz straciła kontrolę nad emocjami i niemal przypłaciła to życiem. Kiedy kochała za bardzo i czuła zbyt wiele, stawała się bezbronna. Nie była bezbronna, chociaż czasami sprawiała takie wrażenie. Nie pozwoliłaby sobie na to.

Z rozmyślań wyrwał Ricka dzwoniący telefon. Nie był to jego aparat.

- Moja komórka. - Sięgnęła na biurko, chwyciła telefon i odebrała. - Halo?

Nie powiedziała nic więcej, tylko słuchała, a potem nagle jęknęła.

- Kto to? Skąd ma mój prywatny numer?

Rick w milczeniu spoglądał na nią pytająco. Jordan rozłączyła się.

- O co chodzi? - spytał.

- Nie wiem. On... a może ona... nie wiem, bo ktoś mówił bardzo cicho, stłumionym głosem.

- Co powiedział?

Telefon zadzwonił jeszcze raz. Ścisnęła go tak mocno, że pobieleły jej kostki palców.

- Ja odbiorę. - Rick wyciągnął rękę. Położyła komórkę na jego dłoni.

Sprawdził numer dzwoniącego. Nieznany. Odebrał i przyłożył telefon do ucha, nie odzywając się.

- Nie rozłączaj się - powiedział dziwny głos. - Wyświadczam ci przysługę. Uczciwie cię ostrzegam. Uważaj na siebie. Nie ufaj nikomu. Ktoś bliski jest twoim najgorszym wrogiem.

- Przekażę wiadomość - odezwał się Rick. - A teraz ja cię uczciwie ostrzegam. Nie zbliżaj się do pani Price, bo cię rozedrę na strzępy, kawałek po kawałku. Ma całodobową ochronę. Jasne?

Cisza.

Bydlak się rozłączył.

Jeden krótki liścik i jeden telefon nie wystarczą, żeby przekonać ich, że Jordan grozi niebezpieczeństwo. A przekonać wszystkich - wydział szeryfa i agentów Powella, a w szczególności Ricka Carsona - że Jordan jest niewinna, można tylko w jeden sposób - zacząć jej grozić. Skoro jest ofiarą, to chyba nie może być zabójcą, prawda?

Na początku nie była pewna, jaką rolę, jeśli w ogóle jakąkolwiek, odegra w ich życiu Rick. Ale teraz wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że Jordan go potrzebuje. Na razie. Żeby przeprowadził ją przez ten życiowy zakręt, na jakim się znaleźli. A ona miała zamiar dopilnować, żeby Jordan dostała to, czego potrzebuje. Jak zawsze.

Dbając o bezpieczeństwo Jordan, chroniła siebie. Jordan pewnie nie zdawała sobie z sprawy, że bez niej by nie przeżyła. Ona też nie przeżyłaby bez Jordan. Jeżeli zginie jedna, zginie też druga - tak silna łączy je więź.

Wszystko, co robiła, robiła dla nich obu.

Spojrzała na notes w linie i ołówek numer dwa, leżący na biurku. Potrzeba więcej listów i więcej telefonów z aparatu na kartę, żeby nie można było jej wytropić. Codziennie jeden telefon i jeden list. To powinno wystarczyć. I będzie musiała uważać, żeby nie dać się złapać.

Stukała się ołówkiem w policzek. Może listy i telefony wystarczą, ale jeśli nie...

Przekręciła klucz w lewej dolnej szufladzie i wysunęła ją. Spojrzała na album, który trzymała w ukryciu, i stwierdziła, że być może za kilka dni powinna wysłać Jordan nieoczekiwaną przesyłkę.

Jordan, która siedziała sama w gabinecie, usłyszała pukanie do drzwi. Szybko zamknęła stary album ze zdjęciami, wrzuciła go do dolnej szuflady biurka i wstając z krzesła zamknęła szufladę czubkiem stopy. Dłonie lekko zacisnęła w pięści, żeby opanować drżenie. Stała twarzą w twarz z Maleah Perdue, która czekała, aż Jordan zaprosi ją do środka.

- Pani Price, Rick poprosił mnie...

- Gdzie on jest? Gdzie jest Rick?

- Wyjechał kilka minut temu. Właśnie to chciałam pani powiedzieć. Zlecił mi pani ochronę. Pomyślał, że będzie pani łatwiej, jeżeli strażnikiem będzie kobieta.

- Tak... chyba ma rację. Nie chcę ciebie. Chcę Ricka.

- Zostanę w Price Manor - wyjaśniła Maleah. - Proszę mi przygotować sypialnię blisko pani. Beze mnie nie opuści pani domu ani tym bardziej terenu posiadłości.

- Rozumiem. - Jordan skinęła głową.

- Możliwe, że osoba, która wysłała pani list i do pani dzwoniła, nie stanowi zagrożenia, ale lepiej nie ryzykować. Od tej chwili ja będę otwierać każdy podejrzany list i odbierać wszystkie telefony na pani komórkę, chyba że będzie pani znała numer dzwoniącego.

- Ale to chyba nie znaczy, że zostanie pani ze mną przez cały czas i że w ogóle nie będę mogła być sama?

- Będziemy się spotykać raz dziennie, żeby przejrzeć korespondencję - wyjaśniła Maleah. - Radzę, żeby wyciszała pani telefon, kiedy jest pani sama, albo po prostu nie odbierała telefonów z nieznanymi numerami. Niech nagrywają się na pocztę głosową.

- Tak, to zrozumiałe.

- Będę się starała być jak najmniej uciążliwa, ale spoczywa na mnie obowiązek zapewnienia pani bezpieczeństwa.

Jordan spojrzała na atrakcyjną kobietę, którą Rick wyznaczył, żeby chroniła ją przed nieznanym wrogiem. Inaczej wyobrażała sobie agentki ochrony. Maleah Perdue była średniego wzrostu i miała szczupłą, ale ładnie zaokrągloną figurę. Niebieskooka blondynka o jasnej karnacji była uosobieniem modelu amerykańskiej piękności poprzednich dekad.

Ubrana była praktycznie, w piaskowe spodnie w jodełkę, granatowy sweter, białą koszulę i granatowe buty na płaskim obcasie. Jordan przyjrzała się jej i zauważyła wypukłość po lewej stronie swetra.

- Ma pani broń. - Zorientowała się, że mówi to na głos, kiedy było już za późno.

- Tak, proszę pani. Mam taki obowiązek, kiedy jestem na służbie.

- Nie lubię broni.

- Zapewniam panią, że użyję jej tylko w razie absolutnej konieczności.

- Oczywiście. - Jordan odkaszlnęła. - Wieczorem na kolacji przedstawię panią i wyjaśnię sytuację, ale do tego czasu chciałabym być sama. Obiecuję, że nie będę wychodzić z domu ani odbierać telefonów, jeżeli nie będę wiedziała, kto dzwoni.

- Dobrze. W takim razie do zobaczenia na kolacji.

- Kolacja jest o siódmej.

Kiedy Maleah wyszła, Jordan opadła na najbliższe krzesło. Myślała już, że gorzej być nie może, a tymczasem zdarzyło się jeszcze to. List z pogrózkami, a potem telefon z groźbami. Na dodatek miała nadzieję, że Rick zostanie w Price Manor, żeby osobiście dopilnować jej bezpieczeństwa, a on zlecił to komuś innemu.

Nie potrzebujesz go. Nie potrzebujesz nikogo. Sama możesz się o siebie zatroszczyć. Dobrze wiesz, że lepiej na nikim nie polegać. Ludzie cię rozczarowują. Zawodzą. Umierają i zostawiają cię samą.

Darlene rzadko spała dłużej niż do wpół do szóstej. Całe życie była niewolnicą nawyków. O ile pozwalała na to pogoda, wychodziła rano na długi spacer. Kiedy przebywała w swoim mieszkaniu w Priceville, szła do centrum i zwykle zatrzymywała się w małej kawiarence na Main Street, gdzie zamawiała filiżankę ulubionego espresso i kupowała poranną gazetę. Kiedy przyjeżdżała do Price Manor, tak jak teraz, często przechadzała się po terenach posiadłości. Czasami chodziła tam i z powrotem alejką prowadzącą do głównej bramy, czasem wybierała ścieżkę między drzewami. Po powrocie do domu zawsze przygotowywała sobie kawę w ekspresie, który Jordan kupiła specjalnie dla niej.

Chociaż na dobre zawitała już wiosna, tego ranka powietrze było przeraźliwie chłodne, włożyła więc lekką kurtkę. Kiedy otworzyła drzwi, powiew porannego rześkiego wiatru dmuchnął jej w twarz. Zapięła kurtkę i wyszła, zamierzając skrócić spacer i wrócić, zanim Jordan się obudzi. Wychodząc, mijała pokój Jordan. Zajrzała do środka i zobaczyła, że leży w poprzek łóżka, bez przykrycia.

Od śmierci Dana Jordan miała problemy z zasypianiem, które pogłębiły się, odkąd pięć dni temu, w poniedziałek, zaczęła dostawać listy i telefony z pogrózkami. Co wieczór Darlene zaparzała jej kubek gorącej herbaty i zanosila do łóżka, żeby wypić przed snem.

- Wiem, że doktor Carroll przepisała ci tabletki nasenne, ale chyba nie powinnaś ich brać - powiedziała.

- Nawet nie zrealizowałam recepty - odparła Jordan. - Położyłam ją na biurku w moim gabinecie. Jeżeli poczujesz się dzięki temu lepiej, mogę ją podrzeć i wyrzucić.

- Nie ma takiej potrzeby. Jeśli problemy z zasypianiem nie miną, mogę wykupić receptę, trzymać lek u siebie w pokoju i dawać ci po jednej tabletkę co wieczór.

- Dziękuję. - Jordan przytuliła ją. - Co ja bym bez ciebie zrobiła?

Tego ranka weszła do sypialni Jordan na palcach i przykryła ją puchowym kocem zwiniętym w nogach łóżka. Kiedy po cichu wymykała się z pokoju, w drzwiach natknęła się na agentkę Powella.

- Coś się stało? - spytała Maleah Perdue.

- Nie. Jordan śpi.

To okropne, że Jordan potrzebuje ochrony, ale w tych okolicznościach faktycznie nie ma innego wyjścia. Darlene zastanawiała się, dlaczego Rick Carson nie wziął tego zadania na siebie, ale Jordan wyjaśniła jej, że zdaniem Ricka lepiej, żeby ochronę pełniła kobieta, i Darlene przyznała jej rację.

Pograżona w rozmyślaniach na temat Jordan, bezwiednie wybrała ścieżkę prowadzącą obok domku Roselynn na tyłach posiadłości. Trzeba przyznać, że Jordan wykazuje więcej cierpliwości dla swojej przybranej rodziny, niż zrobiłaby to większość ludzi na jej miejscu. Darlene od dawna usiłowała jej wytłumaczyć, że nikt nie będzie miał jej za złe, jeżeli przestanie im pomagać i będą musieli radzić sobie sami.

- Problem w tym, że sobie nie poradzą - powiedziała wtedy Jordan. - Gdyby chodziło tylko o J. C, po śmierci taty przestałabym się nim przejmować. Ale nie sądzę, że Roselynn byłaby w stanie należycie zadbać o Tammy, a żeby zadbać o

Tammy, musiałam zatroszczyć się o Roselynnę. Poza tym Roselynnę ma dobre serce.

Brednie. Roselynnę jest zwykłą pijawką. Dobre serce ma Jordan, a nie jej nic niewarta macocha.

Skręciła za dom, do lasu, tak jak prowadziła ścieżka, ale zauważyła, że tylne drzwi domu są otwarte i że na ganek wychodzą dwie osoby. Chciała zniknąć, zanim ją zobaczą, przyspieszyła więc kroku. Kiedy jednak kątem oka spojrzała na te dwie osoby, stanęła jak wryta.

Uśmiechając się jak zakochany szczeniak, stał tam sam mecenas Wallace McGee, z wypuszczoną na wierzch koszulą, skórzanym paskiem przewieszonym przez szyję i butami w dłoni. Roselynnę w przezroczystej koszuli nocnej zarzuciła mu rękę na szyję i pocałowała. W usta.

Latawica! Zwykła dziwka. Jakim cudem mężczyzna taki jak Wallace dał się złapać na tlenione włosy i duże cycki? Miała o nim lepsze zdanie. Ale w końcu to tylko mężczyzna, z męskimi słabościami. Nie, nie może winić drogiego, słodkiego Wallace'a. Winić należy tę nędzną szmatę.

Powolutku przemieszczała się na skraj zadrzewionego terenu za domem, trzymając się poza zasięgiem ich wzroku. Patrzyła, jak Wallace wkłada buty i zapina pasek.

Aż za dobrze wiedziała, co znaczy samotność, i rozumiała, że od śmierci ukochanej żony, Glendy, przed dwoma laty, Wallace jest potwornie samotny. Ale przecież na świecie jest tyle kobiet, u których mógł znaleźć pocieszenie... Nie mogła pojąć, dlaczego wybrał akurat Roselynnę. Przecież jest bardzo inteligentnym, wykształconym, kulturalnym dżentelmenem.

Seks. Jedynie to ich łączy. Tylko seks.

Gdy Wallace otrzeźwieje i stwierdzi, że chce się ponownie ożenić, na pewno rozejrzy się dookoła. Nie chciała go dla siebie i raczej nie wyszła-by za niego, choćby padł na kolana i zaczął ją błagać. Ale nie miałyby nic przeciwko temu, żeby się z nim spotykać na gruncie towarzyskim.

Powinna spacerować, a nie przyglądać się, jak Wallace jeszcze raz całuje Roselynnę, a później przed samochodem posyła jej buziaki.

Nie ma nic gorszego niż stary głupiec.

- Dzień dobry, Darlene! - krzyknęła Roselynnę. - Może wejdiesz do mnie na kawę?

Co za baba. Zauważyła ją.

Ciekawe, czy wie, że obserwowałam ich cały czas?

- Nie, dziękuję. Kawy napiję się po spacerze.

- Jak sobie życzysz. - Roselynnę, uśmiechając się jak modelka z okładki, spojrzała w niebo. - Piękny poranek, prawda? Rzecz jasna, każdy poranek jest piękny po nocy pełnej miłości. Nie uważasz?

- Czy ty nie masz wstydu? - Darlene zrobiła kilka niepewnych kroków w stronę domku. - W domu są dzieci, a ty sprowadzasz sobie na noc mężczyznę.

Darlene zawsze czuła odrazę do głośnego, gardłowego śmiechu Roselynnę, ale nigdy w takim stopniu, jak w tej chwili.

- O Boże, mówisz tak, jakby Tammy i J. C. byli małymi dziećmi. Są dorośli i wcale ich nie dziwi, że mama ma przyjaciela.

- Wiesz, że nie będzie twój - parsknęła Darlene. - Wykorzystuje cię tylko dla seksu. A jak się tobą znudzi, znajdzie sobie kogoś odpowiedniejszego, kto będzie się nadawał do tego, żeby dzielić z nim życie.

- Może. A może nie. Ale niech ci się nie zdaje, że masz u niego jakiegokolwiek szansę. Na pewno go nie zainteresuje taka wysuszona, stara purchawka, i jeżeli rozglądasz się za mężczyzną, szukaj go sobie gdzie indziej.

Paskudne słowa Roselynnę zabolęły ją, ale ból trwał tylko chwilę, jak po wymierzonym policzku. Zadarła dumnie głowę. Jest damą, a dama nie wdaje się w pyskówki.

- Miłego spaceru - rzuciła Roselynnę. - Do zobaczenia w domu na śniadaniu.

Darlene odeszła szybko, bez odpowiedzi. Za nią niósł się ochryply, szydery śmiech Roselynnę.

Kiedy Rick wyszedł spod prysznic z ręcznikiem owinięty wokół bioder, usłyszał, że dzwoni jego telefon komórkowy i że ktoś puka do drzwi. Chwył aparat, zobaczył, że dzwoni Nicole, i odbierając, podszedł do drzwi.

- Tak, Nicole, o co chodzi? - Spojrzył przez wizjer w drzwiach. Na korytarzu stała sierżant Haley McLain, w dżinsach i koszulce z długimi rękawami.

- Prosięś, żebyśmy się dowiedzieli, gdzie przebywa teraz mężczyzna o nazwisku Jay Reynolds, który pracował kiedyś w Agencji Peach-tree - przypomniała Nicole.

- Tak. Poczekaj chwilę. Ktoś stoi pod drzwiami. - Uchylił je na szerokość kilku centymetrów. Za drzwiami była Haley.

- Dzień dobry - odezwała się. - Mogę wejść? Cholera jasna!

- Pewnie, wchodź.

Otworzył i ruszył w stronę łazienki. Weszła do środka i przyjrzała się jego nagiemu ciału, mierząc go wzrokiem od mokrych włosów, przez nagi tors, biały ręcznik, zakrywający go od pasa po kolana, w dół, do stóp.

- Podoba ci się? - spytał.

- Rick, z kim rozmawiasz? - pytanie Nicole przypomniało mu o telefonie szefowej.

- Przepraszam, daj mi jeszcze minutę, dobrze? - Przyłożył telefon do nagiego torsu. - Usiądź - powiedział do Haley. - Muszę dokończyć rozmowę i coś na siebie włożyć.

- Nie spiesz się. Mogę poczekać. Mam dziś wolne. Zamknął drzwi od łazienki.

- To sierżant McLain złożyła mi poranną wizytę.

- Służbową czy prywatną?

- Nie jestem pewien, ale mogę cię zapewnić, że dla mnie w grę wchodzi tylko służbowa. - Rick odkręcił kurek z wodą, żeby hałas w tle zagłuszał rozmowę, i ściszył głos do szeptu. - I co wiadomo o tym Reynoldsie?

Namierzyliście go?

- W pewnym sensie.

- To znaczy?

- Jay Reynolds, dawny pracownik Agencji Peachtree, który pracował i spotykał się z Jordan Price, nie żyje.

- Kiedy zmarł? - Ricka chwycił za serce zimny strach.

- Dziesięć lat temu.

- Wtedy, gdy odszedł z Agencji Peachtree i wyjechał z Atlanty?

- Nie. Zmarł w Atlancie i był pracownikiem Agencji Peachtree. Rene Burke go okłamała. Powiedziała mu, że Jay Reynolds wyprowadził się z Atlanty.

Musiała wiedzieć, że nie żyje.

- Ile miał lat?

- Trzydzieści. Chcesz wiedzieć, jak zginął?

- Podejrzewam, że w jakimś wypadku.

- Niezupełnie. Został pobity na śmierć w podziemnym parkingu w swoim bloku. Narzędzia zbrodni nie odnaleziono, ale lekarz sądowy stwierdził, że z dużym prawdopodobieństwem był to kij baseballowy albo coś podobnego rozmiarem i kształtem. Według raportu, który otrzymaliśmy, dostał wiele ciosów w głowę. Został zabity, a potem okradziony. Zabrano mu portfel, zegarek i dwie obrączki.

- Udało się schwycić zabójcę?

- Nie. Nie było świadków. Nikt nic nie widział.

- W takich przypadkach zabójcą zwykle okazuje się mężczyzna, ale nie zawsze.

- Czytasz w moich myślach. Oboje wiemy, że jeżeli Reynolds niczego się nie spodziewał, bez trudu mogła go obezwładnić, a potem zatłuc na śmierć kobieta.

- Wiem, do czego zmierzasz - powiedział Rick. - Chcesz powiedzieć, że to kolejny gwóźdź do trumny Jordan. Ilu to razem mężczyzn? Sześciu, licząc w tym jej ojca. Ciężko uwierzyć, że pięciu to fatalny zbieg okoliczności, ale sześciu? Nie. Nicole, to na pewno nie jest przypadek.

- Zgadzam się, Griff też. Osoba, która zabiła Dana Price'a i możliwe, że także jego byłą żonę, zabiła wcześniej pięć osób, mężczyzn blisko związanych z Jordan.

- Ale to wcale nie znaczy, że ona.

- Znow się z tobą zgadzam. Ale jeżeli nie Jordan, to musi to być któraś z bliskich jej osób, gdyż zna ją od co najmniej dwunastu lat.

- A zatem w grę wchodzi cały krąg jej najbliższej rodziny - macocha, przybrana siostra i brat. Do tego Devon Markham, Rene Burke i Darlene Wright.

- Nie ma żadnych wątpliwości, że Jay Reynolds i Jane Anne Price zostali zamordowani. My i wydział szeryfa okręgu Dade jesteśmy przekonani, że Dan Price został zamordowany. Musimy się dowiedzieć, czy są jakieś dowody na to, że ojciec Jordan, jej dawny szef i narzeczonej też zostali zamordowani. A jeżeli wierzymy, że Jordan jest niewinna, powinniśmy zacząć zastanawiać się nad motywem albo motywami zbrodni. Na pewno byłoby łatwiej, gdyby ciała tych mężczyzn można było poddać sekcji.

- Musimy zdobyć sądowy nakaz ekshumacji - stwierdził Rick. - Ale do tego potrzebny byłby dowód uzasadniający nasze podejrzenia albo pozwolenie od rodziny.

- Agencja wyśle kogoś, żeby porozmawiał z wdową po Donaldzie Farrisie - powiedziała Nicole. - Ty jesteś w Priceville, na twojej głowie zostawiam rozmowę z Roselynn Harris i Darlene Wright.

- I co mam im powiedzieć? Że dowiedzieliśmy się, iż jeszcze jeden bliski Jordan mężczyzna prawdopodobnie został zamordowany i że Robby Joe i Wayne Harris również padli ofiarą mordercy? Jeśli zwąchają, że podejrzewamy, iż zabiła ich Jordan, staną za nią murem.

- Rozumiem twoją sytuację. Jeżeli pomyślą, że oskarżasz Jordan, będą jej bronić i nie wydadzą pozwolenia na ekshumację. A jeżeli przedstawiś to w innym świetle, na przykład powiesz, że mężczyzna zamordował ktoś z otoczenia Jordan, odmówią współpracy, bo zaczną się obawiać, że to oni są podejrzani.

- No cóż, będziemy musieli nadal bazować na jedynej informacji, jaką mamy, która wyraźnie wskazuje, że mamy do czynienia z seryjnym mordercą, w dodatku bardzo nietypowym seryjnym mordercą.

- Jest jeszcze jeden problem.

- Jaki?

- Nowa wiadomość może mieć związek ze śledztwem prowadzonym w dwóch sprawach o morderstwo. Griff i ja nie zgadzamy się, czy mamy obowiązek przekazać ją wydziałowi szeryfa Okręgu Dade.

- Niech zgadnę. Ty uważasz, że powinniśmy powiadomić szeryfa, a Griff uważa, że nie.

- Nie muszę cię chyba pytać, po czyjej jesteś stronie?

- Jordan Price to nasza klientka, a ta informacja może jedynie wyrządzić jej szkodę - powiedział Rick.

- Stare porzekadło mówi, że prawda nikomu nie zaszkodziła, chyba że temu, komu powinna.

- Myślisz, że Jordan jest winna? Że naprawdę jest czarną wdową, która zabija mężczyznę po mężczyźnie?

- Dowody chyba wskazują na nią, prawda? - odparta Nicole. - Ale moim zdaniem możliwości są trzy. Jordan faktycznie jest czarną wdową. Ktoś z jej otoczenia zabija mężczyzn, którzy w jakiś sposób ją skrzywdzili. Albo też ktoś, zabijając mężczyzn, wymierza jej karę, a być może nawet celowo kładzie fundament do teorii o czarnej wdowie.

- Może Griff powinien się skontaktować z Derekiem Lawrencem, poprosić, żeby przejrzał informacje i sporządził profil osoby, która mogła zabić tych sześciu?

- I Jane Anne Price - przypomniała Nicole.

- Mógł ją zabić ktoś inny - zauważył Rick. - Byłą panią Price bez wątpienia zamordowano po to, żeby ją uciszyć, ale nie wiadomo, kogo chciał chronić zabójca - Jordan, Dana Price'a czy ich oboje.

- Porozmawiaj z Darlene Wright i Roselynn Harris. Griff i ja uzgodnimy, czy należy powiadomić szeryfa Corbetta.

- Nie zapominaj o jednym. Nie jesteś już agentką FBI. Pracujesz w prywatnej agencji detektywistycznej. Lojalna powinnaś być przede wszystkim w stosunku do klienta.

- Ale ty chyba zapomniałaś o tej lojalności, kiedy przekazywałaś informacje sierżant McLain - przypomniała mu Nicole.

- Tak, i bardzo tego żałuję.

Wzmianka o policjantce przypomniała Rickowi, że czeka na niego za drzwiami.

- Nie podejmę pochopnej decyzji - powiedziała Nicole. - Obiecuję.

Położył telefon na szafce i zakręcił kran. Zdjął z bioder ręcznik i chwycił z półki slipki. Koszula i džinsy wisiały na wieszaku na drzwiach. Ubrał się szybko, wziął telefon, wsunął go do kieszeni i wszedł do sypialni.

Haley siedziała na jednym z dwóch foteli stojących naprzeciwko kominka. Uśmiechnęła się na jego widok.

- Zaczęłam się obawiać, że o mnie zapomniałaś. Faktycznie, prawie zapomniałaś.

- Uprzedzałem cię, że mam rozmowę służbową. Jeżeli nie lubisz czekać, może powinnaś najpierw zadzwonić i uprzedzić mnie, że przyjdiesz, a nie wpadać z nienacka.

- Dostałaś chyba złe wieści - skwitowała Haley. - Najwyraźniej nie jesteś w dobrym nastroju.

- Co cię tu sprowadza, Haley? Jeżeli kwestie zawodowe...

- Tylko częściowo. Właściwie chciałam cię zaprosić na śniadanie.

Usiłował rozszyfrować, co knuje. Nie miał stuprocentowej pewności, że to Haley ujawniła prasie informacje na temat Jordan, ale intuicja mówiła mu, że nie powinien ufać tej kobiecie.

- Śniadanie podają w hotelu - powiedział, zakładając skarpety i buty. - Jest wliczone w cenę noclegu.

- No to zaproś mnie, zjem razem z tobą.

- Skąd ta nagła przyjaźń?

- Chcę zakopać topór wojenny. Pomyślałam, że najlepiej, jeżeli zacznę od tego, że odwdzięczę ci się i podzielę się z tobą informacją, żeby udowodnić, że ci wierzę.

- Po co miałybyś to robić? - Zmierzył ją podejrzliwie wzrokiem.

- Co ci z tego przyjdzie?

- Oboje chcemy tego samego - uśmiechnęła się do niego zalotnie.

- Dowiedzieć się prawdy. Kto zabił byłą żonę senatora? Wydaje mi się, że jesteśmy po tej samej stronie barykady. Powinniśmy działać razem, a nie przeciwko sobie.

- Chyba nie przysłał cię tu Steve Corbett? Roześmiała się nerwowym śmiechem.

- Nie prosimy cię o to, żebyś zdradził swojego klienta, ale wymiana informacji chyba obu stronom wyszłaby na dobre?

- Pytam jeszcze raz: kto cię przysłał?

Sapnęła, najwyraźniej rozczarowana tym, że jej przyjacielskie podejście nie poskutkowało.

- Cyrus Anderman miał nadzieję, że przemówię ci do rozsądku.

- Prokurator okręgowy? Skinęła głową.

- Zwrócił się do FBI, żeby zbadali, czy istnieje możliwość, że morderstwo senatora Price'a i jego byłej żony jest dziełem seryjnego zabójcy, który zamordował Boyda Brannona, Robby'ego Joe Wrighta i Wayne'a Harrisa.

- Świetnie - odezwał się Rick. - Może FBI stwierdzi, że żaden z tych mężczyzn nie został zamordowany.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Nie wiem, na co liczyłaś, ale możesz o tym zapomnieć. Tracisz czas, trzepocząc rzęsami. Sierżant McLain, nie uda ci się wyciągnąć ode mnie informacji za pomocą kobiecych wdzięków.

- Myślisz, że taki mam cel?

- A nie?

- Może.

- Co ja takiego ważnego wiem?

- Ty mi powiedz.

- Wszelkie informacje zebrane w imieniu klienta przez Agencję Powella są własnością klienta - powiedział. - Jeżeli natkniemy się na coś, co naszym zdaniem powinna wiedzieć policja, Griffin i Nicole Powell zdecydują, co z tym zrobić.

- No cóż. Próbowałam. Przegrałam. - Haley wzruszyła ramionami.

- Tak łatwo się poddajesz?

Podeszła do niego powoli i zatrzymała się dopiero wtedy, kiedy dzieliła ich odległość kilku centymetrów. Spojrzała mu w oczy, końcem języka zwilżając wargi.

- Myślałam, że nie jesteś zainteresowany.

- Bo nie jestem. - Prychnął. - Byłem tylko ciekaw, jak daleko umiesz się posunąć.

- Ty bydlaku. - Spojrzała na niego z wściekłością.

- Nie przytrzaśnij się drzwiami, jak będziesz wychodzić. Pokręciła głową, zdumiona, że odrzucił jej milczącą propozycję.

- Uważaj na siebie, Rick - powiedziała, chwytając za klamkę. - Żebyś przypadkiem nie skończył jak ci, którzy zaufali Jordan Price.

RS

Ulżyło mi, kiedy podjechałem do bramy i zobaczyłem tylko garstkę dziennikarzy - powiedział Ryan, wchodząc do holu Price Manor. - Mam nadzieję, że to szaleństwo powoli się kończy.

- Ja też - zauważyła Jordan.

- Jak się trzymasz? - Ryan pochylił się i pocałował ją w policzek.

- Tylko dzięki sile woli. - Wsunęła mu rękę pod ramię.

- Szkoda, że przez to cholerne śledztwo nie możesz się ruszyć. Dobrze by ci zrobiło, gdybyś na kilka tygodni wyjechała z Devonem do domu w Key West. Trochę słońca, piachu i świętego spokoju przydałoby się wam obojgu.

- Obawiam się, że ucieczka przed problemami nie jest żadnym rozwiązaniem.

Przyjrzał się jej współczująco i z troską. Ryan był dobrym mężczyzną, pod wieloma względami podobnym do Dana. Claire jest prawdziwą szczęściarą.

- Czy Rick Carson już przyjechał? - spytał.

- Tak, zjawił się jakieś pięć minut temu. Tobias powiedział mi, że zaprowadził go do mojego gabinetu i podał mu kawę. Mnie zatrzymały niemiłe sprawy rodzinne.

- Mogę ci jakoś pomóc?

- Obawiam się, że nie. Zresztą to nic poważnego. Po prostu kolejna sprzeczka między Darlene i Roselynnie.

- Myślałem, że zawarły czasowy rozejm? - zdziwił się Ryan. - O co, do licha, poszło tym razem?

Jordan pociągnęła go za rękę i wyprowadziła z holu.

- Czy uwierzysz, że kłóćą się o faceta?

- Żartujesz - roześmiał się Ryan.

- Nie. Wygląda na to, że Darlene przyłapała Wallace'a, jak wymykał się nad ranem od Roselynnie tylnymi drzwiami, i jest tym oburzona.

- A co to obchodzi Darlene? Dla nikogo nie jest nowiną, że Roselynnie ma spalone zasady moralne.

- Obawiam się, że Darlene jest zauroczona Wallace'em. Zauważyłam, że zawsze, kiedy przyjeżdża do Price Manor, ona też stara się tu być i zawsze ma na sobie nowy strój, idealną fryzurę i makijaż.

- Jakbyś mało miała teraz na głowie, musisz się jeszcze przejmować trójkątem z udziałem dwóch twoich matek...

- Prawdę mówiąc, chociaż to dziwne, te prozaiczne problemy przynoszą mi ulgę. Odciągają myśli od innych spraw. Tych poważnych.

Ryan nie odpowiedział. Po prostu patrzył na nią ze zrozumieniem w oczach.

Kiedy znaleźli się przed drzwiami gabinetu Jordan, wyswobodziła rękę Ryana i weszła pierwsza. Rick stał z prawej strony kominka, trzymając w ręce filiżankę. Wypił łyk kawy i zerknął na Jordan znad krawędzi filiżanki.

- Witam. - Przeniósł wzrok z Jordan na Ryana.

- Miał pan śmiertelnie poważny głos, kiedy pan dzwonił, żebyśmy się tu spotkali - powiedział Ryan. - Wspomniał pan, że wydarzyło się coś, co bezpośrednio wpłynie na dochodzenie Agencji Powella w sprawie śmierci Dana.

- Cyrus Anderman zwrócił się do FBI, żeby zaangażowali się w dochodzenie w sprawie śmierci senatora. - Rick odstawił filiżankę na półkę kominka.

- Dlaczego FBI miałyby się interesować śmiercią Dana? - spytała Jordan. - Nawet gdyby został zamordowany, ta sprawa nie podlega sądownictwu federalnemu.

- Sprawa seryjnego zabójcy podlega sądownictwu federalnemu - powiedział Rick.

- Seryjnego zabójcy? - Jego słowa zmroziły krew w żyłach Jordan.

- To śmieszne - uciał Ryan. - Zadzwoń do Steve'a i...

- Steve nie ma zbyt wiele do gadania - odparł Rick. - Karty rozdaje prokurator okręgowy. Anderman uległ szumowi informacyjnemu wokół tego, że jesteś czarną wdową.

Z miny Ricka nie była w stanie wyczytać, co myśli. Chciała wykrzyknąć mu w twarz, że jest niewinna, i przysiąc, że nigdy nikogo nie zabiła. Ale tylko patrzyła na niego, całym sercem pragnąc, żeby jej uwierzył.

- Co możemy zrobić? - spytał Ryan. - Czy Camden Hendrix zna najnowsze fakty?

- Rozmawiałem z nim, zanim zadzwoniłem do pana - powiedział Rick. - Na razie nie przejął się za bardzo, bo wniosek do FBI o przejęcie śledztwa, a to, że faktycznie je przejmą, to dwie różne sprawy.

- Ty jednak uważasz, że FBI zajmie się dochodzeniem - stwierdziła Jordan. - Inaczej byś się nie martwił. - Uniosła dłoń, nakazując mu milczenie. - I nie mów mi, proszę... nie mów nam, że się nie martwisz.

- Rozmawiałem nie tylko z Camem, ale też z Nicole i Griffinem Powellami. Jesteśmy zgodni co do tego, że teraz należy zastosować pewne środki zapobiegawcze.

- Na przykład? - spytał Ryan.

- Zanim do tego przejdziemy, chciałbym poruszyć jeszcze jedną kwestię. - Rick mówił z trudem, jakby obawiał się przekazać im kolejną informację.

- Na miłość boską, wyduś to w końcu z siebie - ponagliła go Jordan, wiedząc, że musi być silna, niezależnie od tego, co usłyszy. - Chyba nie ma już nic gorszego niż ingerencja FBI w sprawę śmierci Dana i...

- Dlaczego nie powiedziałaś nam o Jayu Reynoldsie? - spytał Rick.

Serce Jordan zamarło na ułamek sekundy.

- O Jayu Reynoldsie? A dlaczego ciebie albo kogokolwiek miałyby interesować Jay Reynolds?

- No, nie wiem, Jordan, może dlatego, że z nim pracowałaś, a nawet umawiałaś się kilka razy i że on też skończył w grobie, jak tylu innych mężczyzn z twojego życia.

Jordan poczuła się, jakby dostała obuchem w głowę.

- Panie Carson, niech pan posłucha. Nie zgadzam się, żeby odnosił się pan do Jordan w ten sposób. - Ryan wkroczył między Jordan i Ricka.

- Nic się nie stało. - Jordan delikatnie odsunęła szwagra na bok i podeszła do Ricka. - Jay Reynolds został napadnięty na podziemnym parkingu w jego bloku. Jaki związek może mieć ze mną jego śmierć?

- Nie miałyby żadnego, gdyby nie to, że zginęło też pięciu innych bliskich ci mężczyzn. Raz, dwa, trzy... - Rick unosił palce. - Jeden po drugim. Reynolds jest szósty. Nikt, włącznie z FBI, nie uwierzy, że te zgony są wynikiem zbiegu okoliczności.

- O, Boże! - Jordan zachwiała się lekko, jakby nagle doznała olśnienia.

Rick i Ryan ruszyli jednocześnie w jej stronę, ale Rick był szybszy i objął jej plecy. Pomógł jej usiąść na najbliższym krześle.

- Chcesz wody? - spytał. - Albo drinka?

- Nie, dziękuję. - Pokręciła głową.

- Mamy wezwać doktor Carroll? - spytał Ryan. - A może twojego ginekologa? Jak on się nazywa? Lamar? Jeszcze nie doszłaś do siebie po poronieniu.

- Nie, naprawdę nic mi nie jest. Tylko wydaje mi się, że Rick ma rację. To nie jest zbieg okoliczności, że w ciągu dwunastu lat, jeden po drugim, zginęło sześciu bliskich mi mężczyzn. - Zamknęła oczy, modląc się o siłę. - Dwa czy trzy wypadki można by uznać za zbieg okoliczności, ale nie sześć. Jeśli nie zdołamy dowieść, że ci mężczyźni zmarli z przyczyn naturalnych albo naprawdę w wyniku wypadku, musimy przyjąć, że kilku z nich, jeżeli nie wszyscy, zostało zamordowanych.

- A jeżeli kilku z nich albo wszystkich zamordowała jedna osoba, to FBI ma już do czynienia z seryjnym zabójcą - powiedział Rick.

- Wiem, że nie zabiłam Dana ani Boyda, ani Robby'ego Joe, ani nikogo innego - powiedziała Jordan. - Jeżeli wszyscy zostali zamordowani, a nie zrobiłam tego ja, to kto?

J. C. zjechał czerwonym thunderbirdem z dwupasmowej drogi okręgowej na zwirową ścieżkę, kończącą się wśród drzew. Ze starego domu, który spalił się wiele lat temu, pozostał jedynie ceglany komin i fundamenty z pustaków. Wysiadł z samochodu, oparł się o zamknięte drzwi i z kieszeni koszuli wyjął paczkę papierosów. Kiedy zapalał papierosa, usłyszał chrzęst żwiru pod kołami nadjeżdżającego samochodu. Zaciągnął się mocno i czekał. Nie musiał się odwracać, żeby zobaczyć, kto jedzie. Wiedział. Zadzwoiła do niego pół godziny temu i poprosiła, żeby się z nią spotkał. Właściwie nie poprosiła, tylko rozkazała.

- Witaj, złotko. - Dym z papierosa trzymanego w dłoni unosił się spiralą do góry w jasnym porannym świetle słońca. Spojrzał na nią i uśmiechnął się

promiennie. Była cholernie atrakcyjną kobietą i jeszcze lepszą dupą. Zastrzeżenia miał jedynie co do tego, że lubiła grać pierwsze skrzypce i dyrygować, kiedy się pieprzyli.

Kiedy podeszła do niego, wyciągnął rękę, objął ją i przyciągnął do siebie. Ale gdy zbliżył wargi do jej ust, odepchnęła go.

- Najpierw interesy - powiedziała. - Przyjemności potem.

- Jasne. Jak rozkażesz. - Znowu mocno się zaciągnął.

- Chcesz zarobić kolejne ćwierć miliona? - spytała ze swobodą kelnerki pytającej, czy chciałby zjeść frytki z hamburgerem.

- Kogo mam zabić?

- Nie musisz nikogo zabijać. - Roześmiała się. - Tylko zdradź mi tajemnicę małżeństwa Jordan. Możesz dostać kupę kasy, jeżeli to, co wiesz, jest szokujące. Im bardziej szokujące, tym lepiej.

- Myślałem, że już wystarczająco nadszarpnąłem reputację Jordan, kiedy, tak jak kazałaś, zadzwoniłem do dziennikarza z „Daily Gazette” i przekazałem wszystkie brudy z jej życia, do których dokopała się Agencja Powella.

- Przecież wiedziałeś o wszystkim, co powiedział mi Rick Carson - zauważyła Haley McLain: - Jesteś jej przyrodnim bratem. Mogłeś podzielić się ze mną tą informacją zaraz po zabójstwie senatora, a ja bym pociągnęła za odpowiednie sznurki, zanim Biuro Śledcze Georgii uznało jego śmierć za samobójstwo i zanim Ryan Price wynajął Agencję Powella do prowadzenia prywatnego śledztwa.

- Gdybyś do mnie z tym nie przyszła, nigdy nie skojarzyłbym faktów - przyznał J. C. - Ciągle trudno mi uwierzyć, że Jordan mogła zabić sześć osób.

- Siedem. Chyba, że zapomniałeś o Jayu Reynoldsie?

- A kim jest Jay Reynolds?

- Naprawdę nie wiesz?

- Nie mam pojęcia.

- Zrobiłam małe dochodzenie na własną rękę i odkryłam, że jakieś dziesięć lat temu facet, z którym pracowała w Agencji Peachtree, został napadnięty i pobity na śmierć. Tak się składa, że Jordan kilka razy się z nim umawiała.

- I myślisz, że go zamordowała?

- Nie wiem - powiedziała Haley. - I prawdę mówiąc, nie obchodzi mnie to. Chodzi tylko o to, żeby FBI doszło do wniosku, że to ona zabiła jego i sześcioro innych.

- Chcesz powiedzieć, że FBI wkroczyło już do akcji?

- Jeszcze nie, ale kiedy skontaktujesz się z dziennikarzami i opowiesz im wszystkie pikantne szczegóły z życia Jordan, włącznie z tajemnicą jej związku z senatorem...

- Chwileczkę. Chcesz, żebym opowiedział o związku Dana i Devona?

- Dana i Devona? - W oczach Haley pojawiły się ogniki, kiedy dotarła do niej prawda. - Powiedziałeś to, co myślę?

- Tak, Dan był gejem, a Devon jego chłopakiem. Jesteś zaskoczona?

- Trochę - przyznała. - Wiedziałam, że małżeństwo Jordan jest dziwne, a o Devonie słyszałam różne plotki. Teraz mi się wszystko poukładało. - Roześmiała się złowieszczo, wodząc palcami po torsie J. C.

- Przydałoby ci się dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów, co? Tyle jest warta ta historia. A może więcej.

- Jesteś bezduszną suką. Wiesz o tym?

Wyjęła mu papierosa spomiędzy palców, rzuciła go na żwir i objęła J. C. za szyję.

- „The Chatterbox” nie sypnie ci grubą forszą za informację, że wykopano kolejny szkielet z przeszłości Jordan. Będziesz musiał opowiedzieć wszystko i trochę ubarwić fakty, żeby były bardziej pikantne i brudne.

- Dlaczego tak nienawidzisz Jordan? - Spojrzał jej głęboko w oczy, starając się odgadnąć, co nią kieruje.

- Nie czuję nienawiści do pani Price. Jest mi zupełnie obojętna.

- Otarła się wargami o jego usta. - Jest tylko środkiem do celu dla mnie i dla Cyrusa. Jeżeli uda nam się zamknąć Jordan za zabójstwo męża, odniesiemy sukces. Chcę dostać posadę Steve'a Corbetta, a Cyrus ma polityczne aspiracje, które mogą go zaprowadzić do pałacu gubernatora.

- Jeżeli Jordan zostanie skazana za zabójstwo, jej spadek przypadnie, prawda?

- Tak. - Haley odsunęła się od niego zakłopotana. - Ale to chyba nie ma dla ciebie znaczenia? Przecież i tak nie zobaczyłbyś grosza z tych pieniędzy. Ona i senator odwrócili się od ciebie. A tak będziesz miał na koncie co najmniej ćwierć miliona.

- Masz rację. Ale co z moją matką i siostrą? Jordan naprawdę się o nie troszczy.

- Jeśli dobrze zainwestujesz pieniądze, utrzymasz rodzinę bez niczyjej pomocy. Bez problemu. - Haley przesunęła palcem po klamrze paska jego spodni. - A kto wie, może w przyszłości zrobisz interes na książce albo scenariuszu filmowym? Pomyśl, ile forsy byś zarobił. - Powiodła palcami w górę i w dół rozporka.

J. C. chwycił ją za rękę, położył jej dłoń na wzwiedzionym członku i mocno przycisnął. Uśmiechnął się.

- Prawie mnie przekonałaś.

Rozpięła mu pasek i spodnie, włożyła rękę do bokserek i uwolniła jego męskość. Wiedziała, czego oczekuje w ramach zapłaty za bezgotówkową transakcję.

Popchnęła go na trawę, trzymając za członek, a potem uklękła i zrobiła mu najlepszego loda w życiu.

Rick odprowadził Ryana do mercedesa i pożegnał go zapewnieniem, że Agencja Powella nadal będzie robiła, co może, żeby dowiedzieć się prawdy. Sam zamierzał wyjechać z Price Manor po rozmowie z Maleah. Chciał usłyszeć bezstronną opinię na temat stanu psychicznego Jordan. Dla Maleah ta sprawa jest zwykłym zadaniem służbowym. Nie podchodzi emocjonalnie do rezultatu.

I ty też nie powinienes.

Ale nie był obiektywny i niewiele mógł na to poradzić. Musi odsunąć się od Jordan.

Jordan wyglądała na bladą i mizerną, niemal wychudzoną. Pewnie źle sypia i niewiele je. Nie pomógł jej wcale, serwując z samego rana złe wieści.

Kiedy zaczął wchodzić po schodach na werandę, drzwi wejściowe otworzyły się i stanęła w nich Jordan, wzrokiem mierząc podjazd. Czyżby rozglądała się za nim?

- Rick, chyba jeszcze nie wyjeżdżasz? Oboje przystanęli.

- Potrzebujesz czegoś? - spytał.

- Ja... tak, miałam nadzieję, że jeszcze chwilę zostaniesz.

- Muszę porozmawiać z Maleah, a potem powinienem...

- Nie jedź. Jeszcze nie jedź.

- Wiem, że jesteś zdenerwowana i pewnie się zastanawiasz, co będzie dalej, ale obiecuję ci, że Agencja Powella cię ochroni i zrobi wszystko, żeby

dowiedzieć się prawdy, nie tylko na temat śmierci senatora, ale również innych, jeżeli ich śmierć ma związek z tobą lub rodziną Price'ów.

- Myślisz, że zostanę aresztowana za zamordowanie Dana? - Wyciągnęła rękę i dotknęła go, niepewnie ściskając jego dłoń, jakby nie była pewna jego reakcji.

- Nie, jeśli nie znajdą innych dowodów poza tymi, które mają teraz. Mogą mieć różne podejrzenia, ale to nie są dowody. Nawet najbardziej logiczna teoria nie jest dowodem.

- A dowody poszlakowe? Wiesz, że na ich podstawie skazywano ludzi...
Ścisnął ją za ramiona. Westchnęła.

- Wiemy, co robimy. Uwierz mi.

Nie powinien kłaść dłoni na jej ramionach. Pokusa, żeby ją pocieszyć, zawładnęła całym jego zdrowym rozsądkiem. Klnąc na siebie za to, że jest głupcem, wziął ją w ramiona. Kiedy oparła się o niego, dotykając głową jego brody, westchnęła lekko i objęła go w pasie.

Przycisnął policzek do jej skroni i przytulił ją. Opiekuńczo. I zaborczo.

- Czuję się tak, jakbym naprawdę straciła wszystko - szepnęła. - Nawet rozum. Nic już nie ma sensu. Myślałam, że osiągnęłam taki stan, że nic i nikt nie zdoła mnie skrzywdzić, a jednak... - Ukryła twarz na jego piersi i przywarła do niego, jakby był jej ostatnią deską ratunku.

Czyżby płakała? Czy solidny mur obronny w końcu padł? Boże, miał nadzieję, że tak.

Ale kiedy uniosła głowę i spojrzała na niego, oczy miała suche, a minę posepną. Odczuwał jej ból przenikliwie i żałował, że nie może jej ulżyć.

Płacz, do licha. Płacz.

Przytulając Jordan, kątem oka dostrzegł jakiś ruch i spojrzał za werandę, na drzwi wejściowe. W otwartych drzwiach stała Rene Burke, która im się przyglądała. Kiedy spotkała się z nim wzrokiem, uniosła do góry paczkę i pomachała nią w powietrzu.

Rick przesunął dłońmi po rękach Jordan.

- Rene chyba chce z nami porozmawiać - powiedział łagodnie.

- Tak, o co chodzi? - Jordan uniosła głowę i wysunęła się z jego objęć, a potem odwróciła do asystentki.

- Przeglądałam poranną pocztę i znalazłam paczkę... - Pokazała małą, żółtą bąbelkową kopertę. -... zaadresowaną do ciebie. Blankiet jest wypełniony ołówkiem.

Rick sięgnął w dół i chwycił Jordan za rękę. Splotła palce z jego palcami i ścisnęła go mocno.

- Gdzie Maleah? - spytał Rene Rick.

- Czeka na nas w środku.

Zostaniesz, prawda? - Jordan spojrzała na Ricka. - Przynajmniej dopóki nie otworzę paczki.

Odpowiedział bez słów, ściskając jej dłoń. Nie potrzebowała innego zapewnienia. Wyswobodziła jego rękę i weszła z Rene do domu. Kiedy Rick wchodził do holu, szósty zmysł ostrzegł go, że ktoś go obserwuje. Rozejrzał się dookoła i dostrzegł poruszający się cień. Ktoś stał przy oknie na piętrze, a teraz szybko się oddalił.

Ktokolwiek to był, zdążył zniknąć.

Po kręgosłupie przebiegł go dreszcz.

Wszedł do domu i szybko dogonił Jordan i Rene. Po drodze do gabinetu na tyłach domu Jordan ani razu nie obejrzała się przez ramię, żeby sprawdzić, czy został.

Czyżby była go tak pewna?

Maleah czekała na nich przy drzwiach gabinetu. Spojrzała na Ricka pytająco, ale się nie odezwała.

- Mam otworzyć kopertę? - spytała Rene.

- Nie, ja to zrobię - odpowiedziała Jordan.

- Daj mi to. - Rick wyciągnął rękę. - A wy się odsuńcie. Nie sądzę, żeby w środku była bomba, czy coś równie niebezpiecznego, ale lepiej dmuchać na zimne.

Po tej uwadze Rene oddała mu pakunek. Rick przyjrzał mu się dokładnie. Oczy wszystkich skupiły się na nim, kiedy rozdzierał kopertę, odwrócił ją i wytrząsnął zawartość. Z bąbelkowej koperty wyleciały spięte dużą klamrą kartki białego papieru, które opadły na biurko.

Rick chwycił plik i spojrzał na pierwszą stronę. Była to nota o śmierci Jane Anne Price.

Zdjął klamrę i przejrzał pozostałe strony.

- Co to jest? - Jordan podeszła do niego.

- Noty pośmiertne - wyjaśnił.

- Czyje? - spytała Rene.

- Jane Anne Price. - Rick zaczął wymieniać jeden po drugim. - Daniela Price'a, Donalda Farrisa, Jaya Reynoldsa, Robby'ego Joe Wrighta i Wayne'a Harrisa. - W ręce została mu ostatnia kartka.

- I czyja jeszcze?

Podał jej papier. Przeczytała powoli, dokładnie, a potem odczytała na głos.

„Jordan Helene Price, lat trzydzieści cztery, z Priceville, Georgia, nie żyje. Szczegóły dotyczące uroczystości pogrzebowych zostaną podane przez Zakład Pogrzebowy Benefield. Pani Price pochodziła z Valdosta w Georgii i była jedynym dzieckiem Wayne'a i Helene Harrisów. Przed nią zmarli jej rodzice, narzeczony Robby Joe Wright, jej pierwszy mąż, Boyd Brannon i drugi mąż Daniel Price”.

- Dość! - Rick wyrwał jej kartkę z dłoni.

Jordan wpatrywała się w niego nieobecny wzrokiem.

- Jordan! Jordan! - Chwycił ją za ramiona i potrząsnął. Nadal patrzyła na niego, bez ruchu i bez słowa.

- Cholera, Jordan, otrząśnij się! - Znów nią potrząsnął.

- Chyba nie żyję? - spytała, i zemdląła.



Zaparkowała przecznicę od jego mieszkania, wyjęła z bagażnika drewniany kij baseballowy i wsunęła go sobie pod wiatrówkę, blisko ciała. Pojechała za nim do Agencji Peachtree, przez całą drogę trzymając się w bezpiecznej odległości. Kiedy zorientowała się, że jedzie do domu, uspokoiła się, wiedząc, że to dziś będzie wielki dzień. Jeżeli uda jej się dopaść go samego na parkingu, zrealizuje swój plan.

Jesienne powietrze było rześkie, półksiężyc świecił blado, a gwiazdy mrugały niewyraźnie na czarnym niebie. Kiedy szła pospiesznie chodnikiem, żeby szybko dotrzeć do wejścia do podziemnego garażu, serce zaczęło jej szybciej bić, a całe jej ciało ogarnęło podniecenie.

Założyła adidasy na gumowej podeszwie, które kupiła w sklepie z używaną odzieżą, a wiatrówkę i kij w supermarkecie, żeby nie naprowadziły nikogo na jej trop. Wszystko, co dzisiaj ma na sobie, spali, nawet bieliznę, i oczywiście kij.

Z zapartym tchem, z wypiekami na twarzy i bijącym sercem przystanąła na chwilę, kiedy zobaczyła go przy bmw, tyłem do niej, pochylającego się nad przednim siedzeniem. Nie przypuszczał, że dzisiejszy wieczór jest jego ostatnim dniem na tej ziemi. Za kilka minut będzie martwy, ukarany za swoje grzechy. Wyjęła spod kurtki kij baseballowy i chwyciła go mocno obiema dłońmi. Cichymi kocimi ruchami podeszła do niego w chwili, kiedy wyciągał z samochodu teczkę.

Uniosła kij jak najwyżej, a później zamachnęła się i jednym mocnym ruchem uderzyła go w głowę. Zaskowyczał, zachwiał się i stracił równowagę. Zanim zdążył się odwrócić, uderzyła go znowu, tym razem trafiając w skroń. Z jego głowy w dwóch miejscach trysnęła krew, zalewając blond włosy i twarz

czerwonymi strugami, a on poleciał do przodu, wymachując rękami. Kolana ugięły się pod nim. Uderzyła go znowu. Mocniej. Uderzała tak raz za razem, aż upadł twarzą do ziemi, rozciągnięty na betonowej posadzce.

Nie ruszał się, nie oddychał. Nie żył. A jednak nie mogła przestać go bić - waliła po głowie bez litości, aż pozostała z niej jedynie masa krwi i mięsa.

Oddychając z trudem, z poczuciem triumfu, które przytłumiło wszystko inne, stała nad jego ciałem, dumna jak na myśliwego przystało.

Po chwili triumfu ze zwycięstwa, oparła kij baseballowy o bmw, uklękła przy zwłokach i przeszukała kieszenie. Wyjęła portfel i wsunęła do swojej wiatrówki. Później zdjęła mu zegarek i obrączki i włożyła sobie do drugiej kieszeni.

Wzięła zakrwawiony kij baseballowy i wytarła kilka razy o jego nogi, żeby go wyczyścić, a później wsunęła sobie pod kurtkę. Zanim wyszła, odwróciła się i po raz ostatni spojrzała na niego.

- Już nigdy nie będziesz niepokoił żadnej kobiety ani nikogo straszyl. Nie byłeś dobrym człowiekiem, Jayu Reynoldsie. Dostałeś to, na co sobie zasłużyłeś.

Wspomnienie wieczoru sprzed wielu lat przewinęło się jej przed oczami jak nagrana na taśmie scena.

- Odzyskuje przytomność - powiedziała Rene. - Drgają jej powieki i jęczy. Rick, który chwycił Jordan, kiedy mdlała, i przeniósł ją na kanapę, przysiadł obok niej. Grzbietem dłoni pogładził ją po twarzy.

- Jordan? Jordan, obudź się.

- Co się stało? - Otworzyła oczy i spojrzała na niego.

- Zemdląłeś - wyjaśniła Rene.

Jordan usiłowała się podnieść, ale Rick położył jej dłoń na piersi i delikatnie popchnął z powrotem na kanapę.

- Nie ruszaj się i odpoczywaj.

- Proszę, nie mów o tym nikomu. - Chwyciła go za rękę. - Nie chcę, żeby się o mnie martwili.

- Ja się o ciebie martwię - powiedział. - Kazałem Maleah wydobyć od Tobiasa numer do twojego lekarza.

- Nie, proszę, nie potrzebuję lekarza.

- Zemdlałaś - przypomniał. - Nie mdleje się bez powodu.

- Zdenerwowałam się, kiedy zobaczyłam własny nekrolog. To wszystko.

- Nie nabiorę się na to. Nie zemdlałaś, kiedy znalazłaś ciało swojego męża, prawda? Nie sądzę, żeby przeczytanie nekrologu...

- Muszę usiąść. - Spojrzała na niego błagalnie. Wsunął jej rękę pod plecy i pomógł się podnieść.

- Niewiele zjadłam na śniadanie - powiedziała Jordan. - Nie mam apetytu i źle sypiam. Uwierz mi, nie potrzebuję lekarza.

- Co się stało Jordan? - Drzwi otworzyły się z rozmachem i do pokoju wpadła Darlene Wright. - Nic jej nie jest? - Zmierzyła Jordan badawczo wzrokiem i usiadła na kanapie obok niej. - Dzięki Bogu, że nic ci nie jest. Usłyszałam jak ta kobieta... pani Perdue... prosi Tobiasa, żeby zadzwonił do doktor Carroll. Mówiła, że zemdlałaś.

- Nic mi nie jest. - Jordan ścisnęła dłonie Darlene. - Trochę zakreśliło mi się w głowie.

- Czy coś ją zdenerwowało? - Darlene spojrzała na Ricka.

- Nie ma sensu tego ukrywać - oświadczyła Rene, biorąc do ręki plik nekrologów. - Ktoś dręczy Jordan. Najpierw ten cholerny list, potem telefon, a teraz to.

- O Boże... - W oczach Darlene zalśniły łzy, kiedy przeglądała kartki, które trzymała w dłoniach. - Nie wiadomo, kto to przysłał, ale możliwe, że właśnie ten ktoś zamordował Jane Anne. Boję się, że grozi ci prawdziwe niebezpieczeństwo.

- Nic ci nie jest? - Do gabinetu wpadł Devon. - Usłyszałem, jak Tobias mówił Vadonnie, że zemdłałaś. - Spojrzał na Ricka. - Nie powinniśmy wezwać doktor Carroll?

- Nie, nie powinniśmy. - Jordan odsunęła wszystkich na bok i wstała. - Zupełnie nic mi nie jest. Zakazuję komukolwiek... - Spojrzała gniewnie na Ricka. -... dzwonić do doktor Carroll.

Specyficzny dzwonek telefonu komórkowego Jordan uciszył wszelkie potencjalne protesty.

- To mój telefon - zauważyła Jordan. - Rene, leży na biurku. Mogłabyś mi go podać?

Rene nie zdążyła się ruszyć, bo Rick znalazł się przy biurku i chwycił aparat. Na wyświetlaczu pokazywał się napis „numer nieznany”. Odebrał. Wszyscy patrzyli na niego.

Słuchał, jak dzwoniący trajkotał, że odbiorca został wylosowany do specjalnej usługi spłaty zadłużenia karty kredytowej. Nie wysłuchał do końca nagranej informacji, wyłączył telefon i odłożył go na biurko.

- Akwizytor - wyjaśnił. Odetchnęli z ulgą.

- Chyba powinnaś pójść na górę i odpocząć przed obiadem - stwierdziła Darlene. - Przyniosę ci filiżankę herbaty i...

- Wydaje mi się, że potrzebuję trochę świeżego powietrza - oznajmiła Jordan.

Rene, Devon i Darlene jednocześnie zaproponowali jej swoje towarzystwo. Wyciągnęła rękę, uciszając wszystkich.

- To bardzo miłe z waszej strony, ale muszę omówić kilka spraw z Rickiem. Masz czas, żeby pójść na krótki spacer, zanim wyjedziesz?

- Jeżeli uważasz, że masz na to siłę. - Skinął głową.

Wszyscy dopytywali się, czy na pewno dobrze się czuje. W końcu wyszli, w gabinecie został tylko Rick i Maleah. Rick zebrał nekrologi i podał Maleah.

- Schowaj to. A później zadzwoń do szeryfa i poinformuj go o sytuacji - o liście, o tych nekrologach i wczorajszym telefonie. Nie rozmawiaj z nikim innym, tylko ze Steve'em Corbettem.

Maleah skinęła głową i zostawiła Ricka i Jordan samych.

- Myślisz, że trzeba w to wciągać szeryfa? - spytała Jordan.

- Tak, chyba nadeszła już pora.

- Darlene, Devon, a nawet Rene niepokoją się i martwią o mnie. Na pewno któreś z nich powtórzy wszystko Roselynnie, a wtedy dowie się cała rodzina.

- Wielu ludzi troszczy się o ciebie - powiedział Rick.

- Ciągle zadaję sobie pytanie, kiedy ten koszmar się skończy, ale zaczynam podejrzewać, że nigdy. Najpierw śmierć Dana, teraz te wszystkie prasowe oszczerstwa, morderstwo Jane Anne i ktoś, kto mi grozi.

- Naprawdę masz ochotę na spacer? - spytał Rick.

- Tak. - Uśmiechnęła się. - Świeże powietrze i słońce leczą wszystkie dolegliwości.

- Chcesz sweter? Pokręciła głową.

Spacerowali w milczeniu przez co najmniej dziesięć minut, przechadzając się po różanym ogrodzie Dana, zielniku Vadonny, przez szklarnię przeszli na piaszczystą ścieżkę prowadzącą do stawu. W oddali widać było fragment podjazdu i masywną bramę wjazdową. Po kilku sekundach widok przesłonił rząd wiecznie zielonych krzewów żywopłotu. Południowe ciepłe słońce świeciło im

dokładnie nad głowami na bezchmurnym, błękitnym niebie. Delikatna bryza wicherzyła wierzchołki drzew i mierzwiła wysoką trawę. Na łące rosło mnóstwo polnych kwiatów, pachnących delikatnie i subtelnie. Pogoda była idealna, co w wiosenne dni zdarzało się rzadko.

Ale życie Jordan dalekie było od ideału.

- Kiedy miałeś kilkanaście albo dwadzieścia lat, wydawało ci się, że wiesz dokładnie, jak potoczy się twoje życie? - powiedziała w końcu.

- Nie jestem pewien, czy potrafię sięgnąć pamięcią aż tak daleko. - Rick odłamał kawałek martwej gałęzi odrastającej z niskiego konara drzewa.

- Mówisz tak, jakbyś był stary. - Jordan uśmiechnęła się.

- Mam trzydzieści dziewięć lat - powiedział.

- To niedużo.

- Na tyle dużo, żeby nie wspominać młodzięcych marzeń. - Rzucił gałąź w powietrze i patrzył, jak spada na ziemię dobre trzy metry dalej.

- A więc miałeś marzenia.

- Jasne. Chyba każdy je ma.

- Kiedy poznałam Robby'ego Joe i zakochałam się w nim, myślałam, że czeka mnie idealne, cudowne życie. - Nie przystanęła i nie patrzyła na Ricka. - Gdyby nie zginął, bylibyśmy małżeństwem, mielibyśmy domek na przedmieściach, dwójkę dzieci, psa i terenówkę. Uczyłabym w szkole i odwoziłabym swoje dzieci na zajęcia piłki nożnej i lekcje baletu. Wieczorami, kiedy by już spały, siedzielibyśmy sobie razem i rozmawiali o tym, jak minął dzień.

Rick spojrział na nią i się zdziwił. Ani razu, odkąd poznał Jordan, nie widział szczęścia na jej pięknej twarzy.

- Bardzo byłaś w nim zakochana, prawda?

- Bardzo. - Przystanąła i uśmiechnęła się do Ricka. - A ty nigdy nie byłeś zakochany?

- Kilka razy czułem pożądanie, ale zakochany nie byłem. Nie tak naprawdę.

- Moje życie potoczyło się inaczej, niż sobie wyobrażałam. Po śmierci Robby'ego Joe... Nie wiem, wszystko się zmieniło. Ja się zmieniłam.

- Każdy się zmienia, kiedy dojrzewa i nabiera mądrości - powiedział Rick. - Spadają nam z oczu różowe okulary i uderza brutalna rzeczywistość.

- A tobie, kiedy to się przydarzyło? Nie odpowiedział.

Może dlatego, że nie nalegała, żeby odpowiedział, postanowił, że będzie wobec niej szczery.

- Zanim doszedłem do ostatniej klasy w liceum, mojemu owdowiałemu ojcu, który wychował się w biedzie, udało się od zera rozkręcić firmę budowlaną. Kiedy poznał Sharon, miał kilka milionów dolarów. Od razu zobaczyła w nim kasę. Mój ojciec marzył, żebym razem z nim prowadził firmę, Carson i Syn. - Rick nie opowiadał o ojcu od lat i nigdy nikomu nie mówił o tym, że macocha wpędziła ojca do grobu i zagarnęła spadek Ricka i jego siostry.

I nie za bardzo wiedział, dlaczego opowiada o tym Jordan.

Dotarli do polany przy wiosennie wezbranym strumyku, szerokim na niecałe pięć metrów. Woda płynęła spokojnie po kamienistym dnie, a słońce odbijało się na jej powierzchni. Po okolicy niósł się śpiew ptaków siedzących na gałęziach okolicznych drzew i bzyczenie pszczół przelatujących z jednej rośliny na inną.

Jordan usiadła na trawie nad strumykiem, podciągnęła kolana pod brodę i objęła je rękami. Wpatrywała się rozmarzonym wzrokiem w falującą taflę wody.

Rick usiadł obok niej.

- Sharon była o piętnaście lat młodsza od ojca. Przekonała go, że jest w nim zakochana do szaleństwa. Uwierzył jej, ożenił się z nią, a ona zamieniła jego życie w istne piekło. Wydawała pieniądze na lewo i prawo, jakby spadały z nieba. Flirtowała z innymi facetami jak dziwka, którą zresztą była. Ale mój ojciec za nią szalał i wybaczał jej Bóg wie ile razy. Ich małżeństwo przetrwało sześć lat, aż do jego śmierci. Miał tylko czterdzieści osiem lat. Kiedy go chowała, nie uroniła ani jednej łzy.

Jordan wyciągnęła rękę i położyła na jego dłoni. Jej dotyk przeszył go aż do szpiku kości.

- Zanim umarł, prawie się do siebie nie odzywaliśmy. Cały majątek zapisał Sharon, a ona w ciągu roku przepuściła wszystko, co jej zostawił. Sprzedała firmę za połowę wartości i słyszałem, że kilka lat później, kiedy była już całkiem spłukana, znalazła sobie następnego frajera. Marzyłem, że po studiach poprowadzę firmę z ojcem, że będziemy pracowali razem i zamienimy firmę Carson i Syn w największe i najlepsze przedsiębiorstwo budowlane w stanie Missisipi... - Prychnął. - Naiwne marzenie.

- Ja już nie mam marzeń - wyznała Jordan szeptem. - Ostatnie moje marzenie umarło razem z dzieckiem.

- Nie miałaś czasu na żal. Musisz się wypłakać. - Rick wziął ją za rękę.

- A ty płakałeś, kiedy umarł twój ojciec?

- Płakałem jak cholera - przyznał. - Nie na pogrzebie, ale tydzień później, kiedy byłem sam. Płakałem jak dziecko.

- Ja płakałam po śmierci mojego taty i Robby'ego Joe.

- A potem?

Wysunęła dłoń z jego ręki i oparła brodę o kolana.

- Chciałabym płakać. Ale nie umiem. Po prostu nie mam łez. Nie potrafiłam płakać po śmierci Boyda ani Dana. Nie płakałam nawet za moim dzieckiem.

- Jordan? Zamknęła oczy.

- Przykro mi z powodu dziecka. - Objął ją ramieniem.

Oparła głowę na jego ramieniu i siedzieli tak, w jaskrawym słońcu, wśród śpiewu ptaków i delikatnych powiewów wiatru. Rick nie wiedział, czy minęło pięć minut, czy pięć godzin. Miał wrażenie, że czas się zatrzymał. Liczyło się jedynie to, żeby pocieszyć Jordan, pomóc jej odnaleźć kilka chwil spokoju.

Spojrzała mu prosto w oczy. Nigdy wcześniej nie widział czegoś tak pięknego i nigdy nie pragnął niczego bardziej niż tego, by poczuć smak jej ust. Nie zastanawiając się, pochylił twarz i dotknął jej warg swoimi, spragnionymi, ale delikatnymi. Westchnęła i rozchyliła usta.

Nagle opanowała się, zakończyła pocałunek i odsunęła od niego. Był trochę zdezorientowany taką reakcją na pocałunek. Poderwała się, otrzepała spodnie z trawy i odwróciła bez słowa.

- Jordan?

Odeszła, zostawiając go na trawie, a on patrzył, jak się oddala. Wstał i poszedł za nią.

- Jordan, poczekaj.

Szła coraz szybciej. Zawołał ją jeszcze raz. Uciekła od niego, nie odwracając się za siebie.

Devon nie mógł patrzeć na Jordan, nieszczęśliwą, zdenerwowaną, potrzebującą czegoś, czego nie mógł jej dać. Od dziecka była jego przyjaciółką, jego obrończynią, powierniczką, kiedy potrzebował kogoś, komu mógłby zwierzyć się z najskrytszych tajemnic, pocieszycielką, gdy miał złamane serce. Zawsze mógł liczyć na jej przyjaźń i na to, że wesprze go swoją siłą, kiedy tego potrzebował. A czy on zrobił cokolwiek dla Jordan? Nawet w najgorszym okresie jej życia mógł jedynie wziąć ją za rękę i zapewniać, że wszystko się ułoży.

Płakał z nią po śmierci jej ojca, ale nie potrafił jej pomóc, kiedy spytała: „Co mam zrobić z Roselynn i Tammy? Jak mam się nimi zająć?” Jordan jednak sama znalazła odpowiedź, kierując się dobrym sercem.

Był świadkiem jej załamania po śmierci Robby'ego Joe. Podtrzymywał ją na duchu, płakał z nią, spał przy niej i przez kilka tygodni nie opuszczał jej ani na chwilę. A kiedy przedawkowała tabletki nasenne, na zmianę z Darlene siedzieli przy niej dwadzieścia cztery godziny na dobę. I znów Jordan odbiła się od dna. Zamiast uzalać się nad sobą, zaczęła myśleć o tym, jak pomóc Darlene.

Z początku był przeciwny ślubowi z Boydem Brannonem. Nie dlatego, że nie lubił Boyda. Lubił. Jordan postawiła na swoim, bo była zakochana w dzieciach Boyda i marzyła o tym, żeby mieć własne. Kiedy Boyd zginął w wypadku na polowaniu, Devon przyleciał z Waszyngtonu i został u niej przez dwa tygodnie. Ale nie potrzebowała go tak jak wtedy, kiedy straciła Robby'ego Joe. On i Darlene rozumieli, że martwiła się jedynie o Wesa i Kendrę. Kochała ich wtedy i kocha teraz, jakby byli jej dziećmi. Darlene wprowadziła się do nich i

mieszkała z nimi ponad rok, on wraz z Danem wpadał z wizytą możliwie jak najczęściej.

Ze smutkiem i bezradnością przyglądał się metamorfozie Jordan, która ze słodkiej, szczęśliwej dziewczyny przeistoczyła się w samotną, skrytą, zamkniętą w sobie kobietę. Porzuciła młodzieńcze nadzieje i marzenia i skupiła się na obowiązkach i opiece nad przybraną rodziną - Roselynne, Tammy, J. C, Darlene, Kendrą i Wesleyem. Trzy lata temu partia Dana zaproponowała, żeby wystartował w wyborach prezydenckich. Poradzono mu, żeby się ożenił.

Ani on, ani Dan nie chcieli dzielić ich związku z kimś obcym. Pierwsze małżeństwo Dana zakończyło się źle, kiedy przyznał się żonie, że jest gejem i że kocha kogoś innego. Choć Devon wiedział, że to drugie małżeństwo powstałoby jedynie na papierze, nie mógł znieść myśli, że miałby zrezygnować choćby z kilku cennych godzin, które mogli spędzać razem z Danem. Ale szanował polityczne ambicje Dana i nie chciał stawać na drodze do spełnienia jego życiowych marzeń.

Już nie pamiętał, kto wpadł na pomysł, żeby Dan poślubił Jordan. Kiedy przyjechała na weekend do Price Manor, któregoś wieczoru przy kolacji poruszyli temat ewentualnego startu Dana w wyborach prezydenckich. Jordan zażartowała, że Dan powinien ożenić się z nią, bo ona nie ma zamiaru się zakochiwać ani powtórnie wychodzić za mąż, a poza tym zna i lubi zarówno Devona, jak i Dana. Zanim w niedzielę wieczorem wyjechała do Atlanty, ustalili datę ślubu. Nim minął tydzień, rozpoczęto przygotowania do ceremonii, a po miesiącu Jordan została żoną Daniela Price'a.

Co ciekawe, małżeństwo okazało się błogosławieństwem dla całej trójki, w każdym razie tak im się zdawało. Nawet decyzja o posiadaniu dziecka wydawała

się słusznym krokiem. Patrząc wstecz, Devon zastanawiał się, czy nie byli potwornie naiwni, wierząc, że mogą żyć w kłamstwie.

Wyglądając przez okno sypialni, pogrążony w rozmyślaniach o przeszłości z Danem, w jednej chwili wrócił do rzeczywistości, kiedy zobaczył Jordan, która biegła do domu, jakby gonił ją sam diabeł.

Gdzie, do licha, jest Rick Carson? Zwolnił się? A jeżeli wyjechał z Price Manor, dlaczego Maleah Perdue nie pilnuje Jordan?

Wyszedł z pokoju i zbiegł po schodach, zamierzając powitać Jordan w drzwiach. Po kilku chwilach wpadła do domu tylnymi drzwiami, z wypiekami na twarzy i podejrzenie błyszczącymi oczami.

Zawołał ją. Nie zwróciła na niego uwagi.

Kiedy go mijala, wyciągnął rękę i chwycił ją za ramię. Spojrzała na niego gniewnie, wyrwała się z uścisku i pognąła na górę tylnymi schodami.

- Jordan?

- Chcę być przez chwilę sama - krzyknęła z półpiętra. - Proszę, Devon!

Do diabła, co jej się stało? Była zdenerwowana, ale dlaczego? A może powinien się zastanawiać, kto ją zdenerwował?

Da jej trochę czasu, a później wejdzie na górę i dowie się, o co chodzi.

Drzwi znów się otworzyły i do domu wbiegł Rick Carson.

- Gdzie ona jest? - spytał.

- Domyślam się, że chodzi panu o Jordan. Rick skinął głową.

- Poszła na górę do swojego pokoju - wyjaśnił Devon. - Prosiła, żeby jej nie przeszkadzać.

- To bardzo niedobrze.

Rick ruszył się w stronę schodów, ale Devon zaszedł mu drogę. Przyglądali się sobie, świadomi tego, że konfrontacja dla obu może zakończyć się źle.

- Jest zdenerwowana - powiedział Rick. - Muszę sprawdzić, czy nic jej nie jest.

- A co takiego się stało, że się zdenerwowała? - spytał Devon.

- To sprawa między mną i Jordan.

- Może powinniśmy dać jej trochę czasu, a potem ja do niej zajrzę i jeżeli będzie chciała z panem rozmawiać...

- Niech pan idzie już teraz - nakazał Rick.

- Dobrze. - Devon zawahał się. - Ale pod warunkiem, że pan tu poczeka. Jeżeli nie będzie chciała pana widzieć, nie będzie pan nalegał.

- Zgoda.

Nie podali sobie rąk, ale Devon poczuł, że może Rickowi wierzyć, bo jest człowiekiem, który dotrzymuje słowa.

Przystanął przed zamkniętymi drzwiami sypialni Jordan, niepewny, czy postępuje właściwie, ale uniósł rękę i zapukał. Nie odpowiedziała. Zapukał jeszcze raz. Cisza. Chwycił klamkę i spróbował otworzyć drzwi, przekonany, że zamknęła je na klucz, żeby odseparować się od świata. Drzwi otworzyły się bez trudu. Zajrzał do środka, ale jej nie zauważył. Rozejrzał się, może poszła do łazienki? Drzwi prowadzące do przebieralni i do łazienki były uchylone. Zauważył, że przesłonięte żaluzjami drzwi przebieralni są szeroko otwarte.

Jordan siedziała na podłodze, przyciskając do piersi pokrowiec na ubranie. Devon przystanął przed garderobą, patrząc na rozpięty pokrowiec. Wewnątrz była wyszyta paciorkami biała satynowa suknia ślubna.

- Jordan?

Chyba nie była zaskoczona jego obecnością, bo nie westchnęła, nie krzyknęła, ani nawet nie uniosła głowy, żeby na niego spojrzeć.

- Co tu robisz?

- Pamiętasz, jak pojechałeś ze mną i Darlene wybierać suknię ślubną? - spytała, siedząc spokojnie, nieruchomo.

- Oczywiście, pamiętam.

- Kiedy włożyłam tę suknię i wyszłam z przymierzalni, ty i Darlene stwierdziliście, że to jest to.

- Wyglądałaś jak księżniczka, pięknie i dostojnie.

Boże, była wtedy taka szczęśliwa. Dałby wszystko, żeby znów ją taką widzieć.

- Robby Joe nie zobaczył tej sukni. - Głaskała koronkowy gorset, wyszyty kryształkami i perełkami.

- Nie wiedziałem, że jeszcze ją masz. - Devon wszedł do garderoby, przykucnął ostrożnie i usiadł obok niej. - Myślałem...

- Nie patrzyłam na tę suknię od lat. - Przytuliła ją do piersi.

- A dlaczego patrzysz na nią dzisiaj?

Wyciągnął rękę, żeby odebrać jej pokrowiec, ale ścisnęła go z całych sił.

- Jordan, oddaj mi suknię, odwieszę ją.

- Nigdy nikogo innego nie kochałam, tylko Robby'ego Joe. Przez te wszystkie lata nie trafiłam na innego mężczyznę, który... który... -Gładziła paciorki, ale Devon wiedział, że jej palce poruszają się mimowolnie.

- Co zaszło między tobą a Rickiem Carsonem?

Odwróciła się gwałtownie i spojrzała na Devona dzikim wzrokiem, nie odpowiadając mu na pytanie.

- Przyszedł za tobą. Czeka na dole. Chce z tobą porozmawiać.

- Ale ja nie chcę.

Położył rękę na jej dłoni, a potem splótł pące z jej palcami.

- Pozwól mi powiesić suknię.

Spojrzała na niego zamglonymi oczami, a gdy chwycił pokrowiec, oddała mu go. Odetchnął z ulgą. Widział Jordan w takim stanie tylko dwa razy - krótko po śmierci Robby'ego Joe i wtedy, gdy znalazła ciało Dana. Tamtego ranka otrząsnęła się dość szybko, nie tak jak w przeszłości, kiedy Devon zaczął obawiać się o jej zdrowie psychiczne.

Wstał, zabrał pokrowiec i powiesił go w głębi garderoby.

Po co zatrzymała tę cholerną suknię?

- Wstań. Chodźmy. - Wyciągnął do niej rękę.

Chwyciła jego dłoń i wstała. Objął ją ramieniem i zaprowadził na kanapę, ale nie chciała usiąść. Chodziła po pokoju tam i z powrotem, a on obserwował ją bezradnie.

- Popełniłam tak wiele błędów. - Głos drżał jej z przejęcia. - Starłam się postępować właściwie, wywiązać z obowiązków, robiłam wszystko, co mogłam.

- Przystanęła i spojrzała mu w oczy. - Myślisz, że zrobiłam wszystko, co mogłam?

- Nie wiem, co się stało, ale musisz się opanować. - Chwycił ją delikatnie za ramiona. - Nie widziałem cię w takim stanie od...

- Od śmierci Robby'ego Joe - dokończyła. - Chyba straciłam rozum, kiedy go zabrakło. Nawet teraz nie wszystko dokładnie pamiętam. Wymazałam z pamięci niektóre wspomnienia.

- To dobrze.

- Pamiętam, że byłam zakochana. - Pokiwała głową. - Jak to jest...

Pamiętam, jak to jest pragnąć kogoś tak bardzo, że aż boli. Nigdy nikogo nie pragnęłam tak, jak pragnęłam Robby'ego Joe, aż do... Nie powinnam tego czuć.

Wiem, że nie powinnam. Nie tu, nie teraz, nie do niego. Nie, nie, nie.

- Chodzi o Ricka Carsona?

- Dopiero co straciłam męża i dziecko. - Chwyciła Devona za rękę. -
Podejrzewają mnie, że zamordowałam sześć osób. A Ricka znam niecałe dwa tygodnie, w dodatku nawet mi nie ufa.

- Serce nie sługa - zauważył sentencjonalnie Devon.

- Nie wiem, czy chodzi o serce czy o ciało. - Uśmiechnęła się blado.

- Powiedz, co zaszło między tobą a Rickiem.

- Pocałował mnie. Chyba nie miał takiego zamiaru, ale to zrobił. I nie było to jednostronne. Odwzajemniłam pocałunek.

- I to cię przeraziło.

- Może po prostu umie nieźle całować. Może po poronieniu rozszalały mi się hormony. A może po prostu jestem wariatką!

- Ależ nie. - Devon uniósł jej dłonie do ust i pocałował obie po kolei. - W każdym razie nie większą niż my wszyscy. Ostatnio przeszłaś piekło. Świat przewrócił ci się do góry nogami i nie wiesz, co się dalej stanie. Wstaw sobie ten obrazek dużego, silnego faceta z szerokimi barkami, na których może cię ponieść. Gdybym był heteroseksualny...

Jordan uśmiechnęła się szeroko i położyła mu na ustach wskazujący palec prawej dłoni.

- Nie, nie kusiłoby cię. Dużo czasu upłynie, zanim się pozbierasz po stracie Dana.

- Dan był moją miłością. - Westchnął ciężko. - Tak jak dla ciebie Robby Joe. Ale to nie oznacza, że kiedyś nie poznam innego mężczyzny i znów się nie zakocham. A jeśli nawet to, co jest między tobą a Rickiem, to nie miłość, nie ma w tym nic złego.

- Być może, ale ja się z tym źle czuję. - Zamknęła oczy, odchyliła głowę do tyłu i westchnęła. - Czuję się tak, jakbym zdradzała Robby'ego Joe. - Otworzyła

oczy i uniosła do góry rękę, dając mu znak, że ma się nie odzywać. - Wiem, że to bez sensu.

- Musisz porozmawiać z Rickiem. Powiedz mu, że nie jesteś gotowa na więź, ani uczuciową, ani fizyczną. Mam wrażenie, że cię zrozumie i prawdopodobnie przyzna ci rację.

- Zachowałam się jak skończona idiotka, kiedy mnie pocałował.

- Czeka na dole. Mam mu powiedzieć, że może wejść?

- Dobrze. - Skinęła głową.

- Porozmawiasz z nim?

- Tak, rozmawiam.

- Przez kilka chwil bałam się o ciebie, kiedy tak siedziałaś, ściskając ślubną suknię w garderobie. - Poglaskał ją po policzku.

- To była chwila słabości. Każdy je czasem miewa, prawda?

- Prawda.

Zostawił ją z nadzieją, że uspokoi nerwy, i powoli zszedł na dół. Nie był do końca przekonany, czy rzeczywiście wszystko z Jordan jest w porządku.

Ricka zastał w kuchni z telefonem komórkowym przy uchu.

- Zadzwoń później - rzucił do słuchawki i odwrócił się do Devona.

- Chce się z panem zobaczyć.

- Wszystko w porządku?

- Chyba tak.

- Co powiedziała?

- Że ją pan pocałował i że odwzajemniła pocałunek.

- Nie chciałem tego, ale stało się.

- Ona o tym wie.

Rick skinął głową i wbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie na raz.

Dlaczego Rick Carson nie pojawił się w życiu Jordan, zanim wyszła za Dana czy Boyda? - pomyślał Devon.

Rick zapukał.

- Tak?

- Mogę wejść?

- Tak.

Otworzył drzwi i przystanął na ułamek sekundy, kiedy zobaczył ją pośrodku pokoju patrzącą na niego z wysoko podniesionym czołem i wyprostowanymi plecami. Gotową do pojedynku.

- W związku z tym, co się stało... - zaczął.

- Wejdz i zamknij drzwi.

Spełnił jej prośbę, ale zawahał się, czy podejść.

Co go napadło? Przecież nie jest jednym z tych facetów, którzy nie umieją oddzielić przyjemności od interesów i myślą rozporciem, nie głową. Co sobie wyobrażał, całując bezbronną kobietę, która potrzebowała tylko delikatnej, czulej troski.

- Przepraszam - odezwali się jednocześnie.

- Przesadnie zareagowałam na zwykły pocałunek. - Uśmiechnęła się lekko.

To wcale nie był zwykły pocałunek i oboje doskonale o tym wiedzieli.

- Nie powinienem cię całować.

- Już dawno żaden mężczyzna nie całował mnie w ten sposób.

- Tak pięknie wyglądałaś. Wiem, że to nie jest żadne usprawiedliwienie.

Nie miałem zamiaru tego robić, opanowałem się za późno.

- Oboje przesadzamy. To był tylko pocałunek, nic więcej.

- Tak, nic więcej.

- Czasami ogarnia człowieka pożądanie. Jeżeli obiektywnie spojrzymy na sytuację...

- To się więcej nie powtórzy - zapewnił.

- Nie.

- I wszystko w porządku?

- Tak, wszystko w porządku.

- Muszę jechać do hotelu, zadzwonić w parę miejsc, spakować nekrologi i wysłać je do laboratorium Powella w Knoxville. Powiem Maleah, że wyjeżdżam.

Odwrócił się i ruszył w stronę drzwi, a Jordan za nim. Wyszedł na korytarz, przystanął na chwilę i odwrócił się do niej.

- Przyjedziesz jutro? - spytała.

- Raczej nie.

- A w poniedziałek?

- Tak, w poniedziałek przyjadę.

W poniedziałek rano miał zamiar porozmawiać z Roselynnie o ekshumacji zwłok Wayne'a Harrisa, a z Darlene o ekshumacji zwłok jej syna. Jeżeli lekarz wynajęty przez Agencję Powella do przeprowadzenia niezależnej sekcji zwłok stwierdzi, że Wayne Harris zmarł na atak serca, a Robby Joe Wright na skutek obrażeń odniesionych w wypadku samochodowym, podważą teorię prokuratora generalnego, który sugeruje, że Jordan jest czarną wdową.

A w tej chwili chodzi przede wszystkim o to, żeby udowodnić niewinność Jordan.

Rick całą niedzielę analizował każdy okrucieństwo informacji o Jordan i najbliższych jej ludziach, które zebrała Agencja Powella. Przystudiował kopie raportów policyjnych na temat śmierci Jaya Reynoldsa, Donalda Farrisa, Boyda Brannona, Dana Price'a i Jane Anne Price. Jedynie dwa zgony zakwalifikowano jako skutek morderstwa - Jaya Reynoldsa i Jane Anne. Śmierć Farrisa i Brannona uznano za wypadek, a Dana Price'a za samobójstwo. Kilka razy przeczytał dokumentację medyczną Wayne'a Harrisa i Robby'ego Joe Wrighta, w której ze szczegółami opisane było wszystko od chwili, kiedy znaleźli się na oddziale, aż do momentu stwierdzenia zgonu. Harris, który miał zaledwie czterdzieści dziewięć lat, bardzo dużo palił, miał nadwagę i nerwową pracę kierownika zmiany. Robby Joe jechał podczas burzy po śliskiej nawierzchni. Mały sportowy samochód wpadł w poślizg, dachował i wylądował na potężnym dębie. Kierowca odniósł poważne obrażenia głowy. Nawet gdyby karetka dotarła na miejsce w kilka sekund po wypadku, nie było szans na to, żeby go uratować.

Czy można podejrzewać, że śmierć Harrisa czy Wrighta była skutkiem zabójstwa? Dokumenty jasno przedstawiają fakty. Ciało żadnego z nich nie zostało poddane sekcji zwłok, bo nie było powodów do wszczęcia takiej procedury. Sekcja zwłok wówczas nie była konieczna, a przeprowadzenie jej teraz miało służyć tylko jednemu - potwierdzeniu pierwotnie orzeczonej przyczyny zgonu.

Kiedy podjeżdżał jeepem do głównej bramy Price Manor, zauważył, że z tłumy dziennikarzy pozostało tylko kilka osób. Doniesienia prasowe i telewizyjne nie stanowiły już sensacji. Ta chwila spokoju nie potrwa długo, jeżeli do sprawy włączy się FBI.

Agenci Powella otworzyli bramę, Rick pomachał im, wjeżdżając. Najlepiej byłoby, gdyby udało mu się uniknąć spotkania z Jordan. Obojgu wyjdzie na dobre, jeżeli przez jakiś czas nie będą się do siebie zbliżać. Pociąg fizyczny bywa zdradziecki.

Zaparkował przy garażu, wysiadł i ruszył do domku, w którym mieszkała Roselynn Harris. Zadzwoił do niej godzinę wcześniej i umówił się spotkanie, zdradzając tylko tyle, że chce z nią porozmawiać o tym, jak mogłaby pomóc Jordan.

- Co tylko każesz - powiedziała. - Dla tej dziewczyny zrobię wszystko.

Zanim zdążył zapukać do drzwi, zamaszystym ruchem otworzyła je Tammy i patrzyła na niego, stojąc w progu.

- Dzień dobry - powiedział.

Wyskoczyła za próg. Odsunął się, żeby zrobić jej miejsce w przejściu.

- Usiądę na dworze na huśtawce i poczekam na Jordan - oznajmiła Tammy.

- Pójdziemy na spacer, kiedy pan będzie rozmawiał z mamą.

- Rozumiem. To miło. Przyjaźnicie się z Jordan, prawda?

- To coś więcej niż przyjaźń, proszę pana. Jesteśmy siostrami.

- Tak, wiem.

- Rick? - zawołała od progu Roselynn. - Wejdz, proszę. Wszedł do salonu, ciepłego, miłego miejsca pełnego starych i nowych mebli, w stylu, który można by nazwać przytulnym.

- Napijesz się kawy? - spytała. - Właśnie zaparzyłam świeżą.

- Nie, dziękuję.

- No to siadaj i mów.

Usiadł na kanapie, a Roselynn obok niego. Zauważył, że mimo wczesnej pory - było piętnaście po ósmej - zdążyła nałożyć grubą warstwę makijażu,

ułożyć włosy i ubrać się w obcisłe dzinsy i bluzkę z głębokim dekoltem. W uszach miała wielkie złote koła.

- Dziękuję, że zgodziła się pani na rozmowę.

- Powiedziałeś, że mogę pomóc Jordan. A ja ci powiedziałam, że zrobię wszystko, co mogę, żeby jej pomóc. Powiedz tylko, co.

- Oczywiście. - Rick zorientował się, że Roselynnne siedzi tuż przy nim, w odległości niecałych trzydziestu centymetrów. Przesunął się na koniec kanapy, nie przestając się uśmiechać. - Wie pani, co się mówi o Jordan. Że zbyt wielu mężczyzn, którzy pojawili się w jej życiu, przedwcześnie odeszło z tego świata.

- To tragiczne, ale nic nie oznacza - stwierdziła Roselynnne. - Nie potrafiłaby nikogo zabić, tak samo jak ja.

- I właśnie to musimy udowodnić - że nikogo nie zabiła. Możemy zacząć od tego, że udowodnimy, iż nie zabiła własnego ojca i że faktycznie zmarł on na atak serca.

- No pewnie, że na atak serca. Mój Wayne był pulchniutki. Bystry, jak nie wiem co, ale gruby. Uwielbiał wszystko, co smażone, a ja mu gotowałam tak, jak lubił. W dodatku kopał jak komin. Ja po śmierci Wayne'a rzuciłam palenie. Nie chciałam się zwinąć przed pięćdziesiątką, tak jak on.

- Bardzo rozsądna decyzja, pani Harris.

- Jak właściwie mam ci pomóc udowodnić, że Wayne na pewno zmarł na atak serca?

- Może pani wydać pozwolenie na ekshumację jego zwłok. - Rick żałował, że nie da się tego powiedzieć w bardziej delikatny sposób.

- Co?!

- Agencja Powella przeprowadziłaby niezależną sekcję zwłok, żeby potwierdzić przyczynę śmierci podaną w akcie zgonu pana Harrisa.

- Chcecie wykopać Wayne'a i go pokroić?
- Wszystko zostanie dokonane z należyтым szacunkiem i...
- Nie! - Roselynnę poderwała się z kanapy. - Wykluczone!
- Pani Harris... - Rick wstał.

- Powiedziałam: nie. Nie pozwolę nikomu wykopywać Wayne'a i kroić go na kawałki. Miał atak serca. Stwierdził to lekarz. Nikt go nie zabił. A już na pewno nie Jordan.

- Ja w to wierzę - powiedział Rick. - Ale dzięki sekcji zwłok udowodniłoby się przyczynę śmierci ponad wszelką wątpliwość.

- Nie, nie... - Pokręciła głową. - Nie można wykopywać człowieka po tylu latach. To nie po bożemu, i koniec.

Szklane drzwi otworzyły się i do środka weszła Tammy z szeroko otwartymi oczami i małymi dłońmi zaciśniętymi w pięści.

- Niech pan nie denerwuje mamy. Niech ją pan zostawi w spokoju.

- Tammy, złotko, nic się nie stało. Pan Carson nie chciał mnie denerwować.

- Przepraszam, nie miałem zamiaru nikogo denerwować - powtórzył za nią Rick.

- Chyba powinieneś już iść - oznajmiła Roselynnę. - Przykro mi, że nie mogę ci pomóc, ale Jordan chyba nie oczekuje, że zgodzę się na coś takiego.

Rick wyczuł obecność Jordan, zanim znów odwrócił się do wejścia. Stała po drugiej stronie rozsuwanych szklanych drzwi. Tammy też musiała to wyczuć, bo zawołała ją.

- Coś się stało? - spytała Jordan.

Tammy otworzyła drzwi, chwyciła Jordan za rękę i wciągnęła ją do salonu.

- On... - wskazała na Ricka -... zdenerwował mamę. Powiedział, że chce wykopać tatę Wayne'a i pociąć go na drobne kawałeczki.

Jordan spojrzała Rickowi w oczy pytająco. Roselynn pokręciła głową.

- Poprosił mnie o zgodę na ekshumację ciała twojego taty i przeprowadzenie sekcji zwłok. Powiedziałam, że nie mogę się na to zgodzić. Wiesz, że nie mogę.

- To coś złego, prawda, Jordan? - Tammy spojrzała na przybraną siostrę, szukając potwierdzenia. - Wykopywanie zmarłych ludzi to grzech.

- Roselynn, postaraj się wytłumaczyć Tammy, że nikomu nic złego się nie stanie i że wszystko jest w porządku. - Jordan nie spuszczała wzroku z oczu Ricka. - Musimy porozmawiać. Na zewnątrz.

Powinien przewidzieć, że to nie będzie proste. Od samego początku sprawy nic nie jest proste, łatwe ani oczywiste.

Zeszli razem z ganku do ogrodu. Jordan spojrzała przez ramię na dom, i dopiero widząc, że Roselynn zamknęła zarówno szklane, jak i drewniane wejściowe drzwi, odwróciła się do Ricka.

- Co cię opętało, żeby prosić Roselynn o zgodę na ekshumację zwłok taty?

- Nic złego, zapewniam cię. Jeżeli Agencja Powella mogłaby przeprowadzić niezależną sekcję zwłok i potwierdzić przyczynę zgonu, to samo moglibyśmy zrobić w sprawie Robby'ego Joe. Mielibyśmy dowód, że dwaj z sześciu mężczyzn, o których zabójstwo jesteś posądzana, nie zostali zamordowani.

- O Boże! Chyba nie poszedłeś prosić Darlene o zgodę na ekshumację zwłok Robby'ego Joe?

- Nie, jeszcze nie - odparł Rick.

- Nie waż się z tym wyskoczyć, słyszysz? Sama myśl o ekshumacji złamie jej serce. Wiem, że minęło już dwanaście lat, ale dla niej ta strata jest tak samo bolesna teraz, jak wtedy...

- Czy mówimy o uczuciach Darlene, czy raczej o tym, co ty ciągle czujesz do Robby'ego Joe?

Jordan zeszywniała.

- Być może ekshumacja zwłok Robby'ego Joe nie tylko pozwoliłaby nam dowieść, że zginął z powodu obrażeń odniesionych w wypadku samochodowym, ale też pomogłaby ci wydostać się z grobowca, w którym się dobrowolnie zakopałaś po jego śmierci.

Wymierzyła Rickowi policzek.

Wiedział, że na niego zasłużył. Nie miał prawa mówić takich rzeczy, nawet jeżeli rzeczywiście tak myślał.

Krzyknęła przerażona, kiedy dotarło do niej, co zrobiła.

- Przepraszam. Nie... nie chciałam. - Głos jej zadrżał. - Nie chcę, żebyś rozmawiał z Darlene. I proszę, żebyś już nie nękał Roselynne. Nie zgodzimy się na ekshumację zwłok taty ani Robby'ego Joe.

- Chyba wiesz, że ten nieugięty sprzeciw wobec sekcji zwłok sugeruje, że starasz się coś ukryć?

- Chcesz powiedzieć, że wyglądam na winną, a ludzie utwierdzą się w przekonaniu, że naprawdę zabiłam ojca, którego strasznie kochałam, i narzeczonego, który był dla mnie wszystkim.

- Nikt się o tym nie dowie - powiedział Rick. - Ale im więcej zbierzemy dowodów twojej niewinności w przypadkach dawnych zgonów, tym lepiej, kiedy zostaniesz oskarżona o morderstwo Dana. Cam Hendrix to znakomity adwokat, ale potrzebuje...

- Myślisz, że aresztują mnie za morderstwo Dana?
 - Tego nie powiedziałem. Użyłem słowa Jeżeli".
 - Wydawało mi się, że sytuacja wygląda lepiej. Dziennikarze już nie koczują przed bramą, Steve ani żaden z jego pracowników nie przesłuchiwali mnie po raz drugi. Chyba wszystko powoli cichnie...
 - Nic podobnego - uciał. - Przygotuj się na najgorsze.
 - Tak, chyba masz rację. Życie dało mi niezłą szkołę. Chyba nie powinnam się spodziewać, że zła passa nagle się skończy?
 - Nie będę już zwracał głowy twojej macosze i nic nie wspomnę o ekshumacji pani Wright.
 - Dziękuję.
 - Zamierzałem spotkać się z tobą po rozmowie z nimi - wyjaśnił. - Chciałem ci powiedzieć, że dzisiaj wracam do Knoxville. Twoją osobistą ochroną zajmuje się Maleah, a sprawę od tej pory będzie prowadził Holt Keinan.
 - Dlaczego? Jesteś mi tu potrzebny.
 - Potrzebny jest agent, który nie pozwoli sobie na to, by osobiście zaangażować się w sprawę. Kiedy chodzi o ciebie, nie potrafię już być obiektywny, a na dłuższą metę to ci może zaszkodzić.
 - Rozumiem. A zatem wycofujesz się z tej sprawy na dobre. Wyjeżdżasz i więcej nie wrócisz.
 - Tak chyba będzie lepiej, prawda?
- Nie odpowiadała przez kilka minut. W głębi duszy chciał, żeby zaprzeczyła, chciał, żeby poprosiła go, by został.
- Tak, masz rację - odezwała się w końcu. - Podjąłeś właściwą decyzję.

Miał nadzieję, że po powrocie do Knoxville Agencja Powella wyśle go na nowe zlecenie w teren, ale pech chciał, że trafił na dyżur w Przystani Griffina. Podejrzał, że Nicole celowo pozmieniała kolejność na liście, żeby go tu sprowadzić, ale nie zakwestionował jej decyzji. Przez dziewięć dni, kiedy pełnił dyżur w tak zwanej Bazie Powella, brał udział w naradach dotyczących sprawy Price'ów. Liczbę strażników przy wjeździe do posiadłości Price'ów zmniejszono do trzech, zmieniających się co osiem godzin. Czasem jeszcze zabłąkał się jakiś dziennikarz, ale w końcu prawie wszyscy zniknęli, ułatwiając życie domownikom, a zwłaszcza Jordan.

Niepokojące telefony i listy zdarzały się prawie codziennie aż do zeszłego piątku, a później nagle się skończyły. Tożsamość sprawcy była taką samą zagadką jak dwa tygodnie temu. Wszystkie listy nosiły stempel Priceville, a z raportów operatora komórkowego wynikało, że połączenia telefoniczne wykonywane były z obszaru Priceville i przekazywane przez wieżę nadawczą znajdującą się między miasteczkiem a Price Manor. Analiza odcisków palców na listach nie wykazała innych śladów niż te, których się spodziewano. Wdowa po Donaldzie Farrisie zmarła trzy lata temu, dzieci nie mieli. Jego jedyny krewny, kuzyn z bocznej linii, kategorycznie odmówił zgody na ekshumację w celu przeprowadzenia sekcji zwłok.

Maleah nadal ochraniała Jordan, bo nalegali na to Ryan i Claire Price'owie. Gdyby decyzja należała do Jordan, Maleah zostałaby odesłana tydzień temu.

Rick postąpił właściwie, rezygnując z prowadzenia sprawy. Do tej pory, chociaż dzielił ich tydzień rozłąki i setki kilometrów, nie udało mu się wyrzucić Jordan z myśli, chociaż bardzo się starał. W ciągu dnia pomagała mu praca, ale w

nocy Jordan nachodziła go w snach. Czasem były to sny przerażające, bo usiłowała go zabić, a czasami kochali się w dziki i namiętny sposób.

Rick zjechał z autostrady numer 129 w stronę lotniska. Zaparkował na krótkoterminowym parkingu przed lotniskiem McGheeTyson i spojrzał na zegarek. Trasę z Przystani Griffna do Alcoa pokonał w rekordowym czasie, miał więc jakieś pół godziny czekania. Nicole wysłała go, żeby odebrał z lotniska kobietę o nazwisku Meredith Sinclair, którą przysłała z Londynu przyjaciółka państwa Powell, doktor Yvette Meng. Rick podczas swojej pracy w Agencji Powella kilka razy miał do czynienia z cudowną panią doktor i chociaż nie znał przeszłości Griffina, wiedział, że doktor Meng, podobnie jak Sanders, stanowią część dziesięciu tajemniczych lat życia Griffina. I wiedział jeszcze jedno - Nicole nie jest uszczęśliwiona z powodu przyjazdu gościa. Wprawdzie nie powiedziała nic na ten temat, ale Rick za dobrze znał Nicole, odkąd poślubiła Griffa, żeby wiedzieć, że nie jest zadowolona.

Kupił gazetę i kubek kawy i zanim samolot pani Sinclair wylądował, zdążył zapoznać się z wydarzeniami na świecie, w kraju i na gruncie lokalnym.

Razem z co najmniej dziesiątką innych osób czekał, aż pasażerowie samolotu pojawią się przy taśmie z bagażami. Kazano mu wyglądać rudowłosej kobiety pod trzydziestkę.

Nie wiedział do końca, jakiego wyglądu może spodziewać się po kobiecie, która nazywa się Meredith Sinclair. Miał nadzieję, że będzie to wysoka, długonoga, szczupła jak modelka piękność, ale jedyna rudowłosa kobieta, jaką zdołał dostrzec, była niska, okrągła i pospolitej urody. Miała na sobie luźne czarne spodnie i żakiet, a pod nim białą bluzkę. Poza zegarkiem na ręce nie zauważył żadnej biżuterii, gęste, kręcone włosy koloru marchewki zebrała w puszysty koński ogon.

Kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że jest bez makijażu, a cerę ma bladą, z mnóstwem piegów.

- Pani Sinclair?

- Tak. - Twarz miała bez wyrazu.

- Jestem Rick Carson z Agencji Powella. Przysłała mnie pani Powell. - Wyciągnął rękę, chcąc się przywitać.

- Dziękuję, panie Carson. - Przez chwilę spoglądała na jego wyciągniętą dłoń, ale zignorowała ją całkowicie.

- Proszę mi powiedzieć, który bagaż należy do pani. Zaniosem go do samochodu - powiedział, nie przejmując się tym, że nie podała mu ręki.

- Mam tylko jedną walizkę - oznajmiła. - Dużą, czarną, z obu stron ma naklejone jasnozielone koło.

- Domyślam się, że takiej pani nie kupiła? - Uśmiechnął się rozbawiony.

- Nie. Nakleiłam kółka, żeby łatwiej było ją poznać. Mam nadzieję, że nie zginęła ani nie poleciała gdzie indziej, ale w dzisiejszych czasach bałagan na lotniskach stał się chyba normą.

- Obawiam się, że tak.

Ruszył w stronę taśmy, która zaczęła się powoli przesuwać dookoła, a pani Sinclair za nim.

- Lot był spokojny? - spytał, starając się podtrzymać rozmowę.

- Tak, dziękuję. Spałam przez całą drogę. Całkiem miło się leci w klasie biznesowej.

- Dla przyjaciół Griffa i Nicole wszystko najwyższej jakości.

- Nie jestem ich przyjaciółką, panie Carson.

- Może i nie. - Wzruszył ramionami. - Ale jest pani przyjaciółką ich przyjaciółki, doktor Meng, zgadza się?

- Nie powiedziałabym, że przyjaźnię się z doktor Meng. Nasza znajomość jest dość zawikłana i nie chcę o niej rozmawiać z obcymi.

Rick nie wiedział, czy się roześmiać, czy powiedzieć pani Sinclair, żeby dała sobie spokój, bo jej związek z doktor Meng obchodzi go tyle, co zeszłoroczny śnieg. Po prostu stara się być grzeczny, ale musiał przyznać, że przy tej kobiecie stawało się to coraz trudniejsze.

Pusta taśma zrobiła kilka okrążeń, w końcu z luku zaczęły wyłaniać się bagaże. Wielka czarna waliza z zielonymi kołami na środku pojawiła się jako czwarta. Rick zdjął ją z taśmy i postawił na ziemi. Ważyła chyba ze trzydzieści pięć kilo. Do diabła, co też ona tam ma? Ołów? Złoto?

Chciała chwycić walizkę.

- Ja ją wezmę - powiedział.

- Dobrze. Dziękuję.

- Proszę iść za mną. - Wysunął rączkę i pociągnął walizkę za sobą.

Pani Sinclair nie odezwała się ani słowem aż do chwili, kiedy znaleźli się na autostradzie numer 129.

- Nigdy nie byłam w Tennessee. Doktor Meng mówiła, że jest tu dość ładnie. Chyba najbardziej podobały jej się góry i jeziora.

Rick skinął głową, nie spuszczając wzroku z drogi.

- Ja jestem chłopakiem z Missisipi, dorastałem w okolicy, gdzie tereny są raczej równinne. Pamiętam pierwszy raz, kiedy zobaczyłem Smoky Mountains. Miałem chyba siedem lat i oniemiałem z zachwytu.

- Daleko jest do Przystani Grifnna?

- Nie, niedaleko.

Myślał, że kiedy wspomni, że pochodzi z Missisipi, ona powie mu, gdzie się urodziła i wychowała. Słyszał było, że mówi z silnym południowym

akcentem, ale nie mieściło mu się w głowie, żeby osoba z Południa nigdy nie widziała ani kawałka Tennessee graniczącego z pozostałymi ośmioma południowymi stanami.

- Mam nadzieję, że nie sprawiło panu kłopotu to, że musiał pan wyjechać po mnie tak wcześnie rano.

- Nie, proszę pani, to żaden kłopot. Taką mam pracę.

- Oczywiście.

Przelotnie spojrzął w jej stronę i zauważył, że siedzi sztywna jak kij, z rękami na kolanach. Przypominała staroświecką nauczycielkę albo surową guwernantkę. Chciał zapytać ją o zawód, ale stwierdził, że nie ma obowiązku ciągnięcia rozmowy z tą dziwną i nieprzyjemną kobietą. Jeśli będzie chciała rozmawiać, on będzie rozmawiał. A jeśli nie, to nie, i zupełnie mu to nie przeszkadza.

Jordan wypijała poranną kawę na dworze, na huśtawce pod baldachimem pączkujących drzew, i wzdychała z zadowolenia, które czuła po raz pierwszy od śmierci Dana. Jej życie odzyskało coś na kształt normalności, ale nie wychodziła poza mury posiadłości. Kilka razy z wizytą wpadli Claire i Ryan, przywożąc ze sobą małego Michaela. Był rozkosznym, rudowłosym, niebieskookim chochlikiem, który po Rynie odziedziczył kolor oczu i włosów, a po Claire urodę. Jego obecność w Price Manor była zawsze jak powiew świeżego powietrza. Chociaż przebywanie z Michaeliem przypominało jej o niedawnej stracie i o tym, czego nigdy nie będzie mieć, radość, jaką budził jego żywiołowy temperament, stanowiła przeciwwagę dla dręczącego ją smutku.

Odkąd zniknął z jej życia Rick Carson, a szaleństwo związane z doniesieniami o czarnej wdowie prawie ustało, Jordan i wszyscy mieszkańcy Price Manor mieli wrażenie, że w końcu zaznali spokoju. W zeszły piątek ustały

też niepokojące telefony i listy. Gdyby nie to, że pozostawała pod czujnym okiem Maleah Perdue, może zdołałaby sobie wmówić, że wszystko będzie dobrze.

W zeszłym tygodniu rozmawiała z J. C. Poprosiła go, żeby wyjechał, a on chyba nie był zaskoczony ani nie zrobił awantury.

- Tak, tym razem chyba nadużyłem twojej gościnności. Nawet mama dawała mi do zrozumienia, że pora wracać do pracy. Jest przeświadczona, że nadal pracuję w kasynie w Biloxi.

Jordan wręczyła przyrodniemu bratu czek na dziesięć tysięcy dolarów.

- Po co mi to?

- Na dobry początek.

- Skąd ta hojność?

- Należysz do rodziny. Ale ten czek jest ostatnim podarunkiem. Jasne?

- Pewnie, siostrze.

Najpierw pocałował ją w policzek, a potem uśmiechnął się promiennie i puścił do niej oko.

Wyjechał w czwartek i Jordan cieszyła się, że zniknął jej z oczu. Przynajmniej na jakiś czas. Nie miała złudzeń, doskonale wiedziała, że znów pojawi się nieproszony.

Devon poleciał w piątek do Waszyngtonu, do domu w Bethesda, żeby spakować osobiste rzeczy Dana. Kiedyś wystawia dom na sprzedaż, ale nie ma pośpiechu. Ani ona, ani Devon nie mają najmniejszej ochoty tam mieszkać. Devon dzwonił co wieczór, choć rozmawiali ze sobą krótko. Nadal płakał, kiedy mówił o Danie. Miała nadzieję, że podczas pobytu w Bethesda uda mu się w końcu pożegnać człowieka, którego kochał.

Dopiero wczoraj zdołała przekonać Darlene, żeby wróciła do swojego mieszkania w Priceville. Kochała ją i była jej wdzięczna za oddanie i wsparcie, ale czasami czuła się przytłoczona tą nadmierną troskliwością. Wiedziała, że Darlene nie ma nikogo innego, że to ona stała się dla niej przybranym dzieckiem i że łączy ją z Robbym Joe. Romans Roselynn i Wallace'a rozkwitał na dobre i Jordan wolała, żeby Darlene nie musiała codziennie patrzeć z bliska na rozćwierkaną parę.

Kiedy zapanował względny spokój, stwierdziła, że ma o wiele za dużo czasu na przemyślenia, rozważania, żalobę, a nawet na marzenia. Po Danie odziedziczyła pokaźną fortunę, nie musiała się więc martwić o to, z czego utrzyma Roselynn i Tammy i z całą pewnością nie musiała podejmować pracy. Ale nie chciała, żeby reszta życia upłynęła jej na lenistwie. Kiedyś będzie musiała rozejrzeć się za czymś, co wypełni jej czas. Może zacznie bardziej udzielać się na rzecz organizacji charytatywnych, a może otworzy własną firmę *public relations* albo zacznie uczyć w szkole.

Trochę czasu upłynie, zanim odnajdzie cel w życiu i w końcu jej się to uda. Dni zapełni pracą, ale co z nocami?

Jedno jest pewne, nigdy więcej nie wyjdzie za mąż. Nie chce ani nie potrzebuje...

Nieprawda!

Chce. I potrzebuje. Tęskni za tym, co zawsze jej umykało, za takim szczęściem, którego wielu ludzi nie docenia.

Nie myśl o Ricku. Wyjechał. Na zawsze zniknął z twojego życia. Zdawało ci się, że coś do niego czujesz, ale na pewno nie jest to miłość.

- Mogę się przysiąc?

Pytanie Rene przerwało jej rozmyślania na temat Ricka Carsona.

- Oczywiście. - Spojrzała w górę, uśmiechnęła się do przyjaciółki i poklepała kanapę obok siebie.

Rene odstawiła na ziemię pusty kubek po kawie, który trzymała w ręce.

- Maj jest chyba moim ulubionym miesiącem. Na ogół jest już ciepło, ale nie za gorąco. I wszystko kwitnie.

- Mam ochotę pojechać do Priceville, kupić u Elmore's kilka sadzonek i zobaczyć, jaki mają wybór paproci. Przejedziesz się ze mną?

- Sądzisz, że agentka Powella pozwoli ci wyjechać z Price Manor? Pilnuje cię jak anioł stróż. - Rene wskazała głową w stronę domu, gdzie przy tylnym wejściu stała Maleah Perdue, która starała się zostawić Jordan trochę przestrzeni, a jednocześnie nie spuszczać jej z oka.

- Zabierzemy ją ze sobą - odparła Jordan. - Mam wrażenie, że zwariuję, jeżeli stąd nie wyjadę, choćby na kilka godzin. Zaczynam się czuć jak więzień we własnym domu.

- No, to zróbmy sobie dzień dla siebie. Jeśli ludzie będą się na ciebie gapić, zagramy im na nosie.

- Chyba nie umrę od tego, że parę osób będzie mi się przyglądać. - Jordan roześmiała się. - Ale mam nadzieję, że większość mieszkańców Priceville poznała mnie na tyle dobrze, że nie wierzą w to, co ostatnio o mnie słyszeli.

- Na pewno masz rację - powiedziała Rene. - A skoro już będziemy się kręcić po mieście, możemy wejść na obiad do Ruff Barbeque i objeść się żeberkami z krążkami cebuli. - Rene oblizwała wargi. - Na samą myśl o takim jedzeniu dostaję orgazmu.

Jordan roześmiała się.

- Uwielbiam żeberka i krążki cebulowe u Ruffa, ale jakoś nigdy nie podniecałam się, kiedy o nich myślałam ani kiedy je jadłam. Muszę za to przyznać, że smażone pierogi ujęły mnie za serce.

Siedziały razem, śmiejąc się i rozkoszując ciepłym i pięknym majowym porankiem, jak beztroskie przyjaciółki, które wesoło szykują się na małą wyprawę do miasta. Proste normalne przyjemności.

Po raz pierwszy od sześciu tygodni, od czasu kiedy znalazła martwe ciało Dana, Jordan poczuła, że kiedyś znów będzie cieszyć się życiem.

Rick zamierzał podwieźć panią Sinclair pod dom i zostawić ją tam. Miał nadzieję, że ktoś po nią wyjdzie. Nie zdziwił się więc, gdy do jeepa podszedł Sanders. Ale zamiast otworzyć drzwi pasażera, obszedł maskę i pokazał Rickowi, żeby opuścił szybę.

- Co tam? - spytał Rick.

- Griffin i Nicole prosili, żebyś wszedł do domu z panią Sinclair. Odstawię samochód i przyniosę bagaże, a ty zaprowadź ją do gabinetu Griffina.

Rick wzruszył ramionami, zostawił włączony silnik i kluczyki w stacyjce, otworzył drzwi i wysiadł. Zanim zdążył znaleźć się po drugiej stronie jeepa, pani Sinclaire czekała już na chodniku.

- Proszę ze mną. - Podał jej ramię.

- Niech pan poprowadzi, pójdę za panem.

- Jasne. - Co jest z tą kobietą? Nie lubi dotyku w ogóle czy tylko jego dotyku?

Starła się nie gapić na dom, ale Rick zauważył, że zrobił na niej wrażenie. W holu przystanąła i z lekko rozchylonymi ustami podziwiała elegancki przepych domu Griffa i Nicole.

- Czekaają na nas w gabinecie Griffa - powiedział Rick, prowadząc ją przez korytarz. - Spodoba się pani tutaj. Nicole i Griff wiedzą, jak zadbać o gości, żeby im było miło.

Nie odpowiedziała, nie uśmiechnęła się, nawet nie drgnęła jej twarz.

Nie ulegało wątpliwości, że Meredith Sinclair jest dziwną osobą.

Drzwi gabinetu były otwarte na oścież. Weszli do środka, podszedł do nich Griff, który stał obok Nicole przed masywnym biurkiem. Rick zauważył, że Griff nie podał gościowi ręki na powitanie. Domyślił się, że szef wie na temat dziwnej pani Sinclair coś, czego on nie wiedział.

- Meredith, jestem Griffin Powell. A to moja żona Nicole. Nicole uśmiechnęła się i skinęła głową.

- A to Barbara Jean Hughes, nieoceniony pracownik Agencji Powella.

Barbara Jean podjechała do gościa na wózku inwalidzkim z ciepłym, przyjacielskim uśmiechem na twarzy.

- Jadła pani śniadanie?

- Jadłam dość wcześnie w samolocie - odpowiedziała pani Sinclair.

- Niech pani pójdzie za mną do kuchni. Mamy ciasto kawowe, zaparzę świeżej kawy albo zrobię filiżankę herbaty. Sanders dołączy do nas, kiedy wniesie pani bagaż, a potem zaprowadzimy panią do pokoju, żeby mogła się pani odświeżyć.

- Mam spać w tym domu, z panem i pana żoną? - Pani Sinclair spojrzała na Griffa.

- Na razie tak - odpowiedział. - Zadbamy, żeby miała pani spokój. Posiłki może pani jeść w swoim pokoju.

- Myślałam, że będę mieszkać osobno.

- Wszystko w swoim czasie - odparł Griff, skutecznie zamykając jej usta.

Najwyraźniej pani Sinclair, podobnie jak inni, zrozumiała, że temat jest zamknięty. Decyzje podjęto za nią, Griffin Powell nie zamierzał z nią dyskutować.

- Napiłabym się herbaty, pani Hughes - powiedziała.

- Proszę za mną, pani Sinclair. Chętnie posłucham opowieści o Londynie i dowiem się, co słyhać u Yvette. - Barbara Jean wymanewrowała wózek na korytarz, a pani Sinclair wyszła za nią. Po chwili wszyscy usłyszeli słowa Barbary Jean. - Chcemy, żeby dobrze się pani czuła w Przystani Griffina. Jeśli pani czegoś będzie potrzebowała albo gdybyśmy mogli coś dla pani zrobić, proszę dać mi znać.

Griff zamknął drzwi.

Ricka ogarnęło dziwne uczucie. Coś się wydarzyło i był pewien, że nie ma to nic wspólnego z gościem Powellów.

- Powiedzcie, o co chodzi. - Rick spoglądał to na Griffa, to na Nicole.

- Pojawił się nowy wątek w sprawie Price'a - powiedział Griff.

- Jaki nowy wątek?

Nicole sięgnęła za siebie i odwróciła stojący na biurku laptop męża tak, żeby Rick mógł widzieć ekran.

- Spójrz na stronę „The Chatterbox”. To są tytuły z numeru z tego tygodnia, który dziś znajdzie się na półkach sklepowych.

Co tym razem na temat Jordan napisał ten szmatławiec? Pochylił się, żeby popatrzeć na ekran. Tytuły go poraziły.

- A niech to!

Pam i Jim Elmore'owie odziedziczyli Elmore Feed and Seed po ojcu Jima, a ten wcześniej odziedziczył firmę po swoim ojcu. W Priceville, zarówno w przeszłości, jak i teraz, interesy przechodziły z pokolenia na pokolenie. Ted

Payne, który był właścicielem sklepu, zajął się jego prowadzeniem, gdy na emeryturę przeszedł dziadek ze strony matki. Towarzystwo Ubezpieczeniowe Wages & Odell znajdowało się w rękach rodziny Odell od ponad stu lat. Pan Wages wzenił się w rodzinę jakieś pięćdziesiąt lat temu. A członkowie rodziny Ruffów smażyli wieprzowinę od końca dziewiętnastego wieku.

Ciągnąc za sobą pusty wózek, Pam zaprowadziła Jordan, Rene i Maleah do jednej ze szklarni na tyłach zabudowań Feed and Seed.

- Nie spiesz się, Jordan - powiedziała. - Kiedy znajdziesz coś, co będziesz chciała kupić, załadujemy to tutaj... - Pociągnęła za długą, regulowaną rączkę. -... a Jim po południu przywiezie ci towar.

- Nie ma sensu go fatygować - zaprotestowała Jordan. - Jutro przychodzi ogrodnik, pan Poole. Tobiasz przyśle go, żeby zabrał wszystko do domu.

- Dobrze, dobrze. - Pam zauważyła, że do szklarni wchodzi nowi klienci. - Rozejrzyjcie się. Zaraz wracam.

Przechadzając się między rzędami sadzonek, Jordan wybrała kilka swoich ulubionych jednorocznych roślin. W ciągu piętnastu minut, gdy leniwie spacerowały po ogromnej szklarni, do środka weszło sześciu innych klientów. Wszyscy patrzyli na Jordan i szeptali między sobą.

- Nie zwracaj na nich uwagi - poradziła Rene. - Cholerna banda plotkarzy.

- Chyba powinnam się tego spodziewać - stwierdziła Jordan. - Staram się nie zwracać na nich uwagi, ale nie bardzo mi się to udaje. Chodźmy stąd. Na obiad jest jeszcze za wcześnie, ale możemy wejść do kawiarni Cream and Sugar na mrożoną herbatę albo kawę, a jeżeli będzie trzeba, wypijemy ją w samochodzie, a obiad zabierzemy ze sobą do domu.

Jordan minęła kobietę w średnim wieku oglądającą różany krzew, która uśmiechnęła się szyderczo.

- Morderczyni - mruknęła pod nosem.

Maleah w jednej chwili znalazła się przy Jordan i celowo rozpięła kamizelkę, żeby wszyscy zobaczyli, że ma broń. Jasno dała do zrozumienia pozostałym klientom, że Jordan ma ochronę. W szklarni nagle zaległa cisza, gorsza niż szepty.

Podczas krótkiej drogi ze szklarni na ulicę trzech inni klienci stanęli jak wryci, patrząc na przechodzącą obok Jordan.

- Niech pan zrobi zdjęcie - krzyknęła Rene do jednego z mężczyzn.

- Dłużej się pan nacieszy.

- Powinnam wiedzieć, że to kiepski pomysł - powiedziała Jordan.

- Niektórzy mieszkańcy Priceville naprawdę uwierzyli, że zabiłam Dana.

- Może lepiej idź do auta? - zaproponowała Rene. - Ja pobiegnę do Cream and Sugar i przyniosę coś do picia. Na co macie ochotę? - Spojrzała na Jordan, a potem na Maleah.

- Poproszę o mrożoną herbatę - powiedziała Jordan.

- Ja też.

- Kiedy wrócę, może pojedziemy na cały dzień do Chattanooga?

- zaproponowała Rene. - W dużym mieście nikt cię nie rozpozna.

- Dobry pomysł. - Jordan zmusiła się do uśmiechu. - Przez cały dzień będę w okularach słonecznych. Bardzo tajemniczo. - W jej słowach słyhać było zuchwałość, która nie była jej zwykłą cechą. Postanowiła, że prędzej skona, niż dopuści do tego, by ludzie zagnali ją z powrotem do więzienia, jakim stało się Price Manor.

Kiedy Rene ruszyła do sklepu Cream and Sugar, miejscowego fast foodu, Jordan usiadła za kierownicą samochodu, a Maleah otworzyła tylne drzwi i zajęła miejsce za siedzeniem pasażera. Przechodnie patrzyli na Jordan, niektórzy nawet

się zatrzymywali, przyglądali i pokazywali sobie palcami. Kilku rzuciło pod jej adresem obelgi. Chwyła okulary słoneczne zaczepione nad lusterkiem, założyła na nos i zanurzyła się w fotelu.

Niech ta Rene wraca z napojami. Trzeba jak najszybciej uciekać do Chattanooga.

Rene pojawiła się nagle z przerażeniem na twarzy i bez herbaty. W lewej ręce ścisnęła gazetę, prawą chwyciła za klamkę samochodu, szarpnęła za drzwi i opadła na siedzenie obok Jordan.

- Boże, a myślałyśmy, że w końcu wszystko ucichło - prawie krzyknęła. - A tu masz! - Zamaszystym ruchem otworzyła gazetę i rzuciła ją na kierownicę. - Nic dziwnego, że całe miasteczko gapi się na ciebie i wytyka cię palcami. Zobaczyłam ten szmatławiec, stojąc w kolejce po herbatę.

Serce Jordan łomotało jak oszalałe, kiedy czytała nagłówek na pierwszej stronie wydania „The Chatterbox” z tego tygodnia.

- Boże, zmiłuj się.

„Życie we troje: Senator Dan Price, jego żona i kochanek”.

Rick pośpiesznie czytał zapowiedź sensacyjnego artykułu na stronie internetowej, który miał za zadanie rozbudzić ciekawość czytelników i zachęcić do kupienia tygodnika.

„Dowiedzcie się wszystkich szczegółów z najnowszego numeru »The Chatterbox«, do kupienia od dziś. Co się działo za zamkniętymi drzwiami Price Manor? Kto był ojcem dziecka, które niedawno straciła Jordan Price? Czy żona senatora i jego kochanek zaplanowali morderstwo?”

- Jak to możliwe? - spytał Rick.

- Zadzwoń w parę miejsc - powiedział Griff. - Wygląda na to, że ktoś z otoczenia Jordan sprzedał historię ze szczegółami z życia senatora, włącznie z dobrze strzeżoną tajemnicą o jego homoseksualizmie.

- Trzeba się dowiedzieć, kto zdradził jej zaufanie, i policzyć się z nim - powiedział Rick.

- O ile Jordan i Devon Markham nie są w stanie dowieść, że to... - Griff wskazał ekran komputera -... pomówienie i że nic z tych rzeczy nie jest prawdą, ani osoby, która sprzedała historię, ani gazety nie można pociągnąć do odpowiedzialności. Nie da się nikogo pozwać za to, że mówi prawdę. Teraz powinniśmy przede wszystkim myśleć o tym, jak ograniczyć szkody.

- Jordan wie o tym?

- Nie mamy pojęcia - powiedziała Nicole. - Ani od niej, ani od Maleah nie mieliśmy żadnych wieści. Sami dowiedzieliśmy się o tym jakieś pięć minut temu, kiedy do Griffa zadzwonił Cam Hendrix.

- Musimy ją ostrzec - powiedział Rick.

- Zadzwoń do Maleah - powiedział Griff. - A Nicole skontaktuje się z Claire i Ryanem. Chcesz sam zadzwonić do pani Price, czy... - Telefon Griffa zadzwonił, przerywając mu w pół zdania. Sprawdził, kto dzwoni i odebrał. - Tak, Maleah?

Po zafrasowanej minie Griffa i po tym, jak kiwa głową, Rick domyślał się, że Maleah najprawdopodobniej opowiada mu o artykule z „The Chatterbox”, a jeżeli wie Maleah, wie również Jordan.

- Zadzwoń do szeryfa, niech przyśle swoich pracowników, żeby ułatwili wam przejazd - powiedział Griff. - Ja wyślę tam wszystkich wolnych w tej chwili detektywów. - Griff zakończył rozmowę, schował telefon i odwrócił się do Ricka. - Maleah pojechała rano z Jordan i jej asystentką do miasta. Nie miały

pojęcia o artykule w „The Chatterbox”. Jak tylko się dowiedziały, chciały wracać do Price Manor, ale chyba rozniosło się, że Jordan tam jest. Ściaga je tłum dziennikarzy.

- Nic im nie jest? - spytał Rick.

- Na razie nie.

- Gdzie dokładnie są?

- W połowie drogi między Priceville a Price Manor.

- Jeżeli się dowiem, kto to zrobił, skrećę mu kark. A jeżeli coś się stanie

Jordan, to... - Rick wziął głęboki oddech. - Dajcie mi helikopter. Szybciej będę w Priceville.

- Masz aktualną licencję? Jeżeli nie, niech podrzuci cię Jonatan.

- Mam.

- No to na co czekasz? Leć.

RS

Jordan ogarniał coraz większy strach, kiedy pędziła lokalną drogą ścigana przez co najmniej pięć samochodów. Na tylnym zderzaku siedział wóz ekipy telewizyjnej z Chattanooga. Za wozem telewizyjnym jechał jeep, który cały czas wyjeżdżał poza żółtą linię, usiłując ją wyprzedzić. Jordan spojrzała we wsteczne lusterko i dostrzegła logo na jeepie. Należał do telewizji z Dalton w Georgii. W pozostałych osobówkach, jeepach i furgonetkach jadących za tymi dwoma samochodami znajdowali się prawdopodobnie dziennikarze z różnych gazet, być może nawet ktoś z „The Chatterbox”.

- To jakiś obłąd. - Rene odwróciła się w siedzeniu pasażera na tyle, na ile pozwalał jej pas bezpieczeństwa i przyglądała się jadącej za nimi karawanie. - Zachowują się jak stado hien, które wyczuły zapach gnijącego mięsa.

Maleah rozmawiała przez telefon szeptem, Jordan udało się wyłowić jedynie kilka słów, ale miała wrażenie, że jej strażniczka rozmawia z kimś z biura szeryfa.

- Że też akurat dzisiaj zebrało mi się na wycieczki - odezwała się.

- Skąd mogłaś wiedzieć, że „The Chatterbox” opublikuje opowieść na temat twojego życia z Danem? - Rene westchnęła. - Och, Jordan, a Devon? Kompletnie się załamie, kiedy się dowie.

- Zadzwoń do niego - poprosiła Jordan. - Powiedz mu, co się stało i co się tu dzieje. Wy tłumacz mu, że zadzwonię do niego, kiedy tylko będę mogła.

Rozległ się odgłos klaksonu, a potem następny i następny, i następny. Przerażliwy hałas jeszcze bardziej potęgował zdenerwowanie Jordan. Dokładnie w chwili, kiedy Rene wybrała numer Devona, mały, czarny sportowy samochód

za wozem telewizyjnym i terenówką zjechał na przeciwny pas, śmignął obok nich i zrównał się z navigatorem Jordan.

- Ludzie! - wymruczała pod nosem Rene. - Co za kretyn.

- Gazu! - nakazała Maleah. - Zostaw ich w tyle.

- Nie mogę jechać szybciej, nie wiem, czy dam radę...

- Jedź! - krzyknęła Maleah. - Jak się nie wyrwiesz, to cię otoczą i zablokują nam drogę. Tak, natychmiast potrzebna nam pomoc! - krzyknęła do telefonu.

Jordan chwyciła kierownicę z taką zawziętością, że pobierały jej palce. Nacisnęła pedał gazu i zaczęła się modlić. Navigator przestawił się na wyższy bieg i wystrzelił naprzód jak mała rakieta.

Rene wypadł z ręki telefon i wyśladował na podłodze. Puściła wiankę, która nie przystoi kobiecie.

- A niech leży. Devon nie odebrał. Od razu włączyła się skrzynka głosowa.

- Może wyłączył telefon. - Jordan w skupieniu patrzyła przed siebie.

Krajobraz zaczął migać z prędkością błyskawicy, kiedy przyspieszyła do stu pięćdziesięciu.

W oddali wyłoniły się masywne bramy Price Manor. Ledwie widziała ich zarys, ale nawet odległa wizja dawała nadzieję, że uda im się dotrzeć do posiadłości, zanim dogonią ich dziennikarze. A za bramą będą już bezpieczne.

- Dojeżdżamy - powiedziała Jordan.

- To dobrze - odparła Maleah. - Ten czarny sportowy samochód nas dogania.

Kiedy podjeżdżała do bramy, z sercem w gardle i dudnieniem w skroniach, które przypominało wojenne bębny, o mało nie krzyknęła, widząc, co na nie czeka - cztery samochody skutecznie zablokowały drogę. Agent Powella, którego

nazwiska nie pamiętała, rozmawiał z kobietą, parkując swoją toyotę camry tuż przed zamkniętą bramą.

- I co teraz? - Jordan wiedziała, że mają dwa wyjścia: zatrzymać się przed bramą i dać dogonić dziennikarzom albo jechać dalej, w nadziei, że uda się im uciec.

- Jest tu jakaś boczna droga? - spytała Maleah.

- Tak, stara żwirowa ścieżka, która prowadzi do tylnego wjazdu do posiadłości, ale to co najmniej półtora kilometra stąd. - Jordan westchnęła, ale nagle ją olśniło. - Czekał, przez bawełniane pole Landausa, to znaczy dawne bawełniane pole, idzie piaszczysta droga. Trzeba przejechać przez las. Nie jestem pewna, jak teraz wygląda ta droga.

- Jedź - nakazała Maleah. - Zjedź na nią i znikaj tak szybko, jak się da. Jedźcie do nas dwóch pracowników szeryfa. Są jakieś pięć kilometrów stąd. Musimy grać na zwłokę.

Jordan nawet nie zwolniła, kiedy mijała bramę Price Manor. Nawigator lekko się zakołysał, gdy doszedł do stu sześćdziesięciu na godzinę. Nie spuszczała nogi z gazu, aż zobaczyła częściowo zarośniętą piaszczystą drogę, w którą miała skręcić.

Dobry Boże, ratuj mnie na tym zakręcie, bo się rozbijemy.

- Trzymać się! - krzyknęła.

Gwałtownie skręciła kierownicę, terenówka się przechyliła, ale udało jej się nad nią zapanować, zanim wjechała w niskie krzewy rosnące przy porośniętej trawą ścieżce do lasu.

- Boże! - Rene chwyciła się deski rozdzielczej.

Kiedy jechały między drzewami starą drogą prowadzącą przez coś, co kiedyś było polem bawełnianym, Maleah przekazała im złą wiadomość.

- Za nami czarny sportowy samochód.

- Tylko jeden? - spytała Jordan.

- Z tego, co widzę, tak.

Ścieżka nagle się skończyła, Jordan zatrzymała auto i powoli, ostrożnie zawróciła.

- Co robisz? - spytała Rene.

- Mam zamiar przejechać po tym cholernym samochodziku, jeżeli będzie trzeba - oznajmiła.

- Myślisz, że jesteś Rambo?

- Nie, jestem Jordan Price i mam dość tego, że na mnie polują, że muszę się czuć jak więzień we własnym domu i że wszystkie gazety, pisma i stacje telewizyjne w kraju mnie oskarżają.

- No to do boju, dziewczyno. - Rene roześmiała się. Napięcie, które rosło w Jordan, uszło jak para z gorącego czajnika. Śmiała się i śmiała, a potem ukryła twarz w dłoniach.

- Dobrze się czujesz? - Rene szturchnęła Jordan w ramię.

- Dobrze. - Uniosła głowę i uśmiechnęła się. - Wszyscy żyją, a to cud, prawda?

- Zanim przejedziesz tego gościa, może spróbuję z nim porozmawiać. - Maleah otworzyła tylne drzwi i wyskoczyła z jeepa.

- Teraz ona się zabawia w Rambo - stwierdziła Rene.

Idąc w stronę nadjeżdżającego samochodu, Maleah wyjęła telefon komórkowy i zaczęła z kimś rozmawiać. Sportowy samochód zatrzymał się dobre półtora metra przed navigatorem. Kierowca otworzył drzwi, wysiadł i stanął przed agentką. Był wysoki, szczupły, z ciemnymi włosami, po trzydziestce. Miał na sobie dżinsy, bawełniany sweter i słoneczne okulary

lotnicze. Zachowywał się tak, że od razu było widać, że nie ma najmniejszych kompleksów.

Jordan i Rene czekały, gdy Maleah rozmawiała z mężczyzną, który cały czas kręcił głową i spoglądał w stronę navigatora. Usiłował wyminąć Maleah, ale ona wyciągnęła rękę i położyła mu na ramieniu. Stanęli tak, jakby zaraz mieli zacząć bójkę.

- Posłuchaj - powiedziała Rene. - Syreny.

Jordan też je usłyszała. Po kilku minutach dostrzegły samochód szeryfa podjeżdżający do sportowego auta. Wsiadło z niego dwóch umundurowanych funkcjonariuszy. Z jednym zaczęła rozmawiać Maleah, drugi rozmawiał z dziennikarzem, który zaciekle kłócił się z policjantem, w końcu jednak ustąpił i wsiadł do niegdyś czystego i lśniącego, a obecnie brudnego czarnego samochodu. Wrzucił wsteczny bieg, wycofał wóz na pole, zawrócił i ruszył w kierunku autostrady, zostawiając za sobą tuman kurzu. Maleah podeszła do navigatora i otworzyła drzwi od strony kierowcy.

- Pojedziecie samochodem szeryfa - poinformowała Jordan i Rene. - Zawiozą was do domu. Ja pojedę za wami terenówką.

Jordan z radością zrobiła to, co nakazała Maleah. Policyjna obstawa przyniosła jej ulgę, która jednak okazała się krótkotrwała. Przy wjeździe do posiadłości zorientowała się, że nie tylko przybyło dziennikarzy w samochodach, terenówkach i furgonetkach, ale pojawił się też tłumek gapiów. Prowadzący samochód funkcjonariusz zatrzymał się na środku drogi, drugi wysiadł i krzykiem zaczął wydawać polecenia tłumowi zebranemu na drodze, wzdłuż drogi i po jej drugiej stronie. Niektórzy stali nawet w płytkim rowie na poboczu. Kilku gapiów miało ze sobą lornetki.

Co najmniej dziesięć minut trwało torowanie przejazdu, ale w końcu samochody odblokowały wjazd do bramy. Jeden policjant został z agentem Powella, drugi podjechał wozem policyjnym do wjazdu, a potem dał sygnał agentowi Powella, żeby otworzył bramę. Samochód w mgnieniu oka przemknął na podjazd, a jednak jakiś idiota zdążył wskoczyć na maskę. Przyciskając twarz do przedniej szyby, spoglądał z wściekłością na Jordan i wykrzykiwał obelgi. Kiedy brama zamknęła się za nimi, policjant zatrzymał samochód, wysiadł i ściągnął mężczyznę z maski.

- Morderczyni! Dziwka! Zdrajczyń! - krzyczał. - Dla takich jak ty jest specjalne miejsce w piekle!

Funkcjonariusz zakął mężczyznę w kajdanki, zaprowadził go do stróżówki i przekazał drugiemu policjantowi.

- Nie przejmuj się tym, co wygadywał. - Rene objęła Jordan. - Widać, że to wariat.

- Tak, ale inni nie są wariatami, a myślą tak jak on. A ci, którzy do dzisiaj wierzyli w moją niewinność, teraz potępiają mnie, Dana i Devona.

- To znaczy, że są zimnymi, bezdusznymi draniami. Nie mają prawa cię osądzać. Nic nikomu do tego, jaki miałaś układ z Devonem i Danem.

Najważniejsze, że byliście szczęśliwi.

- A byliśmy?

Jordan zorientowała się, że powiedziała to na głos. Rene spojrzała na nią, najwyraźniej zaskoczona tym stwierdzeniem.

Patrząc wstecz na kilka ostatnich lat, Jordan przyznała przed samą sobą, że nie była szczęśliwa. W każdym razie niezupełnie. Dan i Devon też nie. Każde z nich zadowoliło się namiastką czegoś, co powinni mieć. Ona uciekła w fikcyjne małżeństwo, przekonana, że dzięki temu uchroni się przed kolejnym ciosem.

Devon kochał Dana tak bardzo, że zgodził się na utrzymywanie romansu w tajemnicy i małżeństwo z Jordan tylko dla pozorów. Z początku taki układ wydawał się logiczny i wszyscy byli z niego zadowoleni. Ale tylko przez chwilę. Decyzja o posiadaniu dziecka, o tym, że Jordan podda się zapłodnieniu in vitro, że będzie nosiła dziecko Devona, była decyzją całej trójki. Uważali, że dziecko scali pęknięcia w ich wyjątkowej więzi.

Rene nie odezwała się ani słowem. Siedziała na tylnym siedzeniu policyjnego samochodu, obejmując Jordan ramieniem. Zanim funkcjonariusz zdążył podjechać przed dom, Maleah w terenówce znalazła się tuż za nimi. Zanim samochody się zatrzymały, otoczyli je mieszkańcy domu.

Jordan wysiadła i przytuliła Tammy, która precyzyjnie się na przód. Potem objęła Roselynnę i Darlene, bo potrzebowały pociechy i uspokojenia.

- Kiedy przyjechałaś? - spytała panią Wright.

- Zanim pojawiły się tłumy - odparła Darlene. - Moja kochana, naprawdę nic ci nie jest? Że też musiało się tak stać. A już myślałyśmy, że wszystko idzie ku dobremu.

- Nic mi nie jest ani nie będzie. Chcę tylko wejść do domu, napić się czegoś i pozbierać.

- Jasne. Ma się rozumieć, zostanę. Nie zostawię cię już więcej, bez względu na to, co powiesz.

Maleah objęła Jordan ramieniem.

- Proszę, żeby wszyscy się odsunęli i zrobili trochę miejsca. Na pewno Jordan zobaczy się z państwem później, ale w tej chwili zabieram ją, bo musi odetchnąć.

Jordan, wdzięczna Maleah, że wzięła sprawy w swoje ręce, dała jej się zaprowadzić do domu.

- Chcesz iść do swojego pokoju?

- Nie żartowałam z tym drinkiem - powiedziała Jordan.

Tobias i Vadonna stali w holu i oboje przyglądali się Jordan z zaniepokojeniem. Odwróciła się do nich i uśmiechnęła.

- Panienko Jordan, jeżeli Vadonna czy ja możemy coś dla pani zrobić... - zaczął Tobias.

- Dziękuję. W tej chwili marzę tylko o spokoju. Tobias, przyniósłbyś mi butelkę mojej ulubionej nalewki figowej? Będę w gabinecie.

- Całą butelkę, *madami*

- Tak, całą butelkę. Otworzył szeroko oczy.

- Dobrze, *madam*. - Skinął głową.

Za nimi weszli wszyscy członkowie rodziny i patrzyli, jak Jordan znika w korytarzu, a potem w swoim gabinecie. Zdała sobie sprawę, że tylko srogie spojrzenie Maleah utrzymało rodzinę z daleka.

Pół godziny i kilka drinków później rozmawiała z Devonem. Był zupełnie zdruzgotany. Nie mogła sobie wybaczyć tego, że jest w Bethesda całkiem sam, w chwili, kiedy informacje o jego związku z Danem przedostały się do publicznej wiadomości.

- Na razie się nie ruszaj. Siedź, dopóki się do ciebie nie odezwę. Załatwię, żeby przywiózł cię do domu ktoś z Agencji Powella.

- Kto mógł zrobić coś takiego? Tylko garstka ludzi znała prawdę o Danie i o mnie.

- Nie chcę nawet o tym myśleć, ale oboje dobrze wiemy, że był to ktoś z rodziny.

Po długiej rozmowie z Devonem usiadła w ciszy i starała się ogarnąć myślą to, co się wydarzyło. Nie tylko to, co stało się dzisiaj, w związku z historią w „The Chatterbox”, ale wszystkie wypadki z przeszłości.

Zamierzała nalać sobie kolejnego drinka, żeby jeszcze bardziej odurzyć się alkoholem, gdy ktoś zapukał do zamkniętych na klucz drzwi gabinetu.

- Tak?

- To ja, Maleah.

Podniosła się i poczuła, że jest wstawiona. Złapała równowagę, podeszła do drzwi, przekręciła klucz w zamku.

- Jeżeli to złe wiadomości, nie chcę ich słyszeć.

- Na polu za domem od strony południa wylądował helikopter Agencji Powella. Rick Carson wrócił.

Jordan przez kilka sekund nie była w stanie złapać oddechu. Każda komórka jej ciała zareagowała podnieceniem na wieść, że znów zobaczy Ricka.

- Jeżeli chcesz, wyjdę z tobą po niego.

- Dziękuję, bardzo chcę - powiedziała Jordan.

Helikopterowi towarzyszył ogłuszający ryk i gwałtowny podmuch śmigła, który położył trawę i zakolysał pobliskimi krzewami i koronami drzew. Maleah i Jordan z bezpiecznej odległości przyglądały się, jak Rick sprowadza maszynę do lądowania na przestronnym, otwartym polu na terenie posiadłości Price'ów. Promienie słońca tańczyły po śmigłach, które zwalniały, aż w końcu się zatrzymały. Cichy bezruch zielonej łąki, na której słyhać było jedynie odgłosy przyrody, stał się jeszcze bardziej wyraźny, gdy silnik śmigłowca zamilkł. Jordan uniosła dłoń, żeby osłonić oczy przed oślepiającym słońcem. Drzwi helikoptera otworzyły się i wyskoczył z niego Rick.

Serce Jordan zaczęło bić mocniej.

Chciała biec, ale się powstrzymała. Podeszła do niego razem z Maleah, a on wyciągnął rękę i pomachał im.

Rick wrócił, co może oznaczać, że znów pojawia się w jej życiu. Nie słyszała, nie widziała i nie czuła nic innego. Wszystko koncentrowało się na tej chwili i tym mężczyźnie.

Bez ostrzeżenia rozległ się specyficzny odgłos wystrzału strzelby, przerażająco głośny. Zanim Jordan zdążyła zareagować, Maleah pociągnęła ją w stronę kępy wysokich krzewów, pchnęła na ziemię i położyła się na niej jak płaszcz ochronny. Do Jordan dopiero pół minuty później dotarło, że ktoś do nich strzelał, a po pełnej minucie - że krzyknęła.

- Nic ci nie jest? - mruknęła Maleah.

- Chyba nic.

- Nie ruszaj się - rozkazała Maleah.

Jordan poczuła, że coś mokrego i lepkiego kapie jej na szyję. Zdołała podnieść rękę, żeby jej dotknąć-. Spojrzała na palce i ciężko westchnęła, gdy dostrzegła, że są pokryte czymś czerwonym. Boże. Ma na palcach krew. Krew, którą starła sobie z karku. Jest ranna? Nie czuła uderzenia kuli wbijającej się w ciało.

- Nic wam nie jest? - krzyknął Rick.

- Jordan jest cała - odpowiedziała Maleah. - Ja dostałam.

- Nie wstawaj - nakazał Rick.

- Postrzelili cię? - spytała Jordan.

Agentka dosłownie ochroniła jej ciało swoim własnym.

- To rana barku. Nie umrę.

Jordan udało się odwrócić głowę na tyle, żeby spojrzeć poza zarośla i dostrzec Ricka. Szedł do nich z bronią w rękę, dokładnie badając teren.

Jordan była przekonana, że padną dalsze strzały. Zaczęła się modlić. Boże, nie pozwól, żeby ten ktoś strzelił jeszcze raz.

Serce waliło jej jak oszalałe, a jego bicie zagłuszało wszystkie inne odgłosy. Wszystkie zmysły opanował strach, Jordan straciła poczucie miejsca i czasu. Nie wiedziała, jak długo Rick do nich szedł. Schylił się, wyciągnął rękę i odciągnął Maleah od Jordan. Maleah przewróciła się na bok, Jordan zrobiła to samo, leżały więc twarzą do siebie. Wtedy dostrzegła dziurę w przesiąkniętej krwią bluzce. Zacisnęła zęby z całych sił, żeby nie krzyknąć.

- Widziałaś, skąd padł strzał? - spytał Rick, oglądając ranę w ramieniu Maleah.

- Z lewej strony - powiedziała. - Zza drzew, z niedużej odległości przed nami, nie od tyłu.

- Musimy cię zawieźć do szpitala. - Trzymając broń w prawej ręce, lewą wyjął telefon komórkowy z kieszeni. Wybrał zapisany w pamięci numer. - Tak, Maleah jest postrzelona. Ogłoś sytuację awaryjną i przyślij kilku ludzi na pole, gdzie wylądowałem. Możliwie jak najszybciej.

Jordan przyglądała się, jak Rick rozdziera bluzkę Maleah i ogląda ranę wlotową, a potem szuka wylotowej. Zmarszczył czoło.

- Kula przeszła na wylot, ale narobiła cholernego bałaganu.

- W dodatku boli - mruknęła Maleah.

Rick uśmiechnął się do niej promiennie, a potem, ciągle trzymając broń, zdjął kurtkę i rzucił ją Jordan.

- Złóż ją w gruby, zwarty kwadrat i uciśnij nim ramię Maleah. Musimy zatamować krwawienie.

Oszołomiona Jordan w milczeniu zrobiła, co kazał.

- Jak ci idzie? - spojrzał na nią.

Nie była w stanie wypowiedzieć słowa, tylko skinęła głową.

- Pomoc już jedzie. - Rick był skupiony na tym, co się dzieje dookoła.

Obserwował, nasłuchiwał, najwyraźniej przygotowany na drugi strzał.

- Tylko nie zemdlej - odezwała się do Jordan Maleah. - Jesteś biała jak kreda.

- Nic... nic mi nie jest. Tylko... tylko się o ciebie martwię.

- Pewnie nie jest tak źle, jak wygląda. - Maleah się skrzywiła.

Mimo starań, nie mogła zapanować nad drżeniem ciała. Nikt nie musiał jej tłumaczyć, że kula, która trafiła Maleah, była przeznaczona dla niej. To ona była celem, nie jej ochroniarka.

Jordan chciała jechać do szpitala z Maleah, ale Rick szybko wybił jej ten pomysł z głowy. Wiedział, że jest zmartwiona, że się przejmuje, że czuje się

odpowiedzialna za to, co spotkało agentkę, ale bezpieczniej będzie, jeżeli nie ruszy się z domu.

- Tutaj łatwiej cię ochraniać - wytłumaczył. - Nie mamy pojęcia, kto strzelał ani jaki miał powód, musisz być pod całodobową ochroną. Ja przejmuję rolę twojego ochroniarza, sama możesz tylko chodzić do łazienki. Jasne?

Kiedy leciał helikopterem Agencji Powella, z niecierpliwością wyczekiwał ponownego spotkania z Jordan. Przez ostatnich dziewięć dni starał się wybić ją sobie z głowy, ale mu się to nie udało. Ledwie wysiadł ze śmigłowca, kiedy rozległ się strzał. Właśnie wtedy zrozumiał, że liczy się dla niego tylko Jordan.

Wrócili do domu i Rick musiał się nieźle naużerać, żeby odegnać od Jordan wszystkie pijawki. To, że najbliższych przyjaciół i rodzinę Jordan postrzegał jako pasożyty, zapewne wiele mówiło o jego spojrzeniu na świat. To nie było optymistyczne spojrzenie. Może i kochają Jordan i szczerze się o nią martwią, ale czy nie zdają sobie sprawy z tego, że domagając się ciągłej uwagi, odbierają jej siły? Dlaczego nie widzą, że kierują nimi egoistyczne pobudki, bo żadne z nich nie potrafi sobie wyobrazić, co by się z nim stało, gdyby zabrakło Jordan?

Zapewnił wszystkich, że Jordan jest cała i zdrowa i potrzebuje odrobiny spokoju. Zaprowadził ją do gabinetu, bo wydawało mu się, że tam czuje się najlepiej. Zamknął okiennice i kazał nie podchodzić do okien.

- Usiądź. Należę ci drinka.

- Nie. Nie chcę siedzieć i nie chcę drinka. - Spojrzała na niego. - Wypiłam już kilka. Teraz muszę mieć trzeźwą głowę.

- Drżysz.

- Wiem. Nie mam na to wpływu. Chyba trochę wstrząsnęła mną świadomość, że ktoś próbował mnie zabić.

- Jordan... - Wyciągnął do niej rękę, ale ona uskokczyła, unikając dotyku.

- Nie staraj się mi wmówić, że ten, kto postrzelił Maleah, nie celował we mnie.

- Nie będę. Ten, kto postrzelił Maleah, mógł celować w ciebie. Ale jeżeli chciał zabić ciebie, to znaczy, że marny z niego strzelec. Nie tylko nie trafił w ciebie, w dodatku nie ranił śmiertelnie Maleah.

- Dzięki Bogu.

- Tak, dzięki Bogu. I dzięki jej refleksowi.

- Uratowała mi życie.

- Możliwe.

- Co chcesz powiedzieć przez „możliwe”?

- Chodź, kochanie, usiądź, bo zemdlejesz. - Wyciągnął rękę, a ona kolejny raz uchyliła się od jego dotyku. - Wyglądasz tak, jakbyś w każdej chwili mogła stracić przytomność.

- Usiądę jak grzeczna dziewczynka, jeżeli powiesz mi, co myślisz.

- Zgoda.

Wybrała krzesło zamiast sofę. Czyżby nie chciała, żeby usiadł obok niej? Dlaczego nie chce, żeby ją dotknął? Jest na niego zła czy boi się, że w jego ramionach się rozklei?

- Mów - poleciła.

Odsunął od ściany krzesło z drewnianym szczebelkowym oparciem, przeciągnął je przez pokój i postawił przed Jordan. Zmierzyła go podejrzliwie wzrokiem.

- Nie mamy za wiele czasu na pogawędki - uprzedził. - Twój szwagier i szeryf Corbett już tu jadą. Będziemy musieli omówić z nimi kilka hipotez i zastanowić się, o co w tym wszystkim chodzi. Dlaczego ktoś zdradził Dana i

Devona? Dlaczego ktoś do ciebie strzelał? Kto naprawdę zabił Dana, a może i pozostałych bliskich ci mężczyzn?

- W końcu uwierzyłeś, że to nie ja ich zabiłam? - Przyglądała mu się oczami wielkimi ze zdziwienia.

Instynktownie chciał ująć jej dłonie, żeby ją uspokoić, ale pamiętając, że unika jego dotyku, trzymał ręce przy sobie.

- Tak, chyba tak - przyznał.

- Ale nie jesteś przekonany.

- To chyba wina mojego pesymistycznego, negatywnego spojrzenia na ludzi w ogóle. Psychiatra pewnie by stwierdził, że mam problemy z zaufaniem.

- Pewnie tak. Mnie niejedynemu terapeutę powiedział, że mam lęk przed odrzuceniem.

- Ciekawe dlaczego?

- Kształtują nas doświadczenia życiowe. - W jej oczach pojawił się uśmiech. - Zaczynamy jako szczęśliwe, bez troski dzieciaki troskliwych, kochających rodziców. Jesteśmy jak mały, miękki kawałek gliny. A potem, gdzieś po drodze, dostajemy pierwszego kopniaka i zaczyna się.

- Wiesz, że chciałbym cię teraz przytulić? - Przyglądał się jej minie, patrząc jej prosto w oczy.

Westchnęła.

- No, powiedz, czy ze mną jest coś nie tak? Chcę, żebyś mnie przytulił, ale się boję. Może po prostu wiem, że mógłbyś się okazać odpowiednim facetem, ale czas zdecydowanie jest nieodpowiedni.

Głośne pukanie do drzwi przeszkodziło w dalszych wyznaniach.

- Tak? - krzyknął Rick.

- Tu Ryan Price. Jest ze mną Steve Corbett.

Rick wstał i przekręcił klucz. Podał rękę Ryanowi, który zaraz podszedł do Jordan. Z szeryfem serdecznie skinęli sobie głowami.

- Zanim zaczniemy, musicie mi przyrzec, że nasza rozmowa nie wyjdzie poza ściany tego pomieszczenia - powiedział Rick.

- Dałem Ryanowi słowo, że nic poza przyznaniem się do winy nie zostanie odnotowane - powiedział Corbett.

Ryan pomógł Jordan wstać i przytulił ją. Rick poczuł cień zazdrości. Szwagrowi pozwoliła się przytulić, jemu nie dała się dotknąć. Rozumiał jej pobudki, ale pierwotna męska natura mówiła swoje.

- Nic mi nie jest. - Jordan odsunęła się od Ryana.

- Claire przesyła ci uściski. Kazała ci powiedzieć, że gdybyś potrzebowała czegokolwiek...

- Podziękuj jej ode mnie - odparła Jordan.

- Może usiadźmy - zaproponował Rick i poczekał, aż wszyscy zajmą miejsca. Dopiero wtedy wyjaśnił, po co zwołał spotkanie.

- Mam zamiar przedstawić wam kilka teorii. Jedna z nich jest właściwa, ale nie wiemy która. Chcę, żebyście wysłuchali bez protestów. Po prostu słuchajcie. Jeżeli mamy znaleźć zabójcę Dana Price'a, musicie mieć otwarte umysły.

- Jakie to teorie chce nam pan przedstawić? - spytał Ryan.

- Na temat tego, dlaczego ktoś mógł zabić pana brata i kilku innych bliskich Jordan mężczyzn.

- A więc wierzy pan, że te zgony są jednak powiązane ze śmiercią Dana? - spytał Steve.

- Nie jestem pewien, czy wszystkie, ale kilka na pewno.

- No to słuchamy - rzucił szeryf.

- Dobra. Pierwsza i obecnie najbardziej powszechna jest teoria, że to Jordan jest czarną wdową, która dla korzyści zamordowała obu mężów i narzeczonego. Poza tym prawdopodobnie zabiła też ojca, byłego szefa i współpracownika. Ojca dla zysku, byłego szefa, żeby zająć jego stanowisko, a współpracownika dlatego, że ją molestował. Prokurator Anderman i pana pracownica, sierżant McLain, są zwolennikami tej właśnie tezy i jedno z nich albo oboje ujawnili informacje prasie, najpierw na temat przeszłości Jordan, a teraz o związku Dana Price'a i Devona Markhama.

- Ma pan jakiś dowód na to, że Haley jest w to wplątana? - spytał szeryf.

- Nie, nie mam dowodów - przyznał Rick. - Niech pan pamięta, to tylko teoria.

- Wiemy, że Jordan nikogo nie zabiła, domyślam się więc, że pozostałe hipotezy wskazują innych podejrzanych. - Ryan, który siedział obok Jordan na kanapie, wyciągnął rękę i ujął jej dłonie w swoje.

- Ktoś bliski Jordan, kto jest obecny w jej życiu od dawna, prawdopodobnie odkąd była nastolatką, zabił wszystkich mężczyzn albo przynajmniej niektórych.

- Rick przerwał, dając słuchającym czas na przetrawienie tej sugestii. - Osoba ta mogła zabić z dwóch powodów: albo nienawidzi Jordan i chciała ją ukarać, albo Jordan kocha, a morderstwa w jej mniemaniu miały ją ochronić i były wyrazem troski.

- Nie mogę sobie wyobrazić, żeby ktoś z moich bliskich był zdolny do czegoś podobnego - wyznała Jordan.

- Wiem, ale skoro to nie ty zabiłaś... - Rick spojrzał jej prosto w oczy -... a chyba wszyscy jesteśmy co do tego zgodni, pozostaje nam tylko ktoś z twoich bliskich.

- Nie, nie... - Jordan pokręciła głową.

- Wysłuchajmy go do końca. - Ryan ścisnął ją za rękę. - Wiem, że to niełatwe.

- Biorąc pod uwagę, że ktoś Jordan groził, a dzisiaj usiłował zastrzelić, wysłuchajmy teorii o zabijaniu z nienawiści do Jordan, żeby ją ukarać - powiedział Steve.

- Jasne. - Rick wstał. - Kto może nienawidzić Jordan na tyle, żeby chcieć jej zrobić coś złego? Pamiętajcie, że ten ktoś przez wszystkie lata na pewno udawał miłość i oddanie.

- Devon Markham - mruknął pod nosem Steve.

- Nie! - Jordan odruchowo wystąpiła w obronie Devona.

- Będziemy oskarżać wszystkich twoich bliskich - ostrzegł ją Rick. - Przynajmniej w teorii. Nie trać czasu na obronę wszystkich po kolei.

Spojrzała na Ricka gniewnie, z cieniem złości w oczach. Trudno, niech się na niego wścieka. Nieważne. Ważne jest tylko to, żeby dojść prawdy, a jeżeli go za to znienawidzi, nic na to nie poradzi. Wykonuje tylko swoją robotę.

- Przepraszam. - Jordan wyszarpnęła dłoń z uścisku Ryana, splotła palce i nerwowo pocierała dłonie kciukami. - Będę próbowała słuchać spokojnie.

- Załóżmy, że Devon, z nieznanых powodów, nienawidzi Jordan. Znał wszystkich bliskich jej mężczyzn, bo poznali się w podstawówce - powiedział Rick.

- Ale Devon nie ma powodu, żeby mnie nienawidzić. Od dziecka się przyjaźnimy. - Jordan najwyraźniej nie potrafiła słuchać spokojnie.

- Zgadza się - powiedział Rick. - Devon nie żywi nienawiści do Jordan. Nigdy nie zrobiłby nic, czym mógłby ją skrzywdzić.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się.

- Ale mamy jeszcze kilkoro innych podejrzanych. Roselynnie, która być może jest złą macochą i gardzi Jordan. Tammy, która jak wiadomo, jest psychicznie niezrównoważona i być może potajemnie nienawidzi Jordan i zazdrości jej uczucia Roselynnie. J. C. mógł zabić nie dlatego, że nienawidzi Jordan, ale dlatego, że za śmiercią każdego z tych mężczyzn szły pieniądze, które mógł od Jordan wyprosić, pożyczyć albo ukraść. Jest jeszcze Rene Burke, która zna Jordan od czasu studiów. Może nigdy nie wybaczyła Jordan tego, że zabrała jej Robby'ego Joe Wrighta? Może ciągle usiłuje ją ukarać. No i zostaje Darlene. Może obwinia Jordan o śmierć Robby'ego Joe?

- Nie obwinia mnie - krzyknęła Jordan. - Darlene mnie kocha. Przez te wszystkie lata była dla mnie jak matka...

- I znów się zgadzam. Rozważając teorię zabójstw z nienawiści, z listy podejrzanych jako pierwszych wykreśliłbym Devona i Darlene.

- A ta druga teoria? - zagadnął Ryan.

- Moim zdaniem jest sensowniejsza - powiedział Rick. - Wyjaśnia nie tylko to, dlaczego ktoś morduje mężczyzn Jordan, ale też to, dlaczego jej grozi.

- Chyba nie rozumiem - przyznał Ryan.

- Załóżmy, że któraś z osób bliskich Jordan ma na jej punkcie obsesję. Może jest w niej zakochana i nie chce się nią dzielić z innymi? A może jest przekonana, że jej obowiązkiem jest eliminować każdego mężczyznę, którego postrzega jako zagrożenie? Tammy niewątpliwie uwielbia Jordan. Jest w nią wpatrzona i ją podziwia. Roselynnie jest Jordan wdzięczna i każdemu, kto chce słuchać, powtarza, że uważa się za jej matkę. J. C? Może jest potajemnie zakochany w Jordan? A Rene? Może jest biseksualna i też zakochana? Przyznaję, że to mocno naciągana hipoteza, ale niewykluczona. A może Rene po prostu kocha Jordan jak przyjaciółkę. Dla Darlene Jordan jest jedyną osobą, która łączy

ją ze zmarłym synem. Całą swoją matczyną miłość z Robby'ego Joe przelała na nią. No i w końcu mamy Devona, który prawdopodobnie kocha Jordan bardziej niż inni.

- Pan naprawdę myśli, że któraś z tych osób zabiła Dana i być może pierwszego męża Jordan i jej narzeczonego? - spytał Ryan z powątpiewaniem w głosie. - A jak ta teoria ma się do pogroźek, które otrzymywała moja bratowa i do dzisiejszej próby zabójstwa?

- Rozumiem! - Steve Corbett pstryknął palcami. - Ktoś jej groził, żeby oddalić od niej podejrzenia. Ten ktoś wie, że Jordan jest niewinna, ale sam nie ma zamiaru się przyznać, doszedł więc do wniosku, że dziewczyna musi wyglądać na ofiarę. Zgadza się?

- Tak - przyznał Rick. - O ile ta teoria jest słuszna.

- Ale przecież dzisiaj ktoś do mnie strzelał. Ktoś, kto mnie kocha, nigdy...

- Założyliśmy, że strzelał do ciebie. Ale jeżeli celem była jednak Maleah, a napastnik jedynie chciał, żeby to wyglądało na niecelny strzał? Nie strzelał po to, żeby cię zabić. Chyba że zupełnie nie umie strzelać. - Rick nie był pewien, czy Jordan będzie w stanie pogodzić się z faktem, że to nie ona była celem. - Nie mógł to być Devon, bo nie ma go w mieście - dodał, żeby ją pocieszyć.

- Jeżeli ta hipoteza jest prawdziwa, niebezpieczeństwo może grozić każdemu, kto mnie chroni, i każdemu, kto zdaniem tej osoby stanowi dla mnie zagrożenie. - Spojrzenia Jordan i Ricka spotkały się. Zrozumiał, co ma na myśli.

- Jeżeli ta hipoteza jest słuszna - powtórzył Steve. - Cholera, trzeba przyznać, że ma sens. Ktoś zabił Dana, bo był przekonany, że tak będzie dla pani lepiej.

- I dokąd to nas zaprowadzi? - spytał Ryan. - Co teraz?

- Przede wszystkim musimy chronić Jordan. - Rick zmusił się, żeby odwrócić od niej wzrok, i spojrział najpierw na Ryana, a potem na Steve'a. - A poza tym, musimy się dowiedzieć, kto z podejrzanych umie posługiwać się strzelbą. Jeżeli się nie mylę, osoba, której szukamy, ma poważne problemy psychiczne. Nie tylko jest zdolna do morderstwa, ale w dodatku usprawiedliwia tę zbrodnię. Jest przekonana, że wszystko robi dla dobra Jordan. Za każdym razem robi to, co jej zdaniem, musi zrobić dla Jordan.

- A jeżeli pan się myli? - spytał Steve.

- Spróbujmy popracować, zakładając, że mam rację, przynajmniej na początku. Współpracownikiem Agencji Powella jest dawny specjalista FBI od profili. Nicole i Griff poprosili go, żeby wziął pod uwagę moje hipotezy i sporządził dla nas profil zabójcy odpowiadający każdej z nich.

- Powiedzmy, że oprę się na pana teorii, przynajmniej nieoficjalnie. Jak, pana zdaniem, mamy ją udowodnić? - Steve wstał. - Sprawca kilka razy zatuszował morderstwo, nie zostawiając żadnych dowodów, które łączyłyby go ze zbrodniami.

- Zastawimy pułapkę - powiedział Rick.

- Jaką pułapkę? - spytał Steve.

- Miałem za mało czasu, żeby coś wymyślić - przyznał Rick. - Ale pracuję nad tym.

Ktoś zapukał głośno do zamkniętych drzwi.

- Jordan, tu Rene. Dzwonił Devon, bo nie może się dodzwonić na twoją komórkę. Musi z tobą pilnie porozmawiać. Martwię się o niego. Nie chciał mi powiedzieć, co się stało, ale jest nie do poznania.

- Dzięki. Zaraz do niego zadzwonię.

- Dobrze. Gdybyś mnie potrzebowała, będę w gabinecie Dana -powiedziała Rene.

Jordan pomacała kieszenie. Na jej twarzy odmalowało się zdziwienie.

- Nie mam telefonu. Musiałam go zgubić gdzieś na łące.

Aparat stacjonarny w gabinecie Jordan był odłączony, żeby uniknąć telefonów. Wstała, kierując się w stronę biurka, ale Rick zaszedł jej drogę.

- Podłączę linię.

- Dziękuję.

Otworzył środkową szufladę i wyciągnął plastikowy kabel. Do aparatu stojącego na biurku podłączył jedną końcówkę, potem ukucnął i drugą włożył do gniazdka w ścianie.

Podniosła słuchawkę i pośpiesznie wybrała numer. Rick z przykrością patrzył na jej ściągnięte rysy. Ryan i Steve czekali bez słowa.

- Devon, kochany, tu Jordan. Co się stało? Słuchała i kiwała głową, marszcząc brwi.

- Posłuchaj. Kiedy się rozłączymy, zadzwoń na policję, a potem odłącz telefony w całym domu. Komórkę odbieraj pod warunkiem, że znasz numer dzwoniącego. - Przerwała i słuchała Devona. - Idź do salonu i włącz wieżę albo telewizor, żeby zagłuszyć dzwonienie do drzwi i krzyki z zewnątrz. Wsiądź do najbliższego samolotu z Chattanooga albo z Atlanty i przyleć do ciebie tak szybko, jak się da. - Westchnęła. - Ja też cię kocham. Siedź w domu i nie rób żadnych głupot.

- Muszę natychmiast lecieć do Bethesda - oznajmiła Rickowi, kiedy odłożyła słuchawkę. - Devon jest bombardowany telefonami, dziennikarze bez przerwy dobijają się do drzwi, poza tym jest tam grupa manifestantów, którzy rzucają w okna różnymi rzeczami.

- Wyślę agenta - powiedział jej Rick. - Nie ma potrzeby, żebyś się narażała...

- Nie rozumiesz. Devon mnie potrzebuje. Jest zupełnie sam.

- Jest dorosły, kochanie. Tym razem poradzi sobie bez ciebie. Wyślę dwóch agentów, żebyś była spokojniejsza. Kiedy tylko sytuacja się trochę uspokoi, przywiozą go do Priceville.

- Nie, nie wyślesz agentów. Jadę do Bethesda i koniec dyskusji. Albo jedziesz ze mną, albo wyznacz kogoś innego, kto ze mną wyruszy.

Dostrzegł w jej oczach determinację i zrozumiał, że tej potyczki nie wygra. Pojedzie do Waszyngtonu, chyba że ją zwiąże.

- Zawiozę cię - oznajmił. - Musimy załatwić pozwolenie na lądowanie i transport naziemny, żebyśmy mieli jak dojechać do twojego domu. Daj mi na to dziesięć minut.

- Dziękuję.

Pełne wdzięczności spojrzenie mówiło wszystko. Może na niego liczyć. Nie zawiedzie jej. Żadne z nich nie musi nic mówić. Da jej wszystko, czego będzie potrzebowała.

Agencja Powella załatwiła samochód, który miał odebrać Ricka i Jordan z pasa, na którym wylądował helikopter. Kierowca, mierzący metr dziewięćdziesiąt, muskularny facet o wojskowych manierach, przedstawił się jako Hart. Rick wiedział, że Griffin Powell ma przyjaciół na wysokich stanowiskach, zarówno w Waszyngtonie, jak i na całym świecie, dzięki czemu agencja miała znajomości prawie wszędzie. Hart poinformował Ricka, że będzie im towarzyszył podczas ich pobytu w Waszyngtonie. Nie mówiąc nic więcej, otworzył tylne drzwi czarnego lincolna i stał na baczność, kiedy wsiadali, żeby pojechać do Bethesda.

Jordan była podminowana jak przysłowiowa kotka na gorącym blaszanym dachu. Podczas lotu do Waszyngtonu wierciła się nerwowo, teraz niespokojnie poruszała dłońmi i spoglądała to w jedno, to w drugie boczne okno. Kiedy zadzwonił jej telefon komórkowy, o mało nie podskoczyła. Zanim wyruszyli z Price Manor, jeden z pracowników szeryfa znalazł jej telefon niedaleko miejsca, gdzie została postrzelona Maleah. Rick domyślał się, że dzwoni Devon Markham.

- To nie Devon - powiedziała, jakby wiedząc, o czym pomyślał.

- To Wesley. - Zmarszczyła czoło. - Wiedziałam, że na pewno zadzwoni, kiedy zobaczy najnowszy numer „The Chatterbox”.

- Chcesz, żebym z nim porozmawiał? Pokręciła głową i odebrała.

- Tak, Wes?

Z odpowiedzi Jordan mógł się domyślić, co mówi jej pasierb. Zapewniała go, że nic jej nie jest i żeby się z Kendrą nie martwili.

- Rick... pan Carson i ja jesteśmy w Waszyngtonie, jedziemy do Devona, żeby zabrać go do Priceville - powiedziała Jordan. - Nie, absolutnie. Ty i Kendra macie zostać na zajęciach. - Wysłuchała odpowiedzi. - Wiem, że oboje musicie znosić nieprzyjemne docinki, ale... bez przesady! - Przycisnęła telefon do piersi i odwróciła się do Ricka. - Wes i Kendra są nękanymi przez dziennikarzy. Nie wiem, dlaczego nie przyszło mi do głowy, że prawdopodobnie tak będzie.

Rick wyciągnął rękę po telefon. Zawahała się, ale podała mu aparat.

- Wes, tu Rick Carson. Przyślę wam agentów, jeden przyjedzie do Auburn, drugi do Athens, do Kendry. Będą was ochraniać i zajmą się dziennikarzami.

- Najpierw niech pan wyśle kogoś do Kendry - powiedział Wes.

- Siedzi zamknięta w swoim pokoju, boi się nawet iść na zajęcia.

- Zadzwoń do niej i powiedz, że natychmiast wyślemy jej agentkę, która będzie z nią dwadzieścia cztery godziny na dobę. Agencja powiadomi odpowiednie władze twojej i jej uczelni.

- Dziękuję. I dziękuję, że zaopiekował się pan Jordan.

- Nie ma za co. Chcesz jeszcze porozmawiać z Jordan?

- Tak, poproszę.

Rick podał Jordan telefon. Posłała mu uśmiech pełen wdzięczności.

Sam zadzwonił do Griffina i poprosił o dwoje agentów dla pasierbów Jordan. Pokrótkę przedstawił mu sytuację. Griff zapewnił go, że agencja wszystkim się zajmie. W chwili, kiedy zakończył rozmowę z szefem, usłyszał, że Jordan żegna się z Wesleyem.

- Wszystko będzie dobrze. Przetrywamy tę burzę razem, jak rodzina. Nic nie rób. Pomoc już jedzie. Dzwon do mnie, kiedy tylko chcesz, i powiedz to samo Kendrze.

Jordan wyłączyła telefon, otworzyła boczną kieszonkę torebki i wrzuciła aparat do środka.

- Będzie im ciężko. Nie masz pojęcia, jak potwornie męczy mnie myśl, że muszą razem ze mną przechodzić przez ten koszmar. Już wtedy, kiedy w prasie szkalowano moje dobre imię, było im niełatwo, ale teraz? Dzieci uwielbiały Devona, traktowały go jak wujka. A Dan był dla nich całym światem.

- Chyba znały prawdę? - spytał Rick.

- Tak, oczywiście. Przed ślubem Dan, Devon i ja wyjaśniliśmy sytuację. Dzieci nie były małe, Kendra miała piętnaście lat, a Wes siedemnaście. W dzisiejszych czasach młodzież lepiej orientuje się w świecie i jego różnorodności niż my w ich wieku.

- Czy nikt z twojej rodziny nie miał obiekcji? Nikt nie twierdził, że popełniasz błąd?

- Nie pochwalasz tego, co zrobiłam?

- To nie moja sprawa. Ale musisz przyznać, że układ z Danem i z Devonem był niekonwencjonalny, delikatnie rzecz ujmując.

- Odpowiadał nam.

- Naprawdę?

- Nie oczekuję, że zrozumiesz. - Spojrzała na niego z mieszaniną zaskoczenia i wyrzutu.

- To dobrze, bo naprawdę nie rozumiem. Nie przeczę, że Daniel Price to wspaniały człowiek, ale całe jego życie było kłamstwem. I zanim zaczniesz mi tłumaczyć, że nie rozumiem, jak ważne były dla niego ambicje polityczne i że jako gej nie miałby szans ubiegać się o fotel prezydencki, powiem jedno: jeżeli się raz skłamię, nieważne, z jakiego powodu, trzeba kłamać dalej. Nie ma

wyjścia. Człowiek wpada w pułapkę. A Dan Price zamknął w pułapce również Devona i ciebie.

Jordan nie odpowiedziała, po prostu przyglądała mu się pięknymi niebieskoszarymi oczami, jakby szukała w nim czegoś, czego potrzebowała.

To spojrzenie przeraziło go. Czyżby jego słowa wyrządziły więcej złego niż dobrego?

- Masz rację - przyznała w końcu. - Wyszłam za Dana ze względu na Devona, ale też dlatego, że małżeństwo na papierze miało mi zapewnić bezpieczeństwo. Byłam kiedyś zakochana i miałam męża. Za każdym razem przeżyłam cios. Nigdy więcej nie chciałam zaznać bólu.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Przez większą część życia unikał zobowiązań i postanowił sobie, że nigdy nie pozwoli, żeby jakakolwiek kobieta zrobiła z nim to samo, co jego macocha z ojcem. Jeżeli się nie kocha, nie odczuwa się bólu. Nie popełnia się głupich błędów.

On i Jordan boją się tego samego. Żadne z nich nie chce zostać zranione.

- ' Chyba rozumiem - przyznał.

- Miałam taką nadzieję. - Oparła głowę o zagłówek skórzanego fotela i zamknęła oczy.

Przez resztę drogi do mieszkania Price'ów ani on, ani Jordan nie odezwali się ani słowem. Co mieli mówić?

Wróciła myślami do innego czasu i miejsca, do mężczyzny, który stanowił dla nich zagrożenie. Zrobiła to, co konieczne, i nie miała z tego powodu wyrzutów sumienia.

Donald Farris był bardzo nieprzyjemnym człowiekiem. Wzbudził w niej niechęć już przy pierwszym spotkaniu, ale tolerowała go ze względu na Jordan. W końcu był jej szefem i jej przyszłość w Agencji Peachtree spoczywała w jego

rękach. Dlaczego Jordan porzuciła marzenia o pracy w szkole, wiedziała tylko ona. Byłaby wspaniałą nauczycielką, tak jak byłaby wspaniałą żoną i matką. Ale wspinała się po szczeblach kariery i sprawiała wrażenie zadowolonej, a nawet szczęśliwej, po raz pierwszy od śmierci Robby'ego Joe. Aż pewnego dnia ten bałwan Farris zrobił rzecz nie do pomyślenia - awansował Paula Dueitta na wiceprezesa, chociaż wszyscy spodziewali się, że to stanowisko otrzyma Jordan. Decyzję Farrisza kwestionował nawet sam właściciel agencji, ale nie sprzeciwił się jej. Obiecał tylko Jordan, że jest następną w kolejce do objęcia tej funkcji.

Cóż, taka perspektywa im nie wystarczała. Jordan zasługiwała na tytuł wiceprezesa. Prawdę mówiąc, powinna zastąpić Farrisza. Mogła pozbyć się Paula, ale tę ewentualność szybko odrzuciła. Był bardzo sympatycznym młodym mężczyzną, miał żonę i dwójkę dzieci. Poza tym, to nie jego wina, że Jordan spotkała krzywdę. Winny był Donald Farris. To on ją skrzywdził. Stał jej na drodze do szczęścia. Zrobić mogła tylko jedno - pozbyć się go.

Kilka tygodni poświęciła na zapoznanie się z rozkładem jego dnia i na ułożenie planu. Farris miał trzydzieści pięć lat, był próżny i arogancki. Przesadnie dbał o zdrowie, miał wręcz obsesję na punkcie formy. Rano i wieczorem, kiedy inni pracownicy z Agencji Peachtree wsiadali do windy i jechali do biur na piątym piętrze, on wchodził po schodach. W środę wieczorem zwykle pracował do późna i często wychodził z biura ostatni. To właśnie dlatego tamtej środy czekała na niego, zamierzając za nim pójść. Postanowiła przystąpić do akcji, kiedy będzie pewna, że są sami.

Pojawił się. Zarozumiały sukinsyn. Wyniosłym, pysznym uśmiechem obwieszczał światu: „Patrzcie, jaki jestem ważny”. Jeżeli jej się uda, już dziś przestanie się wynosić i pysznić.

Kiedy otworzył drzwi prowadzące na klatkę schodową, rozejrzała się po korytarzu, żeby mieć pewność, że w pobliżu nie ma nikogo. W zasięgu wzroku nie było żywej duszy. Podeszła do drzwi, otworzyła je i weszła do środka. Wzięła głęboki oddech, a potem powoli wypuściła powietrze, żeby uspokoić ręce i nerwy i ruszyła za nim. Kroki zagłuszał odgłos drogich skórzanych pantofli Donalda Farrisa, stukających szybko po betonowych schodach. Musiała zaatakować, zanim zejdzie na niższe piętro. I musi to być niespodziewany atak.

Niemal zbiegła z piątego piętra na czwarte, doganiając go między czwartym a trzecim. Musiał wiedzieć, że nie jest sam, ale nie zwolnił kroku ani nawet nie obejrzał się za siebie, żeby sprawdzić, kto za nim idzie. Korzystał ze schodów jako jedyny pracownik Agencji Peachtree, ale nie jako jedyny w budynku. Widocznie był przyzwyczajony, że czasem ktoś też nimi schodzi.

Kiedy znalazła się tuż za nim, właściwie powinien poczuć jej oddech na karku, obejrzał się przez ramię i obrzucił ją dziwnym spojrzeniem. Najwyraźniej ją rozpoznał. Chciał coś powiedzieć, ale nie dała mu na to czasu. Wyciągnęła ręce i z całej siły pchnęła go w klatkę piersiową. Stracił równowagę i poleciał do tyłu.

Zaskoczyła go. Miała przewagę.

Wpatrywał się w nią szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami, a ona się uśmiechnęła.

Usiłował chwycić się poręczy, żeby nie upaść, ale wtedy popchnęła go po raz drugi, w nadziei, że zepchnie go ze schodów. Podwinęła mu się stopa i wpadł na barierkę. Chcąc uratować się przed upadkiem, przebierał palcami w powietrzu. Ogarnęła go panika. Wykorzystała ten strach i kiedy plecami dotknął balustrady, a jedna jego stopa znajdowała się w powietrzu, rzuciła się na niego. Usiłował się

jej chwycić, ale dłonie zsunęły mu się ze skórzanej kurtki, którą na sobie miała. Wypadł za balustradę.

Przerażony krzyk poniósł się echem po budynku, ale śmiertelny skowyt słyszała tylko ona. Wyjrzała za barierkę i przyglądała się, jak leci głową w dół, w dół, w dół... Ciało z głośnym hukem uderzyło w betonową podłogę na parterze.

Uśmiechnęła się, klasnęła w dłonie, ciesząc się z wykonanego zadania, i zeszła po schodach. Ominęła rozbryzgane ciało, uważając, żeby nie wdepnąć w krew, i bez najmniejszych wyrzutów sumienia zeszła na podziemny parking. Kiedy siedziała już bezpiecznie w swoim samochodzie, przejrzała się w lusterku nad deską rozdzielczą. Miała zarumienione policzki, błyszczące oczy i w dalszym ciągu się uśmiechała.

Co za niesamowite doznanie! Właśnie zabiła człowieka i nikt nigdy się o tym nie dowie. Roześmiała się. Bydlak zasłużył sobie na to. Popełnił błąd, robiąc sobie z nich wrogów, z niej i z Jordan.

Hart zwolnił i zatrzymał lincolna przecznicę od domu.

- Policja zablokowała ulicę - powiedział. Przyłożył słuchawkę do lewego ucha. - Uprzedzano mnie, że niełatwo będzie dowieźć was do domu. Policja pilnuje, żeby dziennikarze nie mieli dojścia do drzwi wejściowych, jeden policjant stoi przy tylnym wejściu, czeka nas też przejście przez tłum dziennikarzy i manifestantów.

- Manifestantów? - zdziwiła się Jordan.

- Grupa prawicowych konserwatystów - wyjaśnił Hart. - Jest ich około dwudziestu, połowa ma transparenty. Są niezależną grupą, nie należą do żadnego Kościoła.

Jordan nie musiała pytać, jakiego rodzaju nienawistne slogany widnieją na transparentach. Aż za dobrze je znała. Niemal przez całe życie była przyjaciółką

Devona i miała już do czynienia z tego rodzaju nienawiścią. Została wychowana w wierze chrześcijańskiej i wierzyła w większość podstawowych, staroświeckich wartości, które w jej rodzinie były przestrzegane od pokoleń. A głównym przesłaniem chrześcijaństwa i każdej wielkiej religii jest prosta prawda - Bóg jest miłością. Bóg kocha. Ludzie nienawidzą.

Nic dziwnego, że Devon odchodzi od zmysłów. Widział manifestantów, czytał transparenty, wiedział, co go czeka.

- Zostań w samochodzie - powiedział Rick. - Ja pójdę po Devona.

- Nie, Devon wyjdzie tylko wtedy, kiedy ja pójdę po niego. Nie masz pojęcia, jaki jest wrażliwy. A od śmierci Dana... - Położyła dłoń Rickowi na ramieniu. - Z tym domem wiążą się wspomnienia wielu szczęśliwych chwil w jego życiu. Ciężko mu się z nim rozstać. Ale nie jest tu bezpieczny, dlatego musi jechać ze mną do Priceville.

- Na zewnątrz nie jest przyjemnie - ostrzegł Hart, po czym spojrzał na Ricka. - Będziemy musieli pójść obaj, żeby się przedrzeć.

- Tak. - Rick skinął głową.

Wysiedli i poczekali, aż Hart skończy krótką rozmowę z członkiem obstawy policyjnej. Rick i Hart stanęli po obu stronach Jordan - Rick po lewej i lekko z tyłu, Hart po prawej, krok przed nią. Nic nie stało im na drodze, aż do chwili, kiedy znaleźli się mniej więcej dziesięć metrów od domu. Jeden z dziennikarzy nagle krzyknął jej imię. Podbiegł do niej z mikrofonem w dłoni, a za nim kamerzysta.

- Przygotuj się - szepnął Rick.

Policyjna barykada uniemożliwiała wjazd i wyjazd z okolicy budynku, a policjanci rozstawieni byli na froncie i na tyłach domu. Żeby utrzymać z dala dziennikarzy i manifestantów, potrzebna byłaby cała jednostka prewencji.

- Jakiego rodzaju zażyłość łączyła panią z mężem, pani Price? - krzyknął dziennikarz. - Uprawiała pani seks z senatorem i panem Markhamem? Czy po prostu przyglądała się pani, jak się kochają?

Jordan poczuła, że Rick zeszywniał.

- Nie zwracaj na nich uwagi - powiedziała.

- A ty potrafisz? - spytał.

Posypała się lawina pytań, ale każde spływało po Jordan jak po kaczce. Nie miała zamiaru zniżać się do poziomu żadnych sensacji dziennikarzy. Ani bezduszni paparazzi, ani napastliwi reporterzy nie są w stanie wyrządzić jej większej krzywdy niż ta, której już doznała. Jej reputacja legła w gruzach, przeszłość i teraźniejszość zostały ujawnione całemu światu, dzieci były nękanie, a najbliższy przyjaciel przeżywał bezlitosny atak, rodzina ukrywała się w Price Manor, a agentka ochrony została postrzelona.

- Spaliście w trójkę w jednym łóżku? - krzyknął ktoś z tłumu.

- Czyje dziecko pani nosiła?

- Jest pani lesbijką? Nienawidzi pani mężczyzn?

- Ilu mężczyzn pani zabiła?

- Kim są ci faceci? - krzyknął inny dziennikarz. - Otrząsnęła się już pani i stworzyła nowy trójkąt?

- Lepiej uważajcie - ryknął ktoś inny. - Każdy z was może być następną ofiarą.

Szyderczy śmiech, zmieszany z obelgami skandowanymi przez trzymających transparenty fanatyków, niósł się echem, które wcale nie słabło.

Nieprzyjemne pytania i złośliwe komentarze nie milkły, kiedy Rick i Hart torowali drogę przez tłum stojący na chodniku i zalewający jezdnię. Jordan nie wiedziała, czy to z powodu budzącego respekt wzrostu obu mężczyzn, czy z

powodu surowej determinacji w ich oczach, połączonej z bijącą od nich męską siłą, dziennikarze i gapie rozstępowali się. Schodzili im z drogi, jeden po drugim. Jordan ze swoimi ochroniarzami kroczyła w stronę wejścia do budynku.

- Masz klucz? - spytał Rick.

- W kieszeni.

- Wejdiesz po schodach i otworzysz drzwi - polecił. - Hart i ja osłonimy cię od tyłu, potem wejdziemy za tobą.

Hart zamienił kilka słów z policjantem pilnującym schodów i funkcjonariusz odsunął się, robiąc im przejście. Jordan zrobiła to, co polecił Rick, nie zważając na lawinę pytań i obelg pod jej adresem ani na kamienie rzucone w okna i odbijające się od ścian domu. Kilka kamieni wielkości piłki golfowej przeleciało tuż nad jej głową. Drżącymi rękami wsunęła klucz do zamka i otworzyła drzwi. Nie oglądając się za siebie, weszła do holu. Kilka sekund później pojawił się Rick, a po chwili Hart, który też zamknął drzwi na klucz.

Nie czekała na nich. Pobiegnęła przez korytarz, wołając Devona. O ile zna Devona, a zna go przecież doskonale, czeka na nią w przytulnym salonie, znajdującym się pośrodku domu, z jedynym oknem wychodzącym na małą przeszkloną werandę. Tam mógł nie słyszeć tego, co dzieje się na zewnątrz.

Rzeczywiście, w drzwiach salonu ukazał się Devon. Wpadł w otwarte ramiona Jordan. Przytuliła go i pogłaskała po plecach, szepcząc słowa pociechy.

- Już dobrze. Jestem z tobą.

- Ryzykowałeś życie, żeby przedrzeć się przez tę bandę. - Devon przytulił ją, a potem uniósł głowę znad jej ramienia. - W jaki sposób stąd wyjdziemy?

- Wydostaniemy się tylnym wyjściem, przez sąsiedni ogród - powiedział Rick, podchodząc do nich. - Hart zaplanował akcję za jakieś... - spojrzał na zegarek -... dziesięć minut. Nie mamy dużo czasu. Niczego ze sobą nie zabieraj.

Wszystko, co będziesz chciał, przewieziemy później. Agencja Powella wyśle dwóch agentów do pilnowania domu.

- A jeżeli akcja się nie uda? - spytał Devon.

- To ich olejemy - powiedział Rick.

- Nie zwracaj uwagi na dziennikarzy ani na tych biedaków, którzy wypaczyli sens Biblii, żeby usprawiedliwić swoją nienawiść - powiedziała Jordan. - Mieliśmy do czynienia z ludźmi tego pokroju, kiedy byliśmy nastolatkami lat, pamiętasz?

- Mam wrażenie, że od tamtej pory upłynęła cała wieczność. - Devon skinął głową. - Później poznałem Dana i zacząłem prowadzić podwójne życie.

- Zrobiłeś to po to, żeby chronić Dana. Nikt cię za to nie wini.

- Jordan zerknęła na Ricka, czy przypadkiem nie zaprotestuje.

- Zaprzeczałem prawdzie przez tyle lat, że kłamstwo mi spowszedniało - powiedział Devon. - Zapewniałem, że wszyscy, którzy twierdzą, że jestem gejem, mylą się. Udawałem, że jestem heteroseksualny. Umawiałem się nawet z pięknymi kobietami, ale w końcu miałem już dość tej błazenady i Rene zgodziła się pokazywać się ze mną publicznie po twoim ślubie z Danem. - Zwiesił głowę. - Nic dziwnego, że dziennikarze zwęszyli teraz źer. To nie ich wina, bez względu na to, co mówią czy robią.

- Przestań się nad sobą użalać - zganił go Rick. - Pomyśl o Jordan i o tym, jaką krzywdę wyrządziła jej twoja i Dana tajemnica.

- Rick! - Jordan obrzuciła go gniewnym spojrzeniem. - Jak śmiesz tak mówić!

- On ma rację - przyznał Devon. - To ja wciągnąłem cię w labirynt kłamstw. To wszystko moja wina.

- O tym, kto zawinił i kto jest czemu winny, porozmawiamy później - uciał Rick. - Musimy się wydostać z domu i ruszyć, kiedy tylko Hart da mi znać. Spotka się z nami na ulicy przy samochodzie.

Dziesięć minut i jeden wybuch gazu łzawiącego później Jordan, Rick i Devon byli w połowie drogi do samochodu, kiedy dogonił ich Hart.

- Biegiem! - krzyknął. - Nie ma czasu.

Udało im się wsiąść do auta, zanim wypatrzyli ich i ruszyli za nimi dziennikarze stojący na zewnątrz tłumu. Kaszleli, charczeli i płakali od gazu łzawiącego. Hart wycofywał lincolna, dwóch reporterów wskoczyło na maskę, ale obrócił auto dookoła i napastnicy zsunęli się na jezdnię.

Rick siedział z przodu, obok Harta. Spojrzał we wsteczne lusterko i dostrzegł wzrok Jordan.

Ta wyjątkowa chwila milczącego kontaktu skończyła się, zanim się zaczęła. Zadzwoił telefon komórkowy Ricka. Jordan chwyciła Devona za rękę, ścisnęła ją mocno, a później zamknęła oczy i zaczęła się modlić o siłę, żeby byli w stanie przetrwać koszmar.

- Maleah wyjdzie z tego - odezwał się Griffin Powell, kiedy Rick odebrał telefon. - Jest po operacji. Nicole i ja też jesteśmy w Erlanger Chattanooga. Zostajemy na noc i rano mamy zamiar odwiedzić Maleah.

- To dobrze - odparł Rick. - Chciałbym tylko wiedzieć, kto strzelał i dlaczego...

- Między innymi dlatego dzwonię. Mniej więcej godzinę temu policja aresztowała faceta. Znaleźli go w lesie, miał przy sobie solidną strzelbę. Strzelał do Maleah spoza terenu posiadłości.

- Na pewno zatrzymali właściwą osobę?

- Chyba tak. Facet się przyznał. Pewność będziemy mieli po zbadaniu kuli usuniętej z rany Maleah, ale ten świr twierdzi, że celował w Jordan. Zdaje się, że poczuł się w obowiązku działać w imieniu Boga i wymierzyć sprawiedliwość. Nie jest powiązany z nią ani z jej rodziną, ani ze zmarłym senatorem, tyle tylko że mieszka w Priceville.

- Jeżeli to się potwierdzi, osoby, które skreśliliśmy z listy podejrzanych, natychmiast należy umieścić na niej z powrotem.

- Mówiąc „osoby”, masz na myśli Devona Markhama? - spytał Griff.

- Tak.

- Skoro już rozmawiamy o podejrzanych... Dzwoniłem do Dereka Lawrence'a, obiecał, że do czwartku przygotuje profile do wszystkich twoich hipotez. Może któryś z nich będzie do kogoś pasował?

- Miejmy nadzieję.

- Na razie uważaj. Jeżeli się nie mylimy, wśród krewnych Jordan i jej najbliższych przyjaciół znajduje się seryjny morderca, który prawdopodobnie zabił siedem osób. Nie zawaha się przed kolejną zbrodnią. W tej chwili nie tylko prowadzisz dochodzenie w sprawie śmierci Dana Price'a, ale też ochraniasz Jordan. - Griffin przerwał. - I chociaż wiem, że nie chcesz brać pod uwagę możliwości, że zabójczynią jest Jordan, byłbyś głupi, gdybyś zupełnie wyeliminował ją z kręgu podejrzanych.

Rick wylądował na terenie posiadłości Price'ów we wtorek wieczorem. Czekają na niego dwóch agentów Powella i pracownik szeryfa.

- Szeryf Corbett chce z panem porozmawiać na osobności - zwrócił się do Ricka funkcjonariusz. - Czekają przy stawie. Jest z nim pan Price i pan Keinan.

- Jasne - odpowiedział Rick. - Tylko załatwię ochronę pani Price.

- Skinął na jednego z agentów, niedawno zatrudnionego Niksa Elliotta.

- Zostaniesz z panią Price, dopóki cię nie zmienię. Pilnuj jej. Przez cały czas musisz dokładnie wiedzieć, gdzie jest i z kim.

Elliott skinął głową.

Rick wyjaśnił Jordan, jak się sprawy mają.

- Nic mi nie będzie. Jestem w domu, cała i zdrowa - powiedziała tylko, po czym objęła Devona i przytuliła się do niego.

Biedak wyglądał na zmęczonego. Jordan za to była chłodna, spokojna i opanowana. Rick podziwiał jej umiejętność panowania nad sobą i troskę o innych, teraz o Devona.

Niestety, nie miał żadnej pewności, że w posiadłości Price'ów jest bezpieczna. Jeżeli nie myli się w swoich podejrzeniach, zabójcą jest ktoś, kogo Jordan kocha i komu ufa. Nie wiedział tylko, czy osobą tą kieruje miłość do Jordan, czy nienawiść.

- Mogę cię prosić na minutę? - Rick odwołał Jordan na bok, kiedy już weszli do domu.

- Idźcie, zaraz przyjdę. - Spojrzała na Devona.

Agent Elliott czekał na werandzie, Devon z drugim agentem weszli do domu.

- Wszystko, o czym rozmawiałem rano z tobą, Ryanem i Steve'em Corbettem, ma zostać między nami. Czy to jasne?

- Tak, oczywiście. Chcesz przez to powiedzieć, że skoro wiemy, iż mężczyzna, który strzelał do Maleah, nie ma związku ze mną, z Danem ani z innymi zabójstwami, Devon znów jest podejrzany?

- Przykro mi. Wiem, że go kochasz i ufasz mu, ale...

- Ale ty nie ufasz. Nie ufasz nawet mnie. W każdym razie nie do końca.

- Jordan. - Chwycił ją za rękę. - Dlaczego nie chcesz zrozumieć, że ufając niewłaściwej osobie, możesz za to zapłacić życiem?

Widział, że jest roztrzęsiona, ale chyba nie zareagowała na ostrzeżenie.

- Kochanie, nie rób tego.

- Czego?

- Nie traktuj mnie jak kogoś złego.

- Jesteś dobrym facetem - powiedziała. - I Devon też. Ufam mu tak samo jak tobie.

Ufa mi. Ja też chcę jej ufać. I właściwie ufam. Prawie.

Uwolnił ją z uścisku i weszła do domu. Rick poczekał, aż Nix Elliott pójdzie z nią do środka i dopiero później ruszył szukać szeryfa.

Późnopołudniowe słońce odbijało się w gładkiej tafli wody. Po stawie pływało leniwie kilka kaczek, które nie zwracały najmniejszej uwagi na ludzi. Przy brzegu rosła gęsta, soczysta trawa, na pobliskiej łące niedawno zakwitły polne kwiaty. Maj na wsi w Georgii był świeży, zielony i pełen życia.

Steve Corbett wyciągnął rękę i gestem przywołał Ricka. Najwyraźniej na niego czekali.

- Dziękuję za bezpieczne sprowadzenie Jordan i Devona do domu. - Ryan uściskał Rickowi dłoń.

- Wie pan, że znaleźliśmy faceta, który postrzelił Maleah Perdue, prawda? - spytał Steve.

- Tak, wiem. Griff do mnie dzwonił.

- Devon Markham wraca na listę podejrzanych - oznajmił Holt. - Dopóki nie otrzymam profili psychologicznych od Dereka Lawrence'a, możemy tylko snuć domysły, kto zabił senatora Price'a.

- Z profilami też będziemy tylko snuć domysły - zauważył Steve.

- Ciężko mi pogodzić się z tym, że mojego brata mogła zabić osoba związana z Jordan. - Ryan się skrzywił. - Nie chcę nawet brać pod uwagę możliwości, że Jordan jest winna jakiegokolwiek zbrodni, poza tą, że za bardzo poświęca się dla innych.

- Opracowaliśmy plan. - Holt spojrzał na swoich współtowarzyszy. - Pokazałem go szefowi i przyjął go, ale powiedział, że ostateczna decyzja należy do ciebie i pani Price.

Na jaki też pomysł wpadli?

- No dalej, mów.

- Jeżeli któraś z tych twoich hipotez na temat tego, dlaczego ktoś zabija bliskich Jordan mężczyzn jest prawdziwa, oznacza to, że zabójca czyha na każdego, w szczególności mężczyzn, na których śmierci Jordan może skorzystać. Korzyścią jest wyeliminowanie zagrożenia lub spory spadek - wyjaśnił Holt. - Zabójca zrobi kolejny krok dopiero wtedy, kiedy pojawi się ktoś, kto odpowiada tym kryteriom.

- Właściwie nie ma znaczenia, z jakich pobudek morduje ta osoba.

Nieważne, czy zabija, żeby ukarać Jordan, czy też, żeby ją chronić. Skutek jest ten sam - dodał Steve.

- Plan jest taki, że zabójca dostanie nową ofiarę - wtrącił Ryan.

- Kogoś, kto jego zdaniem może skrzywdzić Jordan.

Rick poczuł ucisk w żołądku. Nie wiedział, jaki jest plan gry, ale domyślał się, że to on został wybrany na kolejną ofiarę.

- Dobra - powiedział w końcu. - Jestem kolejną ofiarą, prawda? Ale co mam zrobić, żeby zagrażać Jordan?

- Jordan będzie wtajemniczona - wyjaśnił Ryan. - Musi pan wierzyć w jej niewinność, ale udawać coś innego.

- Jeżeli plan ma się powieść, i pan, i Jordan musicie wykazać trochę umiejętności aktorskich. - Steve przestąpił nerwowo z nogi na nogę, niepewny, jak Rick zareaguje. - Pozornie będzie pan wielbicielem Jordan. Uwierzy jej pan. Ma pan pewność, że jest niewinna. Ona też będzie w panu widzieć księcia z bajki. Oboje musicie okazywać sobie zainteresowanie. Będzie się pan zalecał do Jordan, a jednocześnie za jej plecami będzie się pan starał mówić, że to ona zamordowała Dana i innych.

- Plan jest zbyt skomplikowany - oświadczył Rick. - Wątpię, czy Jordan się na to zgodzi.

- Niech go pan nie odrzuca bez zastanowienia - powiedział Steve.

- Profile, które dostaniemy od specjalisty z Agencji Powella, dadzą nam lepszy obraz tego, kto może być zabójcą. Będziemy wiedzieć, czy kontynuować plan, czy zastosować inną taktykę.

- Reputacja mojego brata legła w gruzach - odezwał się Ryan. - Na nic wszystko, co Jordan i Devon poświęcili. Teraz niebezpieczeństwo grozi samej

Jordan. Jak ma zacząć żyć normalnie, jeśli nie schwytemy zabójcy? Musimy znaleźć mordercę i udowodnić, że jest niewinna.

- Dobrze, porozmawiajmy z nią. - Rick zerknął na Ryana. - Tylko we dwóch. Jeżeli się zgodzi, wprowadzimy ten karkołomny plan w życie. Ale niech Bóg ma nas w swojej opiece, jeżeli coś zepsujemy.

- Nie! - Jordan była nieprzejednana. - Chcesz, żebym okłamywała ludzi, którzy najwięcej dla mnie znaczą. Zgadając się na udział w tym planie, przyznałabym, że kogoś z bliskich i drogich mi osób podejrzewam o to, że jest mordercą.

- Tylko tak możemy się przekonać, że jest inaczej - zauważył Rick. - Jeżeli nikt nie złapie się na przynętę, będziemy wiedzieć, że się mylimy.

- Nie mogę się zgodzić. - Jordan pokręciła głową.

- Ja też, podobnie jak ty, nie chcę dopuszczać do siebie takiej myśli - dorzucił Ryan. - Ale nawet jeżeli istnieje choćby minimalne prawdopodobieństwo, że Rick ma rację...

- Nie ma. - Spoglądała to na Ricka, to na Ryana. - Naprawdę wierzysz, że Devon mógł zabić Dana? Mój Boże, przecież twój brat był dla niego wszystkim. Poruszyliby dla niego niebo i ziemię.

- Nie, Devon nie, ale...

- Darlene? Jest dla mnie jak matka. To łagodna, dobra kobieta i bardzo ją kocham.

- Przyznaję, że Darlene nie pasuje do obrazu bezdusznego mordercy - powiedział Ryan.

- A Rene jest moją najlepszą przyjaciółką. Ambitna i dynamiczna, ale, na litość boską, płacze, kiedy widzi na drodze potracone zwierzę. Nie zabiłaby nikogo. Roselynn? Naprawdę myślicie, że mogłaby zabić? Tammy? Uważacie,

że jest na tyle bystra, żeby zatuszować morderstwo, w dodatku niejedno, ale sześć czy siedem? Nawet J. C, mimo wszystkich swoich wad, nie byłby w stanie zabić.

- Zgadzam się z tobą - przyznał Ryan. - A jednak Dana ktoś zabił. Jordan zamknęła oczy, najwyraźniej nie chcąc dopuścić do siebie brutalnej prawdy. Dana zabił ktoś, kto ma wstęp do ich domu, ktoś, kto wiedział, gdzie trzyma broń, którą jej kupił. Faktom nie można zaprzeczyć. Skoro męża nie zabiła ona, musiał to zrobić ktoś inny.

- No dobrze. - Spojrzała uważnie na Ricka. - Zgadzam się, ale pod warunkiem, że profil, który otrzymacie z Agencji Powella, rzeczywiście wskaże jakiegoś podejrzanego.

- Nie możemy czekać - powiedział Ryan. - Im szybciej...

- Zgoda. - Rick spojrzał najpierw na Jordan, potem na Ryana. - Możemy poczekać dwa dni, jeżeli Jordan będzie z tym łatwiej.

- Zgadzam się na to tylko dlatego, żeby wam udowodnić, że będziecie musieli trochę bardziej się wysilić i poszukać innych podejrzanych.

- Przykro mi, że każę ci przez to przechodzić. - Ryan zmarszczył brwi ze współczuciem, a potem podszedł do Jordan i przytulił ją. - Mam szczerą nadzieję, że się nie mylisz. Ale musisz zrozumieć, jak bardzo mi zależy, zwłaszcza teraz, żeby udowodnić, że Dan nie popełnił samobójstwa. Poza tym wszyscy chcemy dowieść świata, że ty nikogo nie zabiłaś.

- Rozumiem. - Pocałowała w policzek. - Tak samo jak ty chcę, żeby zabójca Dana został schwytany i ukarany. Devon chce tego samego.

- Niech się nią pan opiekuje. - Ryan powiedział to do Ricka. - Jest wyjątkową kobietą.

Rick skinął głową.

Kiedy Ryan zamknął za sobą drzwi, Rick podjął szybką decyzję. Zamierzał zostawić Jordan samą, przynajmniej do końca wieczoru.

- Pod gabinetem będzie stał agent Elliott - powiedział. - Ja przez kilka godzin zajmę się innymi sprawami.

- Jakimi sprawami?

- Nie martw się. Kiedy dowiem się czegoś nowego, natychmiast ci powiem.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

Był zły, że zostawia Jordan wyczerpaną, niespokojną i zamartwiającą się o wszystkich, tylko nie o siebie. Musiał jednak znaleźć się od niej w bezpiecznej odległości, nawet jeżeli to miała być odległość kilku pokoi.

- Od tej chwili muszę czuwać przy tobie cały czas - powiedział. - Spytaj Tobiasa, czy nie znajdzie się jakieś łóżko składane, które można postawić pod twoim pokojem.

- Naprawdę myślisz, że ktoś...

- Pomagaj mi, dobrze? Wiem, co czujesz, a ty wiesz, co myślę. Mam dbać o twoje bezpieczeństwo. Musisz ze mną współpracować.

- Nie ma powodu, żebyś spał na łóżku polowym. W mojej sypialni jest sofa, możesz spać na niej. Pewnie będzie na ciebie trochę za krótka, ale mimo wszystko wygodniejsza niż łóżko polowe.

- Pozwalasz mi spać w swojej sypialni?

- Wierzę, że nie zrobisz niczego, czego nie chcę. - Posłała mu niepewny uśmiech. - Ufam ci najwyraźniej o wiele bardziej niż ty mnie.

- Nie znasz moich myśli.

- Wiem.

- Co pomyśli twoja rodzina, jeżeli będę spał z tobą za zamkniętymi drzwiami? Nie przejmujesz się tym, co...

- Wcale się nie przejmuję. Jesteś moim ochroniarzem i chyba to normalne, że pilnujesz mnie cały czas.

- Problem w tym, że chcę być przy tobie. - Mimo to, co nakazywał zdrowy rozsądek, podszedł do niej, bardzo blisko, na odległość zaledwie kilku centymetrów.

Wyciągnął rękę i przyciągnął ją do siebie, pochylając głowę tak, że patrzyli sobie prosto w oczy. Otworzyła usta i westchnęła przestraszona.

- Rick?

Położył wargi na jej ustach i zaczął błędzić po nich językiem, smakując je, zanim wtargnął do środka. Przysunęła się do niego, ocierając piersi o jego tors. Przytrzymał jej głowę i całował coraz mocniej. Zorientował się, że nie reaguje na pocałunek, i chciał go zakończyć, ale położyła mu ręce na piersi, jęknęła i zaczęła go całować. Wtedy zrozumiał, że ona pragnie go tak samo, jak on jej.

Rick całował ją, dopóki starczyło im tchu. Powoli odsunęli się od siebie, ale on nadal trzymał rękę na jej karku, a jej dłonie spoczywały na jego piersi. Wyprostował się i spojrzał na nią.

Zamknęła oczy, a on dotknął czołem jej czoła.

- Przy tobie czuję się tak, jak nie czułam się od lat - wyznała. - Od czasu...

- Od czasu... ? - Pieszczotliwie przesunął palcem wskazującym po jej szyi.

- Od czasu, gdy byłam młoda i głupia i wierzyłam w „żyli długo i szczęśliwie”. - Uśmiechnęła się do niego.

- Od czasu Robby'ego Joe?

- Tego, co łączyło mnie z Robbym Joe, nigdy nie przeżyję z innym mężczyzną. Ale nie liczę na to. Nie wiem nawet, jak to nazwać.

- Pociąg seksualny.
- No właśnie, to wszystko. Nic innego.
- Nie lekceważ znaczenia pożądania dla związku.

Nie zdawali sobie sprawy, że ktoś widział pocałunek i słyszał ich rozmowę, dopóki Rick nie spostrzegł zamykających się drzwi i cienia znikającej pośpiesznie Rene Burke.

- Co się stało? - Jordan uniosła dłoń do jego twarzy. - Słyszałeś coś? - Spojrzała na zamknięte drzwi.

- Drzwi były otwarte - powiedział. - Stała w nich Rene, ale wyszła, kiedy zorientowała się, że nam przeszkadza.

- O, Boże...

- Martwisz się, że nas zobaczyła?

- Nie, a tobie to chyba bardzo na rękę w ramach planu, który wymyśliłeś, żeby złapać w pułapkę zabójcę Dana, prawda?

Rick ujął jej twarz w dłonie i zmusił, żeby spojrzała mu w oczy.

- Ten pocałunek nie miał nic wspólnego z planem. Ma związek wyłącznie z nami.

- Wiem.

- To dobrze. - Pocałował ją w czoło i w policzki.

- Nie możemy więcej dać się ponieść instynktom.

- Ty tu rządzisz. Posuniemy się tak daleko albo tak blisko, jak będziesz chciała. Możemy poprzestać na tym pocałunku, jeżeli tego chcesz.

- To, czego chcę...

Zadzwoił telefon komórkowy Ricka. Zaklął pod nosem.

- Lepiej odbiorę.

Zrobiła krok do tyłu, odsuwając się od niego, a on wyjął telefon z kieszeni i sprawdził, kto dzwoni.

- Mój szef. - Odebrał. - Cześć, Griff, co tam?

- Dokopaliśmy się do informacji, którą pani Price powinna poznać jak najszybciej. Nasze źródła ustaliły tożsamość człowieka, który sprzedał historię o senatorze do „The Chatterbox”.

- Czy jest w to zamieszana Haley McLain? - spytał Rick.

- Nie wiem - odparł Griff. - Ale możesz spytać J. C. Harrisa. „The Chatterbox” zapłacił przyrodniemu bratu pani Price trzysta tysięcy dolarów za informacje, które wykorzystali w artykule o Danielu.

- Wiesz, gdzie teraz jest Harris?

- W Vegas, przepuszcza brudne pieniądze.

- Może powinniśmy wysłać kogoś, żeby go przesłuchał? - spytał Rick. - Kogoś, kto będzie umiał wyciągnąć od niego prawdę?

- Jeżeli Haley McLain była w to zamieszana, może stracić pracę.

- Wiem. Jeżeli to ona namówiła Harrisa, nie powinna pracować w policji.

- Zgoda. Wyślę do Vegas Luke'a Sentella.

- Dzięki. - Rick wsunął telefon do kieszeni i odwrócił się do Jordan, która spokojnie czekała, aż skończy rozmowę. - Historię o Danie, Devonie i tobie sprzedał „The Chatterbox” twój przyrodni brat. Dostał za to trzysta tysięcy dolarów.

- O, Boże, Roselynnę pęknie serce, kiedy się o tym dowie. A Tammy... Rick, żadna z nich nie może się dowiedzieć. Proszę...

Przyglądał się jej zadziwiony, że zamiast wpaść we wściekłość na podłą zdradę brata, martwi się o jego matkę i siostrę.

- Żartujesz?

Zdażyła tylko na niego spojrzeć, bo wziął ją w ramiona i znów pocałował.

28

Dwie ostatnie noce Rick spędził na sofie w sypialni Jordan. Pilnował się, żeby wstawać przed nią i zdążyć wyjść z pokoju, zanim się obudzi, wieczorem czekał, aż położy się do łóżka, i dopiero wtedy wchodził po cichu do sypialni. Po namiętnym pocałunku we wtorkowy wieczór ustalili, że na tym poprzestaną. Rick chciał czegoś więcej i był pewien, że ona też tego pragnie, ale chyba żadne z nich nie wiedziało, co właściwie oznacza to „więcej”. Oczywiście chciał seksu. To chyba rozumie się samo przez się. Ale czy któreś z nich myśli o czymś więcej? Przecież znają się niecały miesiąc, w dodatku poznali się w dniu pogrzebu jej męża. Co prawda Daniel Price był jej mężem tylko na papierze, nie była więc tak naprawdę wdową, która opłakuje stratę ukochanego mężczyzny. Nie zapominaj o dziecku.

Jordan ukrywała ból po stracie dziecka, właściwie nie miała czasu na to, żeby w spokoju przeżywać żałobę. Musiała zmierzyć się z podejrzeniami o morderstwo i z upublicznieniem prawdy o jej małżeństwie. Jak zwykle nie miała wyjścia - musiała zapomnieć o własnych potrzebach i troszczyć się o innych. On nie miał zamiaru się do tego dołączać. Przeciwnie, zamierzał robić to, co jego zdaniem jest dla Jordan najlepsze i trzymać ręce z daleka od niej. Potrzebowała jego ochrony, potrzebowała też tego, by Agencja Powella dowiedziała się, kto zamordował jej męża, co oczyści ją z zarzutów.

Opiekowanie się Jordan z całą pewnością nie oznaczało seksu.

Rick spojrzął na zegarek, kończąc poranny spacer po posiadłości.

Piętnaście po dziesiątej. Wymknął się, zostawiając przy Jordan Niksa Elliotta.

Przebywanie z nią przez dwadzieścia cztery godziny na dobę okazało się trudniejsze, niż przypuszczał. Gdyby chodziło o jakąkolwiek inną kobietę i jakiegokolwiek inne śledztwo, już dawno by się wycofał i zlecił ochronę innemu agentowi. Nigdy nie pozwalał sobie na osobistą więź z klientem i wiedział, że zlekceważył własne zasady.

Jeżeli wydaje ci się, że teraz jest ciężko, poczekaj, aż zaczniecie wprowadzać w życie plan.

Był już przy podjeździe, kiedy usłyszał nadjeżdżający samochód. Obok niego przejechała srebrna corvetta i zatrzymała się przed domem. Rozpoznał wysokiego, szczupłego mężczyznę, który wysiadł ze sportowego samochodu. Był to Derek Lawrence, dawny specjalista FBI od profili, który obecnie podejmował zlecenia jako niezależny detektyw, był autorem sześciu kryminałów i na część etatu pracował dla Agencji Powella.

- Cześć! - Derek Lawrence pomachał Rickowi ręką.

- Myślałem, że najpierw zadzwonisz - powiedział Rick.

- Jadę do Atlanty i Griff zaproponował, żebym po drodze wpadł do ciebie i osobiście przekazał raport. - Derek rozejrzał się dookoła, mierząc wzrokiem posiadłość i rozległy trawnik. - Spokojne miejsce.

- Jadłeś już śniadanie? - spytał Rick.

- Tak, zatrzymałem się w Chattanooga, żeby coś przegryźć.

- Wejdz. Poproszę Jordan i możemy...

- Porozmawiajmy w cztery oczy. Później podzielisz się z panią Price informacjami, które twoim zdaniem powinna znać.

- Co się stało? - Rick spojrzał na Dereka pytająco.

- Mógłbyś mnie oprowadzić po okolicy? Właściwie moglibyśmy się przejść po parku.

- Jasne. Chodź.

Zeszli z werandy. Rick czekał, aż Derek podejmie rozmowę, a intuicja ostrzegała go, że nie spodoba mu się to, co ten uznany specjalista ma do powiedzenia.

- Przejrzałem wszystkie informacje, które przesłał mi Griff, i doszedłem do wniosku, że zabójcą może być albo Jordan Price, albo ktoś, kto zrobiłby dla niej wszystko.

Rick wiedział to już wcześniej. Z początku sam podejrzewał Jordan. Logika podpowiadała mu, że powinna się znaleźć na początku listy podejrzanych.

- Wiem, że powinniśmy umieścić ją na pierwszym miejscu listy podejrzanych. Ale gdybyśmy ją całkowicie wykluczyli, kto byłby drugi?

- Nie wykluczaj jej - powiedział Derek. - Popelnisz błąd.

- Miałeś opracować profil zabójcy...

- To, że nie chcesz, żeby się okazało, że zabójstwa dokonała ta kobieta, nie znaczy wcale, że tego nie zrobiła. - Derek spojrzał na Ricka spode łba, jakby starał się go zrozumieć. - Interesujesz się panią Price nie tylko ze względów zawodowych?

- Nie - odburknął Rick. - Dobra, masz rację, tak. Wiem, że jest główną podejrzaną o zamordowanie męża, a jeżeli inni również zostali zabici, to ona wyciągnęła z tego największe korzyści. Ale gdybyś poznał Jordan, zrozumiałbyś, że nikogo nie zamordowała.

- No dobrze, załóżmy, że to nie pani Price zabiła Dana Price'a, jego była żonę i prawdopodobnie również pierwszego męża, narzeczonego i innych. - Derek spojrzał na dom przez ramię. - Chodźmy dalej. Tam na pewno będziemy sami.

Rick wybrał ścieżkę, która oddalała się od posiadłości. Kiedy znaleźli się w takiej odległości, że nikt w domu ani przy domu nie mógł ich usłyszeć, zatrzymał się.

- Kto jest podejrzanym numer dwa?

- Orientujesz się, na czym polega sporządzanie profilu i dobrze wiesz, że nie jest to nauka ścisła.

- Tak, ale jednocześnie nie jest to wróżenie z fusów. Derek uśmiechnął się.

- Jeżeli faktycznie mamy do czynienia z seryjnym mordercą, musimy zacząć od podstaw. Większość seryjnych zabójców można pogrupować w różne kategorie, w zależności od tego, jak podchodzą do swoich ofiar. Niektórzy gwałcą je lub znęcają się seksualnie. Inni kaleczą. Powiedziałbym, że twój zabójca dokonuje egzekucji. Morderstwo zapewne sprawia mu przyjemność, ale mam wrażenie, że zabijanie jest dla niego środkiem do celu.

- Domyśliłem się. Zabójca jest przekonany, że troszczy się o Jordan, karząc tych, którzy ją krzywdzą, lub eliminując tych, którzy stoją jej na drodze do szczęścia.

Derek skinął głową.

- Jeżeli założymy, że większość mężczyzn, jeśli nie wszyscy, oraz pierwsza pani Price, zostali zamordowani, należy przyjrzeć się każdemu zabójstwu z osobna. Czy każde z nich zostało dokonane z premedytacją i zaplanowane? Wydaje się, że tak, przynajmniej w jakimś stopniu. Co miały ze sobą wspólnego ofiary? Jordan Price. W jaki sposób zostały zamordowane? Każda inaczej, ale w każdym przypadku, poza Jane Anne Price i Jayem Reynoldsem, upozorowano naturalne przyczyny, wypadek lub samobójstwo. Wszystko wskazuje na jedno: ta osoba nie jest standardowym seryjnym zabójcą.

- Dajesz mi lekcję sporządzania profilu dla początkujących. Dlaczego?

- Czasami lubię zabłysnąć wiedzą. - Derek zachichotał.
- A może po prostu nie masz pojęcia, kto zabił Dana Price'a i innych.
- Przedstawię ci profil i zobaczymy, czy go z kimś skojarzysz. Zabójca ma poczucie misji. Morderstwa zdarzały się, kiedy nabierał przekonania, że ofiara w jakiś sposób krzywdzi Jordan. To decydowało o morderstwie. Jeżeli chodzi o to, gdzie je popełniano i w jaki sposób, najważniejsze było to, żeby ofiarę dało się odizolować, a metoda musiała być taka, żeby można było upozorować wypadek.
- Z dwoma wyjątkami - wtrącił Rick. Derek skinął głową.
- Nasz zabójca jest racjonalny i przewidujący. Jedyńm motywem jego działania jest chęć chronienia Jordan. Przyczyną każdego z tych morderstw, niezależnie od tego, czy było ich siedem, czy dwa, jest Jordan.
- Zabójca kocha Jordan.
- Ma obsesję na jej punkcie - sprostował Derek. - Powiedziałbym, że obsesyjnie kocha Jordan. Na niej zaczyna się i kończy jego świat. Potrzebuje jej jak powietrza. Jeżeli zabójcą nie jest Jordan, to znajdź osobę, która się z nią utożsamia. Morderca jest przekonany, że bez Jordan nie przeżyje, i prawdopodobnie wydaje mu się, że Jordan również nie przeżyje bez niego.
- W takim razie dowiedziałem się dwóch rzeczy: po pierwsze, nie zawęziłeś kręgu podejrzanych, po drugie, mamy do czynienia z kimś, kto jest psychicznie chory.
- Zabójca prawdopodobnie sprawia wrażenie normalnego - wyjaśnił Derek.
- Prowadzi w miarę zwyczajne życie, jak przeciętny człowiek. Można być podłym, nie będąc nienormalnym.
- Przeczytałeś informacje o każdym możliwym sprawcy. Czy kogoś oznaczyłbyś czerwoną flagą?

- Mam wrażenie, że ludzie z otoczenia pani Price są jej bardzo oddani - macocha i przybrana siostra, w pewnym stopniu przybrany brat. Nie wykreślałbym J. C. Harrisa, ale umieściłbym go na końcu listy podejrzanych. Tammy Harris może mieć obsesję na punkcie Jordan. Jest zachwycona tym, że jest jej siostrą, i utożsamia się z nią, ale i ona nie znalazłaby się na początku mojej listy, bo nie jest tak bystra, żeby tyle razy zatuszować morderstwo. Z trojga członków jej rodziny największe podejrzania padają na Roselynnę.

- A Rene, Devon i Darlene?

- Rene jest bystra, przewidująca. Jest najlepszą przyjaciółką Jordan.

Zatrzymałbym ją na liście razem z Roselynnę i Darlene Wright.

Pani Wright sprawia wrażenie całkowicie oddanej Jordan. Możliwe, że jej oddanie przerodziło się w którymś momencie w obsesję.

- Zapominasz o Devonie Markhamie.

- Nie zapomniałem. - Derek pokręcił głową. - Po prostu najlepszy kasek zostawiłem na koniec. Umieściłbym go na początku listy. Zna Jordan dłużej od innych. Kocha ją jak siostrę, być może jak drugą połowę siebie. Ona też zawsze go kochała, chroniła, broniła i poświęcała się dla niego od dziecka. Można sobie wyobrazić, że dla niej posunąłby się do wszystkiego, ona dla niego również. Włącznie z zabójstwem.

A zatem Devon znalazł się na początku listy podejrzanych. To Devo-na Jordan kochała najbardziej, ufała mu i nigdy nie uwierzyłaby, że jest winny.

- Zgadza się - przyznał Rick. - Ale po co Devon miałby zabijać Dana Price'a? Byli kochankami. Od dwunastu lat łączył ich bliski związek.

- Z tego samego powodu, z jakiego mężczyźni zabijają żony, a kobiety mężów. Zdrada. Pieniądze. Wolność. Zdarzają się też wpadki, że ktoś zabija

śmiertelnie chorego współmałżonka, który cierpi. Jeżeli Devon Markham wiedział, że jego kochanek choruje na Alzheimera...

- Nie wiedział. W zasadzie poza lekarzem senatora, nie wiedział o tym nikt.

- W zasadzie - podkreślił Derek. - Dowodem jest tylko słowo każdej z osób, że Dan Price nie podzielił się z nimi tą informacją. A przecież gdyby komukolwiek miał powiedzieć o diagnozie, to chyba partnerowi?

Rick skinął głową. Właściwie miał nadzieję, że profile Dereka rzucą cień podejrzeń na kogoś innego niż Devon. Fakt, że ktoś z rodziny lub przyjaciół Jordan jest winny zbrodni, złamałby jej serce, ale gdyby okazało się, że to Devon, będzie zdruzgotana.

- Czy Griff mówił ci, że postanowiliśmy zastawić na zabójcę pułapkę? - spytał Rick.

- Wspominał o tym.

- I?

- Może się udać. Ale musisz wiedzieć, że prawdopodobnie ryzykujesz życie. Poza tym nie wiadomo, czy zabójca połknie haczyk. Zakładając, że zabójcą jest Devon.

- Ty uważasz, że tak.

- To możliwe, zwłaszcza jeżeli ma naturę kobiety.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Z początku doszedłem do wniosku, że zabójcą jest kobieta, ale odrzuciłem to założenie, kiedy zorientowałem się, że wszystkie pozostałe kryteria spełnia Devon Markham. Moim zdaniem to najbardziej podejrzana osoba z całej szóstki, którą mi przedstawiłeś. Ale nie możesz skreślić pozostałych, zwłaszcza Roselynne, Rene i Darlene.

- Kiedy poprosiłem Roselynnę o zgodę na ekshumację zwłok męża, odmówiła. Może nie chciała, żeby ktokolwiek się dowiedział, że atak serca, na który zmarł, nie był zwykłym atakiem serca, ale zabójstwem?

- Mimo wszystko, Roselynnę chyba stara się pomóc udowodnić, że pani Price nie jest winna żadnej zbrodni. A Darlene Wright? Ona też odmówiła zgody na ekshumację zwłok swojego syna?

- Nie. Prawdę mówiąc, Jordan poprosiła mnie, żebym jej o tym nie mówił.

- Zapytaj ją mimo wszystko i zobacz, co odpowie. Jeżeli zgodzi się na ekshumację i na przeprowadzenie sekcji zwłok, będzie to oznaczać, że ani ona, ani Jordan nie mają nic do ukrycia.

- Powinienem ją spytać. Ale Jordan jest naszą klientką, a Agencja Powella z zasady robi to, czego żąda klient.

- Wydaje mi się, że wynajął cię Ryan Price? Jordan Price przyłączyła się już po fakcie.

- Tak, ale tak samo jak Ryanowi zależy jej, żeby dowiedzieć się prawdy.

- A Ryan Price?

- Co: Ryan Price? - spytał Rick.

- Nie ma go na twojej liście podejrzanych. Dlaczego?

- Przede wszystkim, wynajął nas, żebyśmy udowodnili, że senator nie popełnił samobójstwa. Gdyby zabił brata, nie kwestionowałby chyba opinii lekarza sądowego? Poza tym nie zna Jordan od tak dawna, żeby mieć cokolwiek wspólnego z innymi zgonami.

Derek zgodził się z Rickiem.

- Jeżeli chcesz mieć szczegóły na piśmie, mogę ci wszystko wysłać mailem - powiedział Derek. - Muszę jechać. Przed pierwszą powinienem być w Atlancie. Griff ma mój numer i jeżeli cokolwiek mogę jeszcze zrobić, dajcie mi znać.

Rick odprowadził go do samochodu, uściskał mu rękę i podziękował. Teraz, mając opinię specjalisty od profili przestępców, która w dodatku pokrywała się z jego opinią, czuł się pewniej w związku z planem zastawienia pułapki na zabójcę Dana Price'a. Musiał tylko przekonać bezwzględnego mordercę, że on, Rick Carson, stanowi zagrożenie dla Jordan.

Zaczął działać jeszcze tego samego dnia. Po kolei przesłuchiwał każdego z podejrzanych pod pozorem, że chce pomóc Jordan. Wszystkim, zaczynając od Roselynn, mówił to samo i zadawał te same pytania. Roselynn broniła Jordan i nawet zwymyślała go za to, że kwestionuje jej niewinność, a później, niemal jednym tchem, zachęciła go do romansu z Jordan.

- Czujesz coś do mojej córki - stwierdziła. - A ja, jako jej mama, pozwalam ci zabrać się do dzieła. Wiem, ktoś mógłby powiedzieć, że to nieodpowiednia pora, ale Bóg jeden wie, jak bardzo Jordan potrzebuje prawdziwego mężczyzny.

Choć niemal wprost powiedział Roselynn o swoim przekonaniu co do winy Jordan, widziała w nim jej potencjalnego kochanka, a nie jej oprawcę.

Nieco lepiej poszło mu z Rene, która wrzeszczała, nie przebijając w słowach.

- Jak możesz myśleć, że Dana zabiła Jordan? I Boyda? A nawet Robby'ego Joe? Chyba zdążyłeś ją poznać nieco lepiej. Myślałam, że ci na niej zależy. O co chodzi? Udajesz jej przyjaciela, bo chcesz ją zmusić, żeby przyznała się do winy? Zapomnij o tym. Jordan nie jest morderczynią!

Przesłuchanie Devona przypominało chodzenie po linie. Rick chciał, żeby Devon odniósł wrażenie, iż podejrzewa Jordan o zabójstwo Dana, byłej żony Dana, jej pierwszego męża i wszystkich innych również, chociaż w cichości ducha uważał, że to Devon może być sprawcą zbrodni.

- Widziałem, jak patrzysz na Jordan - powiedział Devon. -I jak się zachowujesz, kiedy z nią jesteś. Zależy ci na niej, nie wierzę, że udajesz. Jak możesz podejrzewać, że byłaby zdolna do zamordowania siedmiu osób?

- Nie chcę o tym myśleć - odparł Rick. - Ale wszystkie dowody na nią wskazują. Nikt inny nie miał powodu. Tylko Jordan. Jeżeli rzeczywiście to ona zabiła Dana i innych, potrzebuje pomocy. Jako jej najdawniejszy i najlepszy przyjaciel, powinieneś chcieć poznać prawdę i jeżeli jest winna, zapewnić jej pomoc, której potrzebuje.

- Czy Jordan wie, że w dalszym ciągu ją podejrzewasz? Mój Boże, ona ci ufa, a ty ją zdradzasz!

Rozmowa z Devonem zakończyła się nagle. Wyszedł wściekły z pokoju, a jego oczy miały gromy. Jeżeli Rick chciał wkurzyć Devona, osiągnął swój cel.

Troje z głowy, jedna przed nim.

Zastał Darlene samą w kuchni. Siedziała przy stole pod oknem z filiżanką herbaty w dłoń.

- Dzień dobry - powiedział, podchodząc do niej.

- Dzień dobry, panie Carson. - Uśmiechnęła się.

- Mogę się przysiąść?

- Ma pan ochotę na herbatę?

- Nie, dziękuję. Ale chciałbym z panią porozmawiać, jeżeli ma pani czas.

- Niech pan siada.

Usiadł przy stole naprzeciwko niej.

- Chce pani pomóc Jordan, prawda?

- Oczywiście.

- Wie pani, że uważa się ją za główną podejrzaną w sprawie morderstwa Dana Price'a?

- Tak, wiem, chociaż to śmieszne.

- Niektórzy twierdzą, że zamordowała nie tylko senatora, ale też pierwszego męża, ojca, byłego szefa, a nawet pani syna.

- Chyba wiem, do czego pan zmierza. - Przyjrzała mu się badawczo. - Roselynn powiedziała mi, że poprosił ją pan o zgodę na ekshumację Wayne'a Harrisa i przeprowadzenie sekcji zwłok.

- Odmówiła - odparł Rick. - A przecież, gdyby sekcja wykazała, że pan Harris zmarł z przyczyn naturalnych...

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. I jestem pewna, że Robby Joe zmarł na skutek obrażeń, które odniósł w wypadku.

- Gdybyśmy mogli udowodnić...

- Możecie - odparła Darlene. - Po wypadku kazałam przeprowadzić dokładne badanie szczątków samochodu. Chciałam pozwać producenta, gdyby okazało się, że wypadek był spowodowany usterką. Ale nie był. Widzi pan, wbrew temu, co pan podejrzewa, nie doszło do manipulacji.

- Ma pani tę opinię? - spytał Rick.

- Tak. Jeśli pan myśli, że Robby'emu Joe ktoś podał narkotyki albo truciznę i dlatego doszło do wypadku, albo że wypadek był upozorowany, sekcja zwłok udowodni, że tak nie było, mam rację?

- Tak, *madam*.

- W takim razie ma pan moje pozwolenie na ekshumację ciała Robby'ego Joe i przeprowadzenie sekcji zwłok.

- Nie! - krzyknęła Jordan.

Odwrócili się i zobaczyli ją stojącą w progu z przerażeniem na twarzy.

- Ależ tak - zaprotestowała Darlene. - Nie zabiłaś ani Dana, ani nikogo innego. A już na pewno nie Robby'ego Joe. Jeżeli w ten sposób udowodnimy, że nie został zamordowany, to niech robią sekcję.

- Nie musisz się na to zgadzać. - Jordan weszła do kuchni, obrzucając Ricka spojrzeniem pełnym złości.

- Chyba prosiłam, żebyś jej o tym nie wspominał. Byłam pewna, że zrozumiałeś...

- Nie wiń pana Carsona. - Darlene wstała i wyciągnęła rękę do Jordan. - Nie prosił mnie. Sama wyszłam z inicjatywą, bo chcę ci pomóc i Robby Joe też chciałby, żebyśmy to zrobiła.



W ciągu kilku następnych dni Rick zrozumiał coś, co wyczuwał w Jordan od kilku tygodni. Miała niewiarygodną zdolność ukrywania prawdziwych uczuć. Chociaż od zeszłego czwartku była na niego zła i obrażona, odgrywała swoją rolę w scenariuszu. Tylko kiedy byli sami, prawie się do niego nie odzywała. Znosił ten chłód, chociaż go wkurzała. Nie mógł sobie poradzić z wątpliwościami. Zmartwiło go, że sprzeciwia się ekshumacji zwłok Robby'ego Joe Wrighta. Czyżby miała coś do ukrycia? Bała się, że sekcja może wykazać, iż Robby Joe był pod wpływem narkotyków albo trucizny?

Kiedy Devon dowiedział się, że Darlene udzieliła Agencji Powella zgody na wykopanie trumny syna, zareagował tak, jak Rick przypuszczał - zjadłą wrogością wobec Ricka. Ale Jordan, zaangażowana w plan schwytania zabójcy Dana, broniła Ricka przed Devonem i innymi, udając, że stoi po jego stronie.

Biorąc pod uwagę niechęć, z jaką Jordan przyjęła pomysł ekshumacji zwłok narzeczonego i jej oddanie Devonowi, zastanawiał się, czy to możliwe, że wiedziała albo podejrzewała, iż Devon zabił Robby'ego Joe i Dana? Czyżby przez te wszystkie lata za każdym razem go kryła?

Nie chciał wierzyć ani w to, że jest zdolna do morderstwa, ani w to, że chroniłaby przyjaciela, wiedząc, że jest mordercą.

Możliwe, że sprzeciwiła się ekshumacji tylko dlatego, że jej zdaniem będzie to ciężkie przeżycie dla Darlene.

Chciał jej wierzyć. Boże, tak bardzo chciał jej wierzyć...

Mając pozwolenie Darlene Wright, Agencja Powella uruchomiła machineę prawną, żeby móc zabrać z cmentarza trumnę ze szczątkami Robby'ego Joe i przewieźć ją do laboratorium w Knoxville. Darlene poprosiła jedynie o to, by

pozwolono jej być przy ekshumacji i żeby przed ponownym pochówkiem odprawić nabożeństwo w kaplicy pogrzebowej.

Rick nie rozumiał, dlaczego chce patrzeć, jak jest wykopywana trumna ze zwłokami jej syna. Ale skoro tego chce, niech będzie. Przypuszczał, że Jordan nie ma ochoty w tym uczestniczyć, ale wiedział, że nie pozwoli Darlene iść na cmentarz samej.

Gdyby miał choć cień nadziei, że to poskutkuje, starałby się wybić jej to z głowy, ale zdążył się już przekonać, że kiedy w grę wchodzi rodzinne powinności, Jordan jest nieprzejednana. Na próżno strzepiłby sobie język.

Kiedy Jordan i Rene przeglądały poranną wtorkową pocztę, Rick zostawił na straży przy wejściu Niksa Elliotta, a sam zrobił sobie przerwę. Doszedł do wniosku, że Jordan nie grozi prawdziwe niebezpieczeństwo, bo telefony i listy z pogrózkami miały na celu jedynie to, żeby zdjąć z niej podejrzenia. Całodobowa ochrona stanowiła obecnie element śmiertelnej gry, w której brali udział.

Kiedy byli sami, dzielił ich zimny mur milczenia, jaki postawiła między nimi Jordan. Z każdym dniem martwiło go to coraz bardziej. Jordan doskonale o tym wiedziała.

Wszedł do kuchni, żeby nalać sobie kubek kawy, i właśnie wtedy zadzwonił jego telefon. Zobaczył, że to Griff Powell, i natychmiast odebrał.

- Ekshumacja załatwiona - oznajmił Griff, nie bawiąc się w powitania ani grzecznościowe zwroty. - Dziś po południu, o wpół do czwartej.

- Tam się jedzie czterdzieści pięć minut - powiedział Rick. - Cmentarz jest prywatną własnością rodziny, leży na wsi, na ziemi, która od pokoleń należy do rodziny pani Wright.

- Zapewne nie udało ci się odwieść pani Wright od tego, żeby być przy wyciąganiu trumny?

- Nie. Zabieram ją, Jordan i Devona Markhama na cmentarz.

- Ciało od razu zostanie przewiezione do Knoxville, do laboratorium.

Sprowadziliśmy dwóch emerytowanych lekarzy sądowych, żeby nadzorowali sekcję zwłok, którą przeprowadzi nasz lekarz. Poprosiłem, by potraktowali sprawę jako pilną. Mam nadzieję, że wyniki dostaniemy w ciągu kilku dni, a nie tygodni.

- Im szybciej, tym lepiej - powiedział Rick. - Pani Wright upiera się, by przed ponownym pochówkiem odprawić nabożeństwo. Już zamówiła nową trumnę w zakładzie pogrzebowym. Myślę, że drugi pogrzeb to marny pomysł, bez względu na to, jak cichy i skromny miałby być. Będzie to trudne doświadczenie dla Jordan i pani Wright.

- Jeżeli sekcja zwłok wykaże obecność czynników, takich jak leki, trucizna czy obrażenia inne niż spowodowane wypadkiem samochodowym, który doprowadził do śmierci Robby'ego Joe, Agencja Powella będzie musiała przekazać tę informację odpowiednim władzom.

- Tak, wiem.

- Uważaj na siebie - przypomniał mu Griff. - Jesteś przynętą. Jeżeli zabójca weźmie sobie ciebie na cel, znajdziesz się w nieciekawym położeniu, bo nie masz pewności, kto nim jest ani kiedy zaatakuje.

Obserwowała, jak stał na patio z telefonem komórkowym przy uchu. Z kim rozmawia? Z szefem? A może zadzwonił do niego ktoś ze szpitala, żeby przekazać informacje na temat Maleah Perdue, która jutro ma zostać wypisana do domu? Może dzwoni do niego jakaś kobieta, z którą kiedyś był? Jest dość przystojny i potrafi być czarujący. Miał zapewne wiele kobiet.

Chociaż wiedziała, że nikt nigdy nie zastąpi Jordan Robby'ego Joe, mogą ją skusić barczyste ramiona i przenikliwie brązowe oczy. Przecież jest tylko

człowiekiem. Ale Jordan na pewno wie, że Rick Carson jest taki sam jak inni mężczyźni.

Nie można mu ufać.

Jordan wiedziała, że Carson nie zasługuje na zaufanie, a jednak, nie wiadomo dlaczego, pozwoliła mu wprowadzić się do swojej sypialni. Twierdziła, że śpi na sofie, i nie miała powodu jej nie wierzyć. Ale było dla niej oczywiste, że żywi wobec Ricka uczucie. Czyżby doświadczenia życiowe niczego jej nie nauczyły? Nie jest jej przyjacielem. Czy ona tego nie widzi? Obdarza zaufaniem niewłaściwą osobę, oddaje swoje życie w nieodpowiednie ręce.

Powinna już wiedzieć, że zajmę się wszystkim, jak zawsze. Będę ją chronić, bez względu na cenę. Będę ją chronić nawet przed nią samą.

On cię nie kocha, Jordan. Być może pragnie twojego ciała, ale seks to nie to samo, co miłość. Dlaczego nie widzisz jego prawdziwego oblicza? Wykorzystuje cię. Rzuci cię, kiedy mu się znudzisz. Złamie ci serce.

Jeżeli go nie powstrzymam.

Cmentarz Jernigan leżał na wzniesieniu za miasteczkiem Jernigan Crossroads w Georgii. Z trzech stron otaczały go zielone łąki, od północy graniczył z gęstym lasem. Najstarszy grób pochodził z 1812 roku. Darlene poinformowała ich, że pod kamiennym nagrobkiem spoczywa małżeństwo przodków od strony ojca, jedna z pierwszych rodzin, która osiedliła się na tym terenie.

- Jernigan Crossroads zostało tak nazwane od Ezekiela Jernigana - powiedziała Darlene, najwyraźniej dumna z rodzinnej przeszłości.

Po drodze z Priceville niebo pociemniało i zebrały się deszczowe chmury, ale nie spadła na ziemię ani jedna kropla. Jordan miała nadzieję, że deszcz spadnie dopiero po ekshumacji.

Minał już ponad rok, odkąd była z Darlene na rodzinnym cmentarzu, gdzie pochowano Robby'ego Joe. Zwykle przyjeżdżały tu raz do roku, w Dniu Matki, bo w tym dniu, zgodnie ze zwyczajem na Południu, przystrajało się groby. W tym roku zamówiły kwiaty, ale same nie pojechały, ponieważ prasa śledziła każdy krok Jordan. Nawet dzisiaj czekało tu na nich kilku dziennikarzy, którzy jakimś cudem dowiedzieli się o ekshumacji.

- Jesteś pewna? - Jordan szepnęła Darlene do ucha. - Jeżeli zmieniłaś zdanie...

- Nie zmieniłam. Sekcja zwłok udowodni, że śmierć Robby'ego Joe była wynikiem wypadku. - Chwyciła Jordan za rękę. - A co do mojej dzisiejszej obecności tutaj... Muszę tu być. Czuję, że dzięki temu Robby Joe zrozumie, że nie zakłóciłabym mu wiecznego spoczynku z błahego powodu.

Jordan z trudem przełknęła ślinę i postanowiła, że będzie silna. Podczas corocznej wizyty na grobie Robby'ego Joe Darlene zawsze płakała. Ona nigdy.

Rick zatrzymał mercedesa za samochodem policyjnym, zaparkowanym na żwirowej alejce okalającej cmentarz. Elegancki młody funkcjonariusz, który opierał się o maskę, stanął na baczność.

- Nie wysiadajcie, zobaczę, czy uda mi się przegonić tych pismaków. - Rick otworzył drzwiczki samochodu.

- Poczekaj - zawołała Jordan. - Nie odjadą tylko dlatego, że im każesz, a na razie się na nas nie rzucają, nie prowokuj scen. - Dobrze. Jak chcesz.

Jak chcę? Nie chcę tu być. Nie chcę patrzeć, jak wielka, głośna koparka z każdym ruchem coraz głębiej będzie się wbijała w ziemię, aż odkopie trumnę. Nie chcę widzieć trumny. Tam są tylko szczątki jego ciała. Opuścił mnie na zawsze. Jest w lepszym miejscu. Tak chyba powiedział duchowny podczas pogrzebu. Dusza Robby'ego Joe jest teraz w niebie.

- Czekaają na pani wypowiedź, pani Wright - powiedział Rick, otwierając tylne drzwi, i podał jej rękę, żeby pomóc wysiąść.

Spojrzała na niego oczami mokrymi od łez i chwyciła go za rękę.

- Dziękuję.

Jordan wysiadła z samochodu bez pomocy Ricka - nie chciała trzymać go za rękę. Devon wysiadł ostatni i natychmiast objął ją w pasie. Na to się godziła, na Ricka - nie. Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego czuje, to co czuje, ale w pewnym sensie wydawało jej się, że obecność Ricka jest nie na miejscu. Nie była pewna, co do niego czuje, ale nie miała wątpliwości, że czuje coś silnego, miała nawet wrażenie, że to uczucie jest zdradą miłości do Robby'ego Joe.

- Pójdę z Darlene - powiedział Devon. - Ty powinnaś zostać.

- On ma rację - przytaknęła Darlene.

- Moje miejsce jest przy tobie - oznajmiła Jordan. - Nie pozwolę, żebyś przechodziła przez to sama.

Rick kątem oka zauważył, że spogląda w jego kierunku. Dość szybko uporała się ze złością, którą czuła z początku, ale przynajmniej częściowo winiła go za to, że muszą tu dziś być.

- Niech im pan powie, żeby zaczynali - poprosiła Darlene. Skinął głową i zamienił słowo z funkcjonariuszem, który uniósł dłoń, dając sygnał robotnikom. Warkot silnika małej koparki zburzył łagodną ciszę, w której pograżony był cmentarz. Przestraszone hałasem ptaki poderwały się z gałęzi pobliskich drzew i całym stadem wzbily się w niebo.

Jordan przysunęła się do Darlene, wyciągnęła dłoń i chwyciła ją za rękę. Stały razem i przyglądały się, jak łyżka maszyny zanurza się w grobie, wybiera piach i przerzuca go za nagrobek. Czarna żyzna ziemia Georgii wykopywana była łyżka po łyżce. Darlene łkała po cichu, jej drobne ramiona drżały. Jordan

było bezgranicznie żal matki Robby'ego Joe. Wydawało się, że Darlene przeżywa ból związany z jego stratą równie silnie, jak w dniu, kiedy go pochowała. Ale z Jordan było inaczej. Dziwne, dopiero teraz pojęła, że przez ostatnich kilka lat skupiała się tylko na tym, jak pocieszyć Darlene, a ani razu nie pomyślała o własnym bólu i wielkiej stracie.

Kochała Robby'ego Joe z młodzieńczą namiętnością. Wiele marzeń splotło się w fantazję o życiu, które mieli dzielić. O ich domu. Dzieciach.

Uczuciowo uwięziona w przeszłości wraz ze swoją pierwszą miłością, dwukrotnie wyszła za mąż, chociaż żadnego z mężów nie kochała tak, jak powinna kochać żona. Oba małżeństwa zawarła, wierząc, że dzięki temu zdoła się uchronić przed kolejnym ciosem. Ale zamykając się na ból, zamknęła sobie również drogę do radości.

Robby Joe, kochałam cię. Część mojego serca zawsze będzie należeć do ciebie.

Silnik koparki ucichł. Upiorna cisza kłuła w uszy w ciepłym, wiosennym wietrze. Do wykopanego dołu w ziemi podeszło dwóch mężczyzn z łopatami, którzy usunęli ostatnią warstwę piachu przykrywającego trumnę. Odsunęli się na bok, a ze żwirowej ścieżki na gęstą, zieloną trawę wjechał mały dźwig, który zatrzymał się przy otwartym grobie.

Darlene załkała cicho. Jordan ścisnęła jej dłoń.

Do wyciągniętej na trawę zapiaszczonej, naznaczonej czasem trumny podeszło czterech mężczyzn, którzy czekali przy wielkiej, czarnej furgonetce stojącej obok koparki.

- Załadują trumnę do furgonetki i przewiozą ją bezpośrednio do laboratorium Powella w Knoxville - wyjaśnił Rick.

Darlene wyrwała się Jordan i podbiegła do trumny. Położyła drżącą dłoń na wilgotnym, wyblakłym wieku.

- Robimy to dla Jordan. Zaopiekowałam się nią za ciebie, a ona zaopiekowała się mną. Wybacz nam, że zakłócamy ci spokój. Obiecuję, że niedługo sprowadzimy cię tu z powrotem i znów spoczniesz w pokoju.

Jordan powoli podeszła do Darlene. Stała przy niej i delikatnie pogłaskała ją po plecach.

- Możemy już iść?

Darlene zdjęła dłoń z trumny, spojrzała na Jordan i skinęła głową.

Jordan chwyciła Darlene za rękę i poczuła mokrą, ziarnistą ziemię, która przylgnęła do dłoni i palców niedoszłej teściowej.

Po kręgosłupie dziewczyny przebiegł dziwny, przenikliwy dreszcz.

Zanim zdążyli dojść do mercedesa, który kiedyś należał do Dana, w stronę Jordan ruszyli dwaj fotoreporterzy, którzy podczas ekshumacji robili zdjęcia. Rick pomógł Darlene i Jordan wsiąść na tylne siedzenie samochodu i razem z Devonem zagrodzili im drogę.

- Chcielibyśmy zadać kilka pytań pani Price - powiedział jeden z nich.

- To niemożliwe - odpowiedział Rick.

- To może pan nam odpowie, panie Markham? - spytał drugi dziennikarz. - Ma pan okazję przedstawić swoją wersję zdarzeń.

- Proszę wsiąść do auta - nakazał Devonowi Rick.

- Czy to pan wszystkim dyryguje, panie Carson? Czy pani Price i pan Markham słuchają pańskich poleceń?

- Zostawcie nas w spokoju! - krzyknął Devon. - Nie macie prawa nas nękać!

Rick stanął między nim a dziennikarzami. Odwrócił głowę na bok i powtórzył polecenie.

- Do auta. Natychmiast.

Devon zamarł, a później cofnął się, otworzył drzwi od strony kierowcy, wsiadł, i nie zamykając drzwi, przesunął się na fotel pasażera.

- Może pan nam powie, o co tu chodzi, panie Carson? - spytał zaczepnie młodszy z dziennikarzy z pewną siebie miną. - Dlaczego wykopaliście Robby'ego Wrighta?

- Czy Agencja Powella przeprowadzi niezależną sekcję zwłok? - Drugi dziennikarz, krępy mężczyzna w średnim wieku, uniósł aparat i zrobił Rickowi zdjęcie. - Niech pan powie, jak to jest być ochroniarzem czarnej wdowy? Biorąc pod uwagę jej przeszłość, nie obawia się pan, że stanie się kolejną z wielu ofiar?

- Jakiś problem? - Do dziennikarzy podszedł młody policjant.

- Żadnego - odpowiedzieli jednocześnie i odsunęli się od samochodu.

- Nie mam nic do powiedzenia - oznajmił Rick. - Pani Price i pan Markham też nie. - Wsiadł za kierownicę i zatrzasnął drzwi.

Dziennikarze pstrykali fotki samochodu, pustego grobu, koparki i trumny ładowanej do furgonetki.

Rick uruchomił silnik, wycofał się i objechał samochód policyjny i maszyny, blokujące drogę.

- Niech nas pan stąd zabierze - odezwał się Devon.

- Spokojnie - pocieszył ich Rick. - Najgorsze za nami. Nieprawda. Tak mu się tylko wydaje. Jordan wiedziała, że najgorsze dopiero przed nią.

Jordan zorientowała się, że drzwi do sypialni zostawiła szeroko otwarte dopiero wtedy, kiedy usłyszała głos Rene.

- Co robisz?

Ściskając przezroczysty pokrowiec na ubrania, który przed chwilą wyjęła z szafy i przewiesiła sobie przez ramię, odwróciła się do przyjaciółki.

- Coś, co powinnam zrobić już dawno.

- To chyba twoja suknia ślubna? - Rene weszła do sypialni.

- Jedna z trzech. Nie zapominaj, że miałam trzy.

- Ale tylko jedną taką wyjątkową, zupełnie jak suknia księżniczki. - Rene przyjrzała się satynowej sukni. - Kiedy brałaś ślub z Boydem, miałaś na sobie prostą kremową sukienkę do kolan, a wychodząc za Dana, włożyłaś beżową garsonkę.

- Masz dobrą pamięć.

- Przecież na obu ślubach byłam twoją druhną.

- Robię mały remanent w garderobie i pomyślałam, że zacznę od tego. -

Jordan uniosła pokrowiec. - Powinnam się jej pozbyć wiele lat temu - dać komuś albo nawet wyrzucić.

Ich uwagę zwróciło głośne westchnienie. W drzwiach stała Darlene, szeroko otwierając oczy ze zdumienia. Zza niej wyglądała Roselynn. Poklepała Darlene po plecach, żeby się przesunęła.

- Wpadłam na nią na korytarzu - wyjaśniła Roselynn. - Przyszłam zobaczyć, jak się czujesz. Wszyscy się o ciebie martwimy, po prostu wszyscy.

- Nic mi nie jest - odparła Jordan. Spojrzała w oczy Darlene, a później na suknię, którą trzymała. - Przepraszam. Nie myśl, że ta suknia nie ma dla mnie

wyjatkowego znaczenia. Ma, od dnia, kiedy pomogłaś mi ją wybrać. Ale... właśnie w tym problem. Przez te wszystkie lata znaczyła dla mnie zbyt wiele. Związałam się z nią tak, jak z Robbym Joe.

- Nie ma nic złego w tym, że człowiek przywiązuje się do dobrych wspomnień - zauważyła Roselynne. - Ten chłopak był twoją miłością. Powinnaś zatrzymać suknię.

- Może jednak nie powinna. - Rene wyciągnęła rękę i przesunęła palcami po zamku. - Czas się jej pozbyć. Mogę ją wziąć, spakować do kartonu i wynieść na strych.

Jordan zawahała się. Zrób to. Postaw pierwszy krok, chociaż jest trudny. Spojrzała na Darlene.

- Nic się nie stało, skarbie. Wiedziałam to już dzisiaj, na cmentarzu.

- Co wiedziałaś? - spytała Roselynne.

- Dziękuję, Darlene. - Jordan uśmiechnęła się.

- Nic nie rozumiem - stwierdziła Roselynne. - Czy dziś na cmentarzu coś się wydarzyło, kiedy wykopywaliście trumnę?

- Nic, co mogłabyś zrozumieć - odparła Darlene, a potem odwróciła się i wyszła.

- Dziękuję, że mi pomagasz. - Jordan podała suknię Rene. - Trochę mi lżej, że nie muszę robić tego sama.

- To nic takiego. - Rene wzięła pokrowiec, przewiesiła sobie przez ramię i pochyliła się, żeby pocałować Jordan w policzek. - Nie przejmuj się tym, że pora nie jest najodpowiedniejsza, i nie zawahaj się chwycić szczęścia pełnymi garściami.

Rene szybko wyszła z pokoju. Jordan chciała pójść za nią, ale Roselynne chwyciła ją za ramię i zatrzymała w progu.

- Nie - powiedziała krótko.

- Wszystko w porządku, pani Price? - spytał Nix Elliott, który stał na straży przy drzwiach.

- Tak - odparła Jordan. Przyglądała się, jak Rene przystaje na korytarzu, unosi pokrowiec i wtula w niego twarz. - Widzę, że przez te wszystkie lata nie tylko ja i Darlene opłakiwałyśmy Robby'ego Joe.

- Nigdy nie byłam pewna, kogo kocha bardziej, ciebie czy Robby'ego Joe. - Roselynn objęła Jordan ramieniem i wprowadziła ją z powrotem do sypialni.

- Udawała, że nie ma nic przeciwko temu, że się z nim umawiam.

Wyprawiła nam nawet przyjęcie zaręczynowe. Boże, jakie to musiało być dla niej trudne. Kochała go, a ja nie miałam o tym pojęcia. A kiedy zginął...

Dlaczego wtedy tego nie widziałam?

- Z dwóch powodów. Po pierwsze, byłaś tak pogrążona w żałobie i skupiona na pocieszaniu Darlene, że nie zdawałaś sobie sprawy, że cierpi jeszcze ktoś oprócz ciebie. A po drugie, Rene prawie tak dobrze jak ty umie skrywać to, co czuje.

- Najwyraźniej jest ode mnie lepsza. Naprawdę nie miałam pojęcia, że była zakochana w Robbym Joe, że ciągle...

- Ona go już nie kocha, jeżeli o tym myślisz. To, co przed chwilą widziałas, to tylko nostalgia. - Roselynn delikatnie pogłaskała Jordan po twarzy. - Ty też nie jesteś już w nim zakochana. Od dawna. Tyle że o tym nie wiedziałas. Ale pojawił się ktoś, dzięki komu w końcu to zrozumiałas. A tym kimś jest chyba Rick Carson?

- Rick mnie pociąga, ale...

- Uważaj, dziewczynko. - Roselynn znów poklepała ją po policzku. - Dopiero co pochowałas męża, poroniłas dziecko, o twoim życiu dowiedział się

cały świat, jesteś podejrzewana o morderstwo i wreszcie pożegnałaś się ze swoją pierwszą miłością. Nie czas teraz na głupoty. Rick Carson jest niczego sobie i założę się, że wie, jak zadowolić kobietę, ale ja bym mu nie ufała.

- Czy kiedykolwiek ci podziękowałam? - Jordan przytuliła macochę.

- Za co?

- Za to, że nie okazałaś się złą macochą. Tego się bałam, kiedy tata się z tobą ożenił.

Roselynnę roześmiała się rubasznym i hałaśliwym śmiechem.

- Podziękowałaś mi sto razy, troszcząc się o mnie, o Tammy, a nawet o J.C.

- Odzywał się ostatnio? - spytała Jordan.

Nie chciała, żeby Roselynnę dowiedziała się, że J. C. sprzedał „The Chatterbox” tajemnice na temat jej małżeństwa i homoseksualizmu Dana. Pękłoby jej serce.

- Dzwonił kilka dni temu z Las Vegas. Dostał tam pracę, która bardziej mu się podoba niż ta w kasynie w Biloxi.

- To dobrze. Mam nadzieję, że mu się uda.

- Ja też. - Roselynnę uśmiechnęła się. Machnęła ręką w stronę drzwi. -

Muszę wracać do domu, zanim lunie deszcz. Zanosi się na oberwanie chmury.

- Do zobaczenia jutro.

- Jasne. - Roselynnę obejrzała się za siebie. - Aha, jeszcze jedno. Nie musisz całkowicie ufać mężczyźnie, żeby skorzystać z tego, co ma do zaoferowania. Tylko pamiętaj, żebyś się nie zakochała i żeby nie złamał ci serca.

Jordan nie odpowiedziała. Nie było sensu zaprzeczać, że Rick Carson na nią działa. Nie przypuszczała, że kiedyś jeszcze poczuje coś podobnego. Okazało się, że wszystkie tłące się w niej uczucia, które starała się pochować razem z Robbym Joe, tak naprawdę wcale nie umarły wraz z nim. Ze strachu tłumiała je

przez ponad dwanaście lat. Myślała, że jeżeli wyrzeknie się miłości, uchroni się przed kolejnym cierpieniem.

Rzecz jasna, nie była zakochana w Ricku i nie myślała o przyszłości z nim. Nawet gdyby jakimś cudem okazało się, że jest odpowiednim mężczyzną, na pewno nie powinna wiązać się z nim teraz. Ale może któregoś dnia... w przyszłości...

O ile czeka ją jakaś przyszłość.

Jordan zidentyfikowała ciało, żeby oszczędzić cierpień Darlene. Do końca życia nie zapomni chwili, kiedy ujrzała zmiażdżone martwe ciało mężczyzny, którego kochała. Kilka godzin przed wypadkiem głupio i bezsensownie pokłócili się o Devona.

- Kochanie, wiem, że to twój przyjaciel, ale nie pozwolę na to, by mężczyzna był druhną.

- Družbą-poprawiła go Jordan.

- Zaproponowałem mu, żeby został moim družbą. To o wiele rozsądniejsze rozwiązanie.

- Nie byłoby problemu, gdybyś nie był aż tak ograniczony. Bardziej przejmujesz się tym, co powiedzą ludzie, niż tym, co czuję.

- To nieprawda, skarbie. Ale musisz przyznać, że ludzie mieliby o czym gadać, gdybyśmy...

- To może w ogóle nie bierzmy ślubu!

Wybiegła z jego mieszkania, nie zwracając uwagi na błagania, żeby wróciła. Wiedziała, że jeżeli nie odzyska spokoju w samotności, rzeczywiście może odwołać zaręczyny. A tego wcale nie chciała. Kochała Robby'ego Joe. A on kochał ją. I bardzo lubił Devona. Ale czasami był taki staroświecki... Tyle że to właśnie z powodu jego niektórych staroświeckich zasad tak go kochała.

Tamtego wieczoru jechał do niej, żeby się z nią kochać na zgodę. Zadzwoił do niej i przeprosił ją. Powiedział, że jeżeli tak bardzo jej zależy, żeby jej drużbą był Devon, to on się zgadza.

- Aż tak mnie kochasz? - spytała.

- Nawet bardziej.

- A może przyjedziesz na noc?

- Już jadę. Zapal świecezki i włącz miłą muzykę. I włóż ten różowy strój, który kupiłem ci na walentynki. Będę za piętnaście minut.

Pół godziny później zadzwoniła do niego do domu. Nie odebrał.

Zadzwoiła na komórkę. Nie odebrał. Półtorej godziny później, kiedy na dobre odchodziła od zmysłów ze zmartwienia, ubrała się w dzinsy i bluzę i po drodze do wyjścia chwyciła torebkę. Kiedy zamykała drzwi, usłyszała, że dzwoni telefon. Przekręciła szybko klucz, otworzyła drzwi i wbiegła do mieszkania, kiedy telefon dzwonił szósty raz. Właśnie włączyła się automatyczna sekretarka i Jordan usłyszała histeryczny szloch Darlene. Chwyciła słuchawkę.

- Darlene, co się stało? Coś z Robbym Joe?

- Och, Jordan... Jordan... - Darlene w kółko powtarzała jej imię.

- Co się stało? Co się stało z Robbym Joe?

- Nie żyje.

Potem wszystko pograżyło się we mgle i do tej pory we mgle pozostało. Jakoś dała radę zająć się tym, co trzeba, funkcjonując jak robot. Dzięki Bogu, jej emocje nie brały w tym udziału. Zidentyfikowała ciało Robby'ego Joe, załatwiła formalności związane z pogrzebem, była przy Darlene dzień i noc, panowała nad wszystkim od momentu, kiedy się dowiedziała, że zginął, aż do pogrzebu tydzień później.

Budziła się w środku nocy zrana potem, z sercem walącym jak oszalałe, rozpalona z bólu i złości. Męczarnie, jakie przeżywała w ciągu kolejnych tygodni, o mało jej nie zniszczyły.

I wtedy przypadkiem przedawkowała lek.

Kiedy wracała do zdrowia w szpitalu, złożyła sobie uroczystą przysięgę, której dotrzymywała przez ostatnich dwanaście lat - nigdy więcej nie narazi się na taki ból. Będzie robić wszystko, żeby się chronić. Nigdy więcej się nie zakocha. Najwyżej nie będzie żyła pełnią życia, ale zgadzała się na jego namiastkę.

Od dnia, kiedy wyszła ze szpitala, nie uroniła ani jednej łzy. Ani za Boydem Brannonem. Ani za Danem Price'em. Ani za utraconym dzieckiem. Ani nawet nad sobą samą.

Rick usłyszał, że Jordan wstaje z łóżka. Przez ostatnią godzinę leżał, przysłuchując się, jak przewraca się z boku na bok. Kiedy wszedł na górę, żeby się położyć i zastąpił Niksa Elliotta, Jordan leżała już w łóżku - spała albo udawała, że śpi. Wziął szybki prysznic, włożył spodnie od pizamy, w których nigdy nie spał w domu, i starał się ułożyć wygodnie na kanapie. W końcu udało mu się zasnąć, ale podczas dyżuru rzadko spał głębokim snem. Obudził się, gdy tylko Jordan zaczęła się przeciągać.

Leżał w zupełnej ciszy i patrzył, jak idzie przez sypialnię do przeszklonych drzwi balkonowych. Odrzucił kołdrę, i sięgnął po zegar, leżący pod łóżkiem razem z pistoletem smith & wessons w kaburze. Spojrzał na podświetlaną cyfrową tarczę i zobaczył, że jest osiemnaście po trzeciej.

Nie wstawaj. Nie idź za nią. Jest bezpieczna.

Usiadł na brzegu sofy i nasłuchiwał. Tykanie zegara na kominku w sypialni Jordan zagłuszał huk piorunów w oddali. Usłyszał specyficzny odgłos rozsuwanych szklanych drzwi.

Wychodzi na dwór zaczerpnąć świeżego powietrza. Nie jesteś jej potrzebny. Chce być sama. Daj jej trochę swobody.

Czyżby myślała o Robbym Joe?

Pewnie tak.

Wstał, poszedł do łazienki i po ciemku odkręcił kran. Nabrał wody w ręce i spryskał sobie twarz zimną wodą.

Niebo przecięła błyskawica, oświetlając łazienkę przez małe okno. Rick przez chwilę widział swoje odbicie w lustrze. Na twarzy pojawił się ciemny zarost, włosy miał stanowczo za długie. Koniecznie musi się ogolić i ostrzyć.

Korciło go, żeby podejść do Jordan. Usiłował się powstrzymać, ale zamiast położyć się z powrotem do łóżka i dać jej spokój, wszedł do sypialni, przystanął w połowie drogi na balkon i zaczął się jej przyglądać. Obie części drzwi były rozsunięte. Wiatr wzbijał w górę firanki, zamieniając je w roztańczone chmury tkaniny. Po błyskawicy, która na chwilę rozjaśniła ciemne niebo, rozległo się uderzenie pioruna, głośniejsze i bliższe.

Rickowi na widok Jordan zaparło dech w piersiach. Szczupła sylwetka ukryta pod długą do ziemi jedwabną koszulą nocną - różową, bez koronek i tasiemek, w cieniutkie paseczki. Dekolt na plecach sięgał prawie do pasa, ukazując ładne łopatki.

Zacisnął dłonie w pięści, rozluźnił i kilka razy powtórzył ruch. Chciał jej dotknąć, błędzić palcami po całym jej ciele, poczuć każdy kawałek jej aksamitnej skóry.

Jordan chyba wyczuła, że na nią patrzy, bo obejrzała się przez ramię. Gdyby nie łagodne światło z czujników ruchu na zewnątrz, które włączały się pod wpływem gwałtownych podmuchów wiatru, panowałyby zupełna ciemność.

Rick z trudem przełknął ślinę.

Ich spojrzenia się spotkały. Zaczęli pochłaniać się wzrokiem.

Ruszył w jej stronę. Przystanął, kiedy znalazł się w odległości kilkunastu centymetrów od niej. Odwróciła wzrok. Stał za nią, niemal jej dotykając. Czuł jej ciepło. Pachniała słodką kobiecością. Wyczuwał pragnienie, którego nie była w stanie ukryć.

Kiedy zaczął gładzić ją po plecach, zaczerpnęła gwałtownie tchu, a potem odetchnęła głęboko. Jego dłonie powoli wędrowały po jej ramionach, przyciskając jej plecy do jego torsu, a biodra do wzwiedzionej męskości. Jedną dłoń zsunął do jej talii, a drugą położył na piersiach. Jęknęła i wtuliła głowę w jego obojczyk. Oparł brodę o jej skroń i przez cienki jedwab potarł kciukiem stwardniałą brodawkę.

Nosem pieścił jej policzek. Pocałował ją w skroń, a potem zszedł niżej, aż jego rozchylone usta znalazły się na jej karku. Jęknęła cicho i zadrżała. Bawił się brodawką jej piersi, drugą dłonią błędził po jej brzuchu. Powoli. Był na skraju szaleństwa, tak bardzo jej pragnął. Przycisnął dłoń do jej łona i wsunął palce między nogi. Koszula nocna przywarła do wewnętrznej strony ud. Kiedy zaczął ją pieścić, położyła dłonie na jego ręce.

Kąsał ją w kark, jednocześnie podnosząc do góry jedwabną koszulę. Ściskając lśniący jedwab, uniósł go na tyle, by dotknąć trójkątka w zwieńczeniu ud. Kiedy wsunął palce w delikatną wilgoć jej ciała i dotknął wrażliwego pączka, zaczęła oddychać szybciej z podniecenia. Kiedy ją pieścił, brzeg koszuli owinał mu się wokół nadgarstka.

Westchnęła. A potem jęknęła.

Był zachwycony każdym odgłosem, tym, co czują jego dłonie i język. Palce skąpały się w jej wilgoci. Była gładka, wilgotna i gorąca. Bardzo gorąca.

- Dojdz dla mnie - wyszeptał ochryplym głosem, przyciskając wargi do jej ucha. - Dalej. Daj mi poczuć, jak się rozptywasz.

Całe jej ciało się naprężyło. Zaczął pieścić ją mocniej i szybciej, delikatnie przygryzając jej ramię. Krzyknęła, kiedy zaskoczył ją orgazm. Drżąc z rozkoszy, opuściła ręce wzdłuż ciała i chwyciła go za uda, żeby się przytrzymać.

Kiedy szczytowała, spadły pierwsze ciężkie krople deszczu. Ale nie poganiał jej, żeby wracali do sypialni. Pozwolił jej powoli schodzić na ziemię ze zmysłowych szczytów. Wsunął rękę pod jej koszulę i zaczął pieścić brzuch, a ona zadrżała.

Zanim znów zaczęła miarowo oddychać i opadły z niej fale rozkoszy, byli mokrzy od deszczu. Objął ją i odwrócił do siebie. Spojrzała mu w oczy. Do samej śmierci nie zapomni tego, jak piękna była w tamtej chwili.

Bez słowa wziął ją na ręce i wniósł do sypialni. Przez rozsunięte szklane drzwi do środka wpadały krople deszczu, firanki powiewały na wietrze. Kiedy znaleźli się przy łóżku, Rick postawił ją na ziemi. Powędrował wzrokiem po jej twarzy, szyi, piersiach, brzuchu i w dół, po nogach, a ona wyciągnęła do niego ręce. Pieściła jego twarz, a potem szyję. Kiedy położyła dłonie na jego mokrym, nagim torsie, jęknął.

Rozchyliła wargi. Chwycił jej koszulę tam, gdzie przylegała do bioder, pociągnął mokry materiał do góry i zdjął przez głowę.

Popatrzył na nią - na jędrne, krągłe piersi ze stwardniałymi brodawkami i kępkę gęstych ciemnych włosów na łonie.

- Jesteś pewna? Skinęła głową.

- To nie za szybko po... dziecku?
- Nie... nie za szybko.
- Powiedz mi, czego chcesz. - Spojrzał jej w oczy.
- Ciebie. - Jej głos był zachrypnięty z przejęcia.

Wyskoczył ze spodni od piżamy, zostawił je na podłodze i przyciągnął ją z powrotem do siebie, a potem uniósł i położył na łóżku.

- Zaraz wracam - powiedział. - Znajdę prezerwatywy. Uśmiechnęła się i skinęła głową, a potem uwodzicielsko przesunęła się na satynowej pościeli na środek łóżka.

Rick pognął do łazienki, otworzył kosmetyczkę z przyborami do golenia i wyrzucił zawartość, pośpiesznie szukając paczki prezerwatyw. Ściskając je w ręce, wrócił do sypialni. Dwie rzucił na nocną szafkę, a jedną otworzył.

Jordan siedziała na środku łóżka i przyglądała się jego penisowi. Podniecała go świadomość, że na niego patrzy. Kiedy już założył prezerwatywę, położył się na niej, układając nogi po obu stronach jej ciała, rękami przytrzymując się materaca, żeby nie przygnieść jej swoim ciężarem.

Zawahał się, ale tylko na chwilę. Zaczął ją zachłannie całować, a później zajął się jej ciałem, każdy centymetr badając dłońmi i ustami, czym doprowadził siebie do drżenia, a ją do szaleństwa.

Uniósł jej biodra, przysunął jej ciało do swojego i zanurzył się w niej. Przywarła do niego, z zachwytem przyjmując każde głębokie i mocne pchnięcie. Kochali się bez udawania. Bez czułych słówek. Była to dzika namiętność, jakiej oboje pragnęli.

Jordan obudziła się kilka godzin później, kiedy poranne słońce zajrzało do pokoju. Przeciągnęła się leniwie. Ciało miała obolałe i lekko posiniaczone, ale po raz pierwszy w życiu czuła, że naprawdę żyje.

Obok niej leżał Rick, ciemne włosy kontrastowały z bladą różową poduszką. Wyciągnęła rękę i przesunęła palcem wskazującym po jego wargach. Coś zamruczał. Odsunęła rękę. Otworzył oczy i uśmiechnął się do niej.

- Dzień dobry.

Pochyliła się nad nim. Splątane włosy tańczyły jej wokół ramion. Odwzajemniła uśmiech. Tej nocy poznała ciało tego mężczyzny tak dobrze, jak swoje. Zaznajomili się ze sobą w najbardziej intymny sposób. A jednak w chłodnym świetle dnia czuła się przy nim dziwnie onieśmielona.

Chyba wyczuł, że jest speszona, bo przesunął palcem po jej szyi do piersi.

- Nic się nie stało. Niczego sobie nie obiecaliśmy.

- Masz rację.

- Nie roztrząsaj tego, co się wydarzyło. Jest jak jest. To nie miłość. To nie miłość.

Odrzucił kołdrę, oddzielając ich ciała, chwycił ją i pociągnął na siebie.

Przylgnęła do niego. Jej nagie ciało doskonale do niego pasowało.

- Nieodpowiedni czas i nieodpowiednie miejsce, ale mężczyzna jest całkiem niezły.

Pogładził jej biodra i pośladki, dotykiem rozpalając w niej ogień. Uniósł ją, żeby w nią wejść. Zadrzała z rozkoszy, kiedy poczuła w sobie twardą, wielką męskość.

Znowu się kochali, ale tym razem delikatnie i czule, rozkoszując się każdą chwilą.

Nie mieli pojęcia, że otworzyłam drzwi i że ich podglądam. Byli zbyt pochłonięci seksem. Chciałam zrobić Jordan niespodziankę świeżymi kwiatami z ogrodu, a tymczasem to ona zrobiła niespodziankę mnie.

Nie masz pojęcia, co robisz. Nie kochasz go. A już na pewno on nie kocha ciebie.

Nie wiesz, jakim mężczyzną jest Rick Carson? Podejrzewa cię o morderstwo. Nie możesz mu ufać.

Jaka szkoda, że straciłaś nasze upragnione dziecko. Gdyby nie to, mielibyśmy wszystko i nie potrzebowalibyśmy nikogo.

Nie mogę tu dłużej zostać. Muszę wyjechać. Muszę zapomnieć o tym, co widziałam. Ale będę pamiętać, że grozi ci niebezpieczeństwo, większe niż kiedykolwiek.

Wiem, co mam zrobić. W końcu zrozumiałam, co cię uszczęśliwi. I nie jest to Rick Carson ani żaden inny mężczyzna. Czemu aż tylu lat potrzebowałam, żeby zrozumieć, że tylko w jednym miejscu na ziemi będziesz szczęśliwa?

Nie martw się. Zajmę się wszystkim. Wszystko dokładnie zaplanuję i niedługo, bardzo niedługo, Rick Carson na zawsze zniknie z naszego życia.

A ty znów będziesz szczęśliwa. Naprawdę szczęśliwa.

Rick miał wrażenie, że wszyscy wiedzą, iż coś pomiędzy nimi zaszło, a to mogło skłonić zabójcę do ataku. Chociaż przy ludziach nie byli wobec siebie przesadnie wylewni, często na siebie spoglądali, uśmiechali się, a czasami nawet śmiali na głos, jakby łączyła ich jakaś tajemnica.

Byli kochankami. Sypiali ze sobą od czterech nocy.

Właśnie skończyli jeść śniadanie z Darlene, Devonem, Roselynnie, Tammy i Rene. Podczas posiłku czuł na sobie zaciekawione spojrzenia i wiedział, że wszyscy dają mu do zrozumienia, iż gorzko pożałuje, jeżeli zrobi Jordan krzywdę. Jednak byli wobec niego uprzejmi, a Roselynnie i Rene wyjątkowo miłe.

Kiedy odprowadzał Jordan do gabinetu, gdzie miała z Rene przejrzeć poranną pocztę i zająć się bieżącymi sprawami związanymi z Price Manor i zaległymi zobowiązaniami zmarłego senatora, zadzwonił telefon Ricka.

- Idźcie - zwrócił się do kobiet. Stąd, gdzie stał, widział drzwi gabinetu. Odebrał telefon. - Cześć. Mam nadzieję, że masz dla nas jakieś wieści.

- O tak - odparł Griff. - Przede wszystkim, wczoraj wieczorem J. C. zadzwonił do szeryfa Corbetta.

- Coś podobnego - Rick prychnął. - Zakładam się, że nie z własnej woli.

- Powiedzmy, że Luke Sentell przekonał go, żeby powiedział prawdę.

- To znaczy?

- Sierżant Haley McLain przyszła do niego i namówiła go, żeby sprzedał „The Chatterbox” informacje o Jordan i jej małżeństwie z senatorem. Odwdzięczyła mu się za to.

Rick nie był zaskoczony, ale jednak rozczarowany. Miał nadzieję, że myli się co do Haley.

- Niestety, miałem rację.

- Podjęto wobec niej postępowanie dyscyplinarne - powiedział Griff. - Najprawdopodobniej straci pracę, ale tak to właśnie bywa, kiedy człowiek zdradza tych, którzy mu ufają. Podobno pani sierżant miała chrapkę na stanowisko Corbetta.

- To też mnie nie dziwi.

- Nie dzwoniłem wczoraj wieczorem, żeby ci powiedzieć o sierżant McLain, bo czekałem na raport doktora Hamiltona, który miał mi przesłać dziś rano. Miałem nadzieję, że przekażę ci jakieś dobre wiadomości.

- I co? - Ricka coś ścisnęło w żołądku. Aż do tej chwili nie przyznawał się przed sobą, jak ważny jest dla niego wynik sekcji zwłok.

- Prace w laboratorium poszły nam szybko - powiedział Griff. - Ani sekcja zwłok, ani wyniki badań laboratoryjnych nie wykazały nic podejrzanego. Zdaniem doktora Hamiltona, Robby Joe Wright był zdrowym, pozbawionym nałogów młodą chłopakiem. Zmarł w wyniku obrażeń odniesionych w wypadku samochodowym. Zestawiając te wyniki z pierwotnym policyjnym raportem, który szczegółowo przeanalizowaliśmy, nasuwa się tylko jeden wniosek.

- Nie zginął wskutek morderstwa. - Rick odetchnął głęboko. - To był wypadek.

- Mamy więc pewność, że śmierć dwóch z siedmiu osób nie jest dziełem Jordan. Byłeś z nią, kiedy zamordowano Jane Anne Price, a jej narzeczony zginął w wypadku.

- W jakim stopniu wpływa to na teorię czarnej wdowy?

- Dodaje element niepewności. Skoro Jordan nie zabiła narzeczonego, możliwe też, że nie zabiła ani pierwszego, ani drugiego męża. Śmierć Boyda Brannona mogła być wynikiem zwykłego wypadku. Ale Dan Price został zamordowany. Na tym etapie chyba nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

- Myślisz, że okoliczności śmierci pozostałych osób mogły rzeczywiście być takie, na jakie wyglądały, i powinniśmy sobie darować hipotezę o seryjnym mordercy, który ma obsesję na punkcie Jordan?

- W tej chwili nie wiem - przyznał Griff. - Zanim zadzwoniłem do ciebie, rozmawiałem z Derekiem. Wie, że Robby Joe nie został zamordowany, ale mimo to jest zdania, że niektóre osoby, jeśli nie wszystkie, padły ofiarą jednego zabójcy.

- Do diabła!

- W dalszym ciągu chcesz założyć sobie stryczek na szyję, żeby się przekonać, czy ktoś będzie chciał go zacisnąć? - spytał Griff.

- Tak. Na pewno. Chcę, żeby Jordan została oczyszczona z zarzutów, a prawdziwy morderca stanął przed sądem.

- Mam rozumieć, że jesteś całkowicie pewien niewinności Jordan?

Nie odpowiedział od razu. W całym swoim dorosłym życiu kierował się intuicją, która, na szczęście, na ogół go nie zawodziła. Jednak do tej pory nigdy w nic nie wierzył ślepo. Tym razem wszystko jest inaczej. On jest inny.

- Powiedzmy, że wiem, że Jordan nikogo nie zabiła.

- Mimo wszystko, nie ryzykuj bez sensu.

- Postaram się.

- Przy okazji, możesz powiedzieć pani Wright, że dziś po południu prześlemy ciało jej syna do zakładu pogrzebowego. Może tam zadzwonić i zacząć przygotowywać pogrzeb.

- Moim zdaniem, drugie nabożeństwo pogrzebowe to zły pomysł. Nikomu w niczym nie pomoże.

- Jest jego matką. Ma prawo robić, co chce. Może drugi pogrzeb jest jej potrzebny dla uspokojenia sumienia.

- Tak, chyba masz rację.

Rick nie chciał, żeby Jordan znów znalazła się w uczuciowej czarnej dziurze, która wchłonęła ją po śmierci Robby'ego Joe. Teraz żyła pełnią życia i prędzej piekło go pochłonie, niż pozwoli jej pograżyć się w pozbawionym namiętności życiu, jakie wiodła przez dwanaście lat.

Nabożeństwo pogrzebowe Robby'ego Joe odbyło się następnego dnia w Domu Pogrzebowym Jernigan Crossroads, miejskim przedsiębiorstwie działającym od prawie stu lat. Rick i Nix Elliott pojechali dwoma samochodami. Jordan, pani Wright i Devon pojechali z Rickiem. Nix zabrał Roselynnę, Tammy i Rene. Nabożeństwo zostało zaplanowane na trzecią po południu, żeby kwartet jednego z miejscowych kościołów mógł wykonać dwie pieśni, które wybrała Darlene.

Nix został przed kaplicą, a Rick wszedł do środka i stanął z tyłu, na wypadek, gdyby Jordan go potrzebowała. Ale nie łączył się sercem z żałobnikami. Gdyby to od niego zależało, trumna Robby'ego Joe zostałaby umieszczona w grobie bez uroczystości.

Jordan i Darlene podeszły do trumny przystrojonej w wieniec ze świeżych wiosennych kwiatów. Pięć okazałych dekoracji zdobiło świece po obu stronach trumny. Z głośników umieszczonych w kluczowych punktach sali niosło się organowe wykonanie dawnej pieśni kościelnej.

Darlene położyła dłoń na krawędzi granatowej trumny. Łkała cicho i ocierała łzy koronkową chusteczką.

Rick zauważył, że powiedziała coś do Jordan, a ona oderwała z pokrywy pęk czerwonej róży. Podała go Darlene, kiedy odprowadzała ją na miejsce w pierwszym rzędzie.

Kiedy do mównicy podszedł wielebny Crowell z kościoła, do którego uczęszczała Darlene jako młoda dziewczyna, do kaplicy weszli Claire i Ryan Price. Przystanęli obok Ricka i spojrzeli na niego. Ryan skinął mu głową, a później podszedł z Claire do przodu i usiadł w rzędzie za Jordan.

Rick mógł sobie jedynie wyobrażać, jak Jordan będzie się czuła po dzisiejszym wydarzeniu. Siedziała sztywno, obejmując ramieniem zgarbioną Darlene.

Duchowny odczytał kilka wersetów z Biblii, a potem kwartet odśpiewał Modlitwę Pańską. Kiedy ksiądz opowiadał o Robbym Joe łagodnym, pełnym współczucia głosem, kaplicę wypełniło pochlipywanie i łkanie.

Na szczęście nabożeństwo było krótkie, trwało zaledwie dwadzieścia minut. Kiedy Devon i Jordan pomagali Darlene wsiąść do samochodu, Jordan odciągnęła Ricka na bok.

- Nie jedziemy dziś na cmentarz - powiedziała. - Okazało się, że nie ma maszyny do zakopania grobu. Darlene i ja przyjedziemy na cmentarz jutro rano.

- Nie możecie jechać same. Zawiozę was.

- Dobrze. - Spojrzała na niego suchymi oczami, z niewzruszoną miną. -

Dziękuję.

- Za co?

- Za to, że tu jesteś. Za to, że byłeś w kaplicy podczas nabożeństwa. Nie widziałam cię, ale czułam, że jesteś ze mną.

Chciał porwać ją w ramiona i powiedzieć, żeby się rozplakała i płakała, ile może. Ale chwycił ją tylko pod ramię i pomógł wsiąść na tylne siedzenie samochodu.

Bez problemu udało jej się odwołać koparkę i przełożyć pogrzeb na jutro rano. Wystarczyło wykonać tylko jeden telefon, podając się za nową pracownicę zakładu pogrzebowego. Trudniej będzie przechytryć Ricka Carsona. Musi wymyślić, jak go podejść, żeby na chwilę spuścił Jordan z oka. Można go zabić, ale wolała nie ryzykować, że zwróci na siebie uwagę. Będzie musiała znaleźć inny sposób.

Czekając na wyniki sekcji zwłok Robby'ego Joe, obmyśliła plan. Już dawno powinna wpaść na to, że Jordan można uszczęśliwić tylko w jeden sposób. Przez te wszystkie lata robiła co mogła, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo, chronić ją, wspierać, kochać, dawać jej wszystko, czego potrzebowała, i dzielić z nią troski. A jednak nie do końca jej się to udawało.

Wiedziała, że ma niepowtarzalną okazję, żeby zapewnić Jordan wieczne szczęście.

Musi ją wykorzystać.

Tego wieczoru kolację zjedli we troje, w ponurym nastroju. Rene wymówiła się bólem głowy i nie zeszła na dół. Darlene poprosiła, żeby przynieść jej na górę do pokoju gościnnego ziołową herbatę. Roselynn zadzwoniła i poinformowała, że kolację zjedzą z Tammy u siebie w domu. A Devon wstał od stołu, zanim Vadonna podała deser.

Jordan od pół godziny bawiła się jedzeniem na talerzu. Rick zauważył, że zjadła ledwie kęs czy dwa.

Vadonna postawiła przed Rickiem i Jordan gorący placek z jagodami i zmarszczyła czoło, kiedy spojrzała na talerz Jordan.

- Jeżeli nie zacznie pani jeść, panienko Jordan, to się pani zasuszy i zniknie. Chcę zobaczyć pusty talerzyk po placku. Sama zbierałam jagody w naszym lasku.

- Placek wygląda wyśmienicie - powiedziała Jordan. - Obiecuję, że zjem tyle, ile będę mogła.

Vadonna uśmiechnęła się, sprzątnęła ze stołu i wróciła do kuchni.

- Dasz się przekonać, żeby jednak jutro nie jechać na cmentarz? - spytał Rick.

- Muszę pojechać. To ważne dla Darlene.

- Nie możesz jej namówić, żebyście odczekały kilka tygodni?

- Nie. Nie, ona musi tam jutro być, ja zresztą też. Skinął głową.

- Kiedy poszłaś na górę zanieść Darlene herbatę, zadzwonił Cam Hendrix. Jutro zamierza się spotkać z prokuratorem okręgowym i z szeryfem. Jest pewien, że mając dowód, że Robby Joe zginął w wypadku, oraz pisemne zeznanie J. C., że w sprawę artykułu w „The Chatterbox” wmieszana była sierżant McLain, uda mu się przekonać prokuratora okręgowego, by nie traktował cię jako podejrzanej w sprawie zabójstwa twojego męża.

Jordan zadrżała ręką tak mocno, że upuściła łyżeczkę na talerz. Schowała dłoń pod stół, wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić, i położyła rozpostartą dłoń na szyi.

- Ciągłe ciężko mi uwierzyć, że ktoś zabił Dana - wyznała. - Plan, który miał kogoś sprowokować do ataku, chyba nie wypalił, nie uważasz? Może twoja teoria jednak nie jest prawdziwa. Może nikt...

- Panienko Jordan - krzyknął od drzwi Tobias. - Musi pani natychmiast pójść do pani Harris. - Stał w progu z zaniepokojoną miną. - Dzwoniła przed chwilą, że panienka Tammy dostała napadu czy coś takiego. Krzyczy, płacze i

rzuca, czym popadnie, a pani Harris nie może sobie z nią dać rady. W kółko panią woła.

Jordan odsunęła krzesło i wstała. Rick wstał również i przeszedł za nią przez dom do tylnego wyjścia. Zaczęła biec, ale dogonił ją w połowie drogi do domku Harrisów. Wrzaski Tammy słychać było aż tutaj.

Roselynnie, w czerwonym satynowym szlafroku i pantoflach, wybiegła do ogrodu z przerażeniem na twarzy.

- Nigdy nie widziałam jej w takim stanie. Przenigdy. To nie jest zwykły napad złości. Zachowuje się, jakby oszalała. Nie mogę jej uspokoić i nie chce mi powiedzieć, co się stało. - Roselynnie chwyciła Jordan za rękę. - W kółko powtarza, że chce do ciebie.

- Pójdę z nią porozmawiać.

- Zamknęła się na klucz w swoim pokoju, kazała mi wynosić się z domu i się nie zbliżać. Krzyczy, że nie chce widzieć nikogo innego poza tobą.

- Proszę, poczekaj na dworze z Roselynnie i pozwól mi wejść do środka samej. - Spojrzała na Ricka błagalnie.

- To nie jest dobry pomysł - powiedział.

- Tammy nie zrobi Jordan krzywdy, możesz się nie obawiać - zapewniła Roselynnie. - Raczej skrzywdzi siebie.

- Zostańcie tu oboje - poleciła Jordan. - Jeżeli będę cię potrzebować, dam ci znać.

Rickowi nie podobało się to, że Jordan wchodzi do domu sama, ale wiedział, że jej nie powstrzyma, chyba że przemocą.

- Uważaj. - Chwycił ją za rękę. Odsunęła się od niego i weszła do środka.

Usłyszeli pisk, który tłumili zamknięte drzwi. Nagle drzwi trzasnęły i Tammy ucichła.

- Może uspokoiła się na widok Jordan - odezwała się Roselynnie.
- Nie ma pani pojęcia, co doprowadziło ją do...
- Nic jej nie było, kiedy szłam do łazienki wziąć wieczorną kąpiel w pianie.

Na ogół przez pół godziny słucham miłej muzyki i się relaksuję. Zostawiłam Tammy w kuchni, wkładała naczynia do zmywarki.

Była trochę nieswoja po nabożeństwie, ale zbyt się tym nie przejmowałam. To był smutny dzień dla nas wszystkich, chociaż nie przepadam za Darlene, szczerze jej współczułam. Pewnie czuła się tak, jakby chowała syna po raz drugi.

- Była pani w wannie, kiedy Tammy zaczęła krzyczeć? - spytał Rick.

- Tak. Siedziałam w wodzie od jakichś piętnastu minut, kiedy zaczęła drzeć się jak potępieniec i biegać po domu, tupiąc jak koń. Boże, dobrze, że pan nie widział, co narobiła w salonie. Poprzewracała lampy, porzuciła poduszki po podłodze i rozbiła mi dwie szklane kule.

- Co mówiła?

- Nic sensownego.

- Niech się pani zastanowi i powtórzy mi to słowo w słowo. Roselynnie założyła sobie ręce na obfitym biuście i sapnęła.

- Stek bzdur. Same nonsensy o Jordan.

- Jakie nonsensy? - Rick miał ochotę potrząsnąć Roselynnie i zrobiłby to, gdyby wiedział, że to coś pomoże.

- W kółko powtarzała, że kocha Jordan. Dokładnie mówiła: „Naprawdę tak kocham Jordan. Naprawdę”. Powtarzała to w nieskończoność. A potem powiedziała, że musi pomóc w tym, żeby Jordan była szczęśliwa.

- Kiedy Tammy się złości, na ogół nie szaleje, nie krzyczy i nie demoluje domu, prawda?

- Tak. - Roselynnie spojrzała na zamknięte drzwi wejściowe. - Od czasu do czasu ma napady, ale nie takie jak dziś. Przysięgam, wyglądało to tak, jakby udawała.

- Dlaczego miałyby udawać napad szału? - Rick chwycił Roselynnie za ramiona.

- Nie... nie wiem. Nie powiedziałam przecież, że udaje, ale może zrobiła ten cały cyrk, żeby Jordan przyszła z nią porozmawiać.

- A nie przyszłaby, gdyby Tammy po prostu ją zawołała?

- Oczywiście, że tak i Tammy świetnie o tym wie. Dlatego to wszystko jest bez sensu.

Rick pędem minął Roselynnie i wbiegł po schodach na ganek. Kiedy otwierał drzwi, zawołała go.

- Co się stało? Dlaczego pan wchodzi? Przecież Jordan powiedziała, że chce iść sama, i kazała nam poczekać na dworze.

Rick nie odpowiedział. Przeszedł przez korytarz. Drzwi do dwóch pomieszczeń były otwarte - do sypialni Roselynnie i do łazienki. Trzecie drzwi były zamknięte. Rick nacisnął klamkę. Otworzyły się, ukazując pograżony w mroku pokój. Jedyne światło dawała nocna lampka, podłączona do gniazdka w ścianie.

- Jordan? Żadnej odpowiedzi.

Roselynnie stanęła za nim, kiedy dłonią szukał włącznika na ścianie, żeby zapalić światło. Tammy z podciągniętymi pod brodę nogami siedziała na łóżku. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- Gdzie Jordan?

- Jordan jest szczęśliwa - odpowiedziała. - Jordan jest szczęśliwa. Jordan jest szczęśliwa - podśpiewywała.

- Niech pani z nią porozmawia - zwrócił się do Roselynne. - Może pani z niej wyciągnie, gdzie jest Jordan.

Przeszukał wzrokiem małą sypialnię. Dwa łóżka. Zajrzał pod jedno, potem pod drugie. Szafa pod ścianą i komoda między oknami przy przeciwległej ścianie. Okna zamknięte, okiennice też. Jednym ruchem otworzył szafę. Była mała, szeroka na metr i na metr głęboka.

- Tammy, skarbie, dokąd poszła Jordan?

Rick biegał po domu, przeszukując pokój za pokojem. Wszedł do kuchni i zamarł na widok otwartych na oścież tylnych drzwi.

- Rick! - krzyknęła Roselynne, wbiegając do kuchni i ciągnąc za sobą Tammy. - Ktoś namówił Tammy na to przedstawienie. - Roselynne zatrzymała córkę przed sobą. - Powiedz mu. Powiedz Rickowi to, co powiedziałaś mnie.

- Jeżeli kocham Jordan i chcę, żeby była szczęśliwa na zawsze, muszę udawać wariatkę - powiedziała Tammy, uśmiechnięta i rozpromieniona. - I powinnam zawołać Jordan, żeby przyszła do mnie sama i ze mną porozmawiała. A potem wszystko będzie dobrze, bo Jordan odejdzie i będzie szczęśliwa na zawsze.

- Powiedz mu, dokąd idzie Jordan? - Roselynne patrzyła na Ricka z przerażeniem w oczach.

- Idzie do Robby'ego Joe, bo tylko z nim będzie szczęśliwa.

Rick wybiegł tylnymi drzwiami, nie tracąc nadziei i modląc się, żeby Jordan była gdzieś blisko. Ale kiedy rozejrzał się dookoła, zrozumiał, że ten, kto ją porwał, wszystko doskonale zaplanował. Nie powinien tracić czasu na samotne poszukiwania. Wyjął telefon, znalazł numer i czekał niecierpliwie, aż usłyszy głos w słuchawce.

- Elliott, słucham.

- Jordan zaginęła - wyrzucił z siebie Rick. - Jakieś pięć minut temu. Daj znać strażnikom przy bramie wjazdowej. Skontaktuj się z Holtem, żeby przyjechał do Price Manor. Tymczasem przeszukaj dom i sprawdź, kto jest, a kogo brakuje, i oddzwoń do mnie.

- Rick! - krzyknęła Roselynn.

Obejrzał się. Biegła do niego, wymachując rękami. Wybrał prywatny numer Steve'a Corbetta.

- Nie mogę wydusić z Tammy, kto uprowadził Jordan. Twierdzi, że to wielka tajemnica i że nie może nikomu powiedzieć, bo będziemy chcieli przeszkodzić, żeby Jordan została z Robbym Joe. Powiedziała, że Jordan włoży suknię ślubną i na zawsze stanie się żoną Robby'ego Joe, jak w bajce.

- Mój Boże!

- Co takiego? - odezwał się głos w słuchawce. - To pan, panie Carson?

- Tak, ja - odparł Rick. - Niech pan słucha, panie Corbett, jest źle. Jordan zaginęła. Ktoś namówił Tammy, żeby udawała napad hysterii. Jordan weszła sama do domu Harrisów, porozmawiać z nią, ale już z niego nie wyszła. Ktoś ją uprowadził.

- A niech to! Wie pan, kto?

- Nix Elliott przeszukuje dom, powiadomił strażników przy bramie wjazdowej, ale myślę, że porywacz wywiózł ją przez tylną bramę. Musi pan tu przysłać kilku ludzi, żeby przeszukali okolicę. Z tego, co udało nam się wyciągnąć od Tammy, wnioskuję, że porywacz wiezie Jordan do zakładu pogrzebowego w Jernigan Crossroads.

- Przyślę kilku funkcjonariuszy, żeby przeszukali teren przy Price Manor, a dwóch wyślę do zakładu.

- Za ile tam będą?

- Nie wiem. Nie wiem, czy mamy w tej chwili jakiś patrol w tamtej okolicy. Jeżeli nie, to najwcześniej za czterdzieści pięć minut.

- Niech pan ogłosi, że jadę czarnym jeepem wranglerem na numerach okręgu Knox. - Podał numer rejestracyjny swojego samochodu. - Będę przekraczał wszystkie ograniczenia prędkości. Niech nikt mnie nie zatrzymuje.

- Dlaczego to robisz? - Jordan spojrzała we wsteczne lusterko navigatora na dwie postacie na tylnym siedzeniu.

- Bo cię kocham i już wiem, co powinnam zrobić wiele lat temu.

Uświadomiłam to sobie dopiero wtedy, kiedy wrócił do nas Robby Joe.

- Nie rozumiem - powiedziała Jordan. - Dlaczego chcesz nas zawieźć do Jernigan Crossroads akurat teraz? Można poczekać z tym do jutra...

- Nie! Musimy jechać dziś.

Jordan znów spojrzała w lusterko i dostrzegła przerażenie w oczach Rene.

Boże drogi, jakże była naiwna. Powinna posłuchać Ricka i nie biec na pomoc Tammy. Skąd mogła wiedzieć, że to podstęp, że ktoś zastawił na nią sidła, wykorzystując biedną, bezrozumną Tammy? Rick na pewno już się zorientował, że zniknęła. Ale nie ma pojęcia, kto ją porwał.

- Nie chcesz tego zrobić - powiedziała Jordan. - Nie chcesz skrzywdzić mnie ani nikogo innego. Wiem, że nie chcesz.

- Jordan, nigdy nie chciałam cię skrzywdzić. Kocham cię. Zawsze pragnęłam tylko twojego szczęścia. Ale nie byłaś szczęśliwa, odkąd Robby Joe nas zostawił.

- Nie jestem nieszczęśliwa. Właściwie wydaje mi się, że z Rickiem Carsonem jest mi naprawdę dobrze.

- Mylisz się. On cię nie kocha. Chce tylko seksu. Jedynym mężczyzną, który kochał cię naprawdę, był Robby Joe.

- Rick mnie kocha. Powiedział mi - skłamała. - Pobierzemy się i będziemy mieć dziecko, może kilkoro, a wtedy ty...

- Nie! On ci nie da szczęścia. Nie możesz tego zrozumieć?

- Rick będzie mnie szukał. - Wiedziała, że przewróci cały świat do góry nogami, żeby ją odnaleźć. - Kocha mnie i...

- Nie martw się, jeżeli będzie usiłował nam przeszkodzić, zajmę się nim.

W blasku księżycy w lusterku błysnął metal. Jordan przełknęła ślinę. Nie cierpiała broni. Od zawsze i na zawsze.

- Chyba nie zabijesz Ricka? Przecież nie zabiłabyś nikogo. Proszę cię, dobry Boże, proszę, niech odpowie: „Nie, oczywiście, że nie zabiłabym Ricka ani nikogo innego”

- Chyba znasz odpowiedź na to pytanie. Jasne, że go zabiję. Zabiję każdego, kto ci będzie zagrażał.

Pod wpływem strachu wszystkie zmysły Jordan wyostrzyły się. Do tej chwili nie była pewna, czy jej życiu grozi niebezpieczeństwo, ale właśnie pozbyła się wątpliwości.

- Czy ty... czy zabiłaś Dana? - spytała.

- Był dobrym człowiekiem, ale chorym, nie mogliśmy brać sobie na głowę kłopotów. Przecież spodziewałaś się dziecka. Byłam pewna, że udało mi się go namówić do samobójstwa, ale stchórzył, więc trochę mu pomogłam.

Jordan z trudem zdołała stłumić krzyk, który podszedł jej do gardła. Dan... Dan... tak mi przykro.

- Dana łatwo było zabić. - Jej głos był nienaturalnie spokojny, jakby opowiadała o pogodzie. - Zostawił pistolet na biurku. Wiesz, tego Glocka, którego ci kupił. Na pewno zastanawiał się nad samobójstwem, ale kiedy zajrzałam do pokoju, leżał pijany na kanapie. Włożyłam mu pistolet do ręki, wycelowałam w skroń i zacisnęłam palce na jego palcu na spuście. Popęłnił samobójstwo z moją niewielką pomocą. Rozwiązałam za ciebie problem, tak jak dawniej. Zawsze się o ciebie troszczyłam.

- Czy... zabiłaś Boyda? - spytała Jordan, drżąc na myśl o odpowiedzi, którą usłyszy, a jednak chciała znać prawdę.

- Oczywiście. Przecież nas zdradził. Najpierw nie pozwolił nam mieć dziecka, a potem wdał się w romans z tą okropną kobietą. Nie miałam wyjścia, prawda? Potwornie cię zranił. Musiał zapłacić za to, jak cię potraktował.

- A dzieci... Nie myślałaś o tym, co będą przeżywać Wes i Kendra? - Jordan czuła, że robi jej się niedobrze.

- Zrobiłam to również dla nich. Lepiej im było bez niego. Jak wszystkim.

- Ale jak... ? Wszyscy myśleli, że to był wypadek na polowaniu. Szeryf... Lekarz. Ktoś strzelił mu w głowę. Jak to zrobiłaś?

- Jestem doskonałym strzelcem, moja droga Jordan, ale uważałam, że o tym akurat nie musisz wiedzieć. Ojciec nauczył mnie posługiwać się bronią, kiedy miałam osiem lat. " Często jeździłam z nim na polowania. Boyd był zapalonym myśliwym, nie musiałam więc się długo zastanawiać, jak go zabić. Jego śmierć

zaplanowałam wiele miesięcy wcześniej. Musiałam tylko poczekać, aż zacznie się sezon na jelenie. Nie zrozumiesz poczucia satysfakcji z celnego strzału, dopóki tego nie doświadczysz. Emocjonujące przeżycie.

Jest szalona, pomyślała Jordan. Kompletnie obłąkana. Dlaczego nigdy nie podejrzewałam? Wydawała się taka normalna.

- Mam ci opowiedzieć, jak zaradziłam innym twoim problemom? Kiedy myślę o tym, jak bardzo ci pomogłam, jestem z siebie dumna.

- Roześmiała się cicho, najwyraźniej zadowolona. - Kilka razy udało mi się upozorować wypadek. Poza Jane Anne, ale wtedy musiałam działać szybko. Nie miałam czasu na obmyślanie planu. Działałam pod wpływem impulsu.

Przyznała się do zabójstwa Dana, Boyda i Jane Anne. A inni? Donald Farris i jej ojciec?

- Donald Farris powinien dać ci awans, bo na niego zasługiwałaś - powiedziała, jakby czytała w jej myślach. - Był próżnym zarozumialcem. Wiedziałam, że dopóki będzie twoim szefem, nigdy nie zostaniesz potraktowana sprawiedliwie. Ale zajęłam się nim. Zaplanowałam wszystko tak, żeby wyglądało, że spadł ze schodów i skreślił sobie kark. Usłyszał, że ktoś schodzi za nim, ale nie miał pojęcia, że zamierzam wypchnąć go za balustradę. Ależ wyglądał na tym betonie, taki zmiażdżony, z rozwaloną głową. Nieprzyjemny widok.

Nie mów już nic więcej, proszę, chciała krzyknąć Jordan, ale udało jej się wytrwać w milczeniu. Na razie musi robić wszystko, żeby przeżyć. Rick je odnajdzie. Ta myśl pomogła jej zapanować nad paniką.

- Wiesz co, największą przyjemność sprawiło mi chyba zabicie Jaya Reynoldsa. Był wstrętnym typkiem, prawda, Jordan? Usiłował cię zgwałcić, ale pokazałam mu, co czeka mężczyzn, którzy nas krzywdzą. Śledziłam go

codziennie, tydzień po tygodniu, aż w końcu na pamięć znałam jego rozkład dnia. Dopadłam go, kiedy się niczego nie spodziewał i uderzyłam go w głowę kijem baseballowym. Nie zdążył się zorientować. - Westchnęła głęboko. - Biłam go bez opamiętania, nawet kiedy już nie żył. To było rozkoszne, pewnie dlatego, że zasługiwał na śmierć najbardziej ze wszystkich.

Jay nie chciał mnie zgwałcić, pomyślała Jordan. Zachował się bezczelnie i dostał ode mnie w twarz, to wszystko. Po co ci o tym mówiłam? Po co? Nie zasługiwał na śmierć. Biedny Donald Farris. Na sumieniu miał jedynie to, że był męskim szowinistą, który przychylniej spoglądał na żonatych facetów niż na samotne kobiety.

I Boyd. Jego też zabiła. Strzeliła do niego jak do zwierzęcia. Nie dotrzymał przysięgi małżeńskiej, to prawda, ale ona miała na sumieniu tę samą winę. Nie zdradziła go, ale była zakochana w innym mężczyźnie. Przez cały czas małżeństwa z Boydem kochała Robby'ego Joe.

Rick pędził autostradą. Włączył zestaw głośnomówiący, żeby obie ręce trzymać na kierownicy. Wyciskał z wranglera, ile się dało, bo miał tylko jeden cel - uratować Jordan.

Zadzwoił telefon.

- Co masz? - spytał Rick.

- Kilka razy próbowałem się skontaktować z zakładem pogrzebowym - powiedział Nix Elliott. - Nikt nie odbiera telefonu. Szeryf Corbett zdobył prywatny numer dyrektora i dzwoni do niego do domu.

- Kogo brakuje w Price Manor? - Jordan musiał uprowadzić ten, kto jest poza domem.

- Są tylko dwie osoby: Vadonna i Tobias. Nie ma Markhama, Rene Burke ani pani Wright.

- Do licha...

- Skontaktowałem się ze strażnikami. Właśnie tu jestem. O'Steen twierdzi, że wieczorem nikt nie wjeżdżał ani nie wyjeżdżał.

- Domyślałem się. Jordan została wywieziona przez tylną bramę. Pewnie czekał tam na nią jakiś samochód.

- W garażu nie ma navigatora pani Price. Powiedziałem o tym szeryfowi.

- A Tobias albo Vadonna niczego nie widzieli?

- Tobias mówi, że widział, jak Devon Markham wychodził z domu głównym wyjściem chwilę przed tym, jak Jordan została wezwana do domku pani Harris.

- A pani Wright i Rene?

- Nikt nie ma pojęcia, gdzie są, ani kiedy wyszły.

- Czy Holt już jest?

- Jeszcze nie. Przed chwilą dzwonił. Będzie za dziesięć minut - powiedział Nix. - Poczekaj chwilę. Jest tu dwóch policjantów. Zaczynamy przeszukiwać okolicę.

- Gdybyście coś znaleźli...

- Natychmiast dam ci znać.

Rick wpatrywał się w ciemną drogę przed sobą. Z Priceville do Jernigan Crossroads prowadziła jednopasmówka. Gdyby nie odesłał helikoptera do Knoxville, dotarłby do zakładu pogrzebowego przed Jordan i jej porywaczem. W miasteczku na pewno nie ma bezpiecznego miejsca na lądowanie, ale na przedmieściach znalazłoby się coś odpowiedniego.

Nic z tego. Musi zadowolić się tym, co ma. A helikoptera nie ma.

A jeżeli się mylę? Jeśli nie jadą do zakładu pogrzebowego? Jeśli źle zinterpretowałem to, co powiedziała Tammy? Ale co innego mogły znaczyć

słowa, że Jordan będzie w sukni ślubnej i zostanie żoną Robby'ego Joe na zawsze? Ten, kto porwał Jordan - Devon? Rene? Pani Wright? - zamierza ją zabić.

Tylko martwa mogła zostać z Robbym Joe na zawsze.

Piętnaście kilometrów od Jernigan Crossroads, Jordan, zgodnie z poleceniem, skręciła w boczną drogę, o której istnieniu nie miała pojęcia.

- Dojedziemy tedy do zakładu pogrzebowego? - spytała.

- Nie jedziemy do zakładu pogrzebowego.

- Nie? A dokąd?

- Do Robby'ego Joe. Czeka na nas na cmentarzu.

- Co?! Przecież... ja myślałam...

- Załatwiłam, żeby przewieźli go na cmentarz. Musiałam przekupić pracowników zakładu. Trochę mnie to kosztowało, ale za pięć tysięcy dolarów bez najmniejszych skrupułów złamali zasady.

- Kazałaś przewieźć trumnę z Robbym Joe na cmentarz? Ale po co?

- Jordan była kompletnie zdezorientowana i śmiertelnie przerażona.

- Bałam się, że w zakładzie ktoś nam może przeszkodzić. Na cmentarzu będziemy mieć spokój.

- Spokój? Po co?

- Na twój ślub, a po cóż by?

Rick wyjechał z Price Manor dwadzieścia pięć minut temu. Jeżeli się nie myli, do zakładu pogrzebowego dojedzie za pięć minut. Zadzwoił telefon.

- Co tam?

- Ciągłe szukamy - powiedział Nix Elliott. - Przeczesałiśmy połowę okolicy.

- I nic?

- Ani śladu pani Price, ale znaleźliśmy Devona Markhama.
- Żywego?
- Tak. Wyszedł sobie na wieczorny spacer. Był sam. Szaleje ze strachu, odkąd się dowiedział, że pani Price zniknęła.
- Czy coś wiadomo o pani Wright i Rene Burke?
- Nie.
- Byliśmy zbyt pewni, że zabójcą jest Markham - skwitował Rick.
- Chyba popełniliśmy błąd.
- Śmiertelny błąd.

Jordan bała się sprzeciwić poleceniom, bo wiedziała, że w grę wchodzi nie tylko jej życie, zjechała więc z polnej drogi na żwirowy podjazd okalający cmentarz.

- Zjedź z alejki na trawę. Zaparkuj tak, żeby samochód stał przodem do nagrobka Robby'ego Joe.

Jordan zatrzymała auto.

- Nie wyłączaj świateł. Nie będą tak piękne i romantyczne jak świece, ale muszą nam wystarczyć.

Jordan zrobiła, co jej kazano.

- A teraz zabierz ze sobą suknię i wysiądź. My poczekamy, żebyś się mogła przebrać.

Jordan spojrzała na pokrowiec leżący na przednim siedzeniu pasażera.

- Mam włożyć suknię ślubną?
- Oczywiście, głuptasie. - Przeróżliwy śmiech sprawił, że nerwy zaczęły Jordan odmawiać posłuszeństwa. - Przecież nie możesz iść do ślubu w tym, co masz na sobie. Dwanaście lat czekałaś, żeby włożyć tę piękną suknię. Pośpiesz

się. I nie rób żadnych głupstw. Nie próbuj uciekać, bo będę musiała ją zabić, a tego chyba nie chcesz.

- Nie, proszę, nie rób jej krzywdy. - Jordan chwyciła pokrowiec z suknią, przycisnęła do piersi i otworzyła drzwi kierowcy.

Nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje. Miała wrażenie, że śni jej się koszmar. Oby... Ale, niestety, to nie jest sen. To się dzieje naprawdę.

Rick mnie znajdzie. Jakoś się domyśli, gdzie jesteśmy i co się dzieje. Muszę tylko zyskać na czasie.

Włóż suknię i rób, co każe. Udawaj, że się z nią zgadzasz, że rozumiesz, dlaczego to robi.

Spojrzała na nagrobek Robby'ego Joe oświetlony reflektorami samochodu. Kiedy dostrzegła trumnę, leżącą na trawie przy pustym grobie, westchnęła przerażona. Dlaczego jest otwarta?

O, Boże! O, Boże...

Ręce drżały jej tak mocno, że z trudem zdejmowała bluzkę i spodnie, ale jakoś udało jej się rozebrać do bielizny. Zerknęła na samochód, na dwie kobiety siedzące na tylnym siedzeniu. Jedna przystawiała drugiej pistolet do skroni. Jordan pośpiesznie rozpięła zamek pokrowca i wyjęła suknię ślubną.

Przełożyła suknię przez głowę, wsunęła ręce w rękawy z przezroczystej koronki i wzdrygnęła się, kiedy gruby, gęsto wyszywany paciorkami materiał zsunął jej się przez biodra, a wycinany w ząbki koronkowy brzeg sukni dotknął trawy pod jej stopami. Sięgnęła do pleców i zaczęła się męczyć, żeby małymi perłowymi guzikami trafić do odpowiednich dziurek. Palce miała zdrętwiałe. Udało jej się zapiąć trzy guziki, te najbliższe talii.

Prawe drzwi terenówki otworzyły się i kobiety wysiadły.

- Pozapinać ci guziki?

- Tak - odpowiedziała Jordan.

- Z przyjemnością ci pomożemy.

- Dziękuję. - Jordan zdobyła się na uśmiech. - Ja... chcę, żeby wszystko było idealnie, zwłaszcza suknia, bo przecież tyle się naczekałam, żeby ją włożyć.

Dwanaście lat temu, które teraz wydawały jej się wiecznością, ta suknia była spełnieniem jej marzeń. Teraz faktycznie nadawała się tylko na pogrzeb.

Rick skierował jeepa na parking przed zakładem pogrzebowym i zahamował przed wejściem z piskiem opon. Ledwie wyskoczył z samochodu, drzwi kaplicy otworzyły się i pod zadaszonym portykiem przywitał go mężczyzna, zapewne dyrektor zakładu.

- Panie Carson, jestem Charles Farmer. Szeryf Corbett przedstawił mi sytuację.

- Jest tu pani Price?

- Nie. Przyjechałem i od razu przeszukałem okolicę. Nikogo nie ma.

- Jeżeli pan pozwoli, rozejrzę się sam. - Rick odsunął Farmera na bok.

Dyrektor chodził za nim krok w krok, kiedy ten sprawdzał pomieszczenie za pomieszczeniem - z kaplicy wszedł do biura, a stamtąd do kostnicy, gdzie przygotowywano ciała do pogrzebu.

- Niech pan posłucha, panie Carson...

Rick szedł dalej, szukając choćby śladu Jordan i jej porywacza.

- Słucham.

- Nikogo tu nie ma. Daję słowo. Ale... ale...

- Ale co? - Rick zatrzymał się, kiedy ponownie znaleźli się w kaplicy.

- Zniknęła trumna pana Wrighta.

- Jak to: zniknęła?

- No, nie ma jej tutaj - powiedział Farmer. - Sprawdziliśmy w karawanie i tam też nie ma. Nie mam pojęcia, co się z nią stało.

- Cholera! - Chwycił Farmera za kłapy. - Ilu ludzi ma wstęp do zakładu po godzinach?

- Chyba nie sądzi pan, że któryś z pracowników mógł...

- Owszem, mógł. Jeżeli dostał wystarczająco dużo pieniędzy.

- A po co ktoś miałby wykradać trumnę ze zwłokami pana Wrighta? Kto mógł zrobić coś takiego?

- Ktoś, kto ma zamiar włożyć do trumny jeszcze jedno ciało. Żonę Robby'ego Joe Wrighta.

Jordan spojrzała na Darlene, a potem na Rene, nie przestając uśmiechać się niepewnie.

Darlene w prawej ręce ścisnęła pistolet, lewą trzymała Rene za ramię. Pchnęła ją tak, żeby stanęła za Jordan.

- Rene, pozapinaj Jordan! - poleciła. - To jedna z zaszczytnych powinności druhny.

Zrób to, Rene, błagam cię, zrób to. Nie sprzeciwiaj się jej. Rene zmagająca się z guzikami, ale w końcu udało jej się wykonać polecenie.

- Dobra robota - stwierdziła Darlene. - A teraz odwróć się, kochanie, i pokaż się nam, chcemy zobaczyć, jak pięknie wyglądasz.

Jordan powoli zaczęła się obracać. Przez długą chwilę popatrzyła w oczy tak samo jak ona przerażonej Rene.

- Chciałaś, żeby twoim drużbą był Devon, ale to był głupi pomysł. O wiele lepiej, żeby druhną była Rene. Tego właśnie chce Robby Joe, prawda?

- Tak. Masz rację - zgodziła się Jordan.

- Będiesz piękną żoną dla mojego syna. Idealnie do siebie pasujecie. Szkoda tylko, że wcześniej nie wpadłam na to. Tylko dzięki temu będziesz naprawdę szczęśliwa.

- Zawsze myślałaś przede wszystkim o mnie, prawda, Darlene? Kochasz mnie jak własną córkę. Wspierałaś mnie przez te wszystkie lata i troszczyłaś się o mnie.

- Wiedziałam, że zrozumiesz, dlaczego musiałam ich zabić. - Darlene uśmiechnęła się.

- Rozumiem. Naprawdę. Chciałaś mnie przed nimi chronić, prawda? Przed Jane Anne, Boydem, Danem i...

- Donaldem Farrisem i Jayem Reynoldsem. - Darlene dodała do listy jeszcze dwa nazwiska. - Miałam zamiar pozbyć się też J. C, ale wyjechał, zanim udało mi się obmyślić plan.

- A mój ojciec? - spytała Jordan.

- Moja miła, ze śmiercią Wayne'a nie miałam nic wspólnego. Widocznie życie z tą szmatławą dziwką okazało się ponad jego siły i zmarł na atak serca.

- A ty... nas też chcesz zabić, tak? - Rene ze strachu drżał głosem.

- Bardzo mi przykro, że musiałam cię w to wciągnąć, Rene. Bardzo cię lubiłam. Ale nie byłam pewna, czy Jordan pojedzie ze mną bez ciebie. Obiecuję, że załatwię to szybko i bezboleśnie.

- Darlene, proszę cię, wypuść Rene. Nie powinna w tym uczestniczyć. Powinniśmy być tylko ty, Robby Joe i ja. Rene nie jest nam potrzebna na ślubie. Jestem gotowa. Widzisz? - Jordan obracała się powoli, pokazując suknię ślubną.

- Robby Joe czekał dwanaście lat. Nie każmy mu dłużej czekać.

- Moja droga, kochana Jordan. - W oczach Darlene pojawiły się łzy. - Wiedziałam, że kochasz mojego syna.

- Proszę, wypuść Rene.
- Dobrze. Po uroczystości.
- Puść ją teraz.
- No cóż, obawiam się, że nie mogę. Ale kiedy już zostaniesz żoną

Robby'ego Joe, Rene będzie wolna.

Na ostatnim zakręcie polnej drogi prowadzącej na cmentarz Rick spojrzał przed siebie, na prawo, dokładnie w stronę grobu. Ciemność panującą obok grobu Robby'ego Joe Wrighta rozjaśniał strumień światła dwóch reflektorów.

Boże jedyny!

Zjechał na pobocze, wyłączył światła i silnik. Serce miał w gardle.

Wysiadając z jeepa, wyciągnął smitha & wessona z kabury na ramieniu. Po cichu zszedł do rowu, a potem drugą stroną drogi szedł dalej, w kierunku cmentarza, czując adrenalinę, szalejącą w całym ciele.

Przy samochodzie Jordan usłyszał jakieś głosy.

- Idź do Robby'ego Joe. Czeka na ciebie - powiedziała Darlene Wright. - Zajmij miejsce u jego boku.

- Darlene, proszę, zastanów się, co mi każesz zrobić. - Głos Jordan był zdumiewająco spokojny. - Robby Joe nie żyje. Nie ma go w trumnie. Jest w niebie.

- Wiem, kochanie. Ale ty zaraz znajdziesz się przy nim i będziecie razem na zawsze.

- Przecież nie chcesz mnie zabić. Kochasz mnie. Zapomniałaś?

- Oczywiście, że cię Kocham. Właśnie dlatego to robię. Inaczej nigdy nie będziesz szczęśliwa.

- Proszę... proszę... - Słysząc było, że Jordan ogarnia coraz większa panika.

- Jeżeli tam nie podejdziesz i nie położysz się w trumnie obok Robby'ego Joe, będę musiała zabić Rene. Chyba nie chcesz mnie do tego zmusić?

- Nie rób tego, błagam. Idę. Zrobię, o co prosisz.

- Nie, Jordan, nie! Nie możesz! - krzyknęła Rene. Rick przysunął się bliżej, stając tuż obok navigatora.

Darlene trzymała pistolet przy głowie Rene, z lufą przy jej skroni. Nawet gdyby trafił w Darlene, nie miał stuprocentowej pewności, czy palec, niemal zaciśnięty na spuście, nie poruszy się bezwiednie. Ale czy ma inne wyjście?

Jordan szła powoli w stronę otwartej trumny.

Rick obszedł samochód.

Jordan zajrzała do trumny.

Darlene pchnęła Rene przed siebie i stanęła przy Jordan.

- Wchodź. Nie każ Robby'emu Joe dłużej czekać. Jordan uniosła jedną nogę i weszła do trumny.

- No, a teraz się połów obok pana młodego - poleciła Darlene. Rick, trzymając pistolet obiema rękami, namierzył cel. Darlene z hukiem zaniknęła wieko trumny.

Rick strzelił. Rene krzyknęła.

Jordan leżała w ciemności na ciele, które niedawno poddane zostało sekcji. Szarpały nią dreszcze, nad którymi nie była w stanie zapanować.

Nie, Robby Joe. Nie, Robby Joe, krzyczała w myślach.

Łapczywie zaczerpnęła powietrza. O, Boże! Nie ma powietrza. Udusi się. Uniosła ręce i pchnęła obite satyną wieko.

Nagle, jakby z oddali, usłyszała hałas. Strzał? A potem krzyk.

Błagam, nie, nie... Darlene, obiecałaś, że nie zabijesz Rene. Obiecałaś...

Czy ona też umrze? Czy jest już za późno na ratunek? Gdzie jesteś, Rick? Gdzie jesteś? Nie pozwolisz mi umrzeć. Wiem, że nie pozwolisz.

Rene stała, trzęsąc się i krzycząc, rękami zasłaniając uszy, z dzikim strachem w oczach. Rick nawet nie sprawdzał, czy Darlene żyje. Odsunął Rene na bok i chwycił wieko trumny z brzegu. Kiedy usiłował je unieść, zauważył, że z trumny wystaje kilkanaście centymetrów białej, bogato wyszywanej satyny, dzięki której zasuwą się nie zatrzasnęła. Wsunął palce w szparę, a potem uniół pokrywę i otworzył trumnę.

W środku leżała Jordan z szeroko otwartymi ustami i oczami. Nie ruszała się. Niemożliwe, że nie żyje. Niemożliwe! Była w trumnie zaledwie przez kilka minut. Ale przez tych kilka minut mogła się udusić.

Włożył rękę do środka i wsunął jej pod plecy. Jego dłoń otarła się o zwłoki. Wziął Jordan na ręce. Była bezwładna i wyglądała na nieżywą. Uniósł ją, uklękł i położył na ziemi. Pochylony, zaczął nasłuchiwać, czy oddycha.

Nie oddychała.

Nie umrzesz. Nie pozwolę ci!

Ścisnął ją za nos i przykrył jej wargi swoimi ustami. Dmuchał w nie powietrze i obserwował unoszącą się pierś. Powtórzył czynność.

No, dalej, skarbie. Zrób to dla mnie. Oddychaj.

Kiedy miał zastosować kolejny krok pierwszej pomocy i zacząć uciskać mostek, Jordan odetchnęła.

Rick poczuł się tak, jakby on też powrócił do życia.

- Dobrze, kochanie! Oddychaj!

Zakaszła. Rick pomógł jej usiąść. Nie przestawała kaszleć.

- Rick... Rick... - Nabierała łapczywie powietrza, a po jej policzkach popłynęły łzy.

Odgarnął jej z twarzy kosmyki włosów i pocałował w czoło, w policzki, w brodę, a na końcu w usta. Wyciągnęła ręce i zarzuciła mu na szyję.

- Wiedziałam, że nie pozwolisz mi umrzeć. Przytulił ją, wtulając twarz w jej szyję. Przywarła do niego, drżąc i płacząc.

- Rene? Darlene ją zastrzeliła?

- Nic mi nie jest - powiedziała Rene szeptem.

Jordan uniosła głowę, spojrzała w górę i krzyknęła, kiedy zobaczyła przyjaciółkę.

- Dzięki Bogu!

- Zabiłem Darlene - oznajmił Rick. Wstał powoli i pomógł podnieść się Jordan.

- Nie żyje? - spytała.

- Chyba tak. - Rick obejrzał się przez ramię na nieruchome ciało Darlene.

Strzelił jej w głowę. Chciał ją zabić.

- Boże, Rick, to ona zabiła Dana - powiedziała Jordan. - I Jane Anne, Boyda, Jaya i Donalda. Zabiła ich wszystkich. I zrobiła to w przeświadczeniu, że w ten sposób mnie chroni. Dlaczego tego nie widziałam? Dlaczego nie umiałam...

- To nie twoja wina. - Rick ujął jej twarz w dłonie. - Skąd mogłaś wiedzieć, że jest psychicznie nie zrównoważona, i to od dawna, możliwe że zanim jeszcze zginął Robby Joe?

Jordan spojrzała na otwartą trumnę i wzdrygnęła się.

- Kazała mi... O, Boże, Rick, byłam w trumnie z... z... – Rozpłakała się.

- Dobrze, skarbie. - Rick delikatnie głaskał ją po plecach. - Wyrzuć to z siebie. Płacz, aż zabraknie ci łez.

W oddali dały się słyszeć syreny policyjnego samochodu i pogotowia, które zmąciły ciszę spokojnej okolicy.

Rick był przy niej cały czas, na każde jej skinienie, kiedy tylko go potrzebowała. Ale często chciała być sama, a on i inni, którzy ją kochali, dali jej prawo do przeżywania bólu w samotności. Spał na sofie w jej sypialni, ale każdego ranka przed świtem wołała go, a on przychodził do niej, żeby ją przytulić i pocieszyć.

Tego ranka, sześć tygodni po pogrzebie senatora Daniela Price'a, na cmentarzu w Jernigan Crossroads, obok syna, pochowana została Darlene Wright. Nabożeństwo było krótkie. Wielebny Crowell przeczytał fragment z Pisma Świętego i odmówił modlitwę, prosząc dobrego Boga o wieczny odpoczynek dla duszy Darlene.

Na nabożeństwie byli tylko najbliżsi, ci sami, którzy teraz pili wspólnie kawę w Price Manor. Wszyscy chcieli być przy Jordan, okazać jej wsparcie. Roselynn i Tammy. Devon i Rene. Claire i Ryan. Wesley i Kendra. Tobias i Vadonna.

Jordan podeszła do niego, tak jak wtedy, gdy zobaczyli się po raz pierwszy. Czy to naprawdę wydarzyło się zaledwie sześć tygodni temu?

- Musimy porozmawiać - powiedziała.

- Nie ma pośpiechu.

- Nie, musimy porozmawiać teraz. - Wzięła go za rękę. - Chodźmy do mojego gabinetu.

Poszedł za nią, do jej małej, przytulnej kryjówki. Zamknął drzwi. Wiedział, co się kroi, to było nieuniknione. Wmawiał sobie, że jest na to przygotowany, ale nie był.

- Chyba jestem w tobie zakochana - wyznała.

- Jordan, ja...

Położyła mu palec na ustach.

- Jeżeli mnie kochasz, daj mi czas. Muszę się pozbierać, żeby móc myśleć o poważnym związku.

- Ile czasu ci potrzeba?

- Nie wiem. Kilka tygodni... Miesiące... Może rok.

- To długo dla faceta.

- Wiem, że proszę o wiele, ale... Uciszył ją pocałunkiem.

Pocałowała go namiętnie, a potem wysunęła się z jego ramion.

- Dasz mi trochę czasu? Poczekasz?

- Tak, kochanie. Poczekam. Tyle, ile będzie trzeba. A kiedy będziesz gotowa, daj mi znać.

- A powiesz mi to chociaż jeden raz? - Łzy napłynęły jej do oczu. Spojrzał na nią, ale jej nie dotknął.

- Kocham cię, Jordan.

Wyszedł z gabinetu i opuścił Price Manor.

Wsiadł do jeepa, przejechał alejką do bramy i wyjechał na drogę, zostawiając za sobą jedyną osobę na świecie, która tyle dla niego znaczyła.



Epilog

Dziesięć miesięcy później...

Rick zadzwonił do drzwi. Otworzył mu Devon Markham, który przywitał go uśmiechem i serdecznym uściskiem dłoni.

- Wchodź, Rick. Cieszę się, że przyjechałeś. Wszyscy się ucieszą, kiedy cię zobaczą.

Rick miał nadzieję, że mówiąc „wszyscy”, Devon miał na myśli Jordan. Nie odzywała się dokładnie przez dziesięć miesięcy. Ostatni raz, kiedy ją widział, w dniu pogrzebu Darlene Wright, powiedziała mu, że go kocha, a potem kazała mu odejść. Czekał niecierpliwie, aż go za-wezwie. Kiedy już prawie stracił nadzieję, dostał zaproszenie na ślub Roselyne Harris i Wallace'a McGee.

Od Griffa i Nicole dowiedział się, że ślub będzie skromny, w gronie rodzinnym w Price Manor, które Jordan przekazała Ryanowi i Claire, kiedy pół roku temu się wyprowadziła.

- Mieszka w Chattanooga. Studiuje na uniwersytecie - powiedziała mu Nicole. - Claire mówiła, że chce zdobyć uprawnienia nauczycielskie i podjąć pracę w szkole podstawowej.

Wchodząc do holu, poprawił krawat i przełknął ślinę. Nie najlepiej czuł się na ślubach. Nie najlepiej czuł się w garniturze i pod krawatem. Gdyby nie nadzieja, że zaproszono go dlatego, iż Jordan jest już gotowa na spotkanie, na pewno by nie przyjechał.

- Jestem drużbą - oznajmił Devon. - Pozwól, że zaprowadzę cię na twoje miejsce.

Dom był ozdobiony kwiatami, wstążkami i świeczkami. Rick był pewien, że gustowne dekoracje były dziełem Jordan.

- Pewnie słyszałeś, że J. C. parę miesięcy temu wpakował się w kłopoty. Niestety, nie będzie mógł przyjechać, bo odsiada je karę więzienia w Kalifornii. Pannę młodą poprowadzi do ołtarza Ryan, a Tammy i Jordan są druhnami.

Rodzinna uroczystość, jak się patrzy. - Devon zaprowadził Ricka do salonu, z którego wyniesiono większość mebli, żeby zrobić miejsce na białe rozkładane krzesła, które ustawiono w dwóch rzędach. Przejście między nimi usłano płatkami róż.

- Jak się miewa Jordan? - spytał Rick.

- Dobrze, pozbierała się.

Rick przystanął przy krześle obok miejsc, które zajmowali Ryan, Claire i ich czteroletni syn, Michael.

- Jest szczęśliwa?

- Będzie, kiedy cię zobaczy. - Devon uśmiechnął się promiennie i puścił oko do Ricka, a potem odwrócił się i wrócił do obowiązków drużby.

Rick usiadł obok Claire, która uśmiechnęła się do niego.

- Miło znów cię widzieć. Jordan nie była pewna, czy przyjedziesz, ale powiedziałam jej, że na pewno będziesz.

Nie zdążył odpowiedzieć ani o nic zapytać, bo siedzący w rogu sali harfiarz zaczął grać. Przy ołtarzu ustawionym obok kominka pojawił się duchowny, a po lewej stronie, dokładnie naprzeciwko ołtarza, usiedli Wallace McGee i młodzieniec tak do niego podobny, że Rick od razu się domyślił, iż to jego syn. Kiedy popłynęła kolejna melodia, goście odwrócili głowy i przyglądali się idącej w stronę ołtarza Tammy Harris, w różowej satynowej sukience do kolan i sznurze pereł na szyi. Zajęła miejsce po prawej stronie. Za Tammy szedł Devon, który stanął obok Wallace'a i jego syna.

Wreszcie pojawiła się Jordan.

Miała na sobie identyczną sukienkę i perły jak Tammy. Popielate włosy miała upięte tak, że twarz okalały drobne loki. Była najpiękniejszym stworzeniem, jakie w życiu widział.

Dwadzieścia minut później, po tradycyjnej ceremonii ślubnej, goście zostali zaproszeni przez nowożeńców na poczęstunek. Rick czekał w salonie, w nadziei, że Jordan podejdzie do niego, ale nie zrobiła tego, dołączył więc do gości w jadalni.

Kątem oka dostrzegł, że Jordan, roześmiana, rozmawia z Claire i Ryanem. Nagle spojrzała w jego stronę. Patrzyli na siebie. Uśmiechnęła się i pomachała mu. Odwzajemnił uśmiech.

Chciał do niej podejść, ale Roselynnie coś do niej powiedziała i obie wyszły z pokoju.

- Poszła pomóc Roselynnie przebrać się do podróży. - Devon położył mu dłoń na ramieniu. - Późnym wieczorem wylatują z Wallace'em w dwutygodniową podróż poślubną na Hawaje, zaraz muszą wyjeżdżać na lotnisko do Atlanty.

Piętnaście minut później Rick dołączył do pozostałych gości, stojących przy schodach. Wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż niespełna rok temu, kiedy stał dokładnie w tym samym miejscu i podawał rękę wdowie po Danielu.

- Wszystkie panny proszę na środek. - Roselynnie zachichotała, czekając, aż cztery panny - Tammy, Rene, Kendra i Jordan - wyjdą na środek.

Roselynnie odwróciła się, obejrzała i rzuciła za siebie ślubny bukiet. Złapała go Tammy, która aż pisnęła z zachwyty.

Rick wyszedł na werandę i razem z innymi obsypywał ryżem młodą parę. Roselynnie z mężem zbiegli po schodach do zabytkowego jaguara Wallace'a.

Nagle poczuł obok siebie obecność Jordan, zapach jej delikatnych perfum. Jej ciepło. Podeszła do niego i wzięła go pod rękę.

- Tak się cieszę, że przyjechałeś.

- Nie mogłoby mnie zabraknąć.

- Zostaniesz do jutra czy wracasz do domu?
- Jadę do Knoxville.
- To dobrze. Podrzuć mi do Chattanooga? Przyjechałam z Devonem, ale teraz on jedzie z Rene i dziećmiakami - Tammy, Kendrą i Wesem - na wakacje do Disneylandu. Przenocują tutaj i ruszają z samego rana.
- Podoba ci się życie w Chattanooga?
- Tak, bardzo. Mam własny kąpiel. Jeden pokój, jedna łazienka. Jest przytulnie. Przypomina mi mój gabinet z Price Manor.
- Dobrze wyglądasz. - Roześmiała się. - Boże, co ja gadam! Wyglądasz wspaniale. Pięknie.
- Dziękuję - uśmiechnęła się. - Ty też nieźle wyglądasz. - Wybuchnęła śmiechem.
- Skarbie, tak dobrze znów cię widzieć. Łzy napłynęły jej do oczu.
- Ricku Carsonie, jeżeli mnie nie pocałujesz...
- Padła mu w ramiona, a on pochylił głowę i pocałował ją namiętnie i zachłannie. W końcu musieli odsunąć się od siebie, żeby zaczerpnąć powietrza.
- Tyle tylko chciałam wiedzieć - powiedziała. - Nadal mnie kochasz, prawda?
- Najprawdziwsza.
- A ja kocham ciebie.
- Gdzie będziemy mieszkać po ślubie? Czy ja się przeprowadzam do Chattanooga czy ty do Knoxville?
- Po ślubie?
- Chyba za mnie wyjdiesz? A jeśli potrzebujesz długiego narzeczeństwa...

- Nie potrzebuję. Zmarnowałam już za dużo życia. Nie chcę tracić ani minuty więcej. Nieważne, gdzie będziemy mieszkać, bylebyśmy do końca życia byli razem.

RS